

Nie chowaj tej książki przed żoną! I tak kupi sobie nową!

Wstyd



DC
DE GRUYTER

MAGGIE OSBORNE

Alfred

MAGGIE OSBORNE

Przełożyli

Grażyna i Krzysztof Stefaniukowie

Wydawnictwo Da Capo Warszawa

1 ~

Nigdy o pani nie słyszałam. Nie znam pani, nie mam też nic do powiedzenia -

stwierdziła chłodno Jenny Jones i odwróciła się plecami do kobiety, którą strażnik właśnie wprowadził do jej celi.

Przez zakratowane okno dostrzegła meksykańskiego oficera, który ze znudzoną miną musztrował pluton egzekucyjny. Po plecach przebiegły jej ciarki; wytarła spocone dłonie w stare, o wiele za duże spodnie.

Jutro o świcie spojrzy w wycelowane prosto w nią lufy sześciu karabinów.

Miała nadzieję, że zanim ją rozstrzelają, pęcherz nie odmówi jej posłuszeństwa; chyba wystarczy jej odwagi, by umrzeć z odrobiną godności.

- Przyszłam ocalić ci życie - rzekła cicho *senora* Marguarita Sanders. To wyrwało Jenny z zadumy. Zaskoczona, odwróciła się w jej stronę i patrzyła, jak kobieta przykładła koronkową chusteczkę do arystokratycznego nosa, najwyraźniej nie mogąc znieść smrodu panującego w celi. Wytwornie ubrana dama rozejrzała się po ciasnym pomieszczeniu i lekko westchnęła, po czym wzięła w dłonie poły sukni, zamierzając usiąść na gołym materacu.

- Nie radziłabym - ostrzegła ją Jenny i spojrzała znowu przez okno. - Siennik aż się roi od wszy.

Jej ubranie nie było w lepszym stanie, ale nie miało to już większego znaczenia.

Wytarła ścierką spoconą szyję i doszła do wniosku, że rosnący upał i bezustanne brzęczenie much w celi doprowadzą ją do szaleństwa.

Obserwowała, jak sześciu obdartych żołnierzy zmierza niechlujnym szykiem w stronę muru podziurawionego kulami. Żaden z nich nie wyglądał na strzelca wyborowego. Ciekawe, jak długo będą do niej strzelać, zanim ją w końcu zabiją

- znając jej szczęście, potrwa to przynajmniej do południa.

- *Pardone*, słyszałaś, co powiedziałam? - zapytała łagodnie Marguarita

.Sanders. Przetarła chustką brudny taboret i po krótkim wahaniu usiadła; zachowywała się tak, jakby chciała tam zostać nieco dłużej. Jej jedwabna halka nadeła się niczym balon i falując, opadła na

brudną podłogę.

- Bardzo to dramatyczne. - lenny zaśmiała się sucho. - Dobrze, zgadzam się.

Proszę mi tylko powiedzieć, *senora*, jak pani chce uratować mi życie? -

Ponownie przeniosła wzrok na gościa. - Zamierza pani zorganizować ucieczkę?

Zlikwidować pluton egzekucyjny, a może anulować mój wyrok?

Senora Sanders odkaslnęła w chusteczkę, spojrzała na kontrastujące z bielą koronek krople krwi, po czym zgniotła materiał w dłoni.

- Kaszle pani krwią. - lenny z zainteresowaniem przyjrzała się twarzy kobiety.

- Pani umiera - stwierdziła bez ogródek.

Wysokie kości policzkowe przybyłej, pokryte trupioblada skórą, sprawiały dość ponure wrażenie i mówiły o zbliżającej się śmierci. Wokół jej ciemnych oczu widniały fioletowe cienie, upięte zaś w kok włosy były szare i pozbawione połysku. Przyglądając się jej, lenny dostrzegła, że musiała być kiedyś niezwykle piękna. Teraz jednak niezdrowa cera i przedwczesne zmarszczki dodawały jej przynajmniej dziesięć lat.

- Czemu nie leży pani w łóżku? Po co pani tu w ogóle przyszła?

- zapytała lenny nieco łagodniejszym tonem. Brudną ręką wskazała na blaszany sufit, pod którym rozżarzone powietrze mieszało się z odorem celi.

- To nie jest miejsce dla pani. Proszę wracać do siebie.

Jej dom to zapewne jedna z tych wielkich hacjend za doliną.

Koronkowa chusteczka oraz przedniej jakości materiał sukni i pe leryny jednoznacznie świadczyły o zamożności kobiety. Cienka linia nosa i delikatne rysy twarzy, a także styl mówienia i pewien nieokreślony powiew pewności siebie wskazywały na arystokratyczne pochodzenie. Zapewne jedynym zajęciem, jakie przyszło jej wykonywać bez pomocy służby, było podnoszenie widelca do ust.

W obecności takich kobiet lenny czuła się po prostu nieswojo - jak wielka, niezgrabna kula, poruszająca się z gracją narowistego muła, jednego z tych, których używała do pracy. Istoty podobne do Marguarity Sanders zamieszkiwały inny, lepszy świat, który Jenny ledwie mogła sobie wyobrazić.

Wydęła usta. *Senora* Sanders nie nosiłaby tego samego brudnego ubrania przez okrągły miesiąc, nie cieszyłaby się z kupna zarobzonego siennika za dwa grosze, a już na pewno nigdy nie leczyła odcisków na dłoniach. Jenny mogłaby postawić połowę z reszty życia, jakie jej jeszcze pozostało, że nie zdarzyło się jej opuścić żadnego posiłku, a tym bardziej przygotować czegoś własnoręcznie. Tę śliczną główkę zaprzętały pewnie inne myśli, może coś w rodzaju: jaką wybrać kreację na kolejne

przyjęcie.

Jenny schyliła się i splunęła na podłogę, chcąc pozbyć się gorzkiego smaku zazdrości, a potem zerknęła na kobietę, jakby chciała sprawdzić, czy zaszokowała tym niezwykle gościa.

Senora Sanders nie zauważyła jednak tej oznaki potępienia.

Znowu kaszlała z oczami przymkniętymi z wysiłku, zasłaniając usta poplamioną krwią chustką.

Gdy minął atak, jeszcze przez dłuższą chwilę dyszała ciężko i starała się złapać oddech w rozpalonym powietrzu.

- Jutro rano o piątej trzydzieści - odezwała się w końcu - ojciec Perez przyjdzie tu wysłuchać twojej spowiedzi.

- Może mu pani powiedzieć, żeby nie zrywał się tak wcześnie, nie jestem katoliczką.

- Będzie ubrany w długą sutannę z obszernym kapturem, strażnicy zostali już uprzedzeni - ciągnęła niewzruszenie *Margarita*. Przyłożyła rękę do piersi i odetchnęła z trudem. - Tyle że to nie będzie ojciec Perez, ale ja. Zamienimy się rolami. - Przebiegła wzrokiem po starych spodniach Jenny i luźnej męskiej koszuli, na których zebrał się brud z całego mleśiaca. - Dowódca plutonu, człowiek nieco ograniczony, został poinformowany, iż nie życzysz sobie, by jego ludzie widzieli przy egzekucji twoją twarz. Poprosiłaś o kaptur, co zresztą żołnierze przyjęli z ulgą, nie przywykli bowiem strzelać do kobiety.

Uzgodniono ponadto, że kaptur przyniesie ci i założy właśnie ojciec Perez.

- Co, u diabła, pani sugeruje? - Jenny wlepiła w kobietę zdumiony wzrok.

Zwinięte w pięści dłonie zwisały po bokach. - Mam stąd wyjść, udając ojca Pereza? Pani zaś zginie pod murem zamiast mnie?

Margarita Sanders przysłoniła chustką blade usta, kaszlnęła i przytaknęła ze zmęczeniem.

- Właśnie, umrę zamiast ciebie.

Pośród upalnej ciszy słyhać było jedynie okrzyki meksykańskiego oficera, musztrującego żołnierzy. Pod oknem celi ktoś przejechał konno, a z oddali dochodziło ujadanie psa. Nagły podmuch wiatru przyniósł zapach chili i świeżo upieczonych tortilli.

- W porządku, słucham pani uważnie. - Dziewczyna odeszła od okna i usiadła na materacu. Wbiła w kobietę błękitne oczy. - O co tu chodzi? Co tak ważnego mam zrobić, że jest pani gotowa zapłacić za to życiem?

- Powiedziano mi, że mówisz dosadnie i bez owijania w bawełnę.

- *Margarita* uśmiechnęła się i Jenny przez moment dostrzegła w niej dawno zgasłą piękność.

- Nie dostąpiłam zaszczytu starannego wychowania i zazwyczaj mówię to, co myślę, - Dziewczyna porównała delikatną, gładką skórę rąk przybyłej z własną.

Na opuszkach palców czuła liczne zgrubienia, a popękane od wiatru i słońca dłonie przypominały starą, farbowaną na ciemno bawołą skórę. W ostatniej chwili powstrzymała się przed schowaniem rąk między udami i uśmiechnęła się lekko do siebie. Nie potrafiła sobie przypomnieć, kiedy ostatnio okazała choćby ślad kobiecej próżności.

- Nie przychodzi mi do głowy nic, co mogłabym ofiarować za moje życie, ale pani z pewnością ma coś konkretnego na myśli. O co właściwie chodzi?

Dziewczyna patrzyła na kobietę, starając się odgadnąć, jaka może być cena jej życia. Na pewno ogromna, to nieuniknione. Wyczuła, że Marguarita Sanders oczekuje czegoś, co niełatwo jest ~,dobyć i dla czego warto umrzeć.

- Oto, czego żądam w zamian za to, że zginę za ciebie. - Kobieta odwzajemniła 'twarde spojrzenie Jenny.

- Zabierzesz moją sześciolletnią córeczkę, Gracielę, do jej ojca w Karolinie Północnej. - Gdy Jenny otworzyła usta, by przemówić, kobieta podniosła drżącą dłoń.

Jeśli się okaże, że mój mąż nie żyje, musisz obiecać, że wychowasz Gracielę jak własną córkę. Nie możesz jej oddać pod opiekę żadnego z dziadków ani nikogo, kto poda się za jej krewnego. Jeżeli z jakiegoś powodu nie zdołasz zawieźć jej bezpiecznie do ojca, musisz zadbać o nią jak o rodzone dziecko i opiekować się nią do czasu, aż z własnej i nieprzymuszonej woli wyjdzie za mąż i się usamodzielni. Oto inlcres, jaki chcę z tobą ubić, moja cena za darowanie ci życia.

Oszupiała Jenny otworzyła usta. Poczula się, jakby dostała obuchem w głowę.

- To jakieś szaleństwo - wykrztusiła w końcu. - Jeśli kocha pani córkę, w co nie wątpię, skoro jest pani gotowa dla niej zginąć, dlaczego powierza ją pani zupełnie obcej osobie? Oprócz tego, że mam być rozstrzelana za zabójstwo żołnierza, nic pani

omnie nie wie!

Nieznajomą wstrząsnął kolejny atak kaszlu. Kiedy wreszcie złapała oddech, powachlowała twarz rękawiczkami i kiwnęła głową. - Wiem, że jesteś nadzwyczaj uczciwa. Nie było żadnych świadków. Mogłaś zaprzeczyć, że zabiłaś tę bestię, która cię zaatakowała. Ty jednak przyznałaś się do wszystkiego.

- I proszę tylko spojrzeć, dokąd mnie to zaprowadziło! - Jenny wskazała na kamienne mury celi. - Nikt nie dał wiary, że Il1Qżczyzna, nawet pijany żołnierz, mnie napastował.

- Jeśli moje informacje są ścisłe, wystarczająco długo zajmowałaś się handlem w okolicach Chihuahua, by wiedzieć, że zostaniesz sracona, gdy tylko przyznasz się do zastrzelenia *senora* Monteza. - Marguarita przyjrzała się jej uważnie. - Czemu nie skłamałaś?

- W jej oczach pojawił się błysk ciekawości.

Jenny ze złością podeszła do okna i chwycił;ł się krat, me zważając, jak gorące jest rozgrzane słońcem żelazo.

- Jedyne, co mi pozostało, to uczciwość - odezwała się po chwili niskim głosem. - Nie mam rodziny ani nikogo bliskiego, nawet nie jestem ładna. Brak mi pieniędzy i z pewnością nie czeka mnie świetlana przyszłość. Honor mogę podeprzeć tylko swoim słowem. - Uniosła głowę. - Kiedy Jenny Jones coś powie, można się założyć o ostatni grosz, że to prawda.

- Tak też mi powiedziano.

- Bez tego nie miałabym nic i pozostałabym nikim. - Zobaczyła przez ramię, że kobieta ponownie przykłada zakrwawioną chusteczkę do ust. -

Chyba każdy, nawet ja, potrzebuje w życiu oparcia, czegoś, czego można się trzymać. Właśnie uczciwość pozwala mi wierzyć, że mam prawo chodzić po tym świecie. I bez względu na to, jak się sprawy potoczą, Jenny Jones pozostanie w ludzkiej pamięci jako kobieta uczciwa. To jedyna dobra rzecz, którą można

omnie powiedzieć.

I przez 'uczciwość rozstrzelają mnie wkrótce w meksykańskim więzieniu, pomyślała z gorzką ironią.

- Oczywiście mogłam skłamać podczas tej parodii procesu sądowego -

wycedziła przez zaciśnięte zęby, spoglądając przez okno na ceglany mur otaczający dziedziniec. - Pewnie pani sądzi, że jestem głupia, bo tego nie zrobiłam. Jednak kłamstwo oznaczałoby zniszczenie we mnie jedynej dobrej cechy. - Podrapała się palcami po głowie pełnej wszy. - Jeśli mam się zaprzeć swego słowa, z dwojga złego wolę umrzeć. Bo lepsza już śmierć z honorem niż podłe życie bez przyszłości.

Od tej przemowy aż zaschło jej w gardle. Z jej głosu przebijało zawstydzenie.

Miała ochotę mocno się kopnąć. Po co wyjawiała swoje naj skrytsze myśli przed tą zwariowaną damą?

- Właśnie, twoja uczciwość - stwierdziła łagodnie Marguarita Sanders~ - To ze względu na nią powierzam ci misję dostarczenia Gracieli do ojca. Wierzę, że dotrzymasz warunków naszej umowy. - Jeszc.ze nic nie uzgodniłyśmy. - Jenny zachnęła się. Gdy oparła się o ścianę, doszedł ją delikatny zapach pudru. - Jest kilka

rzeczy na mój temat, o których pani nie wie, a i mnie ciekawią co niektóre sprawy. Na przykład ... - Spojrzała na bogate hafty na niebieskim kapturze Marguarity. - Dlaczego wybrała pani zupełnie obcą osobę? Nie ma pani krewnych, którzy mogliby zawieźć dziecko na północ?

_ Naturalnie, że mam. - Marguarita przyjrzała się plamom krwi na chusteczce. Kiedy podniosła

głowę, w jej oczach błysnęło rozgoryczenie. -

W wiosce mieszka dużo moich kuzynów, mimo to żaden z nich nie uroniłby łzy na wiadomość o śmierci Gracieli. _ Wzięła głęboki oddech. - Moja opowieść jest długa i przepełniona łzami, ale postaram się ją pokrótce streścić.

_ Nigdzie się nie wybieram - odparła Jenny i wróciła na materac. - Ma pani czas aż do świtu, proszę tylko nie płakać, bo nie znoszę szlochających kobiet.

_ Wyrosłam w Kalifornii na ranczo, które graniczyło z posiadłością rodziców Roberto - zaczęła kobieta. Skierowała wzrok na promienie słońca wpadające przez kraty. - Moja rodzina nienawidziła gringo, czyli obcych, rodzice Roberto zaś nie cierpieli Hiszpanów. _ Margarita wzruszyła ramionami i lekko się uśmiechnęła. - Kochałam go do szaleństwa. - Jej opowieść przerwał gwałtowny atak kaszlu.

_ Powinna pani leżeć w łóżku - wtrąciła Jenny, ale kobieta nie zwróciła na te słowa najmniejszej uwagi.

_ Zaszłam w ciążę, gdy miałam szesnaście lat i wiadomość ta omal nie zabiła mojego ojca. Jego wstyd i rozpacz nie znały granic. _ Spojrzała na zwiniętą w dłoni chusteczkę. - Ma się rozumieć, rodzice nie pozwolili nam się pobrać. -

Kobieta uniosła głowę i spojrzała na blaszany sufit. - Kiedy ojciec odesłał mnie tutaj, do ciotki, Roberto niebawem mnie odnalazł i wkrótce potem pobraliśmy się w Los Angeles.

_ Więc dlaczego nie ma go tu z panią?

_ To proste. Ja jestem jedynaczką, lecz Roberto jest starszym z dwóch braci, więc gdyby pojechał ze mną, ojciec by go wydziedziczył.

Jenny wcale nie spodobał się ten człowiek, który przedkładał

spadek nad młodą żonę i dziecko.

- Ani rodzice Roberto, ani moi nie uznali naszego związku.

- Z oczu kobiety wyzierał ból, a potem pojawiła się determinacja.

- Ale po mojej śmierci ojciec będzie musiał uznać za wnuczkę Gracielę, a wówczas stanie się jego jedyną spadkobierczynią. - Napotkała pytający wzrok Jenny. - Ojciec jest człowiekiem bardzo zamożnym, *senorita* Jones, ciotka również. Ale nie można tego powiedzieć o kuzynach. W razie śmierci Gracieli moi zachłanni krewni jako następni w kolejce odziedziczą fortunę. Tutaj, w tak biednym regionie kraju, staną się bogaczami. Już widzę, jak zerkając na Gracielę, spekulują, co będzie, jeśli mała umrze ...

- Rozumiem. - Jenny zmarszczyła czoło. - Gdy nie będzie pani w pobliżu, żeby ją chronić, krewni zabiją dziecko.

- To straszne, co mówię, ale taka jest prawda, przyznaję to z przykrością -

Margarita wzdrygnęła się. - Od bogactw i życia w przepychu dzielić ich będzie jedynie mała dziewczynka. Dlatego nigdy nie powierzę im dziecka.

Jenny zastanawiała się chwilę nad tą sprawą. Ubóstwo tych okolic było wręcz przysłowiowe. Oczywiście istniały też wielkie majątki i, jak zakładała, w jednym z nich mieszka *senom* Sanders. Możliwe, że zupełnie inaczej wygląda sytuacja krewnych. Tak jak miejscowi wieśniacy, żyją zapewne w pokrytych słomą chatach i uważają się za szczęśliwców, jeśli dorobili się krowy i kilku wychudłych kur. Niewykluczone, że niektórzy dołączyli do wałęsających się po drogach rabusiów, ludzi o twardych sercach i spojrzaniach, którzy dla kilku nędznych peso nie wahają się poderżnąć komuś gardła.

Jenny wydlubiła z włosów insekta i zgmiotła go między palcami. - A ten pani Roberto i jego rodzice, czy powitają Gracielę z otwartymi ramionami?

- Nie wiem - szepnęła Margarita i pochyliła z rozpaczą głowę.

Trzęsącymi się dłońmi dotknęła czoła. - W ciągu sześciu lat otrzymałam od męża zaledwie jeden list. Napisał, że przyjedzie po mnie, kiedy tylko będziemy mogli być razem. - Kobieta przymknęła oczy. - Może nie żyje. Istnieje też możliwość, że stracił nadzieję na wspólną przyszłość i zapomniał o nas. A może ... Sama już nie wiem. Wmawiam sobie, że napisał do mnie wiele listów, lecz przechwycili je rodzice.

- Moim zdaniem, Roberto Sanders to podły łajdak - stwierdziła oschle Jenny, patrząc na brud za paznokciami. - I pani dobrze

o tym wie.

- ' Ależ skąd! - *Senora* Sanders wyprostowała się, a w jej oczach pojawił się ogień. Przez moment Jenny ujrzała kobietę, która. przeciwstawiła się potężnemu ojcu, by poślubić człowieka, którego wybrało jej serce. - Roberto jest naj słodszy i najbardziej delikatny mężczyzną chodzącym po tej ziemi.

- To znaczy, że jest mięczakiem?

Margarita podniosła się ze stołka i zanosząc się kaszlem, oparła się ręką o ścianę. Stała tak, podtrzymując wijące się w konwulsjach ciało.

- Nie zamierzam wysłuchiwać kalumni pod adresem mojego męża!

Jenny siedziała z rękami opartymi na kolanach i patrzyła, jak kobieta stara się złapać oddech. Choć nie była w tej dziedzinie ekspertem, rozumiała: Margaricie Sanders pozostało niewiele dni życia.

- Pewnie, ten kochaś jest prawdziwym księciem. Proszę usiąść i odpocząć. A potem niech pani skończy to, co miała mi pani do powiedzenia.

Margarita opadła na stołek. Jej klatka piersiowa szybko wznosiła się i opadała, wciągając w płuca zatęchłe powietrze celi.

- Zostało mi niewiele czasu, by zapewnić córce bezpieczeństwo.

- Podniosła wzrok na Jenny. - Jeśli Graciela zamieszka w wiosce po mojej śmierci, już wkrótce jako ofiara jakiegoś wypadku podąży moim śladem w zaświaty. Tego się obawiam i, niestety, w to wierzę. Jedynym wyjściem, póki jeszcze czas, jest posłać ją do Roberto.

- Tylko że on może jej nie chcieć - rzekła obcesowo Jenny.

- Jeśli pani kochany Roberto już dawno się ożenił ... Zastanawiała się pani nad tym?

- Nie! - Ogień w jej oczach zgasł i widać było tylko rezygnację.

- Ale przyznaję, mogą istnieć powody, dla których nie będzie w stanie jej przyjąć, na przykład zabroni mu tego ojciec. - Kobieta zamknęła oczy i przełknęła ślinę. - Dlatego musisz mi obiecać na wszystkie świętości, że nigdy nie opuścisz Gracieli. Jeśli nie uda ci się dostarczyć jej bezpiecznie do Roberto, musisz wychować ją sama.

- *Sefiora Sanders* - Jenny rozłożyła ręce - jestem ostatnią osobą na ziemi, która powinna wychowywać pani córkę. Umiem trochę czytać i pisać, ale nie mam żadnego wykształcenia.

- Zauważyłam słownik w twojej kieszeni, a także książki wśród innych rzeczy.

- Do moich codziennych obowiązków należą jedzenie i lubieranie się, a i to przychodzi mi z trudem. Swojego czasu byłam praczką, obdzierałam ze skóry bawoły, co jest najgorszym ze znanych mi zajęć, pracowałam też jako doker w porcie, a ostatnio prowadziłam zaprzęg mułów i przewoziłam towary. Poza praniem żadna z tych profesji nie zalicza się do kobiecych, a dostawałam pracę tylko dlatego, że błagałam o nią i tak się składało, że okazałam się lepsza niż większość mężczyzn. Naturalnie, płacono mi znacznie mniej. Chodzi mi o to, że ledwie potrafię wyżywić i ubrać samą siebie, a co dopiero mówić o opiece nad dzieckiem.

- Dam pani pieniądze na podróż.

- Martwi mnie, co będzie, kiedy Roberto jej nie przyjmie. Kto zatrudni kobietę z uwiązaniem do nogawki dzieckiem? Z czego miałabym je wówczas utrzymać? Poza tym, jakie czeka je życie? - Gdybyś zrobiła porządek z włosami, umyła się... i ubrała w czyste ubranie ...

- Ja i mężczyzna? - Jenny wybuchnęła śmiechem i uderzyła się dłonią po udzie. - A to dobre. - Spoważniała. - Nikt nie spojrział na mnie dwa razy z rzędu w ciągu minionych dwudziestu czterech lat i wątpię, by włożenie sukienki mogło tu coś zmienić. - Pokręciła głową z niedowierzaniem. - Tylko ktoś pijany do nieprzytomności zechciałby się do mnie zalecać.

- Masz piękne oczy - odparła. Margarita po chwili, a w jej głosie słychać było zdziwienie. - Także ładne usta.

- Proszę o tym zapamiętać - rzuciła Jenny ze złością i gwałtownie, niczym mieczem, machnęła ręką. - Jeśli mam w ogóle wychowywać pani dziecko, muszę to zrobić sama. I tak będzie to wystarczająco ciężkie dla nas obu. Mała nie dostanie eleganckich strojów ani służących. Będzie szczęśliwa, jeśli będzie miała pełny żołądek i poduszkę pod głowę. Czy właśnie tego chce pani dla niej?

- Nie mam przyjaciół, nikogo, komu mogłabym zaufać. - Kobieta spuściła głowę i przymknęła oczy. - Nie widzę innego wyjścia. - To jeszcze nie wszystko - powiedziała lenny i dodała z brutalną szczerością: - Najgorsze w tym wszystkim jest to, że nie znoszę dzieci, zresztą nigdy ich nie lubiłam.

- Graciela jest ponad wiek rozwinięta, ma bystry umysł i zachowuje się bardzo rozsądnie.

- Nie dbam o to, że jest jakimś cudem. Ma sześć lat, co oznacza, że jest jeszcze dzieckiem, a ja nie cierpię bachorów. Nie mam pojęcia, jak się nimi opiekować. - Jenny rozłożyła bezradnie ręce. - Dzieci nie wiedzą, jak przetrwać na pustyni, wypatroszyć królika czy pracować. Wchodzą tylko na drogę, hałasują i płaczą, są tylko na pół ludźmi.

- Czemu mi o tym mówisz? - spytała cicho Marguarita z błaganiem w oczach.

- Bo chcę, żeby pani dokładnie wiedziała, dla kogo chce się pani poświęcić.

Jeśli zamienimy się miejscami i zostanę z pani dzieckiem, nie chcę którejś nocy obudzić się z Gracielą na brudnej ziemi, z pustym żołądkiem i z poczuciem winy, że zginęła pani za mnie, a ja panią zawiodłam.

- Nie zamierzam umrzeć za ciebie, Jenny Jones, weź to sobie do serca. Zginę, żeby Graciela mogła żyć. Pójdę na śmierć, jeśli obiecasz na wszystkie świętości, że nie zostawisz Gracieli. To dziecko nie może zginąć z rąk ludzi, których nieopatrznie pokochało! Stanę przed plutonem egzekucyjnym tylko wtedy, gdy przysięgniesz na swoją duszę, że ocalisz moją córkę. Po tysiącokroć wolę, żeby była głodna niż martwa.

- A gdzie w tym wszystkim miejsce dla pani szanownego ojca, możnego właściciela ranczo? - ucięła jej wywody Jenny. Kobiety mierzyły się wzrokiem.

- Jeśli drogi Roberto nie zechce albo nie będzie mógł przyjąć córki, dlaczego nie zostawić jej po prostu na progu domu pani ojca?

- To niemożliwe, on nigdy nie zaakceptuje dziecka Sandersa.

- Oto i odpowiedź na pani problemy. - Jenny oparła się o ścianę i wyciągnęła nogi na materacu, na którym roilo się od insektów. - Wystarczy to wytłumaczyć pani pazernym kuzynom, a dziecko będzie ocalone.

Jenny zaklęła w duchu, właśnie z własnej i nieprzymuszonej woli pozbawiła się szansy na uratowanie życia. Potem jednak pomyślała o zatrzymaniu małej na długie lata i uznała, że woli już stanąć przed plutonem egzekucyjnym. Do licha, sprawy nie wyglądały najlepiej.

- Graciela jest legalną spadkobierczynią mojego ojca, obojętne, czy ją zaakceptuje, czy nie. Po

dobroci tego nie robi, bo w jego oczach Graciela jest tylko bękartem Roberto. Kiedy jednak okażesz przed sądem świadectwo naszego ślubu, roszczenia Gracieli zostaną zaspokojone. Sprawdziłam to.

- Mówiłam, że nie cierpię dzieci i nie zapewnię jej odpowiedniego poziomu życia - powtórzyła Jenny, przyglądając się palcom wystającym przez dziurę w bucie. - Do diabła, nie mam pojęcia, jaka czeka nas przyszłość. Nie wiem nawet, czy zdołam dotrzeć do Karoliny Południowej. - Uniosła wzrok. - Nadal chce pani tej zamiany?

- Jesteś jedyną nadzieją dla Gracieli.

- W takim razie dziewczynkę czekają nie lada kłopoty. - Jenny zaśmiała się ochryplym głosem. Zadumała się chwilę. - Zastrzelą kobietę z kapturem na głowie, ale przecież tak jej nie pochowają. Gdy tylko żołnierze zobaczą pani twarz, zorientują się, że rozstrzelali kogoś innego. Pomyślała pani o tym?

- Będiesz miała około sześciu godzin przewagi - odparła kobieta powoli, potakując głową. Zawahała się przez moment. - Prawdę mówiąc, nie wierzę, by żołnierze pojechali cię szukać. Noszą mundury, ale nie są lepsi od przydrożnych bandytów. Nie zechcą gonić kobiety bez grosza przy duszy. Będą mieli ciało i to im wystarczy do złożenia raportu.

- Po co mi więc owe sześć godzin przewagi? Nad kim?

- Chodzi o moich kuzynów, a szczególnie Luisa, Chulo i Emila. - Marguarita spojrzała na dziewczynę. - Zrozumieją wszystko, kiedy tylko zostanie zidentyfikowane moje ciało. Prawdopodobnie jednak będą przekonani, że porwałeś dla okupu ich ukochaną dziedziczkę fortuny. Dojdą do wniosku, że ich obowiązkiem jest uratować Gracielę i postarają się zabić was obie.

- A niech to jasna cholera! - Jenny przesunęła palcami po włosach i rzuciła kobiecie mordercze spojrzenie. - Nie dość, że zostawia mnie pani, być może do końca życia, z dzieckiem na karku, to na dodatek zaczniesz mnie ścigać banda krwiożerczych Meksykanów. To wysoka cena.

- Ale będziesz żyć - przypomniała łagodnie kobieta, napotykać jej gniewny wzrok. Potem zerknęła na cienie pojawiające się na ścianie. - Musisz teraz podjąć ostateczną decyzję. Jeśli mamy się zamienić, zostało mi dużo spraw do załatwienia i bardzo niewiele czasu.

Minęły dwie minuty, podczas których Jenny intensywnie myślała.

W końcu westchnęła głęboko.

- Pani wie, że to zrobię. Zdawała sobie pani z tego sprawę, przekupując strażników. - Pokiwała głową i przymknęła oczy.

W oczach Marguarity pojawiły się łzy ulgi.

- Zatem wyjaśnijmy sobie, co każda z nas obiecuje. Ja przyrzekam zginąć jutro rano zamiast ciebie. Ty zawieszysz córkę do jej ojca i nie oddasz jej nikomu innemu. Jeśli Roberto jej nie przyjmie - jej oblicze się zachmurzyło -

wtedy wychowasz Gracielę jak własne dziecko i postarasz się ją pokochać.

- Och, nie, tylko nie to! - Jenny uniosła głowę i zmrużyła oczy.

- W żadnym razie nie obiecuję pokochać dzieciaka, którego nigdy nie widziałam na oczy, a już teraz wiem, że nie lubię. Zabiorę ją do Roberto albo wychowam, jeśli będę musiała, ale proszę nie oczekiwać, że ją pokocham, tego nie mogę zrobić.

- Jesteś twardą kobietą, Jenny Jones.

- Nie zna pani nawet połowy prawdy! Ojciec bił mnie, od kiedy tylko zaczęłam chodzić. Jedyna osoba, którą kochałam, mój trzeci brat, Billy, zmarł, gdy miał dziewięć lat, i to z mojej winy. Gdy skończyłam dziesięć lat, matka wyrzuciła mnie na ulice Denver i od tego czasu radzę sobie sama. Owszem, można powiedzieć, że jestem twardą kobietą.

- Przykro mi. Taki los nie powinien stać się udziałem żadnego dziecka.

Jenny dostrzegła w oczach Marquarity współczucie.

- Ma pani jutro umrzeć i lituje się pani nade mną? - Poczula w piersiach ostre ukłucie. - Albo jest pani kobietą niewyobrażalnie głupią, albo tak dobrą, jakiej jeszcze nie spotkałam w swoim życiu - szepnęła Jenny.

Wreszcie dotarła do niej straszliwa prawda o ich niezwyklej transakcji. Ta cudowna, delikatna kobieta zginie jutro o świcie. Marguarita Sanders stanie zamiast Jenny przed plutonem egzekucyjnym, bo ponad wszystko kocha swoje dziecko. Resztę godzin swojego życia spędzi przygotowując ucieczkę Jenny.

Na zawsze pożegna się z dziewczynką, którą uwielbia. I mając tyle spraw na głowie, potrafi jeszcze odczuwać współczucie dla nędznej przeszłości zupełnie obcej kobiety.

- Co mam powiedzieć Gracieli, gdy spyta o panią? - odezwała się Jenny, z trudem przełykając ślinę.

- Ona jest znacznie mądrzejsza, niż na to wygląda. Wyjawię jej całą prawdę -

odparła Marguarita. Wstała i starała się otrząsnąć spódnicę z brudu. - Nie chcę, aby ciebie obwiniała za moją śmierć. Musi zrozumieć, że to wyłącznie mój wybór.

- Zakładając, że nie zabiją nas pani kuzyni ... Roberto zaś nie żyje, bądź

będzie dla nas nieosiągalny ... - Jenny kaszlnęła nerwowo. - Co pocznę, gdy Graciela zapyta mnie, jakim pani była człowiekiem? Nic o pani nie wiem.

- Powiesz jej, że kochałam nad życie ją i jej ojca. - Wzrok kobiety zatrzymał

się na kratkach. - Staralam się żyć z godnością i czynić dobro. - Spojrzała ponownie na Jenny. - Proszę powiedzieć, by o mnie zapomniała i uznała za matkę kobietę, która ją wychowuje.

Obie patrzyły na siebie w milczeniu. Po chwili Jenny rzekła cicho:

- Pani również potrafi być twardą kobietą.

_ Musisz jej wytłumaczyć, by nie przejmowała się przeszłością.

Ma żyć pełnią życia i być silna. Proszę ją nauczyć śmiać się i kochać. Jeśli znajdzie swoje szczęście, to gdziekolwiek bym była, uśmiechnę się i będę szczęśliwa.

_ Jezu Chryste. - Jenny przetarła oczy brudną dłonią. Gdy zdała sobie sprawę, że kobieta zamierza ją uściskać, podeszła niepewnie do przodu. -

Jestem brudna i zawszona.

_ *Sefiorita* Jones. - W oczach kobiety błysnęło rozbawienie, a na policzkach pojawił się słaby rumieniec. - Wszy nie będą mi długo dokuczać. -

Uśmiechnęła się.

Objęła Jenny wychudłymi rękami i oparła głowę na jej ramieniu. _ Dziękuję -

szeptnęła. - Będę się za panią modlić, Jenny Jones. Jenny bezradnie zatrzepotała w powietrzu rękoma, po czym

odwzajemniła jej uścisk, starając się nie wkładać w to zbyt wiele siły. Niski wzrost i kruchość Marguarity sprawiły, że dziewczyna poczuła się równie wielka i niezręczna, co nowo narodzone ciele.

Kiedy się rozłączyły, zawstydzona Jenny niezdarnie skrzyżowała ręce na piersiach i spojrzała przeciągle na *sefiore* Sanders, jakby chciała zapamiętać jej obraz w zapadającym zmroku.

_ Nie wiem, co powiedzieć. Jeśli to tylko będzie możliwe, dostarczę Gracielę do Kalifornii ... Przysięgam na wszystkie świętości, że to zrobię.

_ Wiem o tym. - Kobieta podeszła do zakratowanych drzwi i zawołała strażnika. - Gdy spotkamy się jutro rano, nie będzie czasu na pożegnania, a więc uczynię to teraz. - Marguarita uśmiechnęła się i wzięła w swe delikatne dłonie zniszczone ręce Jenny. - Brak mi słów, by wyrazić to, co czuję.

Wdzięczność, uznanie, miłość ... To o wiele za mało. Jesteś zbawieniem mojego serca i odpowiedzią na wszystkie modlitwy. Staniesz się drugą matką dla mojego dziecka.

- Ładna mi matka - mruknęła dziewczyna.

_ Myślę, że jeszcze sama się zdziwisz - odparła czule kobieta.

Uśmiechnęła się i uścisnęła dłonie Jenny. - Wierzę, że pokochasz małą Gracielę.

Twoja droga życia będzie inna niż ta, która mogła się stać moim udziałem, lecz z pewnością okaże się równie dobra i prawdziwa. Jeśli okoliczności zmuszą cię do tego, pokierujesz losem naszej córki i zrobisz to w sposób, z którego obie będziemy dumne. Wiem o tym.

Jenny patrzyła na nią z niedowierzaniem - ta nieszczęsna kobieta chyba śni.

Chciała jej to powiedzieć, ale powstrzymała się w ostatniej chwili. Jeśli podobne iluzje mają jej sprawić ulgę, niech i tak będzie, nie odbierze jej ostatniej pociechy.

Tymczasem strażnik otworzył drzwi i pchnął Jenny w kąt celi, by zrobić przejście dla *seiiory* Sanders.

Jenny podniosła się, podbiegła do drzwi i chwyciła za kraty w małym okienku.

- Daję słowo! - krzyknęła w głąb cuchnącego korytarza. - Obiecuję! - Chciała dodać coś jeszcze, lecz nie potrafiła znaleźć odpowiednich słów. Może to wystarczy, może Marguarita nie spodziewała się usłyszeć nic innego.

Jeszcze długo Jenny siedziała na gołym materacu i zgniatając w ciemności wszy, wspominała kobietę, która o świcie umrze zamiast niej.

Rozmyślała też o dziecku, małej Graceli, a także o jej krwiożerczych krewnych. Przyznała z ciężkim sercem, że naprawdę może zostać obarczona cudzym dzieckiem na następne dwanaście lat, jeśli nie na' dłużej.

- Dałam słowo - szepnęła. To jedyna rzecz, którą mogła zaproponować za swoje życie, i jedyna, której Marguarita od niej oczekiwała.

Gdyby była w lepszych stosunkach z Panem Bogiem, zmówiłaby cichy pacierz w intencji Marguarity Sanders, a może też nieśmiało napomknęłaby osobie i dziecku.

2 ~

T y Sanders był ostatnio wielce rozsierdzonym kowbojem.

Od co najmniej dwóch tygodni ani razu nie zjadł porządnego posiłku, nie kąpał się i nie golił, a spał najczęściej na pokrytych kurzem skałach. Jakby tego nie dość, od czasu, gdy przekroczył granicę z Meksykiem, już dwukrotnie ukradziono mu konia. Nowe wierzchowce kupował potem po tak wygórowanych cenach, że na samo wspomnienie o tym zgrzytał zębami. W

dotatku tyłek bolał go od nieprzerwanej jazdy konnej po dwanaście godzin na dobę, a kciuk ropywał po ukłuciu kolcem kaktusa, co wcale nie poprawiało mu humoru.

Najgorsze jednak było to, że wciąż nie wiedział, gdzie jest.

Mapa, którą posługiwał się dotychczas, okazała się mało dokładna, nieaktualna, a miejscami wręcz fałszywa, jednym słowem całkowicie bezużyteczna. Jedno nie ulegało wątpliwości - choć już od

dwóch tygodni przebywał w Meksyku, nie dotarł jeszcze do czynnej linii kolejowej.

Skubiąc nerwowo brzeg kapelusza, jechał środkiem mało ruchliwej ulicy, która przedzielała miasteczko na dwie senne, spieczone słońcem części. Nigdzie nie widział nawet śladu stacji kolejowej. Po drodze mijał niewielu mężczyzn, i, dzięki Bogu, żadnego w mundurze. To mogło oznaczać, że sporadyczne walki, jakie wybuchły ostatnio w niektórych rejonach Meksyku, jeszcze tu nie dotarły.

Zdaniem Ty'a Meksykanie są nieszczęśliwi, gdy nie mogą walczyć i bezustannie sprawdzać się w rozmaitych wojnach i potyczkach. Jeśli nie mają pod ręką obcych, biją się między sobą.

Zajechał na rynek, który okazał się zarośniętym chwastami niewielkim placem z górującym nad całą okolicą kościołem. Wielkością pasowałby raczej do miasteczka dziesięć razy większego, pomyślał Ty. Pod jedynym w zasięgu wzroku drzewem drzemało na ławce dwóch staruszków.

- Hej, wy tam! Jak się nazywa ta miejscina? - Pochodził z Kalifornii, więc i jego hiszpański akcent był daleki od doskonałości, ale Ty przypuszczał, że powinni go zrozumieć.

Jeden z mężczyzn odchylił sombrero na tył głowy i ukazał pomarszczoną twarz. Małymi czarnymi oczami zlustrował skórzane juki na koniu, zakurzone buty nieznanego, jego kapelusz i zagniewane oblicze.

- Mexla, *serior*.

Ty nigdy nie słyszał o takim mieście, nie było też zaznaczone na jego mapie.

Równie dobrze mógł się znajdować dwieście mil w głębi kraju, co blisko granicy, jeśli zabłądził i nieopatrznie zatoczył kółko w drugą stronę. Zdjął

kapelusz i wytarł rękawem pot z czoła. Teraz najbardziej potrzebował wody, by się ochłodzić i ugasić pragnienie.

- Jest tu jakiś hotel? Miejsce, gdzie można dostać łóżko i się wykąpać?

Staruszek zastanawiał się przez chwilę - znak niezbyt zachęcający.

- *Casa Grande* - powiedział w końcu. Potem naciągnął z powrotem sombrero na oczy i skrzyżował ręce na piersi, czym ostatecznie zakończył konwersację.

Ty rozejrzał się; jedyna rzecz *grande* w tym miasteczku to kościół. Podobnie jest w całym Meksyku, przynajmniej w rejonach, przez które przejeżdżał.

Okazałe kościoły otoczone niepozornymi chatami i wyzierającą zewsząd biedą.

Czasem jedynie burmistrz, jeśli okazał się wystarczająco silny i bezwzględny, posiadał dom określany mianem *grande*.

Zawrócił konia i ruszył tą samą drogą, którą przybył. Przyglądał się uważnie fasadom domów, póki nie dostrzegł wyblakłego od słońca szyldu z napisem *Casa Grande*. Po drugiej stronie ulicy był szynk oraz stajnie.

Ty złapał stajennego za koszulę, przyciągnął do siebie na tyle blisko, że mógł wyczuć jego ostatni posiłek, i syknął:

- Jeśli ktoś dotknie mojego konia, tylko tknie palcem, posiekam cię na kawałki. Rozumiesz, co powiedziałem, *serior*? - Oczy stajennego zrobiły się okrągłe z przerażenia. - Nie śpieszy mi się. Znajdę cię i zabiję - dodał Ty. Potem kiwnął głową wskazując boks z koniem. - To zwierzę ma tu być jutro rano, *comprende*?

- *Si, serior!*

- *Excelente.*

Po kilkunastu dniach spędzonych w ostrym słońcu pustyni szczypały go oczy, a twarz pod dwutygodniowym zarostem paliła. Czuł się obrzydliwie, śmierdział

jak stary kozioł i z pewnością wyglądał dostatecznie groźnie, by przekonać tubylca o prawdziwości swoich słów. Przerzucił juki przez ramię, przeszedł na drugą stronę ulicy i skierował kroki w stronę hotelu.

Nie zaskoczyło go, że w recepcji czeka na niego portier z kluczem wyłożonym na kontuarze. Kiedy w meksykańskim miasteczku pojawia się *gringo*, wiadomość obiega domy lotem błyskawicy i najdalej w kilka minut wszyscy planują, jak na tym fakcie zarobić.

Jedyną meksykańską rzeczą, którą Ty lubił, było jedzenie, cała reszta mierziała go i irytowała. Nawet tutejszy język uwłaczał jego uszom; hiszpański wydawał

mu się zbyt delikatny i kobiecy.

- Pokój, kąpiel i coś do opatrzenia mojego kciuka - oznajmił Ty i rzucił na ladę kilka monet. - Wziął klucz do pokoju, poprawił torby na ramieniu i ruszył do schodów, które sprawiały wrażenie, że lada chwila runą, przygniecione ciężarem jego ciała. Nagle zatrzymał się w pół kroku i rzucił przez ramię do portiera: - Gdzie jest najbliższa stacja kolejowa?

- W Chapula, *serior*. - Mężczyzna pokazał palcem za siebie.

- Dwa, trzy dni jazdy stąd.

To możliwe. Ty przypomniał sobie, że widział już tę nazwę gdzieś na mapie.

Wszedł po schodach, kopnięciem otworzył drzwi pokoju i przyjemnie zaskoczony rozejrzał się po wnętrzu. Chociaż mebli było tu niewiele, to ich stan był nie najgorszy. Na łóżku leżała czysta kapa i Ty nawet mógł się przejrzeć w wiszącym na ścianie lustrze. Okno wychodziło na poddasze, co uznał

za rozwiązanie bardzo wygodne, gdyby przyszło mu w pośpiechu opuszczać to miejsce.

Dwadzieścia minut później pływał się wygodnie w wannie, trzymając w zębach nędzne cygaro i posilając się plackami tortilla z kurczakiem i pastą z fasoli. Szczęśliwie udało mu się wydłubać z kciuka kolec kaktusa, zaraz też posmarował chore miejsce maścią z aloesu, którą portier przyniósł mu do pokoju.

Nadal miał ochotę skopać komuś tyłek, ale chęć ta nie była już tak obezwładniająca jak w chwili, gdy wjeżdżał do miasteczka. Dlatego stwierdził, że jest w stanie bez wszczynania awantury udać się do baru, spokojnie wypić piwo i zapytać o najbliższą stację kolejową.

Nauczony przykrym doświadczeniem, nigdzie się nie ruszał, zanim przynajmniej trzy osoby z rzędu nie wskazały mu tego samego kierunku.

Przesunął cygaro w kącik ust, wyjął mapę i rozwinął ją ostrożnie nad wanną.

- Jest!

Znalazł Chapulę już przy pierwszej próbie. Obok nazwy miasta widniał

znaczek przedstawiający stację. Naturalnie nie oznaczało to jeszcze, że kolej tam dochodzi, tego również zdążył się nauczyć. Kiedy Meksykanów ogarniała wściekłość, przede wszystkim niszczyli najbliższą linię kolejową. Nieważne, kto ich rozwścieczył - rząd, lokalny przywódca czy pies - zawsze wyładowywali złość w jednakowy sposób: wysadzając w powietrze szyny.

Ty nie miał stuprocentowej pewności, ale wydawało mu się, że linia przebiegająca przez Chapulę podąża na południowy zachód, w stronę Verde Flores. Natychmiast podniosło go to na duchu. Gdy tam dotrze, znajdzie się zaledwie o dzień jazdy od bezimiennej wioski, do której od dawna zmierza.

Zakończy wówczas pierwszy etap swej ślamazarnej wędrówki.

Upuścił mapę na podłogę, oparł głowę o brzeg wanny i zaciągnął się cygarem, obserwując leniwie pęknięcia na suficie.

Przez sześć lat mogło się wiele wydarzyć. Kto wie, czy jego wysiłki nie pójdą na marne, a cała wyprawa nie okaże się stratą czasu.

Margarita może nie żyć, dziecko również. Równie dobrze kobieta mogła ponownie wyjść za mąż albo wstąpić do zakonu. Mogła w końcu wyjechać w nieznaną, bądź też od samego początku kłamać. Może dziecka po prostu nie ma, a jego podróż jest czystym szaleństwem.

Żadnego gdybania, pomyślał i zaklął w duchu. Oczywiście, że to szaleństwo, a on jest głupcem, że się na to zgodził.

Jeszcze tego samego wieczoru uzyskał potwierdzenie informacji, że Chapula znajduje się o trzy dni jazdy na południowy zachód. Ta wiadomość oraz bójka, w której wzięła udział połowa mieszkańców miasteczka, znacznie poprawiły mu humor. Gdy rano wszedł do stajni i odkrył, że nie skradziono mu

konia, poczuł się niemal jak w niebie.

Wyjeżdżał z Mexli z podbitym okiem i rozciętą wargą, mimo to podgwizdywał pod nosem z zadowolenia.

Nienawidzę cię! - Graciela tupąła małymi nóżkami, odzianymi w śmieszne buty z frędzelkami. - Nienawidzę, nienawidzę, nienawidzę!

Jenny skrzywiła się, po czym zdjęła mnisi habit i podała go kobiecie stojącej obok konia. Wierzchowiec wyglądał imponująco - Jenny nie przypominała sobie, by kiedykolwiek dosiadała podobnego.

- Zamknij się, dziecko - warknęła ze złością.

- Chcę do mamy!

- Uważaj, żebym już na początku nie sprąła cię na kwaśne jabłko. Masz się uciszyć, słyszysz? - Zbliżyła twarz do Gracieli, żeby ta zobaczyła, że nie żartuje. - Musimy wyjechać stąd po cichu. Wiem, że mama powiedziała ci, żebyś mnie słuchała, a ja ci każę zamknąć buzię. Na miły Bóg, jeśli będzie trzeba, wsadzę ci w usta szmatę, naprawdę to zrobię.

- Nie cierpię cię! - Mała tym razem nie wrzeszczała.

lenny sięgnęła po ubranie przywiezione przez kobietę trzymającą konia.

- Ależ to jest spódnica! - zdumiała się, gdy rozłożyła pierwszą część garderoby. Kobieta nic nie mówiła, tylko podała jej kilka halek. - Do diabła z tym!

Musi uciec stąd jak najszybciej, lecz jak ma to zrobić, trzymając przed sobą dziecko i jadąc w spódnicy? Zmeła w ustach przekleństwo. Całe szczęście, że Marguarita miała przynajmniej jakie takie pojęcie o jej rozmiarach; spódnica i bluzka leżały całkiem nieźle. Śmieszył ją kapelusz, który, jak przypuszczała, nie więcej ochroni ją od słońca, co wsadzona na głowę filizanka. Znalazła też buty - te na szczęście najbardziej ze wszystkiego nadawały się <lo użytku.

Odłożyła na bok niepotrzebne dodatki w postaci koronkowych rękawiczek i długiej peleryny. Po dwóch godzinach jazdy z rękawiczek nic nie zostanie, a pod peleryną ugotuje się już po kwadransie. Kiedy chowała obie rzeczy do juków, wyczuła pod palcami schowane tam dokumenty i sakiewkę z monetami.

W porządku, Marguarita nie zapomniała o pieniądzach.

- Chodź, dziecino, zmykamy stąd. - Wyciągnęła ręce do Gracieli, chcąc posadzić ją na siodło, lecz dziewczynka odskoczyła do tyłu.

- Nie jadę z tobą! Chcę do mamy! -Spojrzała wyczekująco na kobietę stojącą w cieniu, aż wreszcie podbiegła do niej i zaszłochała, przyciskając twarz do jej obszernej spódnicy. - Nienawidzę jej! Chcę zostać z tobą!

Takiej właśnie sytuacji obawiała się lenny. Zmarszczyła czoło i przestępując z nogi na nogę, rozważała w myślach różne możliwości. Mogła jednym ciosem pozbawić małą przytomności, wsadzić na konia i odjechać, mogła też ją związać, zakneblować choćby rękawiczkami i zniknąć w ciemnościach. *lest* w stanie zrobić tyle rzeczy, nie wolno jej tylko jednego - wyjechać stąd bez dziecka.

Ciemne oczy kobiety świdrowały lenny. Chociaż Marguarita oznajmiła jej i dziewczynce, że decyzja o śmierci jest wyłącznie jej własnym wyborem, lenny wiedziała, że i tak jest obwiniana

owszystko.

Wyduła wargi i spojrzała na jaśniejące w oddali niebo; za kilka minut słońce wzejdzie nad horyzontem. lenny pragnęła znaleźć się stąd wystarczająco daleko, by Graciela nie usłyszała dochodzącej ze strony więzienia salwy karabinowej, sama również nie miała ochoty tego słyszeć.

- Trzeba ruszać, zanim słońce na dobre wzejdzie. - Podeszła do kobiety i spojrzała w jej oskarżycielskie oczy. - Rozumiesz, o co mi chodzi? - Kiwnęła głową na Gracielę.

Kobieta nachyliła się i splunęła pod nogi lenny. Spiorunowała ją wzrokiem, po czym wzięła na ręce trzęsącą się dziewczynkę i zaczęła ją uspokajać cichym, kojącym szeptem.

- Pamiętasz, co powiedziała mama? Wytrzymaj łyzy, maleńka. Ta *Americana* zawiezie cię do domu, do tatusia.

- Ona zabiła moją mamę! ...- wymamrotało dziecko niewyraźnie, nie na tyle jednak, by nie dało się zrozumieć jej słów. lenny zacisnęła zęby. Miała ochotę dać małej porządnego klapsa za marnowanie czasu.

- Nie, mój kwiatuszku. - Kobieta pogładziła jej lśniące kasztanowe włosy, a w stronę lenny posłała kolejne mordercze spojrzenie. Po chwili udało jej się uśmiechnąć do dziecka. - Pamiętasz? Mamusia cierpiała i umierała powoli.

Teraz dołączy w niebie do aniołków, szybko i bez bólu. Będzie o wiele bardziej szczęśliwa niż na ziemi.

- To nastąpi już niebawem - przypomniała z naciskiem lenny i jednoznacznie pokazała głową jaśniejące na wschodzie niebo. - Gracielo, wsiadaj na konia, ruszamy, ale już!

- *Americana* zajmie się tobą - tłumaczyła kobieta dziewczynce i delikatnie pociągnęła ją w stronę konia. *lej* rozogniony wzrok ostrzegał, że jeśli Gracieli spadnie choć jeden włos z głowy, to będzie tak długo szukać lenny, aż ją dopadnie i wyrwie serce z piersi.

Jenny popatrzyła na dziewczynkę. Do tej pory nie zastanawiała się, jak duże powinno być sześciolatnie dziecko. Piórko z kapelusza Gracieli sięgało jej do piersi i *lenny* widziała w niej dużą lalkę przyodzianą w miniaturowe dorosłe ubranie. Lecz poza modnym strojem trudno było dostrzec większe podobieństwo do Marguarity.

Dziewczynka miała kasztanowe włosy, a nie czarne; również jej skóra wydawała się znacznie jaśniejsza. Najdziwniejsze, że Graciela nie odziedziczyła po matce wielkich, brązowych oczu - jej były błękitne jak morze i w tej chwili zionęły nienawiścią. Może tylko nos i kości policzkowe przypominały Marguaritę, całą zaś resztę z pewnością odziedziczyła po przodkach ze strony ojca, wspaniałego Roberto. Jenny podejrzewała, że jedynie upór i zawziętość były wyłącznymi cechami Gracieli.

Czuła, że musi w jakiś inny sposób zachęcić dziewczynkę, by wsiadła na konia. Po namyśle pochyliła się w jej stronę.

- W porządku, nienawidzisz mnie. Ja też cię nie lubię, ale od dzisiaj jesteśmy na siebie skazane. To niesprawiedliwe, ale ... - Jak to określiła ta kobieta? -

Twoja mamusia już wkrótce połączy się w niebie z aniołkami. Na tym świecie został ci tylko tatuś, a ja obiecałam twojej mamie, że zawiozę cię prosto do niego. Przecież dałaś słowo, że pojedziesz, tak mi powiedziała *senora* Marguarita. Czy to prawda?

- Ale ja nie chcę zostawiać Marii ani ciotki Tete, ani moich kuzynów. -

Graciela przetarła oczy małymi rączkami.

- Niestety, musisz to zrobić. U taty będziesz bezpieczna i szczęśliwa. - Jenny nie miała najmniejszego pojęcia, czy to, co mówi, jest prawdą, i nienawidziła się za to. - Najważniejsze, że tego właśnie chciała twoja mama. Ty i ja ... Obie dałyśmy słowo, że tam pojedziesz.

Przez moment mierzyły się wzrokiem, po czym Graciela odwróciła się do kobiety o imieniu Maria i z płaczem rzuciła się w jej ramiona. Żegnałyby się tak jeszcze z tydzień, gdyby *lenny* nie chwyciła małej i nie posadziła jej na konia.

Idiotyczna spódnica i halki sprawiły, że się potknęła i udało jej się wsiąść dopiero za drugim razem.

Kobieta znacząco dotknęła jej nogi, lecz nic nie powiedziała.

- Rozumiem - mruknęła Jenny. - Zrobię wszystko, co w mojej mocy.

Kazała dziewczynce się trzymać i dźgnęła obcasami w boki wierzchowca.

Odjechały galopem, zostawiając za sobą stojącą bez ruchu kobietę i widoczny w oddali, ogrodzony murem teren więzienia.

Pięć minut później Jenny usłyszała huk wystrzałów. - To burza -

wyjaśniła Gracieli i przymknęła oczy.

W porządku, Marguarito, jesteś już wśród aniołów. Nie zaznasz więcej bólu, a krew nie splami już twojej chustki. Jeśli ma popłynąć teraz czyjaś krew, to bez wątplenia moja. Więc gdybyś znała kogoś tam na górze, postaraj się nam trochę pomóc. Pamiętaj

otym i uczyń, co tylko potrafisz.

Jechały nieprzerwanie aż do południa, omijając z daleka główne szlaki.

Wreszcie Jenny zatrzymała się, bo dziewczynka grzała ją niczym mały piecyk.

Obie były spocone i kiedy Jenny napotkała małe źródelko i odrobinę cienia, uznała, że czas na postój. Miała nadzieję, że Maria pamiętała o spakowaniu jedzenia.

Bez słowa postawiła Gracielę na ziemi, podeszła do wody, uklękła i obmyła sobie twarz. Gdy poczuła, jak chłodna woda spływa jej po karku i wsiąka w zapięty pod szyją kołnierzyk, wydała z siebie westchnienie ulgi.

- Okropnie śmierdzisz - stwierdziła Graciela, która przykucnęła tuż obok i nabrała wody w dłoń. Poczekała, aż zimne strugi wody przeciekną jej przez palce, po czym delikatnie poklepała się po twarzy.

- Też byś tak pachniała, gdybyś spędziła sześć tygodni zamknięta w dusznej celi. - Jenny rozpięła kołnierzyk i spryskała wodą piersi, wzdychając przy tym z przyjemnością.

- Były tam szczury? - Graciela posłała jej ponure spojrzenie.

- Pewnie, i to wielkie jak koty - odparła jej opiekunka i sięgnęła po grzebienie we włosach. - Sądysz, że ktoś, kto pakował nasze juki, pomyślał

o nożyczkach albo nożu?

- Czy to prawda? - nie dawała za wygraną dziewczynka.

- Wielkości kota? - Na te słowa wzdrygnęła się z obrzydzenia.

Jenny popatrzyła na źródelko. Miała nadzieję dotrzeć pojutrze do Verde Flores, gdzie zamierzała wsiąść do pociągu bez zwracania za siebie zbędnej uwagi. Nie będzie to jednak możliwe, jeśli nie przestanie cuchnąć jak kozioł.

Westchnęła głęboko. I choć nie chciała tracić ani minuty i wolałaby już jechać, wiedziała, że musi z tym jeszcze poczekać.

Wstała i zdjęła z konia juki. Potem usiadła w cieniu koło źródelka i otworzyła torby. Były niewielkie, ale wbrew pozorom znalazła tam wiele rzeczy, zmianę bielizny dla nich obu i koszule nocne. Na ten widok zaśmiała się w duchu.

Koszule nocne, dobre sobie! Oprócz przyborów toaletowych odkryła zestaw do szycia, małą patelnię, dość ciężką sakiewkę z pieniędzmi oraz zwój papierów.

Trafiła też na mydło i małą torebkę z lekarstwami.

Powąchała pojemniki z rozmaitymi ziołami i maściami i odetchnęła z ulgą, gdy wyczuła charakterystyczny cierpki zapach sabadyli, od którego aż zakręciło jej się w nosie. Tego właśnie szukała.

Uklękła i spojrzała w zaczerwienione oczy Gracieli. - Będę potrzebowała twojej pomocy.

- Nienawidzę cię - syknęła dziewczynka.

- Mimo to musisz mi pomóc.

Obserwując małą w pełnym świetle, stwierdziła, że choć bardzo różni się od Marguarity, jest równie piękna. Szczególnie ładne miała oczy, przysłonięte gęstymi rzęsami i zmieniające kolor z głębokiego błękitu w zielen. Teraz obrzucały lenny spojrzeniem twardym jak skała. Mała, zepsuta do szpiku kości arystokratka spoglądała na nią wzrokiem pełnym wyniosłej pogardy.

- Wiesz, jak tego używać? - lenny wyjęła z bagażu niewielkie nożyczki.

- Naturalnie, że wiem, masz mnie za głupią?

- Niby kto miał mi powiedzieć, co potrafi sześciolatnie dziecko?

- warknęła lenny. Wręczyła jej nożyczki i rozpuściła swoje skołtunione rude włosy. - Obetnij je.

Graciela wzdrygnęła się i gapiła na nią bez słowa.

- Wszy - wyjaśniła krótko lenny. Wzruszyła ramionami, obser wując wyraz przerażenia, malujący się na twarzy dziecka. - Pamiętaj, że mam niebawem pojawić się w miejscu publicznym, a ty będziesz mi towarzyszyć. Przytnij włosy krótko, ale nie za blisko skóry. Zostaw tyle, bym nie wyglądała dziwacznie w kapeluszu.

- Wszy! Co za ohyda! Nie będę ich dotykać!

- Albo pozbędziemy się ich teraz, albo za dzień czy dwa będziesz je mieć i ty.

- Och, nie, tylko nie to! - Graciela złapała w obie ręce swoje kasztanowe loki wystające spod kapelusza.

lenny ponagliła ją, jednocześnie zastanawiając się nad sensem powierzania ostrego narzędzia rozwydrzonemu dziecku, które nie kryło, że jej nie cierpi.

Graciela zbliżyła się z taką miną, jakby lenny była co najmniej trędowata, i zmusiła się do podniesienia w koniuszkach palców brudnego pasma włosów.

- Fúj!

- Tam do licha, tnij już! - krzyknęła lenny z irytacją. Wśród przyborów znalazła lusterko, ale było zbyt małe, by mogła się w nim porządnie przejrzeć - w przeciwnym razie poradziłaby sobie sama. Po

upływie minuty zaczęły spadać wokół niej rude pasemka. lenny starała się na nie nie patrzeć, włosy były bowiem jak dotąd jej jedyną ozdobą i dumą. Rzeczywiście, miała się czym chwalić - jej włosy były gęste i piękne, a przynajmniej mogły takie być, gdyby o nie odpowiednio dbała. Teraz patrzyła więc prosto przed siebie, podczas gdy Graciela cięła zawzięcie, krążąc wokół niej i przestępując nad rosnącymi kupkami obciętych pukli.

- Zrobione - oznajmiła wreszcie dziewczynka i oddała nożyczki z głupim uśmiechem na twarzy.

Z zaciśniętymi ustami lenny podniosła lusterko i przyjrzała się skończonemu dziełu. Wyglądała znacznie gorzej, niż mogła przypuszczać. Graciela oskubała ją doszczętnie, zostawiając w niektórych miejscach wystające dłuższe pasma.

Tu i ówdzie żałośnie sterczały do góry postrzępione kosmyki, przez co jej głowa przypominała raczej starą miotłę. Większość kobiet rozpłakałaby się na ten widok, ale lenny tylko westchnęła głęboko i przez dłuższą, chwilę wpatrywała się przed siebie w milczeniu. Trudno, musi tak być.

Wstała, zdjęła spódnicę i bluzkę i rzuciła je w stronę drzewa. Nie miała pończoch, toteż buty przykleiły się jej do stóp i dopiero z pewnym wysiłkiem udało się je ściągnąć.

Tymczasem Graciela rozłożyła w cieniu obrus, z wyszukaną gracją usiadła na trawie i wyjęła z torby tortillę nadziewaną pieczonym mięsem. Przedtem, ma się rozumieć, położyła na kolanach serwetkę. Uważnie obserwowała rozbierającą się Jenny.

- Powinnaś mi podziękować.

Jenny rzuciła jej gniewne spojrzenie, ale milczała. Prędzej szlag ją trafi, nim podziękuję tej małej, śmiejącej się jej w nos smarkuli, tym bardziej że najwyraźniej celowo zrujnowała jej fryzurę. Jenny nie miała cienia wątpliwości, że zabawa we fryzjera sprawiła Gracieli wielką radość.

Między kęsami tortilli dziewczynka patrzyła, jak jej opiekunka namydla się nad strumieniem.

- Nie widziałam jeszcze dorosłego bez ubrania - powiedziała.

- No więc teraz masz okazję - warknęła Jenny. Nie przypominała sobie, by ktoś postawił ją ostatnio w równie niezręcznej sytuacji. Jeśli nawet widziano ją nagą od czasów dzieciństwa, nic jej o tym nie było wiadomo.

Starała się udawać, że wszystko w porządku i nie przeszkadza jej uporczywy wzrok Gracieli, ale podejrzewała, że i tak ma twarz czerwoną jak piwonia.

- Czy wszystkie dorosłe kobiety mają włosy między nogami, czy tylko ty?

O Boże. Twarz Jenny spłonęła ogniem. Odwróciła się plecami do dziewczynki, ale i tak czuła się okropnie.

- Tak, wszystkie dorosłe kobiety mają tam włosy - odparła dławiącym się głosem.

- Dlaczego?

- Skąd mam wiedzieć? Tak to już jest, gdy kończysz dziesięć lat, a może dwanaście, nie pamiętam. Twoja mama nie mówiła ci o ... takich sprawach?

- Mojej mamie nie rośnie między nogami kupa wstrętnych kłaków - stwierdziła mała z wyższością i spojrzęła wyzywająco na Jenny.

- A właśnie że tak - odparła Jenny cicho. - Wszystkie dorosłe kobiety mają owłosione łono i pachy.

- Ale nie moja mama! - Na twarzy Gracieli pojawił się wyraz oburzenia.

Zaczerwieniła się, opuściła jedzenie na kolana, a jej oczy wypełniły się łzami. -

Mama już nie żyje, prawda? - Z jej piersi wydobył się gwałtowny szloch.

Jenny przestała się drapać po głowie. Sądziła, że w okolicy nie ma żywej duszy, ale teren był pofalowany i nie miała całkowitej pewności.

- Słuchaj dziecko, nie tak głośno! Przestań!

Zapomniała już, jak żałośnie może wyglądać płacząca mała dziewczynka. Z

błękitnych oczu lały się ciurkiem łzy, spuszczone nisko głowa kiwała się smętnie, a drobnym ciałem wstrząsały spazmy. Jenny patrzyła na ten obraz nieszczęścia i udręki i nagle poczuła się bezsilna.

Cały czas trzymała dziecko w polu widzenia i szybko spłukała mydliny z głowy i ciała. Następnie wrzuciła zgniecione zioła sabadyli do flakonika z octem, wdzięczna, że Marguarita okazała się dość zapobiegliwa. Po chwili wmasowała płyn w głowę, mając nadzieję, że nie ma na skórze żadnych skaleczeń.

Gdyby tak było, ocet wypaliłby jej skórę do żywego mięsa.

- Przykro mi, ale twoja mama jest już aniołem. - Wyszła z wody i wytarła się halką, a potem oddarła z niej część falban i obwiązała nimi głowę. Mieszanka ziół podgrzeje się w ten sposób i zabije resztę gnid. Zanim wsiądą do pociągu w Yerde Flores, będzie mogła rozczesać włosy.

Włożyła bluzkę obszytą piękną koronką; stwierdziła w duchu, że nigdy takiej nie miała.

- Posłuchaj mała, wiem, że czujesz się paskudnie, ale teraz musisz być silna.

Graciela siedziała skulona, przypominając balonik, z którego nagle uleciało powietrze. Ręce zwisały jej bezwładnie po bokach, a na leżącą na kolanach serwetkę kapały łzy i leciało z nosa. Gdyby Jenny spotkała tak bardzo cierpiącego psa, to, kierując się zwykłą litością, natychmiast by go zastrzeliła.

- Gracielo, zrozum, ludzie wciąż umierają. Musisz się do tego przyzwycząić. -

W tej sytuacji słowa niewiele mogły zdziałać. Jenny nie dałaby wiary, że tak mała istota może uronić aż tyle łez. - Twoja opiekunka, Maria, miała rację.

Mama była bardzo chora. Musiałaś widzieć, jak kaszłała i pluća krwią. Teraz już czuje się dobrze i nic ją nie boli.

- Chcę do mamy!

- Wiem o tym. - Jenny włożyła spódnicę i wsunęła w środek poły koszuli. - Ale nie możesz. Przyjmij do wiadomości to, co ci powiedziałam, i przestań rozpaczać. Płacz niczego nie rozwiąże.

- Jesteś brzydka, niedobra i nienawidzę cię!

- A ty mała i zarozumiała, i też cię nie lubię. - Jenny wzięła.

placek w rękę i zaczęła go gryźć. Był smaczny. Jadła i z niepokojem obserwowała Gracielę. Co zrobiłaby na jej miejscu Marguarita? Co powiedziała by? - Najwyższy czas, żebyś się zamknęła.

Nie, Marguarita na pewno by się tak nie odezwała. Jakby na potwierdzenie tego dziecko załkało jeszcze głośniej.

- Posłuchaj. Płaczem nie sprowadzisz mamy z powrotem. Gdy płaczesz, sama czujesz się gorzej, a ja mam ochotę cię zlać. Przestań więc, i to już. Ja nie mazgałam się tak bardzo, gdy dowiedziałam się o śmierci mojej matki. -

Skończyła jeść, napełniła wodą manierki i przywiązała je do konia. - Pora jechać. Jeśli nie będziemy zatrzymywać się zbyt często, może do zmierzchu zdołamy pokonać z dziesięć mil.

Graciela nie poruszyła się.

- Dziecko, uwierz mi, z wielką chęcią odjechałabym stąd bez ciebie. Niestety, nie mogę. - Jenny spróbowała uzbroić się w cierpliwość. - Jesteś za mała, zbyt niedoświadczona i głupia, by dać sobie sama radę. Jeśli nie chcesz mieć do czynienia z okolicznymi bandytami albo wilkami, radziłabym ci ruszyć tyłek i natychmiast tu podejść.

Graciela odczekała wystarczająco długo, by dać jej do zrozumienia, że działa pod przymusem. Potem szła powoli noga za nogą ze spuszczoną głową, leciało jej z nosa, a z oczu wciąż płynęły łzy. Gdy Jenny ją podniosła, zrobiła się nagle ciężka i bezwładna.

Jenny zacisnęła usta, usiadła za dziewczynką i dźgnęła obcasami konia.

Graciela oparła się o nią jak worek kartofli.

- Proponuję następujący układ - powiedziała Jenny przez zacisnięte zęby. -

Ty nie odzywasz się do mnie, a ja do ciebie. Potrzebujemy trochę wytchnienia, więc na razie się zamknij i przygotuj się na długą podróż w siodle.

Zapadły już ciemności, gdy zatrzymały się na nocleg. Jenny bolał kręgosłup, poza tym musiała sobie uszkodzić naskórek na głowie, bo strasznie ją piekło i czuła się tak, jak gdyby wbijano w jej czaszkę rozpalone gwoździe.

- Możesz napoić konia i uwiązać go na noc?

Graciela spojrzała na swą opiekunkę, jakby ta postradała rozum.

Jenny westchnęła.

- W porządku. W takim razie rozpal ogień i zaparz kawę. Dziewczynka uniosła lekko brew, co rozsierdziło Jenny nie na żarty. Cholerna smarkula miała tylko sześć lat, a już bezbłędnie nauczyła się to robić. Chociaż sama skończyła dwadzieścia cztery, za nic nie była w stanie podnieść jednej brwi bez zadzierania drugiej.

- Nie potrafisz zrobić nic pożytecznego?

- Umiem szyć, czytać i rysować.

Jenny zacisnęła zęby, przywiązała konia i rozpałała ognisko.

- Uważaj, mała. Następnym razem ty to zrobisz. - Potem nastawiła kawę, podgrzała fasolę i placki, a na koniec rozwinęła koce, które były przywiązane do siodła. Obserwując ziewającą Gracielę zastanawiała się, czy kuzyni wpadli już na ich trop. A może Marguarita przeceniła zagrożenie z ich strony? Może upijają się właśnie w wiosce, zadowoleni, że pozbyli się niewygodnego dziecka i związanej z tym odpowiedzialności.

- Możesz mnie teraz rozebrać. - Graciela wstała i dyskretnie zasłoniła dłonią usta, bo właśnie ziewała. - Chcę iść spać.

- Czy ja wyglądam na jakąś cholerną służącą? - odparła Jenny zdumiona. -

Rozebrać cię? Kiedy miałam sześć lat, bez zmrużenia oka wykonywałam pracę dorosłego. Myślę więc, że ty możesz przynajmniej się sama ubierać.

Dziewczynka popatrzyła na nią przez ognisko. W jej oczach pojawiły się łzy; po chwili zaczęły spływać po policzkach.

- Mama zawsze rozbierała mnie i usypiała.

- Masz sześć lat, jesteś już prawie dorosła. Sama zdejmij ubranie i włóż koszulę nocną.

- Nienawidzę cię, nienawidzę! Wyglądasz brzydko i głupio z tą szmatą na głowie!

- Tam leży twój koc. - lenny uśmiechnęła się. - Możesz włożyć koszulę nocną albo spać w swoim frymuśnym stroju. Dla mnie to bez znaczenia. Nie zamierzam cię ani rozbierać, ani odziewać jutro rano. Musisz sama poradzić sobie z guzikami.

- Wiem, jak to zrobić! Nie cierpię cię, nie cierpię! - Graciela zaczęła biegać z furią wokół ogniska, kpiąc kamienie i krzycząc, a jej twarz stawała się coraz bardziej czerwona.

lenny oglądała to widowisko z ciekawością. Przynajmniej mała nie sili się na udawanie przez cały czas przemądrzałej damy. Wykrzyczała się wreszcie i zaczęła powoli zdejmować ubranie. Dla pewności przymocowała kapelusik do ziemi za pomocą długiej szpilki do włosów. lenny musiała przyznać, że był to doprawdy imponujący pokaz pomysłowości. Dziewczynka złożyła w kostkę pelerynkę, spódniczkę i bluzkę, po czym ułożyła je w zgrabny stosik. Na całość położyła spory kamień. lenny pokiwała z uznaniem głową i naraz oczy rozszerzyły się jej ze zdumienia.

- Dobry Boże, ty masz na sobie gorset!

- Prawdziwa dama zawsze nosi gorset. - Graciela posłała jej mrożące spojrzenie.

- Musiałaś się czuć okropnie przez cały dzień. Dlaczego nic nie powiedziałaś?

- lenny patrzyła, jak dziewczynka nachyla się i stara dosięgnąć rękami pleców.

Westchnęła. - Chodź tutaj. Nie zdołasz sama zdjąć tego cholernego pancerza. -

Marszcząc czoło lenny poluzowała wstążki, pomogła zdjąć maleńki gorset i przyjrzawszy mu się, jednym ruchem wrzuciła go do ogniska.

Graciela wrzasnęła wniebogłosy i zakryła twarz dłońmi. Z przerażeniem patrzyła przez palce, jak materiał zaczyna się tlić i płonąć. - Nie miałaś prawa tego zrobić!

- Nie widziałam jeszcze osoby płaczącej tak często jak ty

- stwierdziła lenny z obrzydzeniem. - Gdzie twój charakter?

- Ciotka Tete dała mi ten gorset na urodziny! To mój ulubiony!

- Pamiętaj, dopóki ja tu rządzę, żadna sześciolatka nie będzie się ścisnąć gorsetem. Rozumiesz? Sama nie noszę i tobie też nie pozwolę.

Gorsety są niezdrowe dla twoich płuc i żeber. Nie można w nich pracować ani swobodnie oddychać. - Popatrzyła na rozgorączkowaną twarz dziewczynki. -

Wiem, że mnie nienawidzisz.

- Mam nadzieję, że umrzesz! Niech cię zjedzą wilki! Żebyś dostała pęcherzy jak Pepe Sanchez! - Graciela kopnęła stertę kamieni, tak że poleciały w ciemność.

lenny nalala sobie ostatni kubek kawy i uśmiechnęła się. Przy obdzieraniu mułów ze skóry nauczyła się przeklinać i potrafiła dorównać w tym innym.

Można by rzec, że stała się koneserem w przeklinaniu. Słowo "koneser" dopiero od niedawna

pojawiło się w jej słowniczku, ale zdążyła je już polubić i starała się używać go jak najczęściej. Wątpiła jednak, by słyszała o nim Graciela. Nie powiedziała więc na głos, że widzi w niej zadatki na konesera w dziedzinie przekleństw. I choć dziewczynka nie bluźniła w sposób dosłowny, sama się prosiła o karę niebios. W każdym razie wychodziło jej to całkiem nieźle.

- Skończyłaś? - zapytała lenny, popijając kawę.

Dziewczynka obrzuciła ją nienawistnym spojrzeniem, włożyła przez głowę koszulę nocną, po czym stanęła na końcu koca, kołyszając się ze zmęczenia.

- Teraz zmówię pacierz - powiedziała cicho.

- No to mów.

- Powinnaś uklęknąć ze mną i choć wysłuchać modlitwy.

lenny zastanowiła się. Klęczeć i słuchać pacierza to perspektywa niezbyt zachęcająca, ale z drugiej strony nie widziała w tym nic złego. Wstała niechętnie i podeszła do dziewczynki, a potem uklękła obok. Graciela zaś popatrzyła z grymasem na jej obwiniętą głowę, złączyła dłonie i trzymając je blisko pierSI przyknęła oczy.

- Ojcze święty, opiekuj się moją mamusią, ciocią Tete i Marią, kuzynem Luisem, kuzynem Chulo i kuzynem ...

- Bóg wie,. jakich masz kuzynów, więc pomiń tę kwestię i powiedz "amen".

- Dziękuję za błogosławieństwo, jakim mis obdarzyłeś. Opiekuj się nami i ochraniaj nas. Proszę, uważaj na konia i błagam cię, ukarż ... - Dziewczynka otworzyła jedno oko i spojrzała na lenny. - Jak mam się do ciebie zwracać?

Nie pomyślała o tym. Patrzyły na siebie jakiś czas bez słowa. - Na razie mów do mnie lenny.

- Proszę, ukarż lenny. Mógłbyś ją zabić piorunem. Amen.

- Nie jestem ekspertem w tych sprawach. - lenny zamrugła.

- Ale ... czy można modlić się o to, żeby kogoś poraził piorun?

Graciela milcząc wśliznęła się pod koc.

- Staram ci się pomóc i zawieźć bezpiecznie do ojca. A ty prosisz Boga, by mnie uśmiercił? Jesteś samolubną i niewdzięczną smarkulą.

Na te słowa znowu popłynęły łzy i lenny z niesmakiem przewróciła oczami.

- Mamusia zawsze całowała mnie na dobranoc ...

- Niech mnie wszyscy diabli! Najpierw prosisz Boga, by mnie ukarał nagłą śmiercią, a teraz sugerujesz, że powinnam pocałować cię przed spaniem? - lenny coraz bardziej nienawidziła dzieci, zwyczajnie ich nie znosiła.

Są dziwne, nieobliczalne, płaczliwe i sprawiają niewiarygodnie dużo kłopotów.

- Mama dawała Itli na dobranoc całusa.

- Jeśli ma cię to zamknąć i uśpić ... - lenny zaklęła w duchu.

Podsunęła się bliżej koca i złożyła na gładkim policzku Gracieli szybki, ostrożny pocałunek. - Co to za spinka? - spytała po chwili. - Dlaczego nosisz ją na koszuli nocnej? - Zauważyła ten klejnot już wcześniej; wyglądał jak serduszko z prawdziwego złota zawieszony na złotej sztabce. lenny nigdy nie miała złotej biżuterii.

- To medalionik - wyjaśniła Graciela i przyłożyła do niego dłoń. - W środku są podobizny moich rodziców. Mamusia mi go podarowała.

- Nie musisz się obawiać, nie chcę ci go zabrać.

Zirytowana usiadła przy ognisku i wtarła we włosy kolejną porcję octu sabadylowego. Palił skórę głowy jak wszyscy diabli i twarz lenny wykrzywił

grymas bólu. Trudno, niech boli. Gdy otworzyła oczy, napotkała badawczy wzrok Gracieli.

- Idź już spać - warknęła. - I przestan się na mnie gapić.

- Odwróciła się i związała mocniej szmatę na głowie, po czym położyła się na swoim kocu. Temperatura powietrza znacznie spadła i dobrze było owinąć się ciepłym pledem. Graciela zapewne gorzko pożałuje, że poszła spać tylko w cienkiej koszuli.

Mimo zmęczenia lenny nie zasnęła od razu. Leżała z rękoma pod głową, patrzyła na gwiazdy i rozmyślała o wydarzeniach minionego dnia, długiego i pełnego wrażeń dnia, który się jej wcale nie należał - powinna już od dawna leżeć w grobie.

- No cóż, Marguarito - szepnęła i spojrzała w niebo. Wybrała jedną gwiazdę i uznała, że to Marguarita. - Pierwszy dzień minął lepiej, niż się tego spodziewałam - mówiła patrząc w jaśniejący punkt. -. Nie uprzedziłaś mnie, że twoja córka jest taką małą złośliwą suką, ale nic nie szkodzi. Rozumiem. -

Powieki same jej opadały i lenny ostatkiem sił zmusiła się do otwarcia oczu. -

Margarito? Wiem, że nie uczyniłaś tego dla mnie, a dla dziecka. Mimo to dziękuję ci za ocalenie życia. Nie martw się, dostarczę twoją córkę całą i zdrową do Kalifornii.

Rano lenny ujrzała Gracielę zwiniętą w kłębek i przytuloną do niej jak mały psiak, ogrzewający się ciepłem jej ciała.

- Pobudka, kruszyno. - Delikatnie szturchnęła ją w ramię.

- Masz pecha, Bóg nie poraził mnie w nocy piorunem. W stawaj więc i zabieraj się do ubierania.

3 ~

Ty wysiadł z pociągu, przeciągnął się i wytarł z czoła drobiny sadzy.

Poprawił kapelusz i naprężył mięśnie ramion i nóg, gotowy do dalszej drogi.

Zabudowania niewielkiej stacji w Verde Flores od dawna nie były malowane i wyglądały tak, jakby się miały rozpaść przy najmniejszym podmuchu wiatru.

Grupki spoconych ludzi czekały na następny pociąg i gdyby nie cień cłfzew okalających peron, podróżni zapewne ugotowaliby się w skwarze palącego słońca.

Ty upewnił się, że jego koń podróżujący w wagonie towarowym dojechał

cało. Zostało jeszcze trochę czasu, zanim robotnicy wyładują zwierzęta, minął

więc budynek stacji i przyjrzał się miasteczku.

Przez sam środek Verde Flores przepływał leniwie mały strumyk.

Dostatek 'wody sprawił, że rosło tu wiele drzew, a w większości okien widać było czerwone i żółte kwiaty. Dzięki temu okolica wydawała się przyjazna i gościnna. Nieopodal kowboj dostrzegł rozgadane kobiety, które robiąc pranie w strumieniu, zawzięcie plotkowały. Ucieszył się, że przyjechał tak wcześnie, jeszcze zanim wszyscy poznikają w swych domach, uciekając przed południową spiekotą. Wiedział, że już o pierwszej meksykańskie miasteczka przypominają wymarłe osady.

Wrócił na peron, lecz wagon ze zwierzętami stał nadal zamknięty.

Będzie musiał jeszcze poczekać. Ponieważ wszystkie okoliczne ławki zajęli pasażerowie czekający na swój bagaż albo na następny pociąg, oparł się o framugę drzwi dworcowych i wyjął z kieszeni cygaro.

- *Pardone, senior.* - Niski głos kobiecy rozległ się tuż za jego plecami.

- *COL?; gusto* - odparł uprzejmie i przepuścił kobietę.

Ku jego wielkiemu zdziwieniu, nie była Meksykanką. Przeszła tuż obok, zostawiając za sobą dziwnie ostry zapach ziół, po czym nagle stanęła, jakby właśnie o czymś sobie przypomniała. Spojrzała przez ramię i wzięła za rękę córkę. Przynajmniej tak Ty przypuszczał, bo obie miały błękitne oczy i chyba razem podróżowały.

Ojciec dziewczynki niewątpliwie był Meksykaninem i Ty przyznał w duchu, że mu to przeszkadza.

Przed wieloma laty anglo-hiszpańskie małżeństwo rozdzieliło jego rodzinę i stało się bezpośrednim powodem uprzedzeń. I nic dziwnego. Wyrastał w domu pełnym wrogości do Meksykanów, obserwował na co dzień nienawiść ojca, Calvina Sandersa, wobec don Antonia Barrancasa, właściciela sąsiedniego ranczo. Tak długo wpajano Ty'owi niechęć i pogardę dla całej rodziny Barrancasów, aż uznał to za rzecz naturalną i nie mógł pojąć, dlaczego Robert nie podziela tych uczuć.

Wrócił myślami do młodej kobiety ze stacji i doszedł do wniosku, że choć nie jest skończoną pięknoscią, to nic jej nie bralmje. Kiedy przyjrzał się jej dokładniej, dostrzegł, że jej włosy są w dość osobliwym stanie. Zapalił zapałkę o obcas buta i zaciągnął się cygarem. Może chorowała i musiała je obciąć, pomyślał. Zwykle niewiasty upinały włosy w kok, lecz u nieznanajomej zauważył

tylko wystające spod kapelusza małe rude pasemka. Dla niepoznaki kapelusz był zresztą zsunięty daleko na tył głowy.

Zazwyczaj nie pociągały go postawne, grubokościste kobiety, które sprawiały wrażenie, że potrafią we wszystkim wyręczyć mężczyzn, a w dodatku robią to lepiej. Ale ta dziewczyna przykuła jego uwagę. Ocenił na oko, że może mieć z metr siedemdziesiąt osiem wzrostu, i spodobało mu się, że nie próbuje się garbić, by wydać się niższą. Nie starała się też wyglądać na istotę delikatniejszą, niż była w rzeczywistości. Zachowywała się tak, jakby wysoki wzrost był

jej zaletą, a nie wadą, choć niektóre kobiety uważałyby to za katastrofę.

Poruszała się z jakąś naturalną swobodą i rozglądała wyzywająco, jakby ostrzegała śmiałków, którzy by chcieli wejść jej w drogę.

Ty uśmiechnął się, a gdy zdał sobie sprawę, że się na nią gapi, odwrócił głowę w stronę zatłoczonych ławek; miał nadzieję, że kobieta z córką nie muszą długo czekać na pociąg. Wypalił jedną trzecią cygara i poszedł znowu w kierunku wagonu towarowego, gdzie kilku spoconych mężczyzn rozładowywało paczki.

- Trzeba było najpierw wyprowadzić konie - skomentował z dezaprobatą.

Jednak nie zwracano na niego najmniejszej uwagi i po kilku minutach jałowej obserwacji zaklął pod nosem i wrócił w cień peronu.

Tymczasem kobieta zaprowadziła córkę pod rozłożyste drzewo, rosnące przy budynku stacji. Ty ponownie oparł się o framugę i z braku innego zajęcia obserwował nieznanajome.

Kłóciły się. Zbyt wielu ludzi kręciło się hałaśliwie po peronie, by mógł

zrozumieć powód ich sprzeczki, ale nietrudno mu było zgadnąć, Dziewczynka wciąż pokazywała na swoje włosy, spływające lśniąca kasztanową kaskadą na plecy, i bezskutecznie starała się je wepchnąć pod kapelusz. Był znacznie okazalszy i modniejszy od kapelusza matki, mimo to bez grzebieni i zapinek zadanie okazało się zbyt trudne i włosy wciąż opadały.

Matka rozłożyła bezradnie ręce i z wypiekami na twarzy patrzyła z rezygnacją na gałęzie pobliskiego

drzewa. Była to zadziwiająca oznaka bezradności kobiety, która na pierwszy rzut oka potrafiła radzić sobie w każdej sytuacji.

Ty pokręcił głową. Włosy matki wyglądały potwornie, ale, odziwo, zdawała się tym nie przejmować. Dziecko z kolei miało śliczne, długie loki, lecz obie usiłowały je schować. W rzeczy samej, niekiedy trudno zrozumieć kobiety ...

W jednej chwili kowboj stracił dla nich całe zainteresowanie.

Zaciągnął się ponownie cygarem i przeniósł wzrok na jeźdźca, który nadjechał właśnie na mokrym z wysiłku koniu i zatrzymał tuż przy stopniach peronu.

Mężczyzna zeskoczył z siodła i rzucił wodze stojącemu nieopodal chłopcu.

Ty obserwowałeś z ciekawością, jak jeździec podchodzi do konduktora i marszczy groźnie czoło. Jego widok nie był dlań niespodzianką. W każdym, nawet najmniejszym miasteczku na świecie znajdzie się zbir podobny do tego.

Można ich natychmiast bezbłędnie wyłowić z tłumu. Zagniewani mężczyźni szukający wymówki, by dać upust rozsadzającej ich złości, z którą przyszli na świat.

Ten akurat był człowiekiem niewielkiego wzrostu, ale przysadzistym i dobrze zbudowanym, z zakurzoną po podróży twarzą. Oczy i wąsy miał równie czarne, co kapelusz na głowie. Biła od niego wściekłość. Na stacji umilkły rozmowy i jedynym odgłosem, jaki się rozlegał, był metaliczny stukot ostróg przybysza o deski peronu.

- Ile pociągów wyjechało dziś z tej stacji? - spytał zbir, wbijając w konduktora czarne jak węgiel oczy.

Ty zerknął na tablicę, którą zobaczyłby i jeździec, gdyby tylko spojrział przez ramię.

- Pierwszy pociąg na północ odjeżdża za godzinę, *senor*. Do Chihuahua. Ten tutaj rusza na południe za pół godziny, jak tylko skończą ... - Konduktor kiwnął

głową na mężczyzn wyprowadzających konie z ostatniego wagonu.

- Kuzyn Luis!

Ty odwrócił się i zobaczył matkę z córką. Oblicze dziewczynki, dotąd pochmurne, rozjaśniło się jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. Dziecko chciało podbiec, ale matka złapała je za rękę i mocno przyciągnęła do siebie.

Kobieta zmrużyła oczy i przyglądając się jeźdźcowi, poruszała szybko ustami.

Wyglądało to na bezgłośną modlitwę, ale po wyrazie jej twarzy Ty domyślił się czegoś innego. Rzucił niedopałek cygara na peron i wyprostował się leniwie.

Przez moment poruszał palcami, po czym zacisnął dłonie w pięści.

Kuzyn Luis odwrócił się i dzwoniąc ostrogami, ruszył ostro w stronę schodków.

Córka wciąż starała się wyrwać matce. Ty ujrzał, że kobieta ma ręce pełne roboty, starając się jednocześnie uspokoić i schować za siebie dziecko, a także krzyczeć na kuzyna Luisa, który zmierzał do niej z szybkością wystrzelonego z armaty pocisku.

To, co się działo potem, spowodowało tak przeraźliwą ciszę, że wydawało się, iż owady na drzewach hałasują głośniejsze niż myszołowy. Ty usłyszał nagle dochodzące z odległego strumienia odgłosy prania.

Zbir podbiegł do matki i pchnął ją, w ułamku sekundy powalając na kolana.

Przez chwilę Ty myślał, że uderzy ją pięścią, ale ten się zawahał, widząc milczący tłumek obserwujący go z peronu. Przerzucił sobie dziecko przez ramię i ruszył w stronę konia. Na stacji nikt nawet nie drgnął.

- Ty cholerny skurwysynu!

To matka poderwała się niespodzianie z ziemi, rzuciła przed siebie i złapała napastnika za kolana. Mężczyzna upadł z okrzykiem zdumienia i wściekłości. W

tym samym momencie dziecko wysliznęło mu się z rąk, uderzyło głową o kamień i znieruchomiło na ziemi.

Jednak ani matka, ani przybysz o imieniu Luis nie zwrócili na to żadnej uwagi.

Kobieta wczepiła się w mężczyznę i zaczęła okładać go pięściami, najwyraźniej starając się zmiażdżyć mu nos. Czegoś tak zdumiewającego Ty jeszcze w życiu nie widział. Kuzyn Luis próbował zrzucić z siebie krewką niewiastę, ale przyłgnęła doń jak łąta na kamizelce. Przewracali się tak nawzajem wśród tumanów kurzu, kopiąc i bijąc się na oślep pięściami jak dwaj zdecydowani na wszystko mężczyźni, tyle że ruchy matki krępowwały spódnicą i halki.

Ty zaniemówił z wrażenia i nie mógł się poruszyć, dopóki nie dobiegły go stłumione okrzyki stojących w pobliżu kobiet. Gestykulowały gwałtownie i wciągały głęboko powietrze. Syczące głosy zmobilizowały go do działania. Nie tracąc ani chwili rozejrzał się i zrozumiał, że nie znajdzie tu chętnych do pomocy. Nikt nie zamierzał przyjść kobiecie na ratunek.

Z obrzydzeniem splunął w dłonie. Co za mięczaki, jak mogli pozwolić, by jakiś nadęty sukinsyn bił matkę? I nie obchodziło go, czy Luis jest jej kuzynem, czy nie. Jeśli ktoś go nie powstrzyma, zatłucze tę rudowłosą na śmierć.

Gdy Ty do nich podbiegł, oboje właśnie się podnieśli, a kobieta zadała przeciwnikowi szybki cios prawą ręką. Niestety, nie trafiła w Luisa, za to wierzchem dłoni zniecka liznęła szczękę Ty'a. Dobry Boże! Aż go odrzuciło do tyłu. Gdyby cios okazał się bardziej precyzyjny, jak nic powaliłby go na ziemię. Nie docenił umiejętności i siły nieznajomej.

- Z tyłu! - krzyknęła raptem kobieta i powróciła do okładania Luisa pięściami.

Ty odwrócił się i w ostatniej chwili zdążył się uchylić przed nadlatującą pięścią drugiego napastnika. W ułamku sekundy zauważył jeszcze jego podobieństwo do kuzyna Luisa, po czym obaj zwarli się w zaciętej bójce.

Dwadzieścia minut później Ty wstał ciężko na równe nogi i spojrzał z góry na pokonanego przeciwnika. Miał nadzieję, że wystarczy mu sił, by zwyciężyć Luisa i podniósł głowę, chcąc go odnaleźć.

Jednak rudowłosa nie potrzebowała pomocy. Stała nad powalonym kuzynem i dysząc ciężko, łapała zachłannie powietrze w płuca. Z nienawiścią patrzyła na nieprzytomne ciało, a w dłoni trzymała jeszcze zakrwawiony kamień.

Ty podszedł bliżej. Starał się oddychać spokojniej, bo gorące powietrze paliło jego obolałe płuca. Trącił Luisa butem; oho, ten poleży sobie trochę dłużej, a po przebudzeniu poczuje najpaskudniejszy z możliwych ból głowy.

- Do diabła, o co tutaj chodzi? - zapytał, gdy udało mu się nieco ochłonąć. -

Kim pani jest?

Nieznajoma zgubiła w walce kapelusz i pot przyklejał do głowy jej gęste rude włosy. Zgubiła gdzieś pelerynę i Ty ujrzał wybrudzoną koszulę, ściśle przylegającą do kobiecego ciała. Z wrażenia wybałuszył oczy - doprawdy, ten widok mógł każdego zwalić z nóg, bo spod peleryny wyłoniła się prawdziwie olśniewająca figura. Kobieta była wysoka, lecz natura obdarzyła ją niezwykle proporcjonalną budową ciała. A te piersi ... Ty oderwał wreszcie od nich oczy i przeniósł wzrok na twarz kobiety. Żałował, że nie przyjrzał się jej bliżej, gdy była czysta, nie ociekała potem i nie miała twarzy czerwonej z wysiłku i wściekłości.

- Skaleczyła się pani na policzku - powiedział. Nie wspomniał już o podbitym oku, które długo będzie jej przypominać spotkanie z kuzynem Luisem. - Do licha, muszę przyznać, że walczy pani rewelacyjnie.

Oparła dłoń na jego piersiach i odepchnęła lekko, a w jej oczach pojawiła się nagle panika.

- Graciela!

Dziewczynka z wyrazem oszołomienia na twarzy wstała z ziemi.

Dotknęła tyłu głowy, rozejrzała się, a potem zachwiała się i opadła na kolana.

- Kuzynie Chulo! - Przerażonymi oczami wodziła po ciałach obu nieprzytomnych mężczyzn. Wreszcie wybuchnęła płaczem i oskarżająco spojrzała na matkę. - Nienawidzę cię! - krzyknęła.

Rudowłosa pokiwała ponuro głową, po czym popatrzyła Ty'owi prosto w oczy. Było to dla niego całkiem nowe doświadczenie, miał bowiem metr dziewięćdziesiąt wzrostu, nie znał więc kobiet,

które potrafiły jak równy z równym zmierzyć się z nim wzrokiem. Nieznajoma okazała się jeszcze wyższa, niż pierwotnie sądził. Z trudem spoglądał jej w oczy, bo miał szczerą ochotę powędrować wzrokiem niżej, ku okazałym piersiom.

Kobieta wciąż go obserwowała i po namyśle rzekła: - Mamy tu pewien rodzinny problem.

Kowboj zaśmiał się; zdążył polubić tę twardą, niezwykłą kobietę, która nie pozwalała bezkarnie się uderzyć. Ty podejrzewał, że następnym razem kuzyn Luis zastanowi się dwa razy, zanim podniesie rękę na jakąś białogłową.

- Na to wygląda - odparł z uśmiechem.

- Ten tam, kuzyn Chulo, trochę pana uszkodził - stwierdziła, taksując uważnie jego twarz. Dopóki o tym nie wspomniała, nie zauważył krwi kapiącej mu z podbródka. Niedbale otarł ją dłonią. - Dziękuję bardzo. -

Wyciągnęła rękę i uściśnięła mocno jego dłoń.

- Nie wiem, co bym zrobiła bez pana, gdy pojawił się ten drugi.

Cieszę się i jeszcze raz dziękuję.

- Cała przyjemność po mojej stronie, proszę pani - odparł Ty szczerze. - To zaszczyt pomóc rodaczce. - Mniej więcej w połowie tej krótkiej rozmowy przeszli na angielski.

. Ludzie z peronu zaczęli powoli zajmować miejsca w pociągu i rzucali na nich zaciekawione spojrzenia. Kobieta minęła kuzynów Luisa i Chulo, po czym podniosła z ziemi kapelusz, pelerynę oraz ciężką torbę podróżną. Gdy zebrała już wszystkie swoje rzeczy, podeszła do córki. Zaintrygowany Ty podążał tuż za nimi.

- Odjeżdżamy, wsiadaj do pociągu.

- Nie! - Dziecko rzuciło się kuzynowi Chulo na pierś. - Nigdzie nie jadę!

- Oczywiście, że jedziesz. - Matka ze stanowczą miną chwyciła córkę za rękę i pociągnęła w stronę otwartych drzwi wagonu. - Dokąd jedzie ten pociąg? -

zapytała konduktora, patrząc mu prosto w oczy.

- Następna stacja to Hermita, *senora*. - Mężczyzna cofnął się okrok, jakby w obawie, że i jego zaraz pobije. - A gdzie to jest?

- Pięćdziesiąt mil na południe, *senora*.

- Na południe?! - Rzuciła wiązkę tak soczystych przekleństw, że Ty aż się uśmiechnął. - Trudno, niech i tak będzie. - Z grymasem na twarzy spojrzała na nieprzytomnych kuzynów, po czym bezceremonialnie odepchnęła konduktora na bok. - Zejdź mi z drogi.

Wskoczyła po stopniach do wagonu, ciągnąc za sobą dziecko.

Dwie minuty później, gdy pociąg opuszczał stację, Ty dostrzegł ją w otwartym oknie.

Obserwował pociąg, dopóki nie zniknął za zakrętem, po czym pokręcił ze zdziwieniem głową. Następnie znalazł swój kapelusz i otrzepał go z kurzu o nogawkę spodni. Przyszło mu do głowy, że nie będzie złym pomysłem podążyć w jej ślady i czym prędzej oddalić się od mężczyzn leżących na ziemi.

Po kwadransie wyjeżdżał cwałem z Verde Flores, kierując się prosto na zachód. Jego celem była niewielka wioska, oznaczająca półmetek całej tej niemiłej podróży. Zdawał sobie sprawę, że czeka go jeszcze drugi etap, i to znacznie trudniejszy - musi zabrać Marguaritę i jej dziecko do Kalifornii.

Ponieważ rozmyślanie o meksykańskiej bratowej doprowadzało go do szewskiej pasji, powrócił wspomnieniami do kobiety ze stacji.

Wydawało mu się, że wszystko zrozumiał. Rudowłosa wyszła za Meksykanina. Tym można wytłumaczyć córkę pół-Meksykankę i meksykańskich kuzynów. Rzuciła męża, a biedne dziecko nie chciało opuścić ojca. W skazywała na to radość dziewczynki na widok kuzyna Luisa i szamotanina z matką. Ojciec z jakiegoś powodu nie mógł jechać za nimi, więc wysłał w pogoń krewnych.

Kowboj dotknął palcem podbródka, spojrzał na krew i skrzywił się lekko.

Jego problemy dopiero się zaczynają.

Szkoda, że nigdy już nie ujrzy rudowłosej nieznajomej. Ma najpiękniejsze piersi, jakie kiedykolwiek widział i pragnął ująć. Co za niesamowita kobieta!

Jenny poprawiła na sobie ubranie, starając się wyglądać jak najlepiej, i spojrzała na obserwujących ją ludzi. Bijatyka dawno się skończyła, a jej dopiero teraz zaczęły się trząść ręce. Gdyby nieznajomy kowboj nie skoczył jej na ratunek, drugi kuzyn z pewnością porwałby Graciełę. Była tak bliska utraty dziewczynki! Po plecach przebiegły jej ciarki.

Na szczęście nic się nie stało. Przygoda nauczyła ją jednego, Marguarita nie przesadzała ostrzegając przed kuzynami - stanowili poważne zagrożenie. Jasne, że chcieli dostać Graciełę w swoje brudne łapska. Po spotkaniu z Luisem i Chulo Jenny nie miała cienia wątpliwości, że każdy z nich bez mrugnięcia okiem mógłby zastrzelić bądź utopić Graciełę.

- Co robisz? - spytała, gdy dobiegło ją ciche mamrotanie dziewczynki.

- Modłę się, aby pociąg się wykoleił i cię zabił. Wtedy przyjadą tu kuzyni Luis i Chulo i zabiorą mnie do domu.

- Widzisz to? - Jenny dotknęła {lalcem strupa na policzku.

- A to? - Pochyliła się w stronę dziecka i pokazała opuchnięte oko.

- To pamiętka po walce z twoimi 'śmierdzącymi kuzynami, kiedy narażałam zdrowie, żeby cię nie porwali i nie zabili.

- To niemożliwe, moi kuzyni nigdy by III:nie nie skrzywdzili!

- Dziewczynka zeszywniała z oburzenia. - Oni przyjechali uratować mnie przed tobą i zabrać z powrotem do cioci Tete.

Jenny zamarła. Otworzyła usta ze zdumienia i przez chwilę nie czuła bicia serca. Chociaż domyślała się odpowiedzi, mimo wszystko zadała to pytanie:

- Czy mama nie powiedziała ci nic o twoich kuzynach?

Jednak Graciela popatrzyła na nią nic nie rozumiejącym wzrokiem. Jenny westchnęła i przymknęła oczy. Marguarito, ty cholerny tchórze.

Bardziej wyrozumiała strona charakteru kazała jej pamiętać, że Marguarita musiała przed śmiercią zakomunikować córce wystarczająco dużo złych wieści.

Może uważała, że wystarczy opowiedzieć jej o plutonie egzekucyjnym i bliskiej podróży z obcą kobietą do ojca, którego nigdy nie widziała. Marguarita mogła wykonywać, że sześciolatka dziewczynka nie zniesie wiadomości, iż jej kochani kuzyni zamierzają ją zabić, że to za dużo jak na jej małe, delikatne serduszko. A może Marguarita zwątpiła w swoją ocenę sytuacji. Kto to teraz odgadnie?

- Posłuchaj, oto, jak się sprawy mają - rzekła Jenny i wciągnęła głęboko powietrze. - Być może Luis i Chulo kiedyś cię lubili, ale to się zmieniło. Teraz chcą ci zrobić krzywdę, a moim zadaniem jest temu zapobiec.

- Nieprawda, mówisz to złośliwie! - W oczach Gracieli pojawiły się łzy. -

Kuzyni mnie kochają - szepnęła. - Kuzyn Luis zawsze przynosił mi prezenty, a kuzyn Chulo woził mnie na koniu. Nigdy by mnie nie skrzywdzili, po prostu kłamiesz.

Jenny odwróciła się do niej i chwyciła za ramiona. Potrząsnęła nią gwałtownie, aż usłyszała jej szcękające zęby.

- Posłuchaj! Ja nigdy nie kłamię. Jeśli Jenny Jones coś powie, tak właśnie jest.

Nie musisz mnie lubić, możesz też myśleć o mnie co chcesz. Masz prawo modlić się o moją śmierć, ale nigdy nie nazywaj mnie kłamcą! Zrozumiałaś?

Graciela wzdygnęła się na widok roziskrzonych gniewem oczu kobiety.

- Twoja mama miała okazję wybrać sobie co najmniej dziesięć osób, które mogły cię odstawić zdrową i całą do ojca, ale wybrała właśnie mnie.

Zdecydowała się na to, bo ja nigdy nie kłamię. Nie poprosiła też żadnego z twoich parszywych kuzynów, ponieważ wiedziała, że mogą cię skrzywdzić.

Pomyśl

o tym.

Pociąg połykał kolejne mile i Jenny powoli zaczęła się uspokajać.

- Dlaczego moi kuzyni mieliby mnie skrzywdzić? - spytała Graciela cichym głosem. Spoglądała na kobietę oczami, które wydawały się zbyt wielkie jak na jej drobną twarz.

- To ma związek z pieniędzmi, bardzo dużymi pieniędzmi. Jeśli zginiesz, twoim krewnym przypadnie w udziale fortuna.

- Kuzyni poświęciliby mnie dla pieniędzy?

- Takiego zdania była twoja mama i wygląda na to, że miała rację.

- „Ależ to jest...”

Jenny widziała, jak dziewczynka z rezygnacją spuszcza głowę, a rześiste łzy kapią na splecione na kolanach ręce.

Kiedy małej zaczęło lecieć z nosa, odezwała się: - Nie masz chustki?

- Zgubiłam.

- Wytrzyj nos. - Jenny oderwała kolejny kawałek halki i podała Gracieli.

- Dziękuję.

- Posłuchaj, dziecko. Wierzę, że jest ci teraz ciężko. Straciłaś mamę, twoi kuzyni chcą cię zabić, nie wiesz, dokąd jedziesz, a w dodatku nienawidzisz mnie ... - Gdy Jenny zaczęła tak wyliczać, nawet według jej surowych standardów, życie Gracieli wydało się paskudne. - W porządku, rozdano ci beznadziejne karty, ale na razie tak musi być. Musisz nimi zagrać i nie ma sensu tego oplakiwać, łzy i kapiący nos niewiele zmieniają.

Dziewczynka milczała.. Siedziała wciąż ze spuszczoną głową, z ręką na złotym medalionie.

Po upływie godziny w wagonie pojawił się sprzedawca z przekąs karni.

Oferował ociekające tłuszczem tortille z pastą, która smakowała jak żywy ogień. Pierwszy kęs przyprawił Jenny o łzy i poparzył jej język.

- Płakałaś, kiedy umarła twoja mama?

- Och, nie. - Jenny zapomniała już, że mówiła Graciele o matce.

- Nie było mnie wtedy w domu. Ale nawet gdybym była, na pewno bym nie rozpaczała. Moja matka była kobietą złą i zdradziecką jak żmija.

Wyglądała też jak żmija.

- Niemożliwe! - Dziewczynka otworzyła szeroko oczy.

- Przynajmniej ja tak ją postrzegałam. - Jenny zaśmiała się gorzko. - To najpodlejsza istota, jaka chodziła po ziemi. Mówię ci, nikt nie usłyszał od niej dobrego słowa.

- Dlaczego była taka zła?

- Dlaczego? - Jenny zamrugnęła. Szczerze mówiąc, nigdy się nad tym nie zastanawiała. - Tak naprawdę .nie wiem. - Zmarszczyła czoło i wyjrzała przez okno. - Może jej życie nie potoczyło się tak, jak chciała. Może nie odpowiadało jej mieszkanie w jednoizbowej chacie na skraju nieczynnej kopalni i wieczna troska, by wyżywić sześcioro dzieci. - Nieoczekiwanie przyszło jej do głowy, że sprawy wyglądają inaczej z perspektywy dorosłego. -

Może nie podobało się jej, że ojciec ją bije i jest nieustannie przez niego ... -

Spojrzała uważnie na Gracielę. - Musi rodzić mu dzieci - dodała sztywno.

- Czy mama opowiadała ci bajki i całowała na dobranoc?

- spytała dziewczynka, obracając w palcach ostrą tortillę.

- Co? Nie, oczywiście, że nie! Ona nie całowała nawet mojego ojca. Pocałunki, dobre sobie!

- Och ... - Graciela położyła placek na siedzeniu obok i wytarła usta otrzymanym od Jenny kawałkiem halki. Potem ostrożnie schowała materiał w rękaw i odwróciła się do towarzyszki. Położyła swe małe dłonie na jej rękach i spojrzała jej w oczy. - Przykro mi, że miałaś taką złą mamę. Powinna była czytać ci bajki i całować przed snem.

- Mnie też jest smutno - odparła Jenny drewnianym, jakby nie swoim głosem.

Poczuła nagłe ukłucie w sercu. Zamilkła na dobrą minutę, po czym dodała: -

Myślałam, że mnie nienawidzisz.

- Bo to prawda - rzekła Graciela stanowczo i zabrała rękę.

Tak już lepiej, pomyślała lenny. Bez powodu ogarnęła ją złość.

Po tysiącokroć wolała być znienawidzona niż odczuwać litość sześciolatniej dziewczynki. Wyrzuciła swoją tortillę przez okno i ponuro przyglądała się mijanej okolicy. Już od lat nie wspominała matki,

a przynajmniej od czasu, gdy usłyszała o jej śmierci. Jej pierwszą myślą było wtedy: jak dobrze.

A teraz siedziała w pociągu, jechała w niewłaściwym kierunku i użalała się nad sobą, bo jej matka nie wyglądała jak Marguarita, nigdy nie opowiadała jej bajek i nie miała szczęśliwego życia. No i co z tego?

W wagonie wzrastał upał i Graciela przymknęła oczy. Oparła się oramię Jenny, a w końcu położyła jej głowę na kolanach i skuliła się na drewnianej ławce, podwijając skromnie nogi, jak przystało na młodą damę.

Jenny przytknęła głowę do zabrudzonej sadzą szyby i wróciła myślami do kuzynów małej. Potrzebuje jakiegoś planu, podświadomie czuła bowiem, że prześladowcy nie spoczną i podążą za nimi następnym pociągiem. A teraz już nie znajdzie silnego kowboja do pomocy.

Zapadając w drzemkę przyznała w duchu, że mężczyzna był niczego sobie.

Zwykle nie przywiązywała większej uwagi do powierzchowności mężczyzn, nawet nie myślała o nich w tych kategoriach. Ale w tym wypadku uderzyło ją, że kowboj ma takie same oczy jak Graciela, niebieskozielone, ocienione delikatnymi kasztanowymi rzęsami. Takie oczy na tle opalonych policzków doprawdy robiły wrażenie! Zastanawiała się też, kto go ostatnio poturbował.

Podbite oko zdążyło już nabrać lekko żółtawego koloru, więc z pewnością nie była to świeża sprawa, w każdym razie nie pozostałość po bójce z kuzynem Chulo.

Pociąg przemierzał kolejne mile, a myśli Jenny ciągle krążyły wokół osoby kowboja. Mężczyzna był wysoki i szczupły, co sugerowało mylnie zresztą przekonanie o jego słabej kondycji. Gdy Jenny ujrzała go po raz pierwszy, doszła do wniosku, że kuzyn Chulo, zbudowany jak potężna beczka piwa, powali go jednym uderzeniem pięści. Jednak sztywna jak drut sylwetka kowboja okazała się górą stalowych mięśni i przeszkodą nie do przebycia. W

końcu to on został niekwestionowanym zwycięzcą walki. Jenny uśmiechnęła się na to wspomnienie.

Ciekawiło ją, po co Amerykanin zapuścił się tak daleko w głąb Meksyku.

Przy tej okazji zastanowiła się nad własnym położeniem.

Przyłożyła palce do skroni i pomyślała o towarze i ekwipunku, który miała dostarczyć do El Paso. Bez wątplenia, wszystko zostało skradzione tuż po jej aresztowaniu. Pan Comden niechybnie obciąży ją za stracony ładunek kościanych guzików - o ile, rzecz jasna, kiedykolwiek się z nim spotka. Musi zatem dopilnować, by tak się nie stało. Żegnaj Teksasie, witajcie nowe strony.

Wygląda na to, że na dobre skończyła się jej praca przy bawołach.

Aby czas szybciej mijał, usiłowała sobie przypomnieć rzeczy, które zostawiła w wynajętej w El Paso chacie. Nie sądziła jednak, by warto było zawracać sobie tym głowę. Tacy jak ona nie kolekcjonują kosztownych drobiazgów. W

odróżnieniu od pewnego znajomego dzieciaka nie jest jakąś cholerną spadkobierczynią.

Gdy patrzyła przez zabrudzone okno, dostrzegła mijaną właśnie małą wioskę

- widok równie zachęcający co otaczające ją kaktusy. Uniosła brwi i zerknęła na drzemiącą dziewczynkę; żałowała, że sama nie potrafi tak łatwo usnąć.

Nie była w stanie uspokoić myśli. Marguarita powracała co i rusz w jej wspomnieniach, poza tym męczyły ją przerażające wizje zemsty kuzynów, przeplatające się z obrazem nieznanego kowboja.

Po jakimś czasie Jenny pochyliła się ostrożnie nad torbą i starając się nie obudzić Graciel, wyjęła swój podniszczony słowniczek. Nie ma jak czytanie słówek dla uspokojenia skołatanych nerwów. Niektóre z objaśnień przypominały raczej tajemnicze rebusy i nie mówiły jej więcej niż same słowa.

Musiała czytać je po wielekroć, by zrozumieć ich prawdziwe znaczenie. Wiele ze słów uznała za błahe i niepotrzebne i zapominała je zaraz po przeczytaniu.

Ale inne przemawiały jej do wyobraźni. Oczarowana treścią i brzmieniem, powtarzała je w kółko, chcąc koniecznie zapamiętać.

Męski - mocny, zdolny do prokreacji. "Męskość -

/rzeczownik od męski!"

- Męski - powtórzyła cicho. Delikatne słowo określające coś twardego.

Wydęła usta i szybko ułożyła zdanie z użyciem nowego słowa: - Kowboj jest bardzo męski.

Nagle poczuła z zaskoczeniem, że palą ją policzki. Do diabła, zaczerwieniła się na myśl o kowboju i jego niezaprzeczalnej męskości. Zakłopotana, rozejrzała się, by sprawdzić, czy ktoś przypadkiem tego nie zauważył. Ale po chwili skarciła się w duchu - przecież nie ma tu nikogo, kto by wiedział, że nie należy do osób, które się czerwienią.

Całe szczęście, że nie spotka już więcej tego mężczyzny. W samej rzeczy, to szczerą prawdą. Bardzo się cieszy, że ich drogi się rozeszły, a szanse na ponowne spotkanie są prawie żadne. Z pewnością nie chce zobaczyć znów sukinsyna, przez którego się zaczerwieniła. Co to, to nie.

On i tak już dawno o niej zapomniał.

Mężczyzna taki jak on nie spojrzy po raz drugi na kobietę jej pokroju.

Cieszyła się z tego, naprawdę.

Patrzyła przez okno i nagle zapragnęła być filigranową i piękną istotą, stąpającą lekko na swych drobnych nóżkach i noszącą urocze stroje, które kowboj z pewnością by zauważył.

Westchnęła i zamknęła z trzaskiem słownik. Zaraz potem przytknęła też oczy i starała się obmyśleć,

co począć, gdy razem z Gracielą dojadą do Hermity. Na razie nie miała o tym zielonego pojęcia.

4 ~

Czerwona kula zachodzącego słońca oświetlała jeźdźca na koniu, rzucając za ziemię długie miedziane cienie. Ty wjeżdżał

. właśnie do wioski, która stanowiła cel jego wielotygodniowej wędrówki. Pełna wyrw i kolein ulica była wyłożona wypalonymi ceglami. Większość domów wykonano z błota i gęstych gałęzi i pokryto blachą bądź trzcina. Wyschłe poletka kukurydzy i fasoli lśniły rdzawo w żarzącym się słonecznym świetle.

Osada była tak mała i nędzna, że nie mogła się nawet pochwalić własnym kościołem. Pośrodku znajdował się niewielki plac, przecięty drogą prowadzącą w góry. Tam kowboj dowiedział się, gdzie może znaleźć nocleg, po czym odszukał posłańca i polecił mu zanieść wiadomość dla donny Theodory Barrancas y Talmas.

Miał ochotę natychmiast rozmówić się z Marguaritą, lecz w rodzinach wysoko urodzonych Meksykanów honor i kurtuazja były ze sobą ściśle związane. Gdyby przybył do hacjendy bez uprzedzenia, nie ogolony, a w dodatku w porze kolacji, z pewnością poczytano by mu to za zniewagę. Wybrał

więc mniejsze zło i posłał wiadomość, że jutro rano zamierza złożyć wizytę Marguaricie.

Goniec wskoczył na muła i wyjechał z wioski, Ty tymczasem wynajął pokój na tyłach niewielkiego budynku niedaleko baru i zamówił gorącą kąpiel. Za dodatkowe peso pojętna gospodyni zgodziła się uprać i wyprasować mu ubranie, w którym wybierał się jutro z wizytą do majątku Barrancasów.

Oznajmi wówczas Marguaricie, że zabiera ją i jej dziecko do Roberta w Kalifornii. Myślenie o tym nie poprawiło mu samopoczucia.

Gardził swoją meksykańską bratową i sprzeczał się z Robertem na temat sprowadzenia jej do Kalifornii. Sześć lat temu Marguarita przysporzyła rodzinie Sandersów wystarczająco dużo zmartwień. Teraz jej powrót roznieci na nowo niesnaski z jej ojcem, don Barrancasem, którego ranczo graniczyło z posiadłością Sandersów. Jednak nade wszystko Ty nie chciałeś, by jego trzeźwo myśląca matka stanęła przed koniecznością przyjęcia pod swój dach płochliwej i zepsutej piękności, której wiedza na temat bydła sprowadzała się do tego, co miała na talerzu podczas kolacji.

Ponieważ do dziś dręczyło go, iż Robert przeciwstawił się ojcu, żeniąc się z córką don Barrancasa, nawet w myślach nie odnosił się do niej z szacunkiem należnym żonie brata. Ojciec często mówił, że miejscem Meksykanów jest Meksyk, a nie USA. Ty musiałś przyznać, że gdyby Antonio Barrancas pozostał

z rodziną na południu po drugiej stronie granicy, Robert nigdy nie poznałby jego córki, a i on sam nie musiałby tu teraz przyjeżdżać.

Ty skończył się golić, a posłańiec jeszcze nie wrócił, postanowił więc pójść do baru po drugiej

stronie ulicy na kolację i szklaneczkę *pulque*, lekkiego napoju alkoholowego z agawy.

Musiał przyznać, że nocą miejscowość wyglądała znacznie korzystniej.

Głębokie cienie skrywały ubóstwo i zalegające w zakamarkach śmieci. Na drzewach wokół małego placu wisiały lampiony, dodając odświeżającego blasku najbardziej obskurnemu barowi, jaki Ty widział w życiu.

Gdy wszedł do środka, umilkły nagle wszelkie rozmowy i wewnątrz zaległa zadziwiająca, złowroga cisza. W każdej wiosce, choćby nie wiem jak biednej i zabitej deskami, zwykle grała w barze jakaś muzyka, ale nie tu i nie dzisiaj. Ty ze zdumieniem dostrzegł też w środku kilka szacownych matron. Po namyśle podszedł do najbliższego wolnego stolika nieopodal bocznych drzwi, czując podążające za nim, nieprzyjemne spojrzenia.

Podobne sytuacje potwierdzały celowość udawania, że nie zna i nie rozumie tutejszego języka.

- Kolacja - rzucił w stronę niskiego kelnera, którego zmarszczone czoło wyraźnie sugerowało nienawiść do wszystkich *gringo*. Pocierając brzuch dłonią, Ty powiedział głośniej: - Mówisz po amerykańsku? - Kelner gapił się na niego bez słowa. - Jeść. - Poruszył ustami, a następnie zaczął udawać, że pije. -

Pulque.

Rozległy się westchnienia ulgi, pomieszane z pogardliwymi okrzykami zebranych. W barze zapanował ożywiony gwar, wznowiono rozmowy. Szczupły mężczyzna z sumiastymi wąsami przemówił do pozostałych, wypluwając słowa z szybkością karabinu maszynowego.

Treść wystąpienia wprawiła Ty'a w prawdziwe osłupienie.

Oszołomiony, patrzył bez słowa na kawałki mięsa w sosie i stertę kukurydzianych tortilli, straciwszy w jednej chwili cały apetyt. Mimo wszystko zmusił się do skosztowania potrawy i skoncentrował na przybraniu obojętnego wyrazu twarzy.

W ciągu kilku minut zrozumiał, że Marguarita Sanders nie żyje.

Najbardziej zaszokowała go wiadomość, że została rozstrzelana przez pluton egzekucyjny; wprost nie mógł w to uwierzyć. Już prędzej wyobraziłby sobie własnego ojca powstającego z grobu niż Marguaritę zamieszaną w zbrodnię.

Niemożliwe, by zasługiwała na taki wyrok.

Stary Barrancas chronił Marguaritę przed niebezpieczeństwami świata zewnętrznego i Ty nieczęsto ją widział, kiedy dorastali. Przypominała wówczas płochliwą łanię o wielkich oczach, nieśmiałą i gotową do natychmiastowej ucieczki. Wyrosła na wstydliwą piękność z wiecznie spuszczonego wzrokiem, skrywającą twarz za zasłonkami powozu lub wielkim wachlarzem. Równie niechętnie zabierała głos w towarzystwie; jeśli się odzywała, mówiła niskim, melodyjnym i prawie przeproszającym tonem.

I ta krucha istota miałaby umrzeć rozstrzelana pod murem jak złoczyńca?

Wysoko urodzone kobiety wychowywano w Meksyku na wzór rzadkich okazów kwiatów w szklarni, których nie dosięgały nie przyjemności i bolączki codziennego życia. Strzegły je nobliwe matrony o sokolim wzroku, a męska część rodziny broniła przed zniewagami. Ty zawsze się zastanawiał, w jaki sposób Robert zdołał znaleźć się sam na sam z Margaritą i spłodzić dziecko, a przede wszystkim, co takiego w niej widział, że w ogóle zechciał pójść z nią do łóżka. Z tego, co Ty zdążył zaobserwować, meksykańska arystokratka jest najbardziej nudną istotą na świecie. Tylko modli się, haftuje i patrzy na świat z wyniosłą obojętnością.

Co, na Boga, mogła uczynić taka kobieta, by zasłużyć sobie na pluton egzekucyjny?

Kowboj odsunął na bok talerz, oparł się plecami o ścianę i wypił łyk alkoholu.

Kiedy ognisty płyn rozgrzał mu przełyk, wyjął z cholewy buta scyzoryk i zabrał się leniwie do czyszczenia paznokci, słuchając uważnie dobiegających rozmów.

Dowiedział się wkrótce, że szczupły mężczyzna z dumnym wąsem nazywa się Emil i jest prawdopodobnie jednym z kuzynów Marguarity Barrancas.

Wściekłość wykrzywiała mu twarz, kiedy z krzykiem namawiał zebranych w barze do pogoni za czarownicą, która rzuciła urok na Margaritę.

- Pomyśl rozsądnie, Emilu - wtrąciła stojąca w pobliżu kobieta, okrywając się szalem, mimo że noc była upalna. - Dobrze znależ swoją kuzynkę. Czy *Americana* mogła ją przekonać, by umarła wbrew swojej woli? Krzyknęłaby głośno, odrzucając ten pomysł. Ale tak nie zrobiła, więc o czym to świadczy?

- Dla mnie to najlepszy dowód, że Marguarita została zaczarowana. - Emil patrzył na zaszępione twarze. - Mamy tu siedzieć bezczynnie i pozwolić, żeby morderczynie mojej kuzynki na dodatek porwała jej córkę? - Splunął z obrzydzeniem na podłogę. - Czy mężczyźni w tej wiosce nie mają za grosz honoru?

Aż do tego momentu Ty nie wiedział, jakiej płci jest dziecko Roberta. A więc to dziewczynka - ma bratanicę.

- *Sefiora* Sanders była umierająca, każdy o tym wiedział.

- Kobieta podeszła bliżej i przemówiła do zagniewanych mężczyzn.

- Sama mi powiedziała, że planuje zamienić się miejscami z *Americana*. Ta w zamian za to zgodziła się zabrać dziecko do ojca w Ameryce Północnej.

_ Kłamiesz. - Emil położył dłonie na blacie i pochylił się do przodu, a jego oczy błyszczały niebezpiecznie. - Moja kuzynka nie powierzyłaby córki czarownicy i skazanej na śmierć morderczynie. Jeśli nawet Marguarita chciałaby wysłać Gracielę na północ, co jest wierutną bzdurą,

poprosiłaby oto Luisa lub Chulo. Nigdy nie wciągałaby w to obcych.

Kobieta zawahała się. Miała już na końcu języka ciętą ripostę, ale widząc rozpalony wzrok Emila, zamilkła.

Gniew mężczyzny wydawał się mrozić wszystkich dokoła.

_ Słyszycie? - cisnął w nich oskarżenie, a z ust pociekła mu ślina. - Maria twierdzi, że moja kuzynka wysłała Gracielę do ojca, *Americana*. -

Przygwoździł ją wzrokiem. - To znaczy dokąd? _ Jego głos świadczył o tym, że doskonale zna odpowiedź.

_ Ojciec dziecka mieszka w Kalifornii - szepnęła kobieta.

Spuściła wzrok i usiadła na ławce pod ścianą.

_ W takim razie, dlaczego ta czarownica wsiadła do pociągu jadącego na południe? Wyjaśnij mi to, Mario Torrez.

_ Na południe? - powtórzyła ze zdziwieniem pytana kobieta.

_ Kiedy Luis wróci z hacjendy, usłyszysz to z jego ust. Ta żmija podstępnie uprowadziła dziecko. Moim zdaniem, powinniśmy ruszyć za nią, zabić i uratować Graciek. Powiadam wam, nie słuchajcie paplaniny tej kobiety. Moja kuzynka nigdy nie powierzyłaby jedynej córki obcej osobie, dobrze o tym wiecie. Honor rodziny Barrancasów i wioski zależy od uratowania Gracielę przed czarownicą.

Ty schował scyzoryk do cholewy buta i opróżnił do dna szklaneczkę. Potem postawił ją na stole i przez boczne drzwi baru spojrzął w zamyśleniu na chmurę komarów, krążących wokół lampionu na drzewie.

Historia z czarownicą wydawała się dość sprytną wymówką.

Emil bezczelnie grał na ignorancji zabobonnych wieśniaków, chcąc obalić wersję Marii Torrez, że dziecko zostało oddane pod opiekę obcej, a nie rodziny. Przynajmniej tyle zrozumiał z tej rozmowy Ty.

Chociaż wielu rzeczy jeszcze nie pojmował, jedna sprawa była dla niego nieznośnie oczywista. Przejmujący ból w piersiach mówił mu, że pomógł w uprowadzeniu własnej bratanicy. Kiedy poznał prawdę o awanturze na dworcu w Verde Flores, przeklinał rolę, jaką w tym odegrał. Do diabła, umożliwił

jakiejs wariatce porwanie córki Roberta!

Zaklął w duchu siarczyście i wstał, rzucając na stół kilka monet.

Lada chwila mógł się tu zjawić kuzyn Luis, a Ty nie przypuszczał, by tak łatwo zapomniał o kowboju,

który przyszedł z pomocą rudowłosej kobiecie.

Rosądek podpowiadał mu, żeby wymknąć się bocznymi drzwiami, zabrać swoje rzeczy i czym prędzej się stąd wynosić.

W połowie drogi do stajni dostrzegł posłańca wracającego z hacjendy.

Chłopiec zeskoczył z muła i podbiegł w jego stronę, wymachując kopertą. Nie zwalniając kroku, Ty cisnął mu monetę i skrzyknął ku lampom palącym się przy stajni.

Wyjął dwie kartki pokryte drobnym pismem i podszedł do światła.

Dona Theodora Barrancas y Talmas informowała go z żalem, że jej siostrzenica, *senora* Margarita Sanders oraz jej córka zmarły trzy dni temu na suchoty. Dona Theodora żałowała, że nie może osobiście powitać w hacjendzie szwagra siostrzenicy, żałoba zabrania jej bowiem w tych dniach otwierania drzwi posiadłości. Błagała więc ó wyrozumiałość, modląc się, by *senor* Sanders jej wybaczył, że nie przyjechała go w chwili tej podwójnej tragedii.

Innymi słowy: Wyjeżdżaj stąd, intruzie. Nie ma już powodu, byś tu dłużej przebywał.

Zastanawiał się przez chwilę, czy od razu nie wrócić do Kalifornii. Mógłby pokazać Robertowi list dony Theodory, że Margarita i dziecko nie żyją.

Zgniół kartkę w dłoni. Zmarszczył czoło i popatrzył na światła baru.

Tam w środku kuzyn Emil z pewnością usilnie zachęca mężczyzn, by wyruszyli w pościg za Gracielą i czarownicą. A przecież dona Theodora twierdzi, że bratanica Ty'a umarła wraz z matką!

Odpowiedź pojawiła się jak błyskawica. W razie śmierci Marguarity - a wszyscy byli zgodni w tym punkcie - Graciela staje się spadkobierczynią Roberta, a także don Antonia Barrancasa.

Wzrok mężczyzny spoczął na szeregu nędznych chat stojących wzdłuż głównej ulicy. Czy Robert zapłaciłby okup za córkę? Sprzedałby bydło albo ranczo? Oczywiście, Ty w to nie wątpił. Jednak jeśli chodzi o don Antonia, nie był już taki pewien, ponieważ Barrancas nigdy nie uznał związku Roberta z Marguaritą. Ale na starość człowiek może się stać sentymentalny, gdy dowie się, że jego córka nie żyje, a dziecko jest jedynym ocalałym członkiem bliskiej rodziny. Jeśli przeżyje, ma się rozumieć! Przyszło mu do głowy, że śmierć dziewczynki byłaby dla niektórych najlepszym rozwiązaniem, a przynajmniej mniej kłopotliwym niż porwanie i okup.

Wizja sowitego wynagrodzenia z pewnością przemówi do wyobraźni wieśniaków, mieszkających od pokoleń w chatkach z gliny. Jeśli honor nie będzie dla nich wystarczającą motywacją, Emil z pewnością zagra na ich chciwość.

Z ponurą miną Ty osiodłał konia i dopiął poprzęgów.

Chociaż Barrancasowie jeszcze tego nie wiedzą, do gry przystąpił właśnie nowy gracz. Jeśli myślą, że wiadomość od dony Theodory skłoni go do powrotu do Kalifornii, już wkrótce poczują się

niemiłe zaskoczeni.

Skończyła się jego żalсна misja podjęta w imieniu brata, teraz odzyskanie bratanicy stało się dla niego sprawą osobistą. Dona Theodora oszukała go, popróbował też smaku pięści Luisa w Verde Flores. I raczej się mylił co do zamiarów kuzynów wobec Gracieli.

Ominął szerokim łukiem okolice baru i wyjechał z bezimiennej wioski, wdzięczny księżycowi, który srebrną poświatą oświetlał mu drogę.

Tuż przed wschodem słońca, kiedy walczył z ogarniającą go sennością, wrócił

myślami do rudej kobiety ze stacji w Verde Flores. Jaki był naprawdę cel jej gry? Ludzie z baru nazywali ją morderczynią, dając wyraźnie do zrozumienia, że to ona zasługiwała na egzekucję, w czasie której zginęła Marguarita. Nie było to całkiem nieprawdopodobne, pomyślał, pocierając ręką podbródek.

Jednak nie potrafił zgłębić drugiej części zagadki. Czy kobieta ratowała przed śmiercią jego bratanicę? A może porwała dziecko, odkrywając prosty sposób na zdobycie fortuny? Najmniej wiarygodna wydawała się wersja, iż Marguarita знаła na tyle dobrze kobietę skazaną za morderstwo, że powierzyła jej swoją córkę! Na razie miał za mało informacji, by wyrobić sobie opinię na ten temat.

Gdy z nastaniem brzasku ujrzał w oddali mglisty zarys Verde Flores, jego usta zacisnęły się w cienką linię. Barrancasowie nie zatrzymają dziewczynki dla okupu, nie uda się to również rudowłosej, jeśli ma taki zamiar. Poprzysiągł na grób ojca, że gdyby nawet przyszło mu ją tropić aż do bram piekieł, zrobi to.

Nie wróci do Kalifornii bez bratanicy.

Kiedy słońce wzeszło nad pustynię, Ty drzemał na ławce stacji kolejowej Verde Flores, czekając na pierwszy pociąg jadący na południe.

Nie wierzył już, że ruda kobieta wybiera się na północ. To podstęp, fałszywa wiadomość, jaka miała dotrzeć do uszu kuzynów i skierować ich w razie p.óścigu w złym kierunku. Od początku zamierzała jechać pociągiem na południe.

Już on ją odnajdzie.

Jenny nie była przyzwyczajona do czekania i nie znosiła tego najlepiej - z pewnością nie należała do osób cierpliwych. Przykładając nos do szyby, spojrzała na kaktusy rosnące w prażącym meksykańskim słońcu.

- Znowu się zatrzymaliśmy.

- Naprawiają tory - odpowiedziała Graciela apatycznie. Chłodziła twarz podartym papierowym wachlarzem. - Nie kąpałam się od czasu, gdy opuściłam ciocię Tete - dodała oskarżającym tonem. - Chcę się wykapać.

- Już sama nie wiem, czy jedziemy tym cholernym pociągiem dwa czy trzy dni? - Jenny westchnęła.

Nic dziwnego, że jest gotowa lada chwila wybuchnąć. Ludzie nie są stworzeni do tego, by siedzieć w jednym miejscu przez trzy parszywe dni. Bolała ją nawet kość ogonowa, a wnętrzności wypalało pikantne, ociekające tłuszczem jedzenie, sprzedawane na kolejnych postojach. W wagonie panował nieznośny upał, korytarzem biegały kurczaki, zostawiając za sobą przeraźliwy smród ekskrementów, unoszący się długo w powietrzu. Całości dopełniał odgłos płaczących niemowląt i przeraźliwe krzyki dzieci, które potęgowały jej i tak już podły nastrój.

- Jeśli wkrótce nie wysiadziemy z tego pociągu, zrobię komuś krzywdę. - Od gorąca stanik przykleił się jej do ciała, więc odciągnęła go z grymasem obrzydzenia na twarzy. Musi opuścić to miejsce, zanim jej mózg się do reszty rozpułynie, ale do tego potrzebowała jakiegoś rozsądnego planu.

Żadna z mijanych wiosek nie była na tyle duża, by móc się w niej spokojnie przyczaić. Zresztą lenny wcale nie miała pewności, czy ukrywanie się jest najlepszym wyjściem. Instykt podpowiadał jej, że powinna wskoczyć do najbliższego pociągu zmierzającego na północ, ale co będzie, jeśli Luis i Chulo zebrali posiłki i czekają na nią w cieniu dworca Verde Flores? W drodze powrotnej musiałaby wszak tamtędy przejeżdżać.

Obgryzając paznokcie, obserwowała przez okno unoszące się nad szaro brązową równiną fale ciepła. Chciałaby wiedzieć, co teraz knują kuzyni. Czy ruszyli za nimi w pościg i jadą następnym pociągiem, czy też czekają w Verde Flores? Tym razem nie skoczy jej na pomoc żaden szalony kowboj. Przewaga liczebna kuzynów będzie przytłaczająca i zabiorą jej Gracielę z taką samą łatwością, jak wrywa się kwiat z doniczki.

Zakryła oczy brudną ręką i pomyślała, czy nie lepiej po prostu oddać dzieciaka i mieć święty spokój. Graciela doprowadzała ją ostatnio do szału. Nie robiła nic, o co ją lenny prosiła, nieustannie wierciła się na swoim miejscu i wciąż narzekała.

- Chcę wracać do domu - odezwała się znów żalonym głosem i wydeła usta.

- Zamknij się, staram się myśleć.

- Masz na butach kurze odchody.

To prawda. lenny zachodziła w głowę, jakim cudem udało się Gracieli przejść do toalety bez wdepnięcia w nieczystości i śmieci, szczególnie w walające się wszędzie plwociny z wyżu tego tytoniu. Ona nie była

taka sprytna. Spojrzała na okoloną pasemkami pozlepianych włosów twarz Gracieli i jej nieodłączny, pełen wyższości uśmiezek. Zastanawiała się, czy nie

zetrzeć go jej z ust jednym mocnym klapssem, lecz w

tym samym momencie pociąg szarpnął, wypuścił z komina kłęby czarnego dymu i ruszył naprzód.

- Dzięki Bogu.

- *Por favor, señor*, kiedy dotrzemy do jakiegoś większego

miasta? - zapytała Jenny kierownika pociągu.

Zauważyła, że jego buty są tak samo jak jej upaprane

kurzym nawozem. Gdy mężczyzna je mijał, westchnęła

głośno. Jeśli istnieje na tym świecie sprawiedliwość, część świństwa z jego butów powinna wylądować na

sukience Gracieli. Tak jednak się nie stało.

- *Buenos tardes, senora, señorita*. Dojedziemy do Durango

oczasie - zakomunikował mężczyzna uprzejmie. -

Około siódmej wieczorem.

- Planowo? Prędzej padnę trupem - mruknęła Jenny

po angielsku. Dotychczas pociąg dłużej stał, niż jechał.

W takim tempie nie dotrą do Mexico City, czyli stacji końcowej, przed końcem tego milenium. Powiedziałyby

mu to, ale słowo milenium było dla niej stosunkowo

nowe i nie miała pewności co do jego angielskiej wymowy, już nie mówiąc o brzmieniu w języku hiszpańskim.

Kierownik tymczasem ruszył korytarzem, kopnąwszy

na bok koguta. Jenny zadawała sobie w duchu pytanie:

Co lepsze, jechać aż do Mexico City czy wysiąść w

Durango?

- Dama nie obgryza paznokci - upomniała ją Graciela.

- Zamknij się.

- Nienawidzę cię! Mama nigdy by się tak nie

odezwała.

To przebrało miarkę. Jenny nie wyobrażała sobie kolejnego dnia spędzonego w towarzystwie

rozpieszczonego dziecka. Dławiła się fetorem kurzych

odchodów i przepełnionej ubikacji, miała też dosyć spania na siedząco, z Gracielą wbitą w jej kolana. Z

jakiegoś nieodgadnionego powodu dziewczynka ważyła

znacznie więcej, gdy zapadała w sen.

- Wsiadamy w Durango - zdecydowała. Nawet jej żołądek protestował

przeciwko dalszej podróży na południe, kiedy należało jechać na północ. W

którymś momencie musi zaryzykować i zmienić kierunek podróży. Durango nadaje się do tego równie dobrze, jak każde inne miasteczko w Meksyku.

- Tęsknię za mamą.

Graciela skuliła się w kłębek i zapadła znowu w półletarg.

Spuściła głowę i ramiona, ręce opadły jej bezwładnie wzdłuż ciała, z oczu poleciały łzy i zaczęło kapać z nosa.

Jenny patrząc na małą, poczuła w środku dziwne wzruszenie.

Nie wiedziała, jak poradzić sobie z przygnębieniem dziewczynki. Choć sama uważała miłość między matką a córką za mit, w dodatku wielce przeceniany, to nie miała pojęcia, ile czasu trzeba, by Graciela otrząsnęła się po tej tragedii.

- Dzieciaku - rzekła bezradnie i chwyciła ją za rękę. - Nie widzisz, że sama prosisz się o klapsa? Musisz wreszcie skończyć z tym i zapomnieć o matce.

- Nigdy! - Graciela obrzuciła ją morderczym spojrzeniem. - To ty ją zabiłaś.

- Do diabła, omawialiśmy tę sprawę już z tysiąc razy. Dobrze wiesz, że tego nie zrobiłam. - Jenny przeczesowała palcami włosy, przesuając do tyłu swój idiotyczny kapelusz. Może spróbuje zmiany tematu. - Posłuchaj, gdy dojedziemy do Durango, znajdziemy jakiś pokój i będziesz się mogła wykapać.

Chcesz tego, prawda? Zjemy coś porządnego i wyśpimy się w prawdziwym łóżku.

- Zobacysz, kuzyni Luis i Chulo zabiją cię, a mnie zabiorą do domu.

- Niech no tylko spróbują!

Po chwili namysłu Jenny zdecydowała, że Luis nie należy do ludzi, którzy czekali na nią na peronowej ławce. Zapewne już dawno wyruszył w pościg.

Obgryzając paznokcie, które smakowały jej bardziej niż strawa w pociągu, Jenny skupiła się na obmyśleniu strategii. Musiała sprytem nadrobić fakt, że jest kobietą, i nie mogła się pochwalić liczebną przewagą nad przeciwnikami.

Dziewięć godzin później, gdy pociąg zatrzymał się na przedmieściach Durango, Jenny miała już opracowany

plan. Nie był może najlepszy i nie pozbawiony ryzyka, lecz od razu poczuła się pewniej. '

Mam nadzieję, że sama potrafisz się umyć, bo nie zamierzam cię w tym wyręczać - ostrzegła Jenny dziewczynkę. Właśnie wstawiono do ich pokoju wannę.

Gburowaty chłopak przyniósł wiadro letniej wody, która wypełniła wannę mniej więcej po kostki. Na powierzchni pływały liście i żdzbla trawy.

Graciela zdjęła ubranie, wytrzepała je z kurzu i sadzy i odłożyła na bok. Potem przyjrzała się przygotowanej kąpieli.

- Chciałabym dostać trochę olejku różanego.

- A ja lśniący niebieski powóz i sakiewkę pełną

brylantów.

- Jenny przewróciła oczami i rzuciła małej kawałek

mydła, które

spakowała Maria. - Właż do środka i się pośpiesz, ja też zamierzam się wykapać.

- Musisz mi pomóc. - Graciela uniosła ręce w

oczekiwaniu, że Jenny ją podniesie. Kobieta

westchnęła.

- Chryste, nie potrafisz niczego zrobić sama?

Chwyciła Gracielę i wsadziła ją do wanny, po czym

zrobiła krok do tyłu i przyjrzała się dziewczynce.

Graciela miała delikatną skórę, w dotyku

przypominającą ciepły jedwab. Gdy Jenny patrzyła na

jej smukłą, prostą figurkę, dziwiła się cudom natury.

Gdzieś w środku oczekuje na swój czas kobieta. Jenny

podziwiała boską mądrość, która kazała ukryć dorosłego w ciele dziecka.

Graciela zgarniała z powierzchni wody trawę i liście, okazując przy tym cierpliwość zbieracza szmat, Jenny

zaś w tym czasie podeszła do okna, z którego rozciągał

się widok na pobliską fabrykę tytoniu oraz zarys gór na horyzoncie. U podnóża Sierra Madres przez wieki wydobywano srebro. Teraz, gdy złoża się już wyczerpały, górnicy z Durango poszukiwali w ziemi rud żelaza.

Zerknąwszy przez ramię na Gracielę, kobieta podwinęła rękaw i przesunęła palcami po przedramieniu. Jej skóra była ciepła, ale nie tak aksamitnie gładka jak dziecka. Ręka przypominała w dotyku wygarbowaną zwierzęcą skórę. Do diabła. Zmarszczyła czoło, rozpięła kołnierzyk i musnęła opuszkami palców po mostku, gdzie słońce nie miało dostępu. Już lepiej, ale wciąż brak wrażenia jedwabistości. Z grymasem na twarzy zdecydowała, że gdyby się nawet wykąpała w wannie pełnej olejku różanego, jej skóra nigdy nie nabrałaby podobnej miękkości. A zresztą, kogo to obchodzi? Żaden przystojny kowboj i tak nie zechce porównywać jej wątpliwych wdzięków z pachnącymi, delikatnymi kobietami, którym nigdy nie przyszło pracować w palącym słońcu pustyni.

Dlaczego nachodzą ją te wszystkie bzdurne myśli?

Westchnęła, wciągnęła w płuca zalatujące tytoniem powietrze, po czym postawiła taboret obok wanny.

- Umyj się za uszami - poleciła dziewczynce. - A może spróbuj też wyczyścić je w środku? - Graciela skrzywiła twarz. - No, zrób to.

- Dlaczego?

- Bo tak pewnie chciałaby twoja mama. - Widząc, że niepotrzebnie wspomniała o Marguaricie, zmieniła temat. - Oto mój plan. Załóżmy, że twoi podstępni kuzyni pojedą za nami. Durango jest na tyle duże, że z powodzeniem możemy się tu schować, przynajmniej przez jakiś czas. Będę chodzić codziennie na stację i wypatrywać, czy Luis i Chulo przypadkiem się nie zjawili. Moim zdaniem, nastąpi to jutro lub pojutrze, a wtedy my złapiemy najbliższy pociąg na północ. Gdy kuzyni zaczną nas szukać tutaj, będziemy już daleko, zmierzając bezpiecznie w stronę granicy.

Nie miała pojęcia, czy to roztropne, dzielić się planami z dzieckiem. Ponieważ nie wiedziała, jak ma się do niej zwracać, rozmawiała z Gracielą jak z dorosłym.

- Znajdą nas. - Dziewczynka zrobiła tratwę ze zmywaka i ostrożnie przykryła go trawą i liśćmi.

- Nie, jeśli odpowiednio postąpimy. Naszym zadaniem jest maksymalnie utrudnić im poszukiwania. - Ruda *Americana* z meksykańskim dzieckiem z pewnością będą się rzucać w oczy. Jeśli nie poczynią zdecydowanych kroków, kuzyni odnajdą je najdalej w ciągu godziny. Mój plan jest następujący. -

Jenny wciągnęła powietrze. - Chcę wrócić do noszenia spodni, bluzy i męskiego kapelusza. Poza tym mam zamiar przefarbować włosy. - Mimowolnie westchnęła i spuściła głowę. Jej włosy. Nienawidziła ich żalosnego wyglądu, a teraz jeszcze musi je przyczernić szuwaksem. Ale powinno się udać.

- Nie twierdzą, że wszyscy od razu wezmą mnie za mężczyznę, ale przynajmniej nie będę pasowała do opisu podanego przez twoich krewnych.

Graciela obserwowała ją z ciekawością, a na widok postrzępionych włosów kobiety na jej małych ustach pojawił się cień uśmiechu.

- Poczekaj tylko, aż usłyszysz, co czeka ciebie. - Jenny popatrzyła na dziewczynkę z ukosa. - Ukryjemy cię w przebraniu *muchacho*, czyli kawalera.

Obetnę ci włosy na krótko, włożysz spodnie, kamizelkę, kapelusz i buty. Rano przeniesiemy się do innego hotelu. Rudowłosa *Americana* i jej córka znikną bez śladu, tutaj urwą się wszystkie tropy.

- Nie! - Dziewczynka rozszerzyła z przerażenia oczy i w obronnym geście przyłożyła ręce do głowy.
- Nie możesz mi obciąć włosów! Nie, nie, nie, nie! -

Machała rękami na oślep i starała się wyjść z wysokiej wanny, uderzając Jenny, gdy ta próbowała się zbliżyć. - Nie pozwolę ci, nie pozwolę! Nie, nie, nie!

- Mała, przestań wrzeszczeć! Słyszysz mnie? Masz się natychmiast uspokoić!

Graciela nie zwracała na nią uwagi, krzyczała i zanosila się od płaczu.

Oparła się plecami o tył łóżka, chwyciła w dłonie mokre włosy, starając się trzymać jak najdalej od Jenny.

- Nie! Nie pozwolę ci!

- Posłuchaj mnie, głupi dzieciaku. Zamknij się, do diabła.

Jeszcze ktoś pomyśli, że chcę cię zabić!

Jenny zrozumiała, że w tej sytuacji słowa nie poskutkują. Jeszcze / nigdy nie pałała tak nieprzepatą chęcią, by kogoś uderzyć. Już pochyliła się nad dziewczynką i uniosła rękę, kiedy coś w wyrazie twarzy małej przypomniało jej o Marguaricie. Zawahała się. Marguarita nie skrzywdziłaby nawet muchy, już nie mówiąc

o dziecku. Opuściła rękę i z całej siły zacisnęła zęby.

- Dobrze - odparła niespodziewanie dziewczynka.

Przyścięnięta do boku wanny i wciąż zasłaniająca włosy Graciela patrzyła na nią z wyrazem zmęczenia w oczach. Dyszała ciężko, tłumiąc szloch, ale już nie krzyczała.

- Posłuchaj, ty mała gówniarno. Staram się uratować twoje cholerne życie!

Zresztą własne również. Nie możesz sobie tego wbić raz na zawsze do głowy? -

Jenny spojrzała jej prosto w oczy. - Obetnę ci włosy i ubiorę jak chłopca, a ty będziesz takiego udawać. - Graciela otworzyła usta, lecz Jenny przemówiła, zanim wydobył się z nich kolejny wrzask. - Nie zrobimy tego od razu, więc możesz się uspokoić. Obetniemy je dopiero jutro rano. Będziesz miała całą noc na oswojenie się z tą myślą. - Zmrużyła oczy i dodała: - Ale musisz dobrze odegrać swoją rolę, rozumiesz? Nasza sytuacja jest niewesoła i bez twojej pomocy nie uratuję ci skóry.

- Mam nadzieję, że umrzesz! Mam nadzieję, że kuzyn Luis cię zastrzeli! -

krzyknęła Graciela. Na jej rzęsach lśniły łzy i ciągle trzymała oburącz włosy. -

Jesteś zła i niemiła, a w dodatku przeklinasz. - Puściła mokre loki i skryła twarz w dłoniach. - Chcę do mamy, chcę mojej mamy, chcę mamy! - Rozpłakała się, tym razem cicho i z rozpaczą w głosie.

Jenny kiwała się na stołku, z mocno zaciśniętymi ustami.

Graciela, naga i siedząca w wodzie po kostki, wyglądała na istotę zagubioną i bezradną.

- To ciężki los: być dzieciakiem - stwierdziła miękko kobieta. - Dobrze pamiętam, jak mnie to wkurzało. Tak jak i ty nienawidziłam wszystkiego, co kazali mi robić dorośli.

- To znaczy czego? - spytała w końcu dziewczynka i spojrzała na opiekunkę przez palce. Chwyciła ją czkawka, która wstrząsała jej drobnym ciałem.

Nagle Jenny znowu poczuła obecność Marguarity. Szeptala jej, że mimo wszystko nie powinna opowiadać dziecku, jak ojciec bił ją oraz jej braci i siostry, kiedy nie pracowali dostatecznie ciężko, nie odpowiadali na czas czy nie przynosili mu czegoś do picia. Gorączkowo szukała w myślach innych przykładów, które mogłaby zrozumieć Graciela.

- Kiedyś musiałam wejść do ciemnej jaskini. Widzisz, mój ojciec był górnikiem i chciał się dowiedzieć, czy ktoś inny nie pracuje w pewnym szybie.

Wykoncypował sobie, że jeśli są tam ludzie, nie zastrzelą dziecka. A może nie dbał o to. W każdym razie kazał mi wejść do środka i powiadam ci, pamiętam do dziś tę chwilę. Było tam zimno i ciemno niczym w sercu mordercy.

Słyszałam, jak coś porusza się w ciemnościach, i cały czas się bałam, że mnie zastrzelą.

- Strzelali do ciebie? - Graciela z przejęciem wybałuszyła na nią oczy, trzymając mydło przy piersi.

- Akurat schowali się na zewnątrz. - Jenny zaśmiała się na wspomnienie tamtych wydarzeń. - Strzelili do ojca, ale go nie zabili. Tak czy owak, dobrze wiem, co znaczy robić rzeczy, na które się nie ma ochoty. Podobnie było przez całe moje życie. Nie uwierzysz, ale nawet dorośli muszą czasem postępować wbrew sobie. Teraz, na przykład, zupełnie nie mam chęci mazać sobie włosów pastą do

butów, o nie. Ale zrobię to, bo wierzę, że to pozwoli nam uciec.

Jenny wyobrażała sobie, iż w tym miejscu Graciela wtrąci z wdzięcznością, że postara się jej pomóc, ale tak się nie stało. Mała wyciągnęła rękę i namydliła się, wcale na nią nie patrząc.

- Znasz mojego tatę?

- Nie - odparła szorstko kobieta. - Nie znam.

- Ja też nie. - Graciela uważnie przyjrzała się Jej twarzy.

- Powiedziałaś, że nie obetniesz mi włosów aż do jutra.

- I nie kłamałam.

Dziewczynka przekrzywiła głowę. Jej nieufność była równie oczywista, co żdźbła trawy przylegające do gołej skóry. - Chcę, abyś pomogła mi umyć włosy.

- Znasz zasady. Nie zrobię niczego, co sama potrafisz.

.....: Dlaczego?

- Bo nie jestem cholerną służącą, oto dlaczego. Poza tym musisz się wreszcie czegoś nauczyć, albo nigdy nie będzie z ciebie pożytku.

- Nie umiem dobrze wypłukać mydła z włosów.

Jenny zastanawiała się chwilę i doszła do wniosku, że to prawda. Poczekała, aż włosy Gracieli pokryją się pianą, po czym przytrzymała jej głowę i delikatnie wypłukała długie pasemka. Ku swojemu wielkiemu zaskoczeniu doznała przy tym dziwnej, ciepłej satysfakcji. Jeszcze wczoraj by w to nie uwierzyła.

Zjadły kolację przy stole w jadalni, razem z innymi gośćmi hotelowymi.

Wróciły potem na górę i Graciela patrzyła w milczeniu, jak jej opiekunka klnąc i mruczając pod nosem, pokrywa włosy pastą do butów. Mazidło okazało się grudkowate, ciężkie do rozprowadzenia, a w dodatku brzydko pachniało.

- Za dużo wosku, a zbyt mało płynu - stwierdziła Jenny przez zaciśnięte zęby.

Gdy skończyła, miała zabrudzone palce, część karku i ręcznik wokół szyi, a włosy czarne, sztywne i błyszczące. Z wyglądu przypominała diabła.

- No i co z tego - powiedziała w końcu, wpatrując się żałośnie w lustro na stoliku. Rana na policzku prawie zdążyła się zagoić, ale siniak pod okiem przybrał malowniczy, fioletowo-żółty kolor. Stwierdziła, że jak na kobietę wygląda wyjątkowo ohydnie. - Zrobiłam swoją część.. - Zdjęła ręcznik i zerknęła na Gracielę. Dziewczynka na jej widok oniemiała z przerażenia.

- Nie chcesz mi chyba zrobić czegoś takiego? - szepnęła po chwili.

- Skrócimy ci włosy jak u chłopca, to wszystko - ucięła zirytowana nagle Jenny.

- Czas na sen. Rozbieraj się i idź do łóżka. - Muszę przedtem umyć zęby i zmówić pacierz.

- A więc zrób to. - Poczekała, aż dziewczynka uklęknie, i, jak co wieczór, odmówi tę samą dziwną modlitwę. Jenny skrzywiła się przy słowach błogosławiących kuzynów, ale ostatnią kwestię wypowiedziała wspólnie z Gracielą: - I zabij lenny, amen. Ale z łaski swojej nie wymyślaj dla mnie rodzaju śmierci, dobrze? Zostawmy szczegóły Panu Bogu. A teraz idź

spać.

Westchnęła, gdy Graciela nadstawiła policzek. Nie sądziła, aby kiedykolwiek przyzwyczaiła się do sytuacji, kiedy po życzeniach śmierci następuje pocałunek na dobranoc.

- Tylko nie zabrudź mnie pastą - ostrzegła Graciela.

Jenny nie odzywając się pocałowała jej delikatny policzek, zgasiła świeczkę i usiadła przyoknie.

Od strony fabryki tytoniu ciągle dolatywał przykry zapach, chociaż zakład był

teraz ciemny i pusty. Wyludnioną ulicą szedł mężczyzna ubrany w połataną koszulę i szeroki kapelusz i prowadził za sobą muła. Zmierzał w stronę dobiegającej z oddali muzyki. Kopyta zwierzęcia odbijały głucho o bruk ulicy.

Gdy Jenny upewniła się, że Graciela już śpi, zapaliła grube ciemne cygaro, które nabyła wcześniej u handlarza na rynku. Oparła się łokciami o parapet i spojrzała w niebo, szukając gwiazdy o imieniu Marguarita.

- Nie palę przy dziecku - tłumaczyła w stronę migającego punktu. Jej zdaniem, Marguarita nie należała do kobiet, które potrafią docenić dobre cygaro. Co nie znaczy, że to akurat było najlepszej jakości. - Mam szczerą nadzieję, że u ciebie sprawy mają się lepiej niż u mnie. - Zaciągnęła się i wypuściła za okno chmurę dymu, który zawisł nieruchomo w gorącym, ciężkim powietrzu. - Mówiłam ci, że nie nadaję się na opiekunkę dla dzieci. Przecież cię ostrzegałam. -

Machnięciem ręki starała się rozproszyć dym, który zasłonił jej upatrzoną gwiazdę. - Miałam ochotę ją dzisiaj uderzyć, niemal to zrobiłam. Przyznaj, czasami trzeba zbić dziecko, prawda? - Jenny czekała, patrząc na gwiazdę. Jeśli zamruga, będzie to oznaczać zgodę. Jednak gwiazda świeciła jasno, podobna do skrawka bawełny na czarnym aksamicie. Jenny westchnęła ciężko. - Cóż, nie jestem taką cholerną świętą jak ty - rzekła z goryczą.

Palila jeszcze chwilę, od czasu do czasu poprawiając wystające nad czołem czarne kosmyki.

- Może niepotrzebnie powiedziałam jej o naszym planie. Może wystraszyłam ją, już sama nie wiem. - Pomachała cygarem. - Byłoby łatwiej, gdyby urodziła się chłopcem. Ja przez większość dorosłego życia przebywałam wśród mężczyzn i nie potrafię rozmawiać z kobietami. A ona nie tylko jest

dziewczyną, ale w dodatku dzieciakiem. Nie wiem, o czym miałabym jej mówić. Wyobrażasz sobie mnie rozprawiającą o modzie? Phi! Nawet nie wiem, jak upiąć jej włosy ...

Właśnie, Marguarito, muszę obciąć jej włosy - tłumaczyła. - Zrozum, to nasza jedyna szansa. Proszę, powiedz jej, żeby pozwoliła mi to zrobić, ciebie posłucha. Ty nie możesz nikogo skrzywdzić.

Smród dobiegający z fabryki mieszał się z aromatem cygara i ciężkimi zapachami miasta. Jenny wyczuła odór spalonego tłuszczu, zgniłą kapustę, zwierzęce odchody i ludzki mocz, a także dym z tysiąca palących się ognisk.

Wychyliła się i po lewej dojrzała blask światła, dochodzący od strony rynku.

Poza tym noc była ciemna i parna. Wywoływała u Jenny wewnętrzny niepokój i tęsknotę za czymś bliżej nie określonym. Ktoś w pobliżu grał na gitarze.

Rzewna, pełna smutku melodia otwierała rany w jej sercu. W tej chwili mogłaby uwierzyć, że grający i ona są jedynymi ludźmi, jacy zostali na tym świecie.

Kiedy z cygara został tylko kikut, wyrzuciła go przez okno i z radością popatrzyła na łóżko. Już dawno nie spała na porządnym materacu, w czystej pościeli i z prawdziwą poduszką pod głową. Rozebrała się do koszulki, trąciła Gracielę, by zrobić jej miejsce, i wśliznęła się do łóżka. Podciągnęła przykrycie aż pod nos i nabrała głęboko powietrza; zapach krochmalu zatarał fetor dochodzący z okna. Zamierzała spać jak zabita.

Jak pomyślała, tak i zrobiła. Gdy obudziła się wczesnym rankiem, Gracieli nie było. Jenny przywitała martwą ciszą, nie słyszała ani ubierającej się dziewczynki, ani odgłosu zamykanych drzwi.

W ciągu dwóch minut narzuciła ubranie i zbiegła po schodach, rozpaczliwie wołając Gracielę.

5 ~

Graciela jeszcze nigdy nie widziała miasta wielkości Durango, nie wyobrażała sobie nawet, że tak dużo ludzi może przebywać w jednym miejscu. Już w dziesięć minut po opuszczeniu hotelu poczuła, że się zgubiła.

Z przerażeniem zdała sobie sprawę, że musi w końcu zapytać obcego o drogę -

rzecz niesłychana i przerażająca, przed którą ostrzegano ją przez całe życie. Nie zdobyła się jeszcze na odwagę zaczepić któregoś z przechodniów przepychających się zatłoczoną ulicą, jednak zdawała sobie sprawę, że coraz bardziej zwraca na siebie uwagę.

Włosy spadały jej luźno na ramiona, podobnie jak u tych wszystkich obdartych dziewczynek, od których roiło się na ulicach, jednak fryzura Gracieli kontrastowała wyraźnie z jej drogim i wykwinnym ubraniem. Córki średnio zamożnych mieszkańców Durango nosiły kapelusze tylko w niedziele, poza tym wyrabiano je z plecionej słomy; kapelusik Gracieli był uszyty z materiału i wstążek. Bezkształtne sukienki meksykańskich dziewczynek nie miały nic wspólnego z modą i dobrym smakiem, brakowało im polotu, odpowiednich ozdób, falban i koronek.

Był też inny problem. Wyszukany krój i przednia jakość ubrania Gracieli sugerowały, że powinna jej towarzyszyć przyzwoitka lub choćby ktoś z rodziny.

Chodząc po mieście w pojedynkę, przyciągała uwagę obcych, a to oznaczało, że Jenny nie będzie miała żadnych trudności z jej odnalezieniem - ludzie zapamiętają z łatwością dziwnie wyglądające dziecko.

Graciela zatrzymała się w cieniu długiej wiaty i odwracała głowę, napotykając liczne ciekawskie spojrzenia. Splotła dłonie i pomyślała, że musi jak najszybciej się ukryć, a jednocześnie spytać kogoś o drogę. Jedno wykluczało drugie, więc jak to zrobić? Poczula się zdezorientowana.

Dotychczas decydowali za nią dorośli, chronili przed niebezpieczeństwami i dbali o zaspokojenie wszelkich potrzeb. Nigdy nie pozostawiono jej samej sobie, nawet nie śniła, by mogło to kiedyś nastąpić. Nie była przyzwyczajona polegać tylko na sobie, nikt ją na to nie przygotował. Może dlatego nic sensownego nie przychodziło jej do głowy, gdy się zastanawiała, jak uniknąć wścibstwa nieznajomych i rzucania się w oczy okolicznym sprzedawcom.

Popatrzyła z troską na przejeżdżający wóz, którego kierowca aż się odwrócił, żeby się jej przyjrzeć. Tupnęła nogą ze złości.

Co zrobiłaby mama, by wybrnąć z podobnych tarapatów? Albo ciocia Tete?

Niestety, Graciela nie potrafiła sobie wyobrazić w takiej sytuacji ani swojej łagodnej, delikatnej mamy, ani staromodnej ciotki.

Jednak, nie wiedząc czemu, bez trudu pomyślała o ukrywającej się przed ludźmi Jenny. Co na jej miejscu zrobiłaby ta kobieta? I choć dręczyło ją, że miałyby polegać na osobie, której nie cierpi i przed którą właśnie ucieka, to myśl o niej podsunęła jej zarys rozwiązania. Jenny uczyniłaby wszystko co konieczne; tej kobiecie nie stanęłaby na drodze ani duma, ani wstyd, ani próżność. Jenny ...

Graciela nagle uświadomiła sobie, że już od kilku minut patrzy na bosą dziewczynkę stojącą po drugiej stronie ulicy. Nieznajoma była mniej więcej w wieku Gracieli, lecz na tym podobieństwa się kończyły.

Miała na sobie luźną sukienkę, kiedyś prawdopodobnie białą, która teraz przypominała raczej szary, upstrzony plamami i postrzępiony worek. Liczne rozdarcia u dołu ukazywały gołe nogi, a z jednego ramienia żałośnie zwisał

porwany rękaw. Skołtunione włosy od dłuższego czasu nie zaznały dotyku grzebienia czy szczotki, a w dodatku tkwiły w nich kawałki ziemi i gałązek, jakby dziewczynka używała chodnika jako poduszki. Dziecko było bardzo brudne.

Graciela uniosła brzegi spódnicy i nie zwlekając przebiegła przez ulicę.

Zgrabnie przeskakiwała ponad kupkami śmieci i lawirowała między przejeżdżającymi końmi i wozami. Gdy wreszcie stanęła przed dziewczynką, zauważyła w jej ręku nie dojedzony kawałek

placka. Od zapachu prażonej kukurydzy i mięsa zaburzało jej w brzuchu.

- Nazywam się ... Theodora - oznajmiła Graciela uroczyście.

Dziewczynka obrzuciła ją przesadnie obojętnym wzrokiem, przenosząc spojrzenie z modnych bucików w górę, na marszczenie przy kołnierzyku. Nic nie mówiła. Graciela zerknęła na jedzenie i przełknęła ślinę. - Jak masz na imię?

- Maria, *senorita* - odparła w końcu dziewczynka. Onieśmielona bogactwem ubioru Gracieli, wbiła wzrok w niewidzialny punkt gdzieś ponad jej ramieniem.

Graciela trzymała w rekach brzegi spódnicy i obserwowała przez chwilę dwóch jeźdźców przejeżdżających ulicą. Jeden z nich miał siodło z łąkiem inkrustowanym srebrem, zupełnie jak kuzyn Emil.

- To moja pierwsza wizyta w Durango, przyjechałam pociągiem - rzekła do nieznajomej.

- Jechałaś pociągiem? - W oczach małej błysnęło zainteresowanie. Zapomniała o swoim placku i wpatrywała się w Gracielę, jakby ta wyskoczyła właśnie z kartek jakiejś baśni. - Gdzie twoja opiekunka? - zapytała. Nawet uliczna żebraczka zdawała sobie sprawę, że taka osoba nigdy nie zostaje bez opieki.

- Porwała mnie zła czarownica - wyjaśniła Graciela, sprawdzając, czy Maria jej wierzy.

- Och! - Oczy dziewczynki rozszerzyły się z emocji. - To samo stało się z moją siostrą.

- Uciekłam, bo czarownica chciała obciąć mi włosy, żebym wyglądała jak chłopiec. Maria nie sprawiła jej zawodu, z niedowierzaniem i zgrozą przyjrzała się lśniącym lokom opadającym prawie do pasa. Gracielę ogarnęło poczucie zadowolenia. A więc miała rację, skoro biedne dziecko ulicy uznało za rzecz karygodną, żeby ją aż tak oszpecać.

- Mam świetny pomysł - rzekła Graciela i pochyliła się nad uchem rówieśniczki. Gdy skończyła mówić, w ciemnych oczach Marii zapaliły się iskierki podniecenia. Pokiwała głową z entuzjazmem.

- Zgoda. - Wzięła Gracielę za rękę, poprowadziła wąską uliczką i wciągnęła za stertę rozkładających się śmieci.

Gdy ponownie pojawiły się na ulicy, dziewczynka była ubrana w elegancki strój Gracieli, a ta' z kolei miała na sobie zabrudzoną i porwaną sukienkę Marii, do której przypięła od spodu medalionik. Trzymała w ręku otrzymany od żebraczki ogryziony kawałek placka, który zresztą zaraz zjadła. Nie miała chustki, więc po chwili wahania wytarła tłuste palce o fałdy sukienki. Ubranie nieprzyjemnie śmierdziało.

- Dziękuję - powiedziała do Marii. Jej rzeczy były na Marię nieco za ciasne i w pasie puściły już pierwsze szwy, ale dziewczynce to nie przeszkadzało -

patrzyła na siebie z błyszczącymi dumą oczami.

Kiedy przypomniała sobie w końcu o Gracieli, pokazała jej palcami włosy. Ta od razu zrozumiała, o co chodzi. Wzdychając raz po raz, pochyliła się, z obrzydzeniem wzięła w dłonie trochę ziemi zmieszanej z gnijącą kapustą i ze łzami w oczach wmasowała sobie w głowę. Potem z niewyraźnym uśmiechem na ustach pomachała dziewczynce i ruszyła przed siebie, Maria zaś przystąpiła do inspekcji swoich pierwszych w życiu butów.

Zanim Graciela uszła kilkadziesiąt metrów, dały o sobie znać jej bose nogi.

Uliczne kamienie raniły delikatne, nie przyzwyczajone do chodzenia po ziemi stopy, poza tym za każdym razem, gdy wdepnęła w kałużę, gęstą i cuchnącą psim ściervem, wzdrygała się z odrazą.

Mimo to oddaliła się czym prędzej, aż Maria zniknęła gdzieś w tyle, w labiryncie wąskich uliczek. Dopiero wtedy stanęła dla złapania oddechu i ostrożnie się rozejrzała, spoglądając na przechodzących obok ludzi.

Jej plan się powiódł. Nikt już nie zwracał na nią uwagi, nie interesował się nią ani jej ubraniem - stała się nie widzialna jak powietrze.

Na twarzy dziewczynki pojawiła się radość, ledwie stłumiła głośny okrzyk zwycięstwa. Kto by pomyślał - nie przypuszczała, że jest aż tak sprytna.

- Nigdy mnie nie znajdzie - stwierdziła na głos, bardzo z siebie zadowolona.

Miasto wydawało się ogromne i przeludnione. Nie brakowało tu zakamarków i niezliczonych miejsc do ukrycia. A w dodatku nikt jej nie będzie pamiętał.

Pokonała swojego największego wroga.

Niecałe dziesięć minut później poczuła na ramieniu czyjąś ciężką dłoń.

Barczysty mężczyzna schylił się, by przyjrzeć się jej twarzy. - *Hola, chica!* -

zawołał ochryłym głosem, od którego zaschło jej w gardle, a po plecach przebiegły ciarki. Gdyby węże umiały mówić, z pewnością zabrzmiałoby to w ten sposób.

- Ty i ja - rzekł cmokając obleśnie. - Będziemy dobrymi przyjaciółmi, *si*.

Władcze palce wbiły się w jej ramię.

Z bijącym jak oszalałe sercem Jenny podbiegła do końca uliczki, odwróciła się i rzuciła okiem na wejście do hotelu. Ogarnęła ją rozpacz. Graciela równie dobrze mogła pójść w lewo, a nie w prawo.

- A niech to wszyscy diabli! - Uderzyła kapeluszem o nogę, wcisnęła go na głowę i przyjrzała się uważnie ludziom zmierzającym zatłoczoną ulicą.

Od czasu dzieciństwa nie pamiętała, by czuła tak głębokie przerażenie. Serce wciąż łomotało jej w piersiach, nie mogła złapać tchu, a ręce drżały jak porażone prądem.

Myśl, nie panikuj, rozkazywała sobie, uspokój się i zastanów.

Graciela nie mogła ujść daleko. Co więcej, w swoim ubraniu świadczącym o zamożności i wysokiej pozycji społecznej z pewnością została zauważona.

Właśnie, od tego należało zacząć - musi zapytać okolicznych sprzedawców o dziecko w charakterystycznym podróżnym stroju. Szła ulicą od jednego handlarza do drugiego, aż się upewniła, że Gracieli tu nie było. Ruszyła w odwrotnym kierunku, próbując na następnej ulicy, a potem jeszcze na kolejnej.

W końcu trafiła na Metyskę sprzedającą koce, która zapamiętała dziewczynkę.

Odetchnęła z ulgą - teraz będzie łatwiej. Wystarczy podążać śladem małej, zbierając wskazówki niczym koraliki nanizane na sznurek, a już niebawem ją złapie. Gdy dopadnie gówniarę, chyba skreśli jej kark. Złość Jenny potęgowała się z minuty na minutę, aż dostrzegła Gracielę w połowie następnej przecznicy.

Pobiegła co tchu.

Jednak stanęła jak wryta, gdy się zorientowała, że to nie ona.

Niewyobrażalnie brudna dziewczynka miała na sobie tylko jej ubranie, wyglądała inaczej i nie poruszała się z wdziękiem Gracieli. Jenny pojęła w lot, co się stało. Psiakrew, mała szelma wyprowadziła ją w pole!

Kapeluszem otarła z czoła perlisty pot i obserwowała przez chwilę kobiety idące z koszami w stronę rynku. Potem przeniosła wzrok na grupki dzieci bawiących się na ulicy oraz wszędobylskie psy, które biegały między wozami i zrecznie omijały strumień pieszych.

Przyznała niechętnie, że Graciela okazała się znacznie sprytniejsza, niż mogła się tego spodziewać. Dziecko znalazło się w poważnych tarapatach.

Pot spływający z czoła Jenny nie miał nic wspólnego z palącym meksykańskim słońcem. Jej dłonie znowu zaczęły dygotać, a ciałem wstrząsały

,dreszcze.

Graciela mogła wpaść pod rozpędzony powóz, ktoś mógł ją wciągnąć w boczną uliczkę, zgwałcić lub zamordować, Jenny przypominała sobie mroźną krew w żyłach opowieści o licznych porwaniach dzieci do dziecięcych burdeli.

Aż strach pomyśleć, ile niebezpieczeństw czyha w mieście na samotne małe dziecko.

Drżąc z niepokoju i frustracji, spojrzała na małą żebraczkę ubraną w rzeczy Gracieli. Nawet nie ma sensu zadawać jej pytań. Ślad urwał się w tym miejscu i Jenny była tego boleśnie świadoma.

Przekląła pod nosem i wstąpiła do najbliższej kawiarenki. Tu poprosiła o filiżankę mocnej

meksykańskiej kawy i wyszła z nią na ulicę. Popijała z wolna aromatyczny płyn i obserwowała przewalające się tam i z powrotem tłumy.

Jednocześnie starała się opanować narastającą panikę.

Czuła się tak samo bezradna jak w noc, gdy siedziała w celi w oczekiwaniu na egzekucję.

Wtedy to pojawiła się Marguarita i z łagodnym spokojem zaproponowała Jenny życie w zamian za jej słowo. Złożyła obietnicę, Marguarita zaś zginęła pod kulami, dotrzymując w ten sposób swojej części umowy.

Jenny miała na końcu języka stek przekleństw. Rola Marguarity była łatwa, wystarczyło tylko zginąć. Śmierć to doprawdy błahostka w porównaniu z pilnowaniem tego dzieciaka z piekła rodem.

Z piersi Jenny wydobyło się głębokie, pełne udręki westchnienie. Jeśli Gracieli coś się przydarzy, pozostanie jej tylko przyłożyć sobie pistolet do skroni i pociągnąć za spust. Jej życie nie będzie nic warte, jeśli nie można już polegać na jej słowie. Na dodatek zawiodła kobietę, która oddała za nią życie.

Poczuła żółć w gardle i miała ochotę zwymiotować. Oparła się ościanę kawiarenki, spuściła głowę i kilka razy przełknęła ślinę.

Dobrze. Przynajmniej dwie sprawy są jasne. Po pierwsze, przez następne kilka godzin niewiele może dziać, właściwie nic. Graciela jest teraz sama lub w obcych rękach, zdana na siebie i boską opatrność. Musi to zaakceptować i żywić się nadzieją, że dzieciak ma wyjątkowe szczęście. Po drugie, domyśliła się, gdzie Graciela może być dziś o siódmej wieczorem, oczywiście pod warunkiem, że okaże się co najmniej tak pomysłowa, jak dotychczas. O Boże, spraw, proszę, by gówniara zjawiała się tam o siódmej, myślała.

Wyprostowała się, dopiła kawę i podała filiżankę kelnerowi.

Wiedziała, że powinna coś zjeść, ale w tej chwili jej żołądek za bardzo protestował. Wątpiła, żeby mogła cokolwiek przełknąć.

Szła przed siebie bez celu, przyglądając się każdemu napotkanemu urwisowi i powoli oswajała się z myślą, że na razie nie może niczego zmienić. Musi się czymś zająć, bo inaczej zwariuje, postanowiła. Zanim uciekł ten cholerny bachor, sprawiając, że w jeden dzień postarzała się o dziesięć lat, zamierzała kupić chłopięce ubranie dla Gracieli i jakąś broń dla siebie. Zakupy powinny jej zająć około godziny.

Zdaje się, że to będzie najdłuższy dzień w jej żalnym życiu.

Jakaś ty milutka.

Nawet głos mężczyzny był odrażający. Jego oddech zalatywał przetrawionym chili, cygarami i czymś obrzydliwie słodkim, przypominającym Gracieli żywy ogień. Jednak najbardziej bała się jego oczu.

- To boli - szepnęła, starając się uwolnić z żelaznego uścisku.

Rozglądała się po ulicy i z przerażeniem zdała sobie sprawę, że nikt nie zwraca na nich uwagi. Przed drzwiami sklepu kaletniczego jakiś człowiek uderzył w twarz małego chłopca; ten aż krzyknął z bólu. Również ten incydent przeszedł

nie zauważony.

Zmartwiałym wzrokiem Graciela spojrzała na klęczącego przed nią mężczyznę, który zupełnie zasłonił jej widok. Jedną ręką ścisnął ją za ramię, drugą zaś przesuwając po jej gołej nodze.

Graciela zeszywniała z trwogi. Jeszcze żaden mężczyzna tak jej nie dotykał i podświadomie czuła, że to, co robi obcy, jest złe. - Pójdiesz ze mną? Zjemy i napijemy się czegoś chłodnego.

- Nie. - Usta miała suche jak powietrze na pustyni.

- Jasne oczy, biała skóra, razem zarobimy fortunę. ~ Palce mężczyzny podążały powoli w stronę jej uda, aż żołądek podskoczył jej do gardła. Potem obcy spojrzał na usta Gracieli i oblizał się obleśnie.

Z przerażającą jasnością dziewczynka pojęła, że ten bezwzględny człowiek zamierza ją skrzywdzić, i to bez względu na jej protesty. Patrzyła na jego gruby kark i szerokie bary i przed oczami zatańczyły jej gwiazdy.

W panice starała się zebrać myśli. Co robić? Co zrobiłaby Jenny? Nie poddałaby się tak łatwo, to pewne. Nie pozwoliłaby, żeby taki nędzny typ obmacywał ją paskudnymi łapskami.

Wtedy wyobraziła sobie, że jest Jenny, przekręciła głowę i z całej siły ugryzła obcego w tłuste przedramię. Zaciskała zęby tak długo, aż poczuła krew w ustach, a jednocześnie kopnęła go mocno między nogi, natrafiając na coś obrzydliwie miękkiego. Zaskoczony mężczyzna zawył z bólu i oboje przewrócili się na ziemię, turlając prosto pod kopyta idącego ulicą muła. W

jednej chwili Graciela poderwała się na równe nogi i puściła się biegiem, byle dalej od swego prześladowcy. Skręciła za rogiem i pędziła wąskimi, krętymi uliczkami, aż zabrakło jej tchu w piersiach.

Zatrzymała się wreszcie, próbując złapać oddech i zmęczona, chwyciła za pręty najbliższej bramy. Potem rozejrzała się bojaźliwie, niepewna, czy mężczyzna przypadkiem jej nie goni. Uliczka była cicha i pusta. Nie widziała tu hałaśliwych sprzedawców, nie jeździły tędy załadowane towarami wozy. Ciszę zakłócał jedynie plusk wody z odległej fontanny.

Po obu stronach uliczki wznosił się wysoki ceglany mur, ponad którym wychylały się rozłożyste gałęzie drzew. Skutecznie zasłaniały okoliczne domy przed ciekawskimi spojrzzeniami obcych ludzi.

Gdy Graciela już się nieco uspokoiła, usłyszała dobiegające zza muru odgłosy. Domyśliła się, że to rozmawia służba - ludzie plotkowali i śmiali się, wykonując codzienną pracę.

- Proszę, potrzebuję pomocy! - zawołała dziewczynka przez bramę.

Trzymając się żelaznych prętów zajrzała do środka. Zobaczyła kapliczkę z figurą świętego, stojącą na straży przed okazałym budynkiem, przypominającym hacjendę cioci Tete.

- Błagam, pomóżcie mi. - Tęsknota za domem sprawiła, że w jej oczach pojawiły się łzy wzruszenia. Zachwiała się i omal nie upadła.

Do bramy zbliżyła się kobieta z grymasem zniecierpliwienia na twarzy. Miała na sobie mokry fartuch pachnący mydłem do prania. Skrzywiła się na widok Gracieli i ostrzegawczo pomachała jej ręką przed twarzą.

- Zmykaj stąd, mała! Uciekaj! - Ktoś z głębi podwórza zapytał, kto przyszedł, a kobieta spojrzała przez ramię i krzyknęła: - To tylko żebraczka.

- Nie jestem żebraczką - odparła z oburzeniem dziewczynka i uniosła dumnie podbródek. - Poinformuj swoją panią, że Graciela Sanders, siostrzenica don y Theodory Barrancas y Talmas, prosi

ochwilę rozmowy. Zrób to natychmiast, *por favor*.

- Gdzie nauczyłaś się takiej ładnej gadki? - Praczka zaśmiała się i przewróciła oczami. - Po chwili rzuciła jeszcze: - Myślałby kto, nawet uliczna hołota udaje ważniaków!

Graciela doznała prawdziwego szoku. Po raz pierwszy w życiu spotkała się z taką obojętnością - zupełnie nie zareagowano na dźwięk nazwiska jej ciotki. Ta kobieta - służąca - bezczelnie się z niej śmiała! Graciela zbladła z zakłopotania jak papier.

- Nic tu po tobie. - Praczka odpędziła ją ręką. - Zmykaj stąd, bo zaraz kogoś zawołam. Nie spodoba ci się ciężka ręka Jose. - Zmarszczyła czoło i bez cienia sympatii patrzyła, jak Graciela odrywa drżące palce od bramy.

Przestraszona dziewczynka czym prędzej usunęła się z jej oczu.

Przykucnęła parę metrów dalej, oparła plecy o wysoki mur i wtuliła twarz w dłonie. Między palcami poczuła strumień gorących łez.

Gdy rano wychodziła z hotelu, oczekiwała, że przeżyje wielką przygodę, a co ważniejsze, wcale się nie bała.

Teraz wprost dygotała z przerażenia. Zgubiła się i była głodna, strachem napawał ją każdy napotkany przechodzień. Pokonana przez własną słabość, rozpaczliwie szlochała.

Kiedy się nieco uspokoiła i wytarła załzawione oczy, przyjrzała się zabrudzonym nogom. Marzyła o kąpieli i gorącym posiłku. W tej chwili, gdyby tylko ujrzała Jenny na końcu cichej uliczki, z przyjemnością wzięłaby do ręki nożyczki i własnoręcznie obciąła sobie włosy.

Na wspomnienie opiekunki dziewczynka zeszywniała, zacisnęła dłoń w pięść w geście zupełnie nie przystającym damie i uderzyła nią z całej siły o ścianę.

Znienawidzona Jenny z pewnością by się nie poddała. Ona nie będzie gorsza.

Wysunęła podbródek tak, że jej mama od razu uznałaby to za widoczny przejaw uporu.

Już od rana działa według obmyślnego planu i bez względu na efekty będzie brnąć dalej. Musi jej się udać. Jeśli, rzecz jasna, dopisze jej szczęście i nie wpadnie znowu w sidła złych ludzi.

Jaki zresztą ma wybór?

Po raz ostatni rzuciła tęskne spojrzenie w stronę bramy, która zamykała jej wejście do wygodnego i bezpiecznego życia, jedyne, jakie dotąd знаła, odwróciła się i wolnym krokiem podążyła z powrotem kamienistą uliczką. Szła w stronę hałaśliwej, tętniącej życiem handlowej dzielnicy miasta.

Wciąż powtarzała sobie, że Jenny by się nie bała.

Ostre promienie słońca odbijały się od powierzchni rzeki Rio Nazas i na moment oślepiły Ty'a, gdy pociąg przejeżdżał przez most. Mężczyzna odwrócił

głowę od okna i spojrzał na zegarek. Wprawdzie kierownik pociągu zarzekał

się, że przyjadą do Durango o czasie, to jest o siódmej wieczorem, ale już byli mocno spóźnieni. Nic nie chodzi w Meksyku według planu.

Jego zdaniem, rudowłosa kobieta od początku zmierzała do Mexico City.

Jeśli miał rację, doścignięcie jej było właściwie niemożliwe. Jednak nie mógł

wrócić do Kalifornii ze świadomością, że przynajmniej nie próbował jej złapać.

Na dodatek słyszał, że w stolicy jest wielu Amerykanów, więc biała kobieta z meksykańskim dzieckiem nie zwróci niczyjej uwagi. Poza tym Mexico City jest olbrzymim miastem - Ty nigdy nie znajdzie tam bratanicy.

Otworzył oczy, zsunął kapelusz na tył głowy i wyjrzał przez brudne okno.

Pociąg wjechał w żyzną dolinę otoczoną pooranymi mackami gór Sierra Madres. Monotonny, szarobrązowy krajobraz coraz częściej urozmaicały plamy bujnej zieleni, utworzone przez malowniczo rozrzucone farmy. Na zboczach gór Ty dostrzegł pierwsze górnicze hałdy.

Zanim pociąg przybędzie do Durango, musiał zdecydować, czy wysiąść i rozejrzeć się po miasteczku. Istniało prawdopodobieństwo, że rudowłosa się tu przypadkiem zatrzymała, ale szczerze wątpił, by interesowały ją ciepłe źródła lecznicze, z pewnością też nie była górnikiem.

Na stacji Durango Ty pozostał w wagonie. Wyglądał przez okno, wciąż niepewny, czy warto jej tu szukać, czy też będzie to tylko strata czasu.

Miasteczko okazało się większe, niż przypuszczał, żyło tu przynajmniej piętnaście tysięcy

mieszkańców. W okolicy centrum dotrzął wystającą iglicę kościoła. Przez korony wyjątkowo gęstych drzew przebłyskiwały pojedyncze promienie zachodzącego słońca. Ty stracił nagle całe zainteresowanie widokiem miasta i skupił uwagę na grupce żebrzących nieopodal dzieci. Ciasno obstąpiły wysiadających pasażerów, a gdy się upewniły, że to wszyscy, pobiegły w ślad za nimi do czekających powozów i dorożek.

Wzrok Ty'a spoczął na jednej z dziewczynek, która została za innymi daleko w tyle. Patrzyła na wagony z krańcową rezygnacją w oczach, a jej spuszczone ramiona tak silnie drżały, jakby miała się za chwilę przewrócić. Włosy małej żebraczki były potargane i brudne, jej ciało zaś okrywał bezkształtny, poszarpany kawałek materiału. Jaka strata, pomyślał. Któregoś dnia wyrosłaby na piękność, z tymi oczami ...

Cooo? Ty w ułamku sekundy wyprostował się i wbił wzrok w twarz dziecka.

Przecież zna te zielononiebieskie oczy nie gorzej niż swoje. Do diabła, powinien był rozpoznać je od razu, przecież widzi je codziennie w lustrze przy goleniu.

Zanim zdołał ochłonąć z szoku - nie mieściło mu się w głowie, że tak łatwo odnajdzie bratanicę, a do tego w tak niezwykłych okolicznościach - od ściany dworcowej poczekalni ruszył prosto w stronę dziewczynki mężczyzna. Nie, to nie mężczyzna, to była kobieta odziana w męskie spodnie i lekkie ponczo, które powiewając po bokach odsłaniało przytwierdzony do pasa pistolet.

Ty nie wierzył własnym oczom, znalazła się jego zguba!

Nieznajoma zrobiła coś ze swoimi włosami, które stały się czarne niczym smoła

- spod kapelusza wystawały sztywne jak drut i pokryte woskiem pasma. Jedno nie ulegało wątpliwości. Kimkolwiek ta kobieta była, nie miała w sobie ani krzty kobiecej próżności.

Zauważył też, że jest wściekła. Zaczęła wymachiwać rękami i już z daleka wrzeszczała na dziecko. I chociaż Ty nie rozróżniał ze swego miejsca poszczególnych słów, domyślał się ich sensu.

Podniósł się z miejsca i nie odrywając wzroku od widoku za oknem, szybko pozbierał swoje rzeczy. Jego mała bratanica stała nieruchomo na peronie i patrzyła na nadchodzącą wielkimi, pozbawionymi nadziei oczami. Czarnowłosa obecnie kobieta zbliżyła się do Gracieli, a jej twarz stawała się coraz bardziej surowa i groźna. W końcu podniosła rękę, jakby zamierzała stłuc ją na kwaśne jabłko.

Ty mimowolnie naprężył wszystkie mięśnie. Jeśli spróbuje uderzyć małą, to Bóg mu świadkiem, że ją zabije.

Nagle zaszło coś zupełnie nieprzewidzianego. Kiedy kobieta znalazła się o krok od dziecka, dziewczynka rozpostarła ramiona i przytuliła się do niej ze wszystkich sił. Nieznajoma zatrzymała się i opuściła bezradnie ręce. Na jej twarzy malowały się kolejno złość, zaskoczenie, zmieszanie i irytacja. Ty odczytywał jej emocje równie łatwo, jakby przeglądał strony książki. Jak na osobę bezwzględną i zdesperowaną, zachowywała się zaskakująco szczerze.

Wymachiwała rękami w powietrzu i z niedowierzaniem w oczach patrzyła na dziecko. Potem rzuciła

jeszcze błagalne spojrzenie ku niebiosom, westchnęła głęboko i uklękła na chodniku. Przytuliła do siebie dziewczynkę i niezgrabnie poklepała ją po plecach, ta zaś w odpowiedzi zapłakała rzewnie w jej ramionach.

Kobieta była wysoka, ubrana na męski sposób i miała przy sobie broń. Ty nie wątpił, że wie, jak się nią posługiwać. Teraz jednak złodziejka dzieci miała na twarzy wyraz nieporadnego zakłopotania, który pasowałby raczej do istoty niewinnej, drobnej i kruchej.

Ty nie miał pojęcia, co tu się dzieje. Uniósł brwi, obserwując, jak się ściskają, i zachodził w głowę, dlaczego obie tak dziwnie się ubrały i jaki właściwie łączy je związek.

Raptem chmura biało-szarego dymu zakryła peron i rozległ się gwizd parowozu. Szarpnęło wagonem. Ty przerzucił juki przez ramię, pośpieszył

korytarzem do wyjścia i wyskoczył z wagonu. Nie dostrzegł kobiety z dzieckiem, ale nie mogły odejść daleko.

Zanim ruszył ich śladem, rzucił okiem za odjeżdżającym pociągiem.

Psiakrew, jego wierzchowiec pojechał właśnie do Mexico City. Ile stracił już koni? Trzy? Przeklinając pod nosem do żywego, przeszedł plac i rozejrzał się uważnie.

Zobaczył je mniej więcej w połowie najbliższej uliczki, postawną kobietę w towarzystwie małego dziecka. Niewiasta obejmowała dziewczynkę w opiekuńczym geście, a mała ufnie wtulała głowę w jej "ponczo.

Ty podążał za nimi, zatrzymując się ostrożnie w cieniu budynków, kiedy przystawały. Na rogu kobieta schyliła się, podniosła dziecko i przerzuciła je sobie przez ramię jak worek ze zbożem. Jeszcze przez jakiś czas kluczyła uliczkami, aż doszła do hoteliku, który Ty naj pewniej by przegapił, gdyby nie zniknęła za ukrytymi w głębi drzwiami.

Odczekał jeszcze chwilę, dopóki się nie upewnił, że kobieta nie zamierza stąd odejść. Potem obszedł budynek dokoła, żeby sprawdzić, czy nie opuściła hotelu tylnym wyjściem. Po drodze minął od północy niewielką fabrykę, skąd doszła go ciężka woń suszonego tytoniu. Po zachodniej stronie jakiś mężczyzna ubrany w przybrudzony fartuch zawieszał latarnie nad restauracją. Na: ulicy po stronie południowej handlarze pakowali swoje towary. Sytuacja wydawała się opanowana. Ty wrócił więc przed wejście do hotelu i stanął nieopodal. Zapalił

cygaro i zmarszczył czoło zastanawiając się, co robić.

Kim, u diabła, jest ta nieznajoma? Ciągle miał przed sobą jej opaloną twarz.

Wyraziste rysy, charakterystyczna, świadcząca o uporze linia szczęki i niebieskie oczy, z których jedno nosiło jeszcze ślady walki w Verde Flores. No i ta wspaniała figura. Ponczo, które miała na sobie, nie stanowiło bynajmniej żadnej ochrony przed jego wzrokiem, a tym bardziej pamięcią. Mężczyzna nie zapomina takich piersi.

Omiał nie zaśmiał się na głos. Z rozbawieniem zdał sobie sprawę, że po latach uganiania się za wiotkimi, kapryśnymi stworzeniami o wzroście lalki, bezgranicznie zafascynowała go ta wysoka kobieta z dziwnymi włosami, która ukradła jego bratanicę.

Pokręcił głową z niedowierzaniem, kopnął butem rajske jabłko i czekał na zapadnięcie ciemności.

6 ~

Jenny siedziała przyoknie i czekając na najłżejszy podmuch wiatru, przyglądała się Gracieli. Dziewczynka pałaszowała z wielkim smakiem jedzenie przyniesione przez kierownika hotelu. Między kolejnymi kęsami opowiedziała o wypadkach minionego dnia. Nie pominęła niczego. - lenny usłyszała opowieść o odrażającym mężczyźnie głaszczącym ją po nogach, o pogoni na ulicy, o upadku i zranieniu kolana oraz o wściekłym psie, który przeraził ją, kłapiąc straszliwie wielkimi zębami.

Na samą myśl o tym, co mogło się przytrafić dziewczynce, lenny zupełnie straciła apetyt; jej porcja stała nietknięta koło wanny, którą poza posiłkiem zamówiła na wieczór do pokoju.

Miała ochotę wykrzyczeć na głos swoją złość, świerzbiła ją też ręka, by przyłożyć małej. Chciała jej uświadomić, że w pewnym sensie zasłużyła sobie na to wszystko i ma ogromne szczęście, iż nie spotkało jej nic gorszego.

- Dziecko! - przerwała wreszcie wypływający z ust małej nie kończący się potok słów. - Mam ci dużo do powiedzenia, ale przede wszystkim ... przyznaję, że dobrze się spisałaś. Poradziłaś sobie o wiele lepiej, niż mogłam się spodziewać.

Pochwała z trudem przeszła jej przez gardło, lecz uważała, że to osłodzi Gracieli drugą, trudniejszą część rozmowy. Poza tym zdawała sobie sprawę, że dziecku należy się z jej strony choć słowo otuchy. Nikt lepiej od niej nie. wiedział, jak ciężko jest przetrwać na ulicy. Wcześniej nie dałaby złamanego grosza, że dziewczynka wyjdzie z opresji bez szwanku.

- Jak udało ci się kopnąć tego drania w ... - Jenny zawahała się i odkaszlnęła. -

Skąd wiedziałaś, że trzeba gryźć i kopać?

- Zastanowiłam się, co zrobiłaby na moim miejscu mama.

- Graciela odgarnęła z czoła kosmyk mokrych włosów i uniosła wyżej podbródek. Miała wyjątkowo wyzywający wyraz twarzy.

- No tak. - Jenny usilnie próbowała wyobrazić sobie szacowną Marguaritę, jak kopie w jaja jakiegoś sukinsyna, lecz na próżno. - Cóż - odparła w końcu. -

Twoja mama należała do odważnych kobiet. - To z pewnością było prawdą.

Graciela uniosła brwi, jakby nie spodziewała się po niej takiej odpowiedzi.

Przez chwilę patrzyły na siebie w milczeniu.

- Skąd ~iedziałaś, że pójde na stację kolejową? - spytała mała.

- To nie było takie trudne. - Jenny wzruszyła ramionami. - Przypuszczałam, że zapamiętasz moje słowa, że kuzyni mogą przyjechać pociągiem o siódmej.

- Prawdę mówiąc, zapomniałam, że i ty możesz tam być.

- Twoje szczęście, że czekałam na ciebie.

- To prawda - przyznała dziewczynka cichym głosem. Zamknęła oczy i wzdrygnęła się. - Ja tylko nie chciałam, żebyś obcięła mi włosy.

- Domyśliłam się. - Jenny przebiegła palcami po swoich lepiących się, zmatowiałych lokach. Ciekawe, ile trzeba czasu, by zeszła z nich pasta do butów. - Posłuchaj, mała, może i dobrze, że najadłaś się strachu, bo nie pozwolę ci wykręcić znowu takiego numeru. Rozumiesz? Zniszczyłaś nasz plan. Nie szukałam nowego hotelu, bo sądziłam, że może tu wrócisz. Teraz nawet recepcjonista wie, że zmieniłam wygląd. - Znaczyło to ni. mniej, ni więcej, tylko że wtarła we włosy pastę do butów zupełnie niepotrzebnie. .

- Nie wyobrażasz sobie, jak się czułam, gdy nie wiedziałam, gdzie jesteś ani co się z tobą dzieje. - Spojrzała przez okno na swoją gwiazdę. -. Dałam słowo twojej mamie, że zawiozę cię do ojca w Kalifornii. - Odwróciła się do Gracieli. -

I to właśnie mam zamiar zrobić, więc się zdecyduj. Rzecz w tym, że potrzebuję twojej pomocy. Nie możesz ze mną walczyć na każdym kroku, a to oznacza, że musisz przystać na kilka reguł, na przykład, że już więcej nie uciekniesz.

- Dlaczego nie możesz mnie po prostu odwiedzić do cioci Tete? Przecież nie masz ochoty ciągnąć się ze mną do Kalifornii, ja też nie chcę tam jechać. Wolę wrócić do domu. - Graciela skubała brzeg ręcznika, którym owinęła swoje świeżo umyte ciało.

Boże, czyż nie kusilo ją, by porzucić dziewczynkę na progu domu dony Theodory i spokojnie odjechać w siną dal?

- Twoja mama tego właśnie pragnęła uniknąć. Posłuchaj, dzieciaku, dałam jej słowo, przyrzekłam!

Graciela spuściła wzrok i zgniotła w dłoni serwetkę.

- Mama nie będzie wiedzieć, czy dotrzymałaś obietnicy ... - szepnęła.

- Ale ja będę! - Jenny spojrzała na nią z ogniem w oczach.

- Kiedy Jenny Jones daje słowo, jest to święte! To nie ma już nic wspólnego z twoją mamą. Tak to jest, dzieciaku. Po tym, jak dajesz komuś słowo, osoba, której coś obiecałaś, przestaje uczestniczyć w grze. To tylko sprawa między tobą a twoim sumieniem. Jeśli dotrzymasz obietnicy, wtedy jesteś kimś, dobrze zrobiłaś, i tylko to się liczy. Ale jeśli nawalisz, równie dobrze możesz sobie podciąć żyły, bo to znaczy, że nie jesteś nic warta. Nie masz za grosz pieprzonego honoru. Widzisz więc, jak

się sprawy mają. I z tego powodu zabierzesz swój tyłek do Kalifornii.

Graciela spuściła głowę i wpatrywała się w pusty talerz. Po policzku spłynęła jej łza i kapnęła na stół.

- Zepsułaś nasz plan, straciłam przez ciebie mnóstwo nerwów i mogło ci się przydarzyć coś okropnego. Dlatego musimy wspólnie ustalić pewne zasady gry.

Chcę, byś przyrzekła, że już więcej ode mnie nie uciekniesz.

- Tego nie zrobię - odparła Graciela głucho.

- Dziecko, nie obetnę ci włosów, zmieniłam zdanie. Popatrz na toaletkę, kupiłam spinki. Upniemy ci włosy pod czapką - powinnam była wcześniej o tym pomyśleć. Jeśli postarasz się jej nie zdejmowflć, wszystko powinno się udać.

- Nie nazywaj mnie więcej dzieckiem! Nie cierpię, kiedy tak do mnie mówisz.

Mam na imię Graciela.

Zaskoczona Jenny uniosła brwi. Musi przestać uważać Gracielę za miniaturę Marguarity. Wpajana od lat etykieta wpłynęła na manieri dziewczynki, ale nie zdołała ugasić jej ognia.

- Dobrze - rzekła powoli, rozważając prośbę. - Mogę zgodzić się na to ... jeśli nie będziesz się mazać przy każdym słowie.

Przez dłuższy czas mierzyły się wzrokiem.

- Spróbuję - zgodziła się w końcu Graciela. - Ale pamiętaj, że są takie sytuacje, kiedy trzeba płakać.

- Możliwe - odparła Jenny z powątpiewaniem. - Przynajmniej w twoim wieku.

Następna sprawa: musisz się zgodzić przebrać za chłopca. Przestań też wiecznie pytać "dlaczego", bo doprowadzasz mnie tym do szału.

- Włożę chłopięce ubranie, jeśli ty przestaniesz mi co chwila grozić biciem.

Boję się tego.

- Akurat na to nie mogę się zgodzić - odparła Jenny po zastanowieniu. - Nikt bardziej niż ty nie zasługuje na porządne lanie.

- Dlaczego?

- Widzisz? Znowu zadajesz te głupie pytania. Do diabła z tym!

- Chcę wiedzieć.

- Potrzebujesz lania, ponieważ jesteś przemądrzałą i arogancką gówniarą, której wydaje się, że jest lepsza od... innych ludzi. - Policzki Jenny zaróżowiły się. -

Nigdy nie robisz tego, o co cię proszę. Myślisz, że pozjadałaś wszystkie rozumy, a tak naprawdę nie wiesz nic. Życzysz mi śmierci, ale nie uwierzyłaś ani mnie, ani twojej mamie, gdy ostrzegałyśmy cię o zachłanności kuzynów. Co z tego, że masz dobre maniery i jesteś pedantką. Nie umiesz zrobić nic pożytecznego, a twoja chusteczka jest wiecznie czysta. Jasne, że chcę cię zbić na kwaśne jabłko!

- Za to ty chodzisz jak mężczyzna i nie mówisz "proszę" ani "dziękuję". Wdałaś się w bójkę z moimi kuzynami. - Graciela wzdrygnęła się, a kąciki jej ust opadły i ułożyły się w podkówkę. - Zawsze się gniewasz i nie modlisz się przed snem.

Brzydko mówisz i palisz cygara, kiedy wydaje ci się, że śpię. Nie znasz mojego tatusia, nie znałaś nawet mojej mamy. Masz włosy między nogami i brzydką fryzurę. I nie jesteś damą.

Jenny wstała i spojrzała przez okno. Noc była upalna, a niebo usiane milionami gwiazd. Jednak Jenny widziała tylko jedną.

- A więc wiemy już, na czym stoimy - powiedziała na koniec.

- To dobrze, jak na jedną noc wystarczająco dużo się nagadałam.

Sądząc po twoim ziewaniu, ty chyba też. Wskakuj więc do łóżka, a tę przemiłą rozmowę dokończymy jutro.

- Dlaczego muszę chodzić spać przed tobą?

- Bo chcę w spokoju poczytać mój słownik i uporządkować myśli. A również dlatego, że jestem dorosła, ty zaś tylko dzieckiem. Posłuchaj

... obiecałaś nie zadawać tylu pytań.

- Wcale nie.

Jezu, dzieci potrafią bez trudu wykołować każdego dorosłego.

Jenny nie miała pojęcia, dlaczego kobiety z własnej woli zachodzą w ciążę.

Przed podróżą sądziła, że obdzieranie bawołów ze skóry należy do naj gorszych zajęć na świecie. Teraz nabrała przekonania, że w porównaniu z wychowywaniem dzieci to pestka. Kiedy uświadomiła sobie, że może spędzić następne dwanaście lat jako opiekunka Gracieli, omal nie padła na ziemię z rozpaczy.

- Włóż koszulę nocną i idź do łóżka. - Skrzywiła się patrząc na gwiazdę Marguarity. Poczekala, aż dziewczynka będzie gotowa do zmówienia pacierza, po czym westchnęła i usiadła na' skraju łóżka. - Powinnaś uklęknąć -

przypomniała jej Graciela.

- To ty się modlisz, nie ja. Zmów szybko pacierz i przestań grymasić.

- Przynajmniej przymknij oczy.

- Dobrze! Zamknęłam oczy. Módl się wreszcie.

- Ojcze nasz, któryś jest w niebie ...

Jenny usłyszała delikatne stuknięcie, a gdy otworzyła jedno oko, ze zdziwienia skoczyła na równe nogi. Oto do pokoju wkroczył kowboj z Verde Flores, zatrzasnął za sobą drzwi i wycelował kolta prosto w jej piersi. Zaskoczona, otworzyła z niedowierzaniem usta. - Odepnij pas z pistoletem i przesun go powoli w moją stronę. Graciela wrzasnęła, stanęła na łóżku i przywarła do ściany. Oczy miała okrągłe i wielkie z przerażenia.

- Co, u diabła? - Jenny starała się myśleć logicznie. Kowboj tutaj? Poruszając się powoli, na wszelki wypadek, gdyby mężczyzna miał wrażliwy palec, ostrożnie uniosła brzeg poncza i delikatnie odpięła pas. - Jeśli to napad ...

- Mamy sobie wiele do wyjaśnienia. Upuść teraz pas na ziemię i podaj mi go, albo będę strzelał. I nie łudź się, że tego nie zrobię. Dopóki nie usłyszę twojej wersji wydarzeń, muszę zakładać wszystko co najgorsze. Oddaj broń.

Chłód w jego niebieskozielonych oczach świadczył o tym, że mężczyzna nie żartuje, mimo to nie bez oporów przesunęła w jego stronę pas i pistolet.

- Jak nas odnalazłeś? - Nie mogła powiązać spotkania z kowbojem na stacji w Verde Flores z jego obecnością w tym pokoju. Jedno wydawało się oczywiste: jego wizyta nie była przypadkowa. Instynkt podpowiadał jej, że obcy śledzi je już od dawna, ale nie potrafiła sobie wytłumaczyć, dlaczego.

- Dostrzegłem was z okna pociągu.

- Czemu się tak nami interesujesz? - zażądała wyjaśnień Jenny.

Kowboj patrzył ponad jej głową na Gracielę. A więc o to chodzi! - Ty wstrętny zboczeńcu! - Jenny zacisnęła zęby i bez ostrzeżenia rzuciła się na mężczyznę. Całkowicie go zaskoczyła. Niczym taranem wbiła mu się głową w brzuch i wycisnęła z jego płuc powietrze. Gdy kowboj skulił się zamroczony, gwałtownie uniosła głowę, podbijając mu z całej siły podbródek.

Posunięcie okazało się na tyle skuteczne, że już po chwili wytrąciła mu kolta z ręki.

Zanim jednak zdążyła podnieść broń, mężczyzna chwycił ją wpół i oboje upadli na podłogę, turlając się i okładając na oślep pięściami.

Walka była wyrównana. W pewnym momencie Jenny zrobiła unik i odchyliła głowę do tyłu tak

nieszczęśliwie, że uderzyła nią mocno o wannę. Gdyby nie to, miałyby duże szanse, by go pokonać. Jednak uderzenie ogłuszyło ją i właśnie wtedy kowboj na nią skoczył.

Przez dwie długie minuty siedział na niej okrakiem, przygważdżając jej ręce do podłogi. Oboje ciężko dyszeli. Z pękniętej wargi kobiety ciekła krew, podobnie wyglądał jego rozbity nos - czerwone krople kapwały na ponczo Jenny.

_ Jezu - rzekł w końcu kowboj. - Po raz pierwszy w życiu biłem się z kobietą.

- Wpatrywał się w oszołomieniu w jej zakrwawione usta. Następnie wstał i podniósł Jenny z podłogi. Posadził ją na krześle i wyjął z paska cienką linkę.

_ Graciela, uciekaj! - Nie zamierzała ułatwiać mu życia. Rzuciła się i wykręcała na wszystkie strony, starając się wyswobodzić z uścisku.

Mężczyzna szarpnął ją do tyłu i ciasno związał jej ręce. - Siedź na miejscu - ostrzegł dziewczynkę.

Jenny zrozumiała, że Graciela posłucha kowboja ze strachu.

Stała wciąż przy ścianie i patrzyła na obcego w milczeniu, zbyt przerażona, by płakać.

Tymczasem kowboj przywiązał nogi Jenny do krzesła, a dla pewności owinął

jej jeszcze wokół piersi kawałek sznura. Wstał, by przyjrzeć się swemu dziełu, i wytarł krew z nosa. Cały czas przeklinał i kręcił głową.

- Tylko spróbuj ją tknąć! - ostrzegła Jenny przez zaciśnięte zęby. Jej spojrzenie było równie mrozące, jak wzrok kowboja. - Zapamiętaj sobie, ty kawałku ścierwa, jeśli ją skrzywdzisz, będę cię ścigać do końca moich dni, a gdy cię dopadnę, nie umrzesz szybko.

- Jeśli ją ... ? - Ty wykrzywił twarz z odrazą. - Nie mam zamiaru ... O Boże!

Nazywam się Ty Sanders, a Robert Sanders to mój brat. Jestem wujkiem Gracieli, na Boga!

Zdumiona Jenny gapiła się na niego w milczeniu. Ujrzała nagle podobieństwo rysów twarzy, te same co u Gracieli zielononiebieskie oczy i identyczne, szerokie usta. Wróciła myślami do opowieści Marguarity. Robert Sanders nie pojechał do Meksyku z Marguaritą;

został w Kalifornii, by dopilnować, czy aby spadek nie przejdzie w ręce naj młodsze go brata. Uderzyło ją, że kowboj może mówić prawdę.

Mężczyzna sprawdził, czy Jenny jest dobrze związana, i podszedł do łóżka.

- A więc to ty jesteś córką Roberta.

Jenny starała się zrozumieć wyraz jego twarzy, lecz nie potrafiła odgadnąć, co czuje do córki brata. Brak większych emocji sugerował, że nie jest zbyt uradowany spotkaniem z bratanicą, a

jednocześnie nie zdaje sobie jeszcze sprawy, jakim dziewczynka potrafi być potworem.

- Jestem twoim wujkiem i mam na imię Ty, a twój tata to mój rodzony brat -

wyjaśnił jej bez entuzjazmu. - Nazywasz się Graciela?

- Nie rozmawiaj z nim! - Nawet jeśli mężczyzna jest tym, za kogo się podaje, Jenny mu nie ufała, najwyraźniej miał paskudny charakter.

Kowboj popatrzył za złością na kobietę i po chwili zastanowienia chwycił serwetkę i bez pardonu wetknął jej w usta.

- Twój tata przysłał tu mnie w konkretnym celu. Miałem cię odszukać i wraz z twoją mamą zabrać do Kalifornii. Jego życzeniem było, abyście zamieszkali wreszcie razem.

Graciela' nadal stała pod ścianą i słuchała go uważnie, nie zważając na znaki dawane przez Jenny.

- Znasz mojego tatę? - spytała nieśmiało.

- Oczywiście, znałem go całe życie. - Kowboj nie odnosił się do niej oziębło, ale i nie mówił ze specjalnym ciepłem. - Poznałem twoją mamę wiele lat temu, znam również twojego dziadka, don Antonia.

Jenny przestała się szamotać i z rosnącym zainteresowaniem wsłuchiwała się w słowa kowboja. Albo zasięgnął przedtem dokładnych informacji, albo faktycznie był jednym z Sandersów. Tak czy owak, intuicja podpowiadała jej, że przyjechał tu niechętnie. Może i był wujkiem Gracieli, lecz nie żywił w stosunku do dziecka żadnych cieplejszych uczuć.

- Moja mama nie żyje - zwierzyła się Graciela ze łzami w oczach.

- Tak, dowiedziałem się o tym od dony Theodory.

Graciela otarła łzy i wpatrywała się w kowboja, a z jej oczu, ku wielkiemu przerażeniu Jenny, wyzierała ufność. Kobieta ponownie usiłowała wyswobodzić się z więzów. Gdy tylko usłyszała, że Sanders szukał Gracieli w wiosce, zrozumiała jego zamiary.

- To znaczy, że znałeś też ciocię Tete?

- Poznałem ją już dawno temu, kiedy wybrała się w odwiedziny do twojego dziadka, Antonia. - Kowboj uśmiechnął się. - Jechała wozem z twoją mamą, gdy nagle odpadło koło. Zatrzymałem się, by im pomóc, ale cioci Tete nic się nie podobało. Pamiętam, że miała taki wielki wachlarz ... - Graciela nie odrywała wzroku od twarzy mężczyzny. - Uderzała mnie nim po ramieniu, o tutaj. I ciągle po~tarzała: "Za przeproszeniem, *senar*, ale wszystko robi pan nie tak".

Graciela pokiwała głową i uśmiechnęła się, po czym usiadła na łóżku i patrzyła na mężczyznę zafascynowana.

Gdy Jenny zdała sobie sprawę, jak łatwo udało mu się oczarować dziecko, poczuła się jak uderzona obuchem.

- Mój plan jest dość prosty - ciągnął Sanders. - Zabiorę cię do taty i babci Ellen.

- Ale ja chcę wrócić do domu, do cioci Tete - wyszeptała dziewczynka. A więc powraca stara śpiewka; Jenny uśmiechnęła się w duchu.

- Twój dom jest teraz w Kalifornii. - Kowboj obserwował wyraz twarzy małej. -

Jednak nic nie stoi na przeszkodzie, żebyś od czasu do czasu odwiedzała z tatą ciocię Tete bądź żeby ona przyjeżdżała do was. Podróż do Kalifornii wcale nie oznacza, że już jej więcej nie zobaczysz.

Jenny nie wierzyła własnym uszom. Co za spryciarz, w mgnieniu oka odsunął

na bok wszelkie protesty dziecka. Czemu sama na to nie wpadła? Rzut oka na twarz Gracieli wystarczył, by wiedziała, że argumenty Sandersa od razu trafiły jej do przekonania. I nie dość, że jest gotowa pojechać z kowbojem bez najmniejszego oporu, to najwyraźniej nie odczuwa w stosunku do Jenny choćby cienia żalu czy wdzięczności za wszystko, co dla niej zrobiła. Co za paskudny, wredny bachor!

- W porządku, a teraz ubierz się i poczekaj na mnie, dobrze?

Mam tu do załatwienia jeszcze jedną sprawę, muszę porozmawiać z tą tam ... -

Kiwnął palcem w stronę kobiety.

- Nazywa się Jenny Jones i zabiła moją mamę.

Jenny przymknęła oczy i spuściła głowę. Niech to wszyscy diabli. Powinna była porządnie ją sprać, kiedy miała po ternu okazję.

- Właśnie tego muszę się dowiedzieć. Wyjdziemy stąd, gdy tylko z nią skończę.

Graciela nie wahała się nawet przez chwilę. Ta po stokroć nielojalna i niewdzięczna istota raz dwa zeskoczyła z łóżka, podbiegła do szafki i wyjęła spakowane przez Marię ubranie. Ze skromnością młodej damy skryła się za parawanem i już wkrótce jej koszula nocna zawisła na górze.

Tymczasem kowboj wyjął serwetkę z ust Jenny i usiadł przy stole, odsuwając na bok talerz Gracieli.

- Kim, u licha, jesteś? Skąd się wzięła u ciebie moja bratanica? Jenny opowiedziała mu pokrótce całą historię, począwszy od zabicia łajdaka, który na nią napadł, a kończąc na zostawieniu Marguarity w celi i swojej ucieczce w przebraniu księdza. Nie pominęła żadnego szczegółu.

Ty Sanders nie przerywał i wysłuchał jej opowieści w ciszy i skupieniu. Przez cały czas obserwował ją chłodnym wzrokiem.

- Jeśli zgodziłaś się zawieźć dziewczynkę do ojca, to co, u diaska, robisz w Durango?

- Ostatnio moim największym problemem było pozbycie się kuzynów małej. -

Wydeła usta z irytacją. - Jak długo czekałaś na stacji w Verde Flores, aż dojdą do siebie?

- Między Durango a Verde Flores jest mnóstwo stacji, dlaczego nie wysiadłaś na jednej z nich i nie pojechałaś na północ?

- Rzykując tym samym, że Luis i Chulo dopadną mnie w Verde Flores? -

warknęła Jenny. - Rozwiąż mnie.

- Nie ma mowy. - Kowboj obejrzał się na łóżko, gdzie leżała Graciela; dziewczynka usnęła, gdy tylko przyłożyła głowę do poduszki. Zamilkł na kilka minut. - Wiesz co, jestem skłonny uwierzyć w twoją historyjkę.

- Posłuchaj mnie, ty skurwysynu, ja nigdy nie kłamię! Właśnie dlatego Marguarita mi zaufała, w końcu powierzyła los córki zupełnie obcej osobie. To mnie poprosiła, żebym wychowała Gracielę, gdyby się jej wyrzekł twój tchórzliwy brat.

- Wygląda na to, że tanio kupiłaś sobie życie, Jenny Jones.

- Kowboj zmrużył oczy. - Nie będziesz już musiała jechać do Kalifornii ani przez długie lata opiekować się cudzym dzieckiem.

- Tak myślisz? Marguarita miała na ten temat całkiem inne zdanie. - Jenny szarpnęła więzami, lecz wkrótce dała temu spokój. - Nie wspomniała ani słowem, żebym oddała dzieciaka wujkowi, jeśli się taki pojawi. W ogóle nie brała pod uwagę innych członków rodziny. Kazała mi zawieźć dziewczynkę do Kalifornii, a jeśli by zaszła taka potrzeba, sarna miałam ją wychowywać. -

Pochyliła się do przodu i spojrzała mu prosto w oczy. - I tak też się stanie.

Obiecałam, więc nie oddam ci dziecka. To ja zabiorę ją do Kalifornii.

- O, co to, to nie. - Mężczyzna też się pochylił, przybliżając nos do jej twarzy.

- Nie masz do niej żadnych praw. Już jutro możesz wracać w swoje strony.

- Uwierz mi, że uczyniłabym to z największą przyjemnością.

Nawet nie zdajesz sobie sprawy, jak wielką mam ochotę zostawić ci to przemądrzałe i uparte dziecko i zapomnieć o tej żalostnej historii. Ale dałam słowo i mało mnie obchodzi, czy jesteś wujkiem Gracieli, czy nie. To nie ma najmniejszego znaczenia, bo obiecałam Marguaricie, że osobiście zawiozę dziewczynkę do ojca. Zawarłam

. z nią umowę, proszę szanownego pana, i nie bacząc na nic, zamierzam jej dotrzymać.

- Zdaje się, że na razie nie jesteś w stanie tego zrobić. - Kowboj z wolna obrzucił wzrokiem krzesło, na którym siedziała, i na jego ustach pojawił się ślad uśmiechu.

- Przyznam, że napotkałam nieprzewidziane przeszkody ... ale dotrzymam słowa. Ponoszę za to dziecko całkowitą odpowiedzialność.

- Mylisz się. Gdy Marguarita z tobą rozmawiała, nie była świadoma wszystkich okoliczności sprawy. Nie miała pojęcia, że właśnie jadę po nią i jej córkę.

- Jasne, tylko dlaczego o tym nie wiedziała? Czy twój tchórzliwy brat nie mógł się zdobyć na wysłanie choć jednego listu? - Twarz Jenny wykrzywił

drwiący uśmiech.

- Oczywiście, że pisał. Napisał do Marguarity przynajmniej ze sto listów, na które nie raczyła odpowiedzieć.

- To tylko słowa. Tak się składa, że wiem, iż Marguarita nie doczekała się żadnej wiadomości od pocziwego Roberta. Sądziś, że byłabym w to wplątana, gdyby się spodziewała twojego przyjazdu?

- Dona Theodora - rzucił kowboj po namyśle. - To jedyne rozsądne

'wy tłumaczenie. Musiała przechwytywać listy i ukrywać je przed Marguaritą.

- Rozwiąż mnie, do cholery!

Wstał i zerknął na łóżko, gdzie Graciela smacznie spała w swoim modnym stroju podróżnym.

- Nie wiem, po co ci to mówię, ale w tym, co powiedziałaś, jest sens -

stwierdził patrząc na Jenny. - Gdyby Marguarita wiedziała, że mam zamiar zabrać ją wraz z córką do Kalifornii, ty już dawno byś zginęła, podziurawiona kulami plutonu egzekucyjnego. I co najważniejsze, nie mieszałybyś się w sprawy, które cię w żadnej mierze nie dotyczą. Chcę ci dać jasno do zrozumienia, że zostałam wyłączona z gry. Graciela ma rodzinę, która się nią zajmie.

- Czyżby? Kuzyni Luis i Chulo to też rodzina, a gdyby dostali Gracielę w swoje łapska, to jakby już nie żyła - warknęła kobieta. - Właśnie tak rodzina postępuje z człowiekiem.

- Myślałem już o tym. Masz rację co do Luisa i Chulo. Choć są bliskimi krewnymi, to łotry. Mimo to wątpię, aby posunęli się do morderstwa, raczej zadowolą się okupem.

- Nie oszukuj się, drogi wujku Ty - parsknęła Jenny. - Graciela stanowi dla nich jedyną przeszkodę na drodze do fortuny Barran casów. Widziałeś Luisa i Chulo, są zdesperowani i okrutni. Po co mieliby zaprzętać sobie głowę okupem, kiedy mogą wszystko odziedziczyć?

- Jeśli zdecydują się na okup, będą mieli szansę pertraktować z Barrancasami i moją rodziną. Gdy ją zabiją, jedynym celem zostanie majątek don Antonia. Nie, to zbyt krótkowzroczne.

- Ci ludzie nie widzą różnicy między twoim bratem a miską fasoli - odcięła się Jenny. - Stawiam moje wszystkie muły i uprząż, że ... - Nie, przecież już dawno temu stracił muły i resztę rzeczy. - Tak czy inaczej, doskonale znają bogactwo don Antonia i wiedzą, że są następni w kolejności w razie śmierci małej.

Możesz być pewien, że gdy tylko dorwą Gracielę, dzieciak zginie.

- Jesteś zadziwiająco kobietą - rzekł zniechęcony. - Takiego obrotu rzeczy w ogóle się nie spodziewałem.

- Rozwiąż mnie! - Bezskutecznie szarpała się na krześle. Przytrzymał jej głowę i włożył serwetkę w usta, po czym z obrzydzeniem popatrzył na swoje czarne palce.

- Co, u licha, zrobiłaś z włosami?

Pokręcił głową i wytarł palce w spodnie. Następnie podszedł do łóżka i niezgrabnie wziął Gracielę na ręce. W drzwiach jeszcze raz spojrzął na Jenny.

- Zanim ktoś cię tu odnajdzie, będziemy już w połowie drogi do Verde Flores.

- Zmarszczył czoło, zawahał się i dodał z ociąganiem: - Szczerze żałuję, że musiałem cię uderzyć. Doceniam również, co zrobiłaś dla mojej bratanicy.

- Ty sukinsynu! - Jenny rzuciła mu wściekłe spojrzenie.

- Lepiej wyglądałaś z rudymi włosami. - Uśmiechnął się nagle i puścił do niej oko. - Koniecznie zmyj z siebie to świństwo. - Wyszedł szybko z Gracielą i zamknął za sobą drzwi. Jenny słyszała jeszcze odgłos oddalających się kroków.

Zaczęła walczyć z więzami, klnąc pod nosem i starając się wypluć knebel. Po dwudziestu minutach zmagania, wycieńczona, dała za wygraną.

Bezradnie odchyliła głowę i spojrzała w sufit. Marguarito, nie mogłaś mi pomóc choć odrobinę? O, nie, to nie w twoim stylu, musiałaś wszystko skomplikować. Nie dość ci było śmierdzących kuzynów, teraz doszedł jeszcze kochający wujek. Co to jest, u diabła, wystawiasz mnie na próbę?

Spróbowała uspokoić myśli i wydało się jej, że wie, dokąd zmierza Ty Sanders. Co ważniejsze, wie, dokąd nie jedzie. Na pewno nie wybiera się do Verde Flores, przynajmniej nie od razu.

Zirytowało ją niezmiernie, że mają za taką idiotkę. Jak mogłaby uwierzyć w tę taną sztuczkę. Jeśli się przed kimś ucieka, nie zdradza się, dokąd. Nauczyła się tego jeszcze w wieku Graciel.

Skrepowana i zakneblowana, resztę nocy spędziła na obmyślaniu, jak odzyskać dziecko.

7 ~

Dwie minuty po tym, jak Ty opuścił z Gracielą pokój Jenny, stanął przed problemem, którego nie

przewidział. Sprawa była kłopotliwa. Bo właściwie dokąd ma z nią pójść? Po awanturze z Jenny czuł się wyraźnie nieswojo na myśl, że przyjdzie mu wynajmować pokój w porządnym hotelu, trzymając na ręku meksykańską dziewczynkę. Oczywiście w hałaśliwym miasteczku wielkości Durango istniały miejsca, gdzie nikt nawet nie mrugnąłby na widok mężczyzny prowadzącego dziecko do pokoju hotelowego. Ale sama perspektywa, że może być posądzony o nieczne zamiary, wydała mu się tak odpychająca, że przewracała się w nim wewnątrz.

Przemierzał ciemne i opustoszałe uliczki miasta i wciąż się zastanawiał. Po długich wahaniach odrzucił pomysł, by natychmiast opuścić Durango, choć mógł w ten sposób uniknąć problemu z hotelem. Nawet gdyby Graciela nie spała i była w stanie podróżować, nie bardzo wiedział, gdzie miałby o tej porze zdobyć dla niej konia. A zatem musiał znaleźć pokój. W końcu z wielkim oporem postanowił poszukać jakiegoś taniego zajazdu, gdzie nie zadaje się zbędnych pytań.

Zły i zawstydzony, mając nieprzepartą ochotę zmasać choćby siłą dwuznaczny uśmiech z twarzy recepcjonisty, poniósł śpiące dziecko na górę. Dostał

nauczkę, pomyślał, już więcej żadnych hoteli. Całe szczęście, że nie musiał

jechać z Gracielą pociągiem. Amerykanin i mała Meksykanka z pewnością ściągnęliby na siebie uwagę i Bóg wie jak lubieżne spekulacje. Ból w trzewiach ostrzegał go, że jego duma nie zniesie dalszych upokorzeń. W duchu już się gotował do wielu zaciętych walk.

Tymczasem dotarł do obskurnego pokoiku i położył Gracielę na zapadającym się pośrodku łóżku. Po krótkim namyśle zdjął jej kapelusik. Dziewczynka przebudziła się na moment, gdy ściągał jej buty, potem położyła głowę na poduszce, westchnęła i ponownie zasnęła.

Ty rzucił swój kapelusz na obdrapaną szafkę, zdjął pas z pistoletem, usiadł na stołku przyoknie i prześledził w myślach wydarzenia minionego dnia.

Przeczuwał, że kłopoty ze znalezieniem hotelu stanowiły za ledwie przedsmak czekających go problemów. Ponadto uświadomiły mu, że nic nie wie o dzieciach, a już szczególnie o małych dziewczynkach. Dopiero teraz zdał sobie sprawę, jak trudna może się okazać wspólna podróż. Początkowo zakładał, że Marguarita będzie mu towarzyszyć w drodze do Kalifornii, z tego zaś wypływał

oczywisty wniosek, iż to ona zajmie się córką. Potem nie zastanawiał się już nad tym, bo nawet nie przypuszczał, by miał z tym dzieckiem cokolwiek do czynienia.

Podniósł głowę i rozejrzał się po pokoju, zatrzymując wzrok na twarzy Gracieli, oświetlonej światłem wpadającego przez okno księżycy. Ty nie znał

jej matki zbyt dobrze, niewiele zresztą pamiętał z czasów, gdy mieszkała w sąsiedztwie, ale dostrzegał pewne podobieństwa. Wprawdzie dziewczynka miała kasztanowe, delikatne włosy i jasną cerę, lecz nie sposób było nie zauważyć jej meksykańskiego pochodzenia. Poza znajomym kształtem ust i oczu, w niczym nie przypominała żadnego z Sandersów.

Ty pochylił się do przodu, oparł łokcie na kolanach i odgarnął włosy opadające mu na czoło.

Cal Sanders nie uznał małżeństwa Roberta, bo nie mógł znieść myśli o meksykańskich wnukach. Możliwość odziedziczenia spuścizny Sandersów przez jakiegoś nędznego meksykańskiego bękarta była dlań zbyt obrzydliwa, by ją w ogóle brał pod uwagę. Uwłaczający wydawał mu się już sam fakt, iż posiadłość Barrancasów graniczy z jego ziemią; połączenie obu rodzin zupełnie nie wchodziło w grę.

Calvin Sanders wstąpił w szeregi armii amerykańskiej w wieku szesnastu lat, a niedługo potem, w roku 1846, wyruszył wraz z nią na podbój Meksyku.

Niestety, już niebawem zakończył swoją krótką karierę w wojsku, pozostawiając prawą rękę na przedmieściach Mexico City. Od tego czasu datuje się jego nienawiść do wszystkiego, co meksykańskie. Uczucie to trwało przez długie lata i nie opuściło go aż do śmierci, trzy miesiące temu, paląc równie mocno co smoła, którą przyżegano mu ranny kikut przedramienia.

Ty pogładził się po podbródku, po czym rzucił butem w przebiegającego przez pokój szczura.

To, że Robert zlekceważył najważniejszą z zasad, którymi . kierował się ojciec, zakrawało na życiową ironię. To przecież Robert był zawsze układnym i posłusznym synem, skorym do sprawiania rodzicom przyjemności, Ty zaś wiecznie się buntował. Na długo przed osiągnięciem pełnoletności Ty pogodził

się z faktem, że nigdy nie dogada się z ojcem. Równie co on nieustępliwy, nie potrafił bez kłótni usiedzieć z nim dłużej . w jednym pokoju. Od dzieciństwa ambicją młodszego syna było opuścić farmę i wyzwolić się spod tyranii ojca.

Gdy tylko poczuł, że jest w stanie na siebie zarobić, tak też uczynił. Jego decyzja zraniła dumę starego człowieka, lecz nic poza tym.

To Robert, ulubiony syn, omal go nie zabił, żeniąc się z Meksykanką. I okazało się, że z dwóch braci właśnie Ty bardziej przypomina Cala Sandersa.

Zakłopotany spojrzał na jaśniejącą w ciemnościach twarz Gracieli.

Widok śpiącego dziecka przeciwstawiał się jego wszystkim uprzedzeniom.

Graciela nie jest pierwszą lepszą Meksykanką, jest bratanicą Ty'a, krwią z jego krwi. To spostrzeżenie zupełnie pomieszało mu w głowie.

Wyprostował się, przeciągnął i skierował myśli na coś, z czym mógł sobie w tej chwili poradzić. Pomyślał o Jenny Jones. Mimo woli uśmiechnął się na to wspomnienie. Zaiste, niezwykły był widok istoty szarpiącej się z więzami, rzucającej mu mrozące spojrzenia i klnącej poprzez serwetkę, którą zatkał jej usta.

Czuł niesmak, że wdał się w bójkę z kobietą. I to z jaką kobietą, mój Boże!

Ale nie miał innego wyjścia, zaatakowała go:

Tak czy owak, fascynująca z niej szelma.

Teraz, gdy już nie musiał osłaniać twarzy i krocza przed szaleńczymi ciosami jej pięści, pozwolił sobie na rozmyślania o delikatnym dotyku jej piersi i kształcie jędrnych pośladków. Słodki Jezu!

Jedyną cudownie miękką częścią ciała kobiety były jej piersi.

Cała reszta wydawała się twarda i zbita i przypominała mu nową beczkę whisky. A w dodatku potrafi się bić, pomyślał, pocierając obolały nos.

Spotykał już w życiu i dziwki, i kobiety ciężko pracujące, niektóre z nich prymitywne i oschłe w obyciu, ale jeszcze nigdy nie zetknął się z kimś takim jak Jenny Jones. Nie pasowała do żadnej znanej mu kategorii.

Jeśli zabiła napastującego ją zbira, znaczy to, że nie jest dziwką.

Sama zarabiała na życie, lecz podejmowała prace zarezerwowane dla mężczyzn.

Jest bez wątpienia zawzięta i twarda, ale czuł, że sprawiły to okoliczności.

Zauważył w niej wyraźne przebłyski kobiecej słabości, kontrastujące z soczystym językiem i surowym sposobem bycia. Wyczuł też coś, czego nie potrafił sobie wytłumaczyć, a mianowicie pewną spójność moralną i zwykłą przyzwoitość, zalety, których na pewno nie przypisałby szorstkim, mało kobiecym niewiastom, wkraczającym bez lęku w męski świat.

Tak naprawdę nie potrafił jej rozgryźć. Z pewnością też nie rozumiał jej uczuć w stosunku do dziecka. Ze słów i tonu, jakim zwracała się do Gracieli, odniósł

wrażenie, że za nią nie przepada. Mimo to był świadkiem wzruszającej i pełnej czułości sceny, gdy szedł za nimi do hotelu. Poza tym kobieta winna była wycofać się z gry w momencie, kiedy pojęła, kim jest Ty, ale wcale tego nie zrobiła.

Wszystko w niej fascynowało go i dziwiło. Nie pamiętał, by jakkolwiek inna kobieta tak na niego działała. Odczuł odrobinę żalu na myśl, że już jej więcej nie ujrzy i nie pozna lepiej motywów jej działania.

Kiedy zdał sobie sprawę, że próbuje wyobrazić ją sobie z długimi włosami i w porządnym ubraniu, cicho się zaśmiał. Gdy chodziło o kobiety, zwykle zastanawiał się, jak wyglądają bez fatalaszków. W tym zaś przypadku było na odwrót.

Pokręcił głową z uśmiechem niedowierzania, założył ręce na piersi i oparł się plecami o ścianę. Potrzebował nieco snu, nazajutrz czekał go pracowity dzień.

Jednym z wielu problemów, które ujawniły się już z samego rana, okazały się spinki i grzebienie do włosów. Ty wiedział więcej na temat tajemnic wszechświata niż o takich rzeczach.

Zmarszczył czoło i spojrział na bratanicę. Czubkiem głowy sięgała mu ledwie do pępka, ale zdążył się już nauczyć, że mała i drobna nie oznacza bynajmniej wstydliva i cicha.

_ Możesz powtórzyć? - poprosił.

_ Popatrz tylko - nalegała Graciela, a jej oczy aż błyszczały z przejęcia. -

Włosy mi się płaczą i ciągle spadają na twarz. Tak nie może być, potrzebuję spinek.

_ Twoje włosy wyglądają bardzo ładnie - rzekł niezdecydowanie, bo choć nie znał się na dziewczęcych fryzurach, tak w istocie myślał. Pasma lśniących kasztanowych włosów sięgały jej prawie do pasa. - Przysiągłbym, że widziałem już dziewczynki z rozpuszczonymi włosami.

_ Przyzwoite młode panny nie noszą się tak w miejscach publicznych - tłumaczyła mu jak dziecku.

. Poczul się jak ostatni dureń, który nie rozumie rzeczy oczywistych.

- Jeśli to dla ciebie takie ważne, kupię ci te spinki - poddał się w końcu.

Zakładał, że dziewczynka wie, gdzie kupuje się podobne drobiazgi. Ta myśl doprowadziła go do kolejnej. - Czego jeszcze potrzebujesz? - W końcu dziewczynka opuściła pokój Jenny jedynie w tym, co miała na sobie, - Mam w jukach papier, więc zrób spis wszystkich rzeczy. Chyba umiesz pisać?

- Si.

Właśnie wtedy zdał sobie sprawę, że mała już od kilku minut patrzy na niego z napięciem w oczach.

- O co chodzi?

- Ja ... chciałabym ... - Zerknęła rozpaczliwie na stojący w rogu _

nocniki się zaczerwieniła.

- Aha. - W hotelach takich jak ten brakowało eleganckich parawanów.

Pewien, że i jego policzki płoną, wstał tak gwałtownie, że przewrócił stołek. -

Wyjdę na korytarz na kilka minut. - Nagle uświadomił sobie, że sam też musi iść za potrzebą. - Nie opuszczaj pokoju, zanim nie wrócę. I pamiętaj, nikomu poza mną nie otwieraj drzwi.

Ruszył schodami w dół, zrobił swoje i czym prędzej wrócił na górę; zatrzymał się przed drzwiami. Jak długo może się załatwiać dziecko? Nie mógł

tak po prostu wtargnąć do środka. Klnąc pod nosem, zapukał do drzwi.

- Proszę wejść! - zawołała Graciela sztucznym ze skrępowania głosem.

- Mówiłem, żebyś nikomu nie otwierała - złajał ją.

- Przecież to ty - odparła rozsądnie i spojrzała na niego znad listy sprawunków, którą sporządzała właśnie przy stole. - Jak się pisze pantaloney?

„... Nie wiedziałaś, że to ja. Powinnaś była spytać~ - Gorączkowo myślał, jak tu znaleźć sklep z damską bielizną, wejść do środka i poprosić o pantaloney.

Nigdy w życiu nie był w takim miejscu, nawet nie wyobrażał sobie takiej sytuacji.

- Umiem napisać "gorset", ale nie "pantaloney" - stwierdziła, obgryzając koniec ołówka.

- - Gorset? - Mężczyzna zamrugał i usiadł ciężko na krześle. Siłą woli starał się trzymać wzrok z dala od jej płaskiej klatki piersiowej. - Ile ty masz lat?

- Nie wiesz? - Wyglądała na urażoną.

- Sześć? To za mało na noszenie gorsetu. Jeszcze przez długi czas nie będziesz go potrzebowała. - Nie wierzył własnym uszom, że w ogóle prowadzi taką rozmowę. Rozprawiać o bieliźnie z sześciolletnią dziewczynką!

Nigdy jeszcze nie zastanawiał się, kiedy kobiety zaczynają nosić tę część garderoby, ale jednego był pewien _ . czekały z tym, aż im urosną piersi. I choć nie wiedział dokładnie, kiedy następuje ten wielki cud natury, to wydawało mu się, że ma miejsce grubo później niż w wieku sześciu lat. Coraz bardziej doskwierał mu upał, więc jednym szarpnięciem rozpiął kołnierzyk.

- Jenny mówiła mi to samo - odparła oskarżającym głosem Graciela. Patrzyła na niego jak na zdrajcę, jakby spodziewała się po nim więcej zrozumienia.

- Jenny ma rację. - Upewniwszy się co do poprawności swojego sądu, powtórzył -zdecydowanie: - Żadnego gorsetu. Co jeszcze masz na tej liście?

Dziewczynka głęboko westchnęła i wyliczyła niezbędne jej rzeczy.

Zirytowany Ty przyglądał się jej w milczeniu. Żeby to wszystko pomieścić, potrzebowałyby ze dwa kufry. Poza tym nie wierzył, by tak małe dziecko potrzebowało na drogę aż tyle bagażu. Co więcej, o niektórych z wymienionych przedmiotach nie miał najmniejszego pojęcia. Czym, u diabła, jest na przykład lokówka?

- Przykro mi, ale możesz zabrać tylko tyle, ile zmieści się w moich jukach. -

Postanowił ograniczyć liczbę własnych bagaży do niezbędnego minimum, by zrobić jak najwięcej miejsca dziecku. - Pojedziemy konno? - Oczy małej zabłyśły nagłym zainteresowaniem. - Nie musimy podróżować pociągiem? To dobrze, zupełnie mi się to nie podobało.

- Umiesz jeździć konno, prawda?

- Oczywiście. - Odrzuciła dumnie głowę.

Ta wiadomość rzuciła nowe, zachęcające światło na ich dalszą podróż. Na oddzielnych koniach będzie im znacznie wygodniej, jednak Ty musiał znaleźć zwierzę dobrze ułożone i łagodne. Ucieszyła go też możliwość zabrania podwójnej liczby juków. To mu przypomniało, że powinien kupić na drogę dodatkowe poślanie i zapasy żywności.

- W takim razie potrzebna mi będzie spódnica do jazdy konnej

- skomentowała Graciela i ze spokojem dopisała jeszcze jedną pozycję na swojej liście.

- Mamy przed sobą długą drogę. Czy spodnie nie byłyby wygodniejsze?

Łatwiej w nich jeździć.

- Ona też chciała mnie ubrać w chłopięcy strój! - Dziewczynka zachnęła się. -

Ale nie pozwoliłam na to. Młode panny w żadnym razie nie noszą spodni.

- Rozumiem. - Mała zaczyna rozumować jak prawdziwa kobieta, pomyślał.

- Uciekłam od niej, bo chciała mi też obciąć włosy. - Po chwili historia wczorajszej przygody wylała się z jej ust jak rzeka.

Ty słuchał, czując, jak ogarnia go przerażenie. Chryste, bratanica miała wielkie szczęście, że udało jej się przeżyć. Zrozumiał w końcu scenę, której był

świadkiem na stacji - dlaczego wyglądała tak obskurnie i dlaczego Jenny była na nią taka wściekła.

- Musiałaś bardzo zmartwić pannę Jones.

- Nie dbam o to. - Graciela wzruszyła ramionami. - Nienawidzę jej. Zabiła moją mamę.

Ty uważał, że powinien coś w tym miejscu powiedzieć, lecz nic sensownego nie przychodziło mu do głowy. Cokolwiek by wymyślił, z pewnością zabrzmiałoby to jak obrona Jenny, a nie chciał stawać po jej stronie. Jednak komentarz dziecka zaniepokoił go. Jeśli dobrze zrozumiał, Graciela zdawała sobie sprawę, że jej matka sama wybrała śmierć przed plutonem egzekucyjnym i nikt jej do tego nie zmusił. A stąd długa droga do obwiniania o wszystko Jenny.

- Jak tylko będziesz gotowa do wyjścia, poszukamy stajni i kupimy dwa konie -

dokończył, ignorując ostatnie słowa dziecka. - Zgromadzimy potrzebne rzeczy, po czym ruszymy na północ.

- Chciałam najpierw pójść na zakupy. - Uniosła brwi z rozczarowania. - A kiedy coś zjemy?

- Nie możesz z tym trochę poczekać? I tak jesteśmy już mocno spóźnieni. -

Dokonał w myśli szybkich obliczeń. Ktoś, kto kupuje konia w czasie krótszym niż jeden dzień, wiele

ryzykuje. Jeśli robi to po kilkugodzinnej obserwacji zwierzecia, jest głupcem. Kto zaś nabywa wierzchowca tak jak on, w ciągu co najwyżej godziny, może uchodzić za desperata. Cóż, nic na to nie poradzi, ma właśnie tyle czasu na kupno zwierząt i góra godzinę na pozostałe sprawunki.

Biorąc pod uwagę, jak późno zaczynają, nie wyjadą z miasta wcześniej niż przed dwunastą. To oznacza podróż w największym upale, co samo w sobie wydawało się głupie i niebezpieczne. Sam mógłby tak zaryzykować, lecz nie ma prawa narażać córki brata.

- Nieważne - rzucił wściekle. - Teraz zjemy śniadanie, a potem, jeszcze przed wyruszeniem z miasta, obiad. Opuścimy Durango około trzeciej po południu.

Wtedy dziewczynka uczyniła coś, co go sparaliżowało. Przyglądała mu się chwilę, po czym pochyliła się, poklepała go po dłoni i posłała w jego stronę promienny uśmiech.

- *Gracias*, wujku Ty.

- No cóż, ja też zgłodniałem - odparł niezgrabnie, wielce zirytowany faktem, że niewinne słówko "wujek" uderzyło go z taką siłą.

Przecież zawsze nazywał ją w myślach bratanicą, dlaczego więc czuł się tak zaskoczony?

Odpowiedź pojawiła się w jego głowie mniej więcej w połowie śniadania.

Oszukiwał sam siebie udając, że traktuje ją jak bratanicę, w głębi duszy miał

zakodowaną od lat nienawiść do wszystkich Barrancasów. Pozwalał, aby uprzedzenia ojca wzięły górę nad rozsądkiem i zagłębiały swe macki również w jego mózgu. Ale "wujek" w oczach Gracieli jest uczciwy i ma dobre serce.

Dziewczynka bez trudu zaakceptowała go jako członka rodziny.

Ty nieczęsto doświadczał wstydu, nie rozpoznał więc od razu tego niewygodnego jak diabli uczucia, gnieźdzącego się na samym dnie jego serca.

Jenny była wściekła i załamana.

Dzwony kościoła zabiły dziewięć razy, zanim pojawiła się pokojówka, by posprzątać i wynieść nocnik. Gdy odkryła Jenny przywiązaną do krzesła, wrzasnęła i wybiegła z pokoju. Dopiero przed dziesiątą nadszedł zdenerwowany szef i oswobodził więźnia. Niestety, Jenny straciła kolejne cenne minuty przekonując zatroskanego mężczyznę, że podobnie jak i on nie chce żadnych kłopotów i doprawdy nie trzeba nikomu donosić o tak przykrym incydencie.

Chciała jak najszybciej wynieść się z tego miejsca i czym prędzej wyruszyć na poszukiwania Sandersa i dziecka.

Kiedy wychodziła z hotelu, słońce świeciło wysoko na niebie.

Jenny, złana potem, była bliska paniki. Nie sądziła, by kowboj opuścił Durango pociągiem zmierzającym na północ, ale skoro ten odjechał godzinę temu, nie była do końca pewna.

Wszystkie nadzieje opierała na przeświadczeniu, że Sanders pozostał w mieście i udał się do stajni w poszukiwaniu konia. Jeśli jednak było już za późno i zdażyła się z nim minąć ... Nie wiedziała, co począć.

Gdy tak szła na skraj miasteczka, spróbowała raz jeszcze przeanalizować sytuację. Sanders dał jej do zrozumienia, że zabierze Gracielę pociągiem, co mogło znaczyć, że planuje pojechać konno. Ale przecież nie widziała przy nim konia.

Zeszłego popołudnia uważnie obserwowała pasażerów wysiadających z pociągu i nie zauważyła wśród nich kowboja. Musiał wyskoczyć w ostatniej chwili.

Z drugiej strony, z pewnością miał konia w Verde Flores, bo ze stacji można było dotrzeć do bezimiennej wioski tylko w ten sposób. Zważywszy na to, jak mężczyźni traktują dobrego wierzchowca, jak nic przywiózł go do Durango pociągiem. Jednak nie zdażyłby odebrać go z wagonu towarowego i jednocześnie śledzić je w drodze do hotelu.

Tak więc potrzebował nowego konia, a to oznaczało, że prędzej czy później pokaże się tego dnia w okolicach stajni. Skoro zamierzał opuścić Durango jak najszybciej, przypuszczała, że kupno konia stanie się jego najważniejszym i pierwszym sprawunkiem. Jaki z tego wniosek? Sanders nabył wierzchowca dawno temu i wyprzedza ją o dobre parę godzin.

Cholera. Zagryzła wargi i przyspieszyła tempo marszu. Gdy wreszcie dotarła do stajni, paliło ją w płucach i kłuło w boku. Ruch uliczny powoli zamierał, jako że dochodziła pora sjeisty. Klnąc w duchu oparła się o drzewo i starała się złapać oddech, wdzięczna niebiosom za odrobinę cienia. Kiedy ochłonęła i mogła już normalnie oddychać, uniosła głowę i spojrzała w kierunku boksów ze zwierzętami, nad którymi unosiły się tumany kurzu.

Nie od razu dostrzegła kowboja, zresztą nie spodziewała się go tu ujrzeć. Jej wzrok niczym magnes przyciągnęła za to kasztanowa plama - Graciel! Jenny odprężyła się. Bogu niech będą dzięki za wszystko, co opóźniło ich wyjazd.

Zmrużyła oczy i przyjrzała się dziewczynce - mała miała na sobie nowy strój do konnej jazdy, a włosy uczesane i spięte, jak przystało na prawdziwą damę.

Czekała cierpliwie przy wypełnionych jukach.

Na ustach Jenny pojawił się słaby uśmiech. Teraz rozumiała, czemu kowboj tak późno zjawił się przy stajniach - spędził poranek chodząc po sklepach.

Oczywiście, zakupy! Odgadła też powody jego rozjątrzenia - poznała dziecko na tyle dobrze, by domyślić się, że mężczyzna przeżył trudne chwile. To oczywiście działało na jej korzyść. I dobrze, dzięki Bogu.

Jenny naciągnęła kapelusz na oczy, by zasłonić twarz, poprawiła ponczo, zakrywając piersi i lekko

zgarbiona skierowała się w stronę najdalszego boksu.

Sama również potrzebowała konia.

Wyjechali z Durango dopiero przed czwartą po południu, przez co Ty szalał z niepokoju i zniecierpliwienia niczym tabun dzikich koni przed burzą.

Zmitrężyli znacznie więcej czasu, niż mógł przypuszczać, bo mała z uporem godnym lepszej sprawy przymierzała w sklepie wszystkie rzeczy, które jej wpadły w ręce. Wydawało mu się, że trwa to w nieskończoność, po czym wezwano krawcową do poprawek wybranych ubrań, co pochłonęło kolejne cenne minuty. Potem przysła kolej na buty - tego Ty wcześniej w ogóle nie przewidział - ze skomplikowaną ceremonią przymierzania i omawiania kolejnych modeli. Mężczyzna przestępował z nogi na nogę i zerkał co i rusz na zegarek, lecz to wcale nie przyspieszało zakupów.

Gdy skończyli wybierać bieliznę - proceder, którego już nigdy nie miał chęci powtórzyć - udali się na obiad. Ale, ku irytacji Ty'a, Graciela zamiast jeść, bawiła się tylko jedzeniem na talerzu, skubiąc od czasu do czasu kawałki mięsa. Bardziej ją zajmowało omawianie dokonanych zakupów, więc jej porcja pozostała prawie nietknięta.

Potem z jego winy stracili mnóstwo czasu w stajni; Ty nalegał, by dziewczynka wpięrowypróbowowała konia, którego dla niej wybrał. Następnie trzeba było kupić siodło i poczekać na dopasowanie strzemion. To wszystko poprzedziła gorączkowa dyskusja na temat rodzaju kupowanego siodła -

Graciela wolała damskie dla amazonek, podczas gdy Ty obstawał przy siodle klasycznym. Udało mu się w końcu postawić na swoim i od tej pory mała nie odezwała się do niego ani słowem. Jej milczenie rozjuszyło go na dobre.

Zacisnął zęby i posłał jej piorunujące spojrzenie. Lecz zaraz potem westchnął

głęboko. Siedząc na potężnej klaczy dziewczynka wydawała się tak krucha i bezbronna, że Ty od razu ujrzał w myślach, jak spada z konia i łamie sobie wszystkie kości. Wyobrażenia podsuwała mu coraz to nowe, bardziej ponure obrazy - koń mógł ją zrzucić, a wtedy mała skręci sobie kark i umrze. Zwierzę mogło się też potknąć, upaść i śmiertelnie ją przygnieść. Nie miał pojęcia, czy klacz jest strachliwa, ale już widział ją pędzącą z dzieckiem na grzbiecie w siną dal...

Do diabła z tym! Pokręcił z irytacją głową. Wszak nie należy do ludzi proszących się o kłopoty, więc dlaczego, u licha, robi to właśnie teraz?

A problemów miał w istocie bez liku. Wprawdzie Graciela twierdziła, że potrafi jeździć konno, ale nie było to do końca prawdą. Umiała jako tako utrzymać się na koniu, dopóki ten szedł stępą. Gdy tylko zwierzę puściło się kłusem, zaczęła wrzeszczeć z przerażenia, trzymając się kurczowo łęku siodła.

_ Gracielo - tłumaczył, podjeżdżając do niej na swoim wałachu. _ Musimy nieco przyspieszyć, albo do granicy dotrzemy za dwadzieścia lat. - W duchu pomyślał, że jeśli zachowają obecne tempo, to

nim wjadą do Kalifornii, Graciela może już potrzebować gorsetu, a on będzie starcem.

Raczyła spojrzeć na niego i rzekła wyniośle:

_ Rzadko kiedy jechałam sama na koniu, a jeśli już, to prowadził

go zawsze któryś z moich kuzynów.

Chociaż Ty szybko zdał sobie sprawę, jak bardzo różnią się w poglądach na temat jazdy wierzchem, to zrobił kwaśną minę i przez następną milę zastanawiał się, co robić. Wreszcie

rzekł:

_ Nie ma innego wyjścia, sprzedamy twojego konia, a ty usiądziesz za mną.

_ Przecież mówiłeś, że to będzie mój koń, że będę mogła sama na nim jechać! Właśnie to mi obiecałeś! - W oczach dziewczynki pojawiły się łzy.

Boże, przez niego się rozplakała. Patrzył z przerażeniem na jej załzawione oczy, błyszczące w popołudniowym słońcu. Czuł się bezradny i oszołomiony. To przez niego ta mała istota cierpiała.

_ Jenny nie złamałaby obietnicy! - Po jej policzku spłynęła łza. _ Mówiła, że jeśli ktoś nie dotrzymuje słowa, nie warto na niego splunąć! - Kolejna łza kapnęła na ubranie.

_ Posłuchaj, nie płacz już, dobrze? - Jeśli cokolwiek mogło wzruszyć mężczyznę bardziej niż płacz kobiety, były to z pewnością łzy dziecka. - Na razie nic się nie zmieni, porozmawiamy o tym później, kiedy się uspokoisz. -

W tej chwili również i on był zbyt wytrącony z równowagi. - Może powinnaś wytrzeć nos?

Ku jego uldze dziewczynka, nie wypuszczając cugli z rąk, wyjęła z rękawa białą chusteczkę.

- Jenny twierdzi, że obietnica, którą się komuś złożyło, jest największą świętością - rzekła stłumionym przez chustkę głosem. - Jenny mówi, że kto rzuca pieprzone słowa na wiatr, może sobie od razu przyłożyć do głowy pistolet.

Ty miał dosyć wspomnienia rudowłosej, a wyglądało na to, że Graciela nie poprzestanie na tym. - Nie przeklinaj -

przerwał jej.

- Powtarzam ci tylko słowa Jenny.

- W porządku, zrozumiałem. Jenny nigdy nie łamie obietnic.

- Zacisnął usta i spojrzął na zachodzące słońce. W przyszłości musi bardziej uważać na to, co mówi, okazuje się bowiem, że dzieci przyjmują słowa dorosłych jak ewangelię.

Jeszcze nie wiedział, jak obejść tę przeszkodę, nadal również zastanawiał się, jak zwiększyć tempo jazdy. Kiedy zatrzymali się na nocleg, przywiązał konie, napoił je, a potem wykopał dołek na ognisko i wyjął z juków zapasy.

- Mogę napełnić czajnik.

- Ja pójdę - odparł natychmiast mimo woli. Dziewczynka może przecież wpaść do strumienia. Kiedy wrócił z wodą, zauważył, że Graciela rozłożyła już na ziemi pośłania.

- Powieszę czajnik nad ogniskiem - zaproponowała.

- Nie trzeba, już to zrobiłem.

Wydeła usta i z ponurą miną usiadła na siodle ze skrzyżowanymi na piersiach rękoma.

- Nie umiem gotować - poinformowała go, gdy wyjął patelnię.

Jakby istniała szansa, że dopuści ją tak blisko ognia ... - Nauczysz mnie?

- Nie jesteś na to zbyt młoda? - Pokroił w paski kawałek gotowanej wołowiny, dodał suszonej cebuli i zawinawszy wszystko w tortillę, podgrzał na patelni.

- Jenny mówiła, że dzieci w moim wieku to potrafią.

- Jak na osobę, która tak bardzo nie cierpi Jenny, dość często ją wspominasz - stwierdził uszczypliwie kowboj i popatrzył na dziewczynkę znad czajnika z kawą.

Wcale nie. Ona nie jest damą. Wiesz, że ma włosy między nogami? -

Wzdrygnęła się z obrzydzeniem. - Nie uważasz, że to ohydne?

Ty zamarł, a tortilla wypadła mu z dłoni na ziemię. Poczul

suchość i drapanie w gardle. Pochylił się, spojrzął na leżący placek, po czym nieśpiesznie podniósł go i oczyścił z piasku.

- No ... cóż ... - odchrząknął nieswoim głosem.

Marzył, by znaleźć się w tej chwili jak najdalej stąd, i przeklinał w niyślach brata, że obarczył go tą całą piekielną misją. Przede wszystkim zaś pomstował

na Margaritę, że zaszła w ciążę.

_ Zdaniem Jenny, wszystkie dorosłe kobiety mają włosy między nogami. - Uniesione brwi dziewczynki wyrażały wielki sceptycyzm. - To nieprawda, zgadza się?

O Boże. Twarz wykrzywiła mu się jak w agonii, a usta zastygły w grymasie cierpienia. Ostatni raz

doznawał takich katuszy, kiedy chodził do szkoły.

Podniósł nóż i z wielką uwagą przyglądał się

ostrzu.

_ Hmh ... Nie wspominałaś przypadkiem, że Jenny Jones nigdy nie kłamie? - Dostrzegł na stali rysę, której przedtem nie zauważył. Będzie musiał to naprawić.

_ A więc to prawda - odparła Graciela zawiedziona. Potem westchnęła głęboko, spuściła ramiona i skierował wzrok na swoje stopy. - Ja na pewno nie pozwolę, by mi tam urosły.

Mężczyzna czuł, że kona. Kiedy w końcu zebrał się na odwagę, by przemówić, odchrząknął i powiedział łamiącym się głosem:

- Placki podgrzane. Przynies talerze.

Ale zdradziecka wyobraźnia już podsuwała mu obrazy nagiej Jenny. Niech to licho, oczami duszy widział trójkątną kępę rudych włosów, o barwie równie żywej, co płonące przed nim ognisko.

_ Posłuchaj! - Wychodził ze skóry, by wyrzucić z myśli owe kuszące widoki; żaden szanujący się mężczyzna nie pozwoliłby sobie na to w obecności niewinnego dziecka. - Na jakiś czas odłożymy sprawę sprzedaży konia. Ale musimy trochę przyspieszyć. Na początek będziemy jechać wolno, dopóki nie poczujesz się

pewniej.

Poznał w San Francisco pewną rudą dziwkę. Miała skórę białą jak mleko, ozdobioną w dole ognistym trójkątem. Boże, nie może o tym myśleć w obecności sześciolatniej bratanicy! Co z niego za człowiek? Pocąc się lekko, nalał sobie kawy i spojrzał na jedzącą dziewczynkę. Próbował zastanowić się nad jutrzejszą podróżą.

- Wujku Ty?

- Słucham.

- Powiedziała, że mogę umyć talerze, Jenny nauczyła mnie tego. Najpierw szoruje się je piaskiem, a potem wyciera mokrą szmatką.

- Dobrze - odparł machinalnie, patrząc w ogień. Ciekawe, czy Jenny Jones ma jasną skórę i ognisty trójkąt.

- Jestem zmęczona, pójdę już spać. - Gdy Ty nie zareagował, dziewczynka podpowiedziała: - Musisz się odwrócić, żebym się mogła rozebrać i włożyć koszulę nocną.

- Och. - Odwrócił się tak gwałtownie, że kawa wylała mu się z kubka.

Cholerny Robert, to on powinien opiekować się dzieckiem. Należało poczekać, aż zostaną załatwione sprawy spadku; jaką różnicę zrobiłoby jeszcze parę miesięcy?

- Jestem gotowa do modlitwy.

- W porządku ... czy mam coś robić? - Ostrożnie zerknął przez ramię i ujrzał ją w koronkowej nocnej koszuli, klęczącą koło pośłania.

- Powinieneś uklęknąć obok mnie i wysłuchać modlitwy.

- Chyba to potrafię. - Przypuszczał, że wysłuchanie pacierza mu nie zaszkodzi, a kto wie, czy nie pomoże. Cieszył się jednak, że nikt nie zobaczy go, jak klęka.

- Złóż dłonie.

- Odmawiaj wreszcie ten pacierz. - Klęczał nieruchomo na twardej ziemi, tylko białka jego oczu błyskały w ciemnościach.

Dziewczynka zmówiła "Ojcze nasz", po czym poprosiła Boga błogosławieństwo dla całej masy osób. Gdy Ty słuchał, ilu jest Barrancasów, zastanawiał się, ilu z nich uczestniczy w poszukiwaniach.

Mała przerwała na moment i otworzyła jedno oko.

- Nie wiem, czy wspominać o Jenny. Nie ma jej tutaj, więc nie muszę już chyba prosić Boga o jej śmierć, chociaż wciąż uważam, że powinien ją ukarać.

- Prosiłaś Boga o zabicie Jenny Jones? - Zaszokowany Ty zmrużył oczy.

- Tak. - Graciela pokiwała poważnie głową. - Ale do tej pory jeszcze mnie nie wysłuchał.

- Czy Jenny wie, że prosiłaś o to Boga?

- A co innego miałam powiedzieć? Żeby wybrał dla niej karę najlepszą z możliwych?

- Gracielo - rzekł powoli, czując, że wkracza na nie znany mu teren. - Przecież dobrze wiesz, że Jenny nie zabiła twojej mamy.

- Ale to ona powinna zginąć, a nie moja mama. - Dziewczynka uniosła podbródek w upartym geście, który, nie wiadomo dlaczego, przypominał mu ojca.

- Czemu po prostu nie powiesz "amen"? - Dostrzegł nowy potok łez i doszedł

do wniosku, że nie ma ochoty wdawać się w szczegóły.

- Boże, nie musisz już zabijać Jenny Jones - odezwała się Graciela i zamknęła znowu oczy. - Ale przykładnie ją ukarż. Chcę, żeby płakała i dużo krwawiła, bo powinno jej być bardzo przykro, że zabiła moją mamę. Amen.

Ty zamrugał. Bratanica modliła się o śmierć i rozlew krwi, a wydawało mu się, że jest taka niewinna.

- Teraz możesz pocałować mnie na dobranoc - powiedziała i uśmiechnęła się, nadstawiając policzek.

Rzucił okiem na otaczające ich ciemności, po czym pośpiesznie ją pocałował.

- Powinieneś mnie jeszcze położyć spać.

Ty poprawił dziewczynce koc, wstał i spojrzał na nią z góry.

Z rozpuszczonymi włosami ta żądna krwi istota wyglądała teraz jak aniołek.

Pokiwał głową i wrócił do ogniska, by dokończyć kawę. Odwalił kawał

porządnej roboty. Czuł ogarniające go zmęczenie, ale podejrzewał, że nieprędko zaśnie.

Było już dobrze po północy, gdy wśliznął się pod koc i zapadł w niespokojny sen.

Następną rzeczą, jaką usłyszał, był dźwięk odciąganego kurka pistoletu. Gdy próbował usiąść, przygwoździła go silna pięść, tak że nie mógł nawet odwrócić głowy. Skronią dotknął własnego kolta. Patrząc na pierwsze oznaki brzasku, zacisnął zęby i czekał.

- Nie sądziłam, że tak mocno śpisz - rozległ się wesoły głos. Ty dobrze znał

jego niskie brzmienie. - Połóż ręce na kocu, tylko powoli.

- Wiesz, że pojedę za tobą - rzekł, wpatrując się w niebo. Co za idiota z niego!

Jeśli kobieta naprawdę jest zabójczynią, właśnie wydał na siebie wyrok.

Meksykańskie słońce chyba doszczętnie wypaliło mu mózg.

- Jeżeli tak zrobisz, zastrzelę cię jak psa. - Związała mu dłonie sznurem w obawie, że zaraz zechce się na nią rzucić. - Wracaj do Kalifornii i powiedz swojemu świętemu Robertowi, że jadę do was razem z dzieckiem. Tutaj twoja rola się skończyła.

- Jeśli tak bardzo zależy ci na wtrącaniu się w nie swoje sprawy, możemy wspólnie zawieźć ją do Kalifornii. - Nienawidził się za ten pomysł, ale może to jakieś wyjście z kiepskiej sytuacji.

- Myślisz, że naprawdę dałabym się na to nabrać? Dobrze wiem, że kiedy tylko przestanę być czujna, zabierzesz Gracielę i odjedziesz w siną dal. - Po tym, jak związała go niczym cielaka, obudziła dziewczynkę. Ty nic nie widział, ale słyszał ich przeraźliwe wrzaski. Jenny w końcu przyciągnęła do siebie Gracielę i wskazała na niego palcem.

-, Przyjrzyj się dobrze wujkowi Ty. - Pochyliła się nad jej twarzą. - Już nigdzie z tobą nie pojedzie, za to ja to zrobię. Ubieraj się więc, bo właśnie stąd wyjeżdżamy.

Graciela patrzyła na niego z rozczarowaniem i pogardą w oczach.

_ Ufałam ci. - Te słowa jak sztylet rozdarły mu serce. Dziewczynka odwróciła się na pięcie i odeszła, szeleszcząc nocną koszulą.

_ To ja dałam Marguaricie słowo, a nie ty. - Jenny nachyliła się i spojrzała na niego oczami wąskimi jak szparki. - Zapamiętaj jedno. Jeśli znowu wejdiesz mi w drogę, zabiję cię już choćby za to, że sprawiłeś mi tyle kłopotów.

Mężczyzna leżał na boku, owinięty kocem, i ze złością wsłuchiwał się w tętent odjeżdżającego konia.

Jeden koń. A więc Jenny Jones rozwiązała problem Gracieli i konia w ciągu dwóch minut.

Ty wpatrywał się w małe kwitnący kaktus rosnący niespełna dziesięć centymetrów od jego nosa i wyobrażał sobie, jak dusi pewną kobietę o

mlecznobiałej skórze, ozdobionej w dole

rudym trójkątem.

8 ~

Jenny zdecydowała, że pojedą szlakiem między górami Sierra Madres i linią kolejową, biegnącą wzdłuż centralnego płaskowyżu. Jeśli uda im się przebyć dwadzieścia mil dziennie, dotrą do Chihuahua za dwa tygodnie.

Ale zaczynało wyglądać na to, że dwa tygodnie to szalenie optymistyczna prognoza. Trzy dni po opuszczeniu Durango krajobraz zmienił się w kamienistą pustynię pociętą głębokimi, wyschniętymi korytami rzek, które skutecznie spowalniały tempo ich podróży. Południowe słońce tak rozpaliło ziemię, że musiały się zatrzymać w poszukiwaniu odrobiny cienia.

Zapadała już noc, gdy dotarli do niskich zabudowań okolicznych rolników, uprawiających od lat tę mało urodzajną ziemię. Jenny wiedziała, że znajdzie tam wodę, a być może nawet zdoła kupić mięso i mleko dla małej.

- Pali mnie cała twarz - poskarżyła się Graciela, patrząc z niesmakiem na kawałek koziego mięsa, opiekający się nad ogniem.

- Posmarowałaś się aloesem, jak ci kazałam? - Od zapachu pieczonego mięsa Jenny pociekła ślinka. Udało jej się kupić jeszcze świeże tortille i dojrzałą dynię; zapowiada się niezła ucztą. _ Wypij mleko - przypomniała Gracieli. -

Kosztowało mnie majątek.

Graciela odwróciła głowę w stronę ciemniejących w oddali chłopskich zabudowań. Zza glinianych ścian nie dobiegało żadne światło. Albo mieszkańcy poszli już spać, albo siedzieli wokół tak małych

ognisk, że blask płomieni nie przedostawał się przez szczeliny chat.

- Dlaczego nie możemy spać w którymś z ich domów? - spytała Graciela jęklwym głosem, który zaczynał Jenny grać na nerwach. - Nie lubię spać na gołej ziemi. Boję się, że pod koc wejdą mi robaki albo węże.

- Dziecko - odezwała się Jenny, starając się zachować spokój.

- Tam nie ma żadnej wymyślnej hacjendy. Możesz mi wierzyć albo nie, lecz większość ludzi żyje inaczej niż ty. Nie są bogaci i nie mają służby ani zapasów jedzenia czy łóżek. W tamtej chacie mieszka osiem osób i nie ma już miejsca dla ciebie. Poza tym oni wcale nie śpią w łóżkach, tylko w hamakach lub jak my teraz, na ziemi.

- Powiedziałaś, że nie będziesz nazywać mnie dzieckiem.

- Graciela rzuciła jej nienawistne spojrzenie.

Po chwili wewnętrznych zmagania Jenny stwierdziła, że zasłużyła sobie na oskarżycielski ton.

- Masz rację - przyznała niechętnie i zajęła się mięsem.

- Przepraszam. Jeśli znajdziesz robaka pod kocem, rozgnieć go, a gdy wejdzie tam wąż, uciekaj. - Popatrzyła na Gracielę przez płomienie ogniska. - Narzekanie niczego nie zmieni. Tak więc wbij sobie do głowy, że czeka nas kilka ciężkich tygodni i nie wspominaj więcej o niewygodzie, dobrze?

Nie tylko ty wolałabyś spać w łóżku, tylko że ja nie mazgaję się przez cały czas.

Dziewczynka wyglądała jak siedem nieszczęść. Jej elegancki strój jeździecki był zakurzony i przesiąknięty potem, a ozdobne lamówki poodrywały się w kilku miejscach. Ponieważ brakowało wody do mycia, obie miały umorusane twarze, a całe ciało pokryte grubą warstwą brudu swędziało i przyprawiało o piekielne męki.

Gdy mięso wyglądało już na dobrze przypieczone, Jenny pokroiła je w plastry i ułożyła wraz z gotowaną dynią na talerzach.

- Wiem, że jesteś zmęczona, ale musisz to zjeść dla zachowania sił -

powiedziała do Gracieli. - Chcę zobaczyć pusty talerz.

- Wujek Ty mi nie rozkazywał - oburzyła się dziewczynka.

- Ha, wyobrażam sobie! Z twoich opowiadań wynika, że to on słuchał ciebie. - Mięso było zbyt wyschnięte i raczej twarde, ale w smaku niezłe, tak, całkiem dobre. Jenny jadła już gorsze rzeczy. Tortille natomiast okazały się grube i miękkie i jedząc je, wyobrażała sobie, że tak zapewne smakuje ambrozja.

Podobało się jej brzmienie tego słowa, które według słowniczka oznaczało pożywienie bogów.

Poznanie go dało jej zresztą wiele do myślenia. Przedtem nie przyszłoby jej do głowy wyobrazić sobie Pana Boga siedzącego przy stole i spożywającego posiłek. Cały dzień zastanawiała się, kto przyrządza owo jedzenie, chyba Bóg sam sobie nie gotuje. A może takiej stawy nie trzeba gotować.

- Faj. - Graciela skrzywiła się po spróbowaniu koziego mięsa.

- Może to nie ambrozja, ale nie mamy nic innego, więc jedz

- rzekła Jenny, dumna, że udało jej się użyć nowego słowa.

- Wujek Ty nie kazałby mi jeść takiego świństwa.

- Mam już dość wysłuchiwania, jak wspaniałym facetem jest twój wujek. - Jenny zmrużyła oczy i spojrzała na nią ze złością. - Jesteś sto razy miłszy od ciebie.

- Dlaczego? Bo owinęłaś go sobie wokół palca? Bo usługiwał

ci, pozwalając, żebyś siedziała beczynnio? - parsknęła kobieta. - Coś ci powiem, mała. Przepraszam ... Gracielo. Od kiedy jesteśmy skazane na siebie, nauczyłaś się robić niezłą kawę, rozpalać ognisko, sama się ubierasz i rozbierasz, a nawet potrafisz układać sobie włosy. Umiesz napić konie i zrolować posłanie. Wiesz, jak wyczyścić talerze, a jutro, czy chcesz, czy nie, ugotujesz większość naszej kolacji. Nadal nie masz pojęcia o wielu sprawach, ale nie jesteś już taka głupia, jak na początku. A teraz powiedz mi ... czy nie jest dobrze umieć coś więcej poza siedzeniem na tyłku i patrzeniem, jak inni wyręczają cię we wszystkim?

Graciela ugryzła kolejny kawałek mięsa, lecz milczała. Nadszedł czas, by zadać pytanie, które dręczyło Jenny od dawna.

Zapytała tak łagodnie, jak tylko potrafiła: - Czy wujek Ty wspominał o mnie?

_ Nienawidzi cię, bo zabiłaś moją mamę - odparła Graciela, połknęła resztki jedzenia i wytarła usta chustką.

_ Tak ci powiedział? - Jenny patrzyła przed siebie. - Przecież wytłumaczyłam mu, co się stało. Doskonale wie, że nie miałam nic wspólnego ze śmiercią Marguarity! Wyjaśniłaś mu, że ja nigdy nie kłamie?

_ Powiedziałam, co sądzisz o obietnicach - odparła dziewczynka z wahaniem.

_ I nadal uważa, że maczałam w tym palce? - Jenny odstawiła talerz na ziemię. - To sukinsyn!

Wzburzona, owinęła Gracielę kocem. Siedziała po turecku na ziemi i wpatrując się w żar ogniska myślała o Ty'u Sandersie. Nagle uświadomiła sobie, że ostatnio zajmuje jej to zbyt wiele czasu.

Za każdym razem, kiedy patrzyła na Gracielę, widziała zielononiebieskie oczy kowboja. Gdy zaś dziewczynka wspominała wujka Ty'a, a czyniła to ze dwieście razy dziennie, przed oczami Jenny stawała szczupła postać mężczyzny o stalowych mięśniach.

Nigdy celowo nie szukała zaczepki, chociaż kilkakrotnie brała udział w bójkach. Teraz jednak po raz pierwszy czuła się nieswojo na wspomnienie walki z mężczyzną.

Co gorsza, doskonale wiedziała, co to oznacza. Otarła pot z czoła, wstała od ogniska i zaczęła spacerować w stronę nędznego poletka z kukurydzą i z powrotem.

Kilka lat temu spotkała w Jurnie pewnego mężczyznę, który wzbudził w jej duszy i ciele dziwny niepokój. Postanowiła, że musi ugasić ten płomień, więc nie namyślając się wiele, uległa obcemu na tyłach baru Shorty Barrowsa. Uznała zresztą całe zdarzenie za nieszczęśliwą pomyłkę, tym bardziej że mężczyzna odszedł zaraz potem z uśmiechem zadowolenia na ustach, zostawiwszy ją na ziemi zdezorientowaną i patrzącą w niebo niewidzącymi z zażenowania oczami.

Teraz znowu czuła ten sam silny pociąg, choć wiedziała już, że seks jest sportem dla mężczyzn, który nie oferuje kobiecie nic poza kilkoma otarciami naskórka i dwiema minutami sapiącego oddechu na twarzy. Później następowało przeraźliwe wrażenie samotności, odartej ze wszystkiego i bezkresnej jak pustynia. Nigdy w życiu nie czuła się taka opuszczona, jak owej nocy za barem Shorty Barrowsa.

Aż do czasu poznania kowboja Jenny nie przeżywała nic podobnego.

Zgarnęła butem nieco ziemi na ognisko i wśliznęła się pod koc.

Podłożyła ręce pod głowę i odszukała na firmamencie znajomą gwiazdę.

- Jestem tak cholernie zmęczona, zbyt zmęczona, żeby opowiadać ci o dzisiejszym dniu. Zresztą i tak nic wielkiego się nie wydarzyło - dodała cicho. -

Potrafisz czytać w moich myślach? - Spojrzała podejrzliwie w niebo.

To wprowadziło ją w zakłopotanie. Musi dyskretnie zapytać dziewczynkę, czy mieszkańcy niebios znają myśli tych, co zostali na ziemi. Miała niejasne przeczucie, że umarli wiedzą wszystko, szczególnie tak dobre i szlachetne anioły jak Marguarita. Rozmyślała nad tym parę minut, po czym doszła do wniosku, że nie dba o to, czy Bóg zna jej uczucia do kowboja. Wszak Bóg jest wspaniałomyślny i potrafi wybaczać, poza tym wątpiła, by zechciał jej poświęcać zbyt wiele czasu.

W zakłopotanie wprowadziła ją jednak świadomość, że Marguarita może wiedzieć, ile przyjemności sprawiło jej mocowanie się z kowbojem na podłodze hotelowego pokoju. Przypomniała sobie zaskakujący moment, gdy powstrzymała się przed uderzeniem go kolanem w jądra, sparaliżowana owym niespodziewanym pożądaniem.

A niech tam. Zwinęła palce w pięści. Przypuszczała, że Ty Sanders ma w Kalifornii żonę i dzieci. To zresztą nieważne, bo tak przystojny mężczyzna nigdy by się nią nie zainteresował. Pewnie ogląda się za elegantkami w koronkach i wstążkach, podobnie jak reszta mężczyzn. Nic dziwnego - wołają kobiety pachnące kwiatami, a odciski i szorstką skórę tolerują jedynie u płci brzydkiej.

Mężczyźni zazwyczaj odwracają wzrok od postawnych kobiet, przeklinających jak woźnica. Istoty takie jak Jenny Jones są dobre, by zaspokoić chwilową żądzę, lecz nie na dłuższą metę. Nie знаła ani jednego mężczyzny, który chciałby spędzić resztę życia z osobą jej pokroju. Taki się jeszcze nie

urodził, nauczyła się tego już dawno temu.

Zwykle jednak nie bolało ją to tak bardzo jak dzisiaj.

Następnego popołudnia Jenny chcąc nie chcąc doszła do wniosku, że muszą poszukać pokoju na noc. Graciela, zbyt zmęczona, by mówić, siedziała przed nią, opierając się o jej piersi i brzuch tak ciężko, jakby była workiem rozpalonych kamieni. Promienie słoneczne paliły bezlitośnie od samego rana i obie, a szczególnie Jenny, potrzebowały kąpieli. Sztywne od wosku, przyczernione włosy kobiety pokrywała gruba skorupa kurzu zmieszanego z potem. Obie musiały też zjeść porządny posiłek i wypaść się w prawdziwym łóżku.

Jenny wiedziała, że prędzej czy później natkną się na jakąś wioskę, jeśli skręcą nieco na wschód w stronę kolei. Jechały jeszcze cztery godziny, zanim w oddali ukazał się dym z ognisk. Po chwili wyczuły zapach gotowanych potraw i smród zwierzęcych odchodów.

- *Buenos noches, senora* - pozdrowiła staruszkę stojącą w maleńkim ogródku na skraju wioski. - Gdzie mogę wynająć pokój, wykąpać się i coś zjeść?

Widziała, że wioska jest zbyt mała, by pochwalić się hotelem.

Ale znając gościnność Meksykanów nie wątpiła, iż nie będą dziś nocowały pod gołym niebem. Rzeczywiście, kobieta zaprowadziła je do domu córki, która zaoferowała im niewielki pokój. Wcześniej wyprowadziła stamtąd dwójkę dzieci.

- *Gracias, senora.* - Głos Jenny pod wpływem wyczerpania stał się jeszcze niższy niż zwykle. Gdyby zjawiała się tu sama, darowałyby sobie zarówno kolację, jak i kąpiel, i położyła się z ulgą na jednym z hamaków zawieszonych w rogu izby. Ale musiała się zająć dziewczynką.

- *Źle się czuję.* - Graciela stała pośrodku pokoju. Jedną ręką przyciskała medalion do piersi, a drugą dotknęła rozpalonego czoła. - *Senora Calveras* przyniesie zaraz blaszaną wannę i coś do jedzenia - odparła lenny ze zmęczeniem i usiadła na stołku przy otwartym oknie. Na niebie pojawiły się już gwiazdy. lenny poczuła na szyi ciepły podmuch wiatru i rozpięła kołnierzyk, by wysuszyć piersi ze słonego potu. Gałęzie rosnącego nieopodal drzewa zasłaniały niebo, nie mogła więc dojrzeć swojej gwiazdy. I dobrze.

Zaczęła obawiać się nocy, wtedy bowiem zjawiała się Marguarita, by z wysokości osądzać lenny i wydarzenia minionego dnia.

Graciela nagle zgięła się w pół i zwymiotowała na podłogę.

Kiedy minęły już torsje, przyłożyła dłoń do ust i podniosła na lenny przerażony wzrok.

- Przepraszam.

Dziewczynka, potykając się, pchnęła stołek w stronę ściany i opadła nań ciężko. Potem oparła się plecami o ścianę i przymknęła oczy; łzy zostawiły na białej skórze brudne smugi.

- Dzieciaku! Co się z tobą dzieje? - lenny skoczyła na równe nogi i przyłożyła jej dłoń do czoła. Cholera, jest cała rozpalona. Dała znak mężowi gospodyni, a ten wniósł do środka poobijaną wannę, pamiętając chyba czasy konkwistadorów. - Posłuchaj mnie, Gracielo, kąpiel cię nieco ochłodzi.

Senora Calveras weszła za mężem z dwoma kubłami wody i wlała je do blaszanego naczynia. Gdy spostrzegła wymiociny na podłodze, wyciągnęła z kieszeni szmatę i rzuciła ją lenny.

Dziewczyna spojrzała na gałgan, potem na płamę na podłodze.

Co za obrzydliwość! Iednak według gospodyni sprzątnięcie tego bałaganu należało do lenny, wszak Graciela nie była jej dzieckiem. Ale najpierw należało oswobodzić dziewczynkę z niewygodnego stroju i wsadzić ją do wanny.

Mała otworzyła oczy i patrzyła przed siebie otępiałym wzrokiem, jakby kąpiel przekraczała jej możliwości. Oparła się plecami oceglaną ścianę niczym szmaciana lalka.

- *luź* dobrze. Rozbiorę cię ten jeden raz. Wstań.

Graciela nie tylko wyglądała jak pozbawiona szkieletu lalka, również się tak zachowywała. Gdy lenny ściągnęła z niej bluzkę, dziecko zakołysało się na nogach, a jego ręce zawisły bezwładnie wzdłuż ciała. Skóra małej zdawała się parzyć. Siedziała bez ruchu w kąpeli i pochylona do przodu, patrzyła szklistym wzrokiem na palce u nóg.

- Poczekaj tu. - Były to idiotyczne słowa, tak jakby nagie i chore dziecko mogło uciec. lenny zebrała wszystkie siły i wyszła przed dom. Przez chwilę starała się rozróżnić w ciemnościach rosnące w ogródku rośliny. Księżyc na szczęście wyszedł zza gęstych chmur i bez trudu znalazła włochate liście kakułu. Zerwała pełną garść i wróciła do chaty, gdzie gospodyni krzątała się przy piecu chlebowym.

- *Por favor, senora* - powiedziała zatroskanym głosem. - Czy byłaby pani tak uprzejma i ugotowała te zioła w dużej ilości wody? - Pokazała ręką około litra. -

Potem należy odparować wodę dotąd.

- Zmniejszyła miarę o połowę.

Senora Calveras nałożyła chleb na łopatkę i pokiwała głową.

Światło lampy odbijało się od jej czarnych włosów.

- To dla małej - powiedziała i podała lenny miskę z pokrojoną cebulą i paskami materiału.

- Ma to zjeść? - lenny z dość tępym wyrazem twarzy patrzyła na miskę.

- Nie, *senora* - odparła łagodnie kobieta. - Na okład stóp.

Cebula wyciągnie z małej gorączkę. - Uniosła nogę i poruszyła palcami w kółko, pokazując, jak lenny powinna przymocować cebulę paskami materiału.

- Aha. - A co tam. lenny zdawała sobie sprawę, że cebula może się okazać równie skuteczna, jak napar z jej ziół. Każda kobieta ma własne metody leczenia. - *Gracias*.

Graciela tymczasem nie zmieniła pozycji. Pochylona bezwładnie do przodu, nadal wpatrywała się nieprzytomnie w palce stóp.

- Dzieciaku, twój stan bardzo mnie martwi. To mi się wcale nie podoba. -

lenny wyjęła kawałek materiału i delikatnie przemyła rozpaloną twarz dziewczynki.

- Boli - szepnęła Graciela cicho.

- Wiem. Iak tylko wyczyszczę ci buzię, posmaruję ją wyciągiem z aloesu.

- Nie zjem kolacji, chce mi się tylko spać.

- Dobrze. Wstań,' muszę cię wytrzeć do sucha. - Gdy wyjęła Gracielę z wanny i postawiła na ziemi, dziewczynka słaniała się na nogach. - Poczekaj, włożę ci jeszcze koszulę nocną. - Wciągnęła ją przez mokrą głowę dziewczynki i zawiązała pod szyją. Potem ' położyła małą w hamaku, poprawiła poduszkę i przykryła cienkim prześcieradłem.

- Daj mi mój medalion. - Graciela popatrzyła wyczekująco na Jenny.

Kobieta zacisnęła zęby. Ledwie trzyma się na nogach, a chce swój medalion.

- Za chwilę. - Przeszukała ubranie dziecka, odpięła cenny drobiazg i przyczepiła go do koszuli małej.
- Czy jeszcze coś, wasza wysokość?

- Nie zmówiłam pacierza.,

- Zrobię to za ciebie. Ojciec nasz, któryś jest w niebie i tak dalej, pobłogosław wszystkich zgniłych kuzynów i zabij Jenny. Amen. A teraz unieś nogi, żebym mogła ci nałożyć cebulę.

Graciela bez słowa podniosła małą stopę i pozwoliła zrobić sobie kompres.

W odróżnieniu od jej opiekunki, najwyraźniej nie uważała tego procederu za dziwaczny. Jenny obwiązała jej drugą stopę, po czym delikatnie posmarowała aloesem twarz i szyję.

- Już lepiej?

- *Gracias* - szepnęła dziewczynka, wpatrując się w nią pełnymi wdzięczności zielonobłękitnymi oczami. Powieki opadały jej ze zmęczenia.

Nadstawiła policzek do pocałunku na dobranoc.

Wzruszona Jenny złagodniała, dopóki nie spojrzała na czekającą na podłodze plamę wymiocin. Musi to zrobić, samo nie zniknie. Uklękła z obrzydzeniem

„na ustach, krztusząc się i dławiąc. „Do wytarcia nieczystości użyła wody z kąpieli. Bożę, nigdy by nie uwierzyła, że dożyje dnia, kiedy będzie sprzątać po takim ohydztwie.

Nie dziw, że jej matka stała się zła i podstępna jak żmija. Mając sześcioro dzieci, musiała to robić bez przerwy. Teraz, gdy Jenny patrzyła wstecz na jej życie, była pełna podziwu, że matka nie rzuciła się razem z dziećmi w najbliższy szyb kopalni. Pewnie miała na to ochotę ze dwadzieścia razy na dzień ..

Zataczając się z wyczerpania wrzuciła szmatę do kubła i spojrzała na wannę.

Zastanawiała się, czy znajdzie w sobie dość sił, by się wykąpać. Zdecydowała, że ma do wyboru albo to, albo drapać się z brudu przez resztę nocy.

Westchnęła, rozebrała się i umyła się szybko, po czym nachylając się nad wanną, namydliła włosy. Woda natychmiast zrobiła się czarna. Pozbycie się czernidła było bodaj pierwszą przyjemną rzeczą tego dnia.

Miała szczerą ochotę położyć się natychmiast w hamaku, ale musiała jeszcze poczekać na gospodynię i napar z karkolą, następnie ostudzić go, obudzić Gracielę - rzecz doprawdy niełatwa - i wreszcie namówić ją do wypicia ziół.

_ Smakuje okropnie - protestowała Graciela wzdrygając się.

- Trudno, wypij do dna.

Jenny zdmuchnęła w końcu świeczkę i jak skała osunęła się na dno hamaka.

Choć była do cna wyczerpana, ze zmartwienia nie mogła zasnąć. Bez przerwy wsłuchiwała się w oddechy dziewczynki. Wraz' z każdym jej poruszeniem podrywała się z posłania i wpatrywała w nią w ciemnościach. Było jeszcze gorzej, gdy mała się nie poruszała.

Długo leżała na wznak i gapiała się w sufit, a po głowie przebiegały jej niespokojne myśli.

Dziecko było pod jej opieką i gdyby zmarło, byłby to dla niej straszny cios.

To przez nią Graciela była chora. Bo niby przez kogo? Zbyt długo pozwoliła jej jechać konno w pełnym słońcu. Psiakrew, powinna była zawczasu o tym pomyśleć, mogła zrobić wiele rzeczy, by zapobiec nieszczęściu.

Jeśli dzieciak pożegnałby się ze światem, Jenny mogłaby od razu wykopać sobie grób, bo Marguarita by jej tego nie wybaczyła. Gdyby nawet Jenny nie popełniła samobójstwa, matka dziewczynki by ją w tym wyręczyła, a wtedy byłaby to śmierć w męczarniach,

tego była pewna.

Poprzysięgła sobie, że od tej pory zwolni tempo podróży. Na każdy nocleg postara się' o przyzwoity pokój i dopilnuje, by dziecko jadło trzy razy dziennie i dostawało świeże mleko.

Teraz i ona będzie się modlić, błagając Boga i Marguaritę, by zachowali przy życiu Roberta Sandersa. Jego śmierć to najgorsze, co by się mogło zdarzyć.

Przez najbliższych dwanaście lat miałyby wówczas dziewczynę na karku i zamartwiałyby się o nią przez resztę swojego żalosego życia. Poza sprzątaniam wymiocin Bóg jeden wie, co jeszcze musiałaby robić! A niech to jasna cholera!

Wstrząsana poczuciam wina, zapadła w końcu w niespokojny sen, wdychając rozchodzące się po pokoju opary świeżej cebuli. Śniła, że jest znowu dzieckiem, a matka z kowbojem gonią ją . i rzucają za nią cebulą.

Nie znam żadnych bajek - zarzekała się Jenny po raz czternasty.

Wzięła głęboki wdech, chwilę przytrzymała powietrze w płucach i powoli je wypuściła. Wystarczyło, żeby dzieciak wbił sobie coś do głowy i już nic nie można było mu przetłumaczyć. - Nie nauczyłam się żadnej bajki w ciągu ostatnich pięciu minut, bo pytałaś mnie o to przed pięcioma minutami.

Posłuchaj, poczytam ci coś z mojego słowniczka.

- Robiliśmy to rano.

- Dziś rano? - Jej wydawało się, że upłynęło wiele tygodni, a może cała wieczność. Siedzi już tak długo na twardym stołku przy hamaku Gracieli, że rozboleła ją kość ogonowa i kręgosłup. Wstała tylko raz, aby wytrzeć nową plamę wymiocin. Przez resztę czasu przypatrywała się śpiącej dziewczynce'i starała się ją zabawiać w chwilach, gdy się budziła.

Graciela odpięła medalionik, otworzyła złote serduszko i ze łzami w oczach oglądała znajdujące się w środku podobizny rodziców.

- Pokaż mi to cacko. - Nie obchodziły jej wizerunki, ale był to sposób na zabicie dłużącego się czasu. Możliwe też, że Graciela się uspokoi, jeśli przestanie patrzeć na ckiwe miniatury.

Mała podała jej medalion i Jenny, przez moment ważyła go w dłoni, napawając się ciężarem i dotykiem prawdziwej złotej biżuteńi. Irytowało ją, że sześciolatnia dziewczynka jest przyzwyczajona do noszenia takich rzeczy, podczas gdy ona sama nigdy nie miała nic ze złota. Inna sprawa, że szczególnie jej na tym nie zależało, ale złoty medalionik każdorazowo przypominał jej ogromną przepaść, jaka dzieliła ich światy. Westchnęła i otworzyła serduszko.

- A więc to jest ów osławiony Robert.

Z maleńkiego portreciku patrzył na nią przystojny, zadowolony z siebie sukinsyn, ubrany w garnitur i szeroki krawat. Miał ciemne włosy i jasne oczy, choć rysy nieco łagodniejsze niż Ty. Jenny od razu zrozumiała, który z braci jest prawdziwym mężczyzną. W zachowaniu i charakterze Ty'a nie było nic niepewnego, żadnego niezdecydowanego spojrzenia czy gestu. Robert wydawał

się stworzony do recytowania poezji przy blasku księżyca, w Ty'u zaś wyczuwała żar palącego

słońca. Przypuszczała, że Robert może mieć palce poplamione atramentem, podczas gdy Ty ma zapewne odciski na dłoniach.

Poza ciągłą troską o jego zdrowie, Robert Sanders nie interesował Jenny.

Przyjrzała się podobnie Marguarity. Miała wrażenie, że jej ślicznie uśmiechnięte oblicze promienieje ufnością i zachętą. Ogarnęło ją poczucie winy. Sprawy miały się dokładnie tak, jak wcześniej myślała. Nie znalazła w sobie cech dobrej matki, ale Marguarita nie chciała jej uwierzyć. Z konterfektu kobiety biła niezachwiana wiara. Przecież nie wymyśliła sobie tego, Marguarita wyraźnie się do niej uśmiechała. Jenny westchnęła, zamknęła serduszko i oddała je Gracieli.

- Musisz znać jakąś bajkę, wymyśl coś.

_ Już dobrze - jęknęła Jenny. - Postaram się, naprawdę, tylko przestań zawodzić. Niech pomyślę ... w porządku. Powiedzmy, że była sobie ...

- Powinnaś zacząć: "Dawno, dawno temu ... "

_ Przeciągasz strunę. - Jenny zagryzła wargę. - Dobrze. Dawno, dawno temu było sobie sześcioro niegrzecznych i bogatych bachorów, które jako niemowlęta zostały porwane przez czarownicę i jej okrutnego kompana i zamieszkały na zboczu góry.

_ Czy ta czarownica miała rude włosy i niebieskie oczy? _ Graciela utkwiała zaintrygowany wzrok w twarzy Jenny.

- Wiesz, są chwile, kiedy naprawdę chciałabym przetrzepać ci skórę. - Jenny zwęziła gniewnie oczy.

- Jak wyglądała czarownica? - Twarz dziewczynki nie wyrażała ani krztyny strachu czy przejęcia. Jenny zastanowiła się. Czy Graciela przypadkiem nie zauważyła, że jej opiekunka jedynie dużo krzyczy, a jej wszystkie groźby są bez pokrycia? Musi to sobie przemyśleć.

- Wielka szkoda, ale wiedźma nie była do mnie podobna. Miała siwe włosy i oczy jak u węża.

- Och! - Graciela klasnęła w dłonie. - Oczy jak paciorki!

- Wstrząsnął nią radosny dreszcz. - Czy jedno z tych zasmarkanych dzieci nie wyglądało tak jak ja?

- Były tam trzy dziewczynki i trzech chłopców, a jedna z tych smarkul istotnie przypominała ciebie.

- Co nosiła, ładne ubrania? Czy jej buty też miały małe frędzle u dołu?

- A jak ci się wydaje? - Jenny rzuciła jej chytre spojrzenie. Słuchała, jak Graciela opisuje strój dziewczynki i doszła do wniosku, że opowiadanie bajek nie jest wcale takie trudne, jak się jej wcześniej zdawało. Może nawet pokusi się o kolejną historyjkę. To dobry sposób na zastosowanie w praktyce nowych słówek i nauczenie kilku z nich Gracieli.

- Niedobra wiedźma była służbistką. Pamiętasz, co to znaczy?

- Tak, to sroga osoba o wielu zasadach, jak ty. - Graciela pokiwała poważnie głową.

- Właśnie, i nie zapomnij o tym. - Bez obaw, dzieciak ma doskonałą pamięć, przyznała w duchu. Poznały to słowo dziś rano. Cieszyło ją, że sprawa z bajkami może posłużyć czemuś dobremu.

Trzeciego dnia Jenny przeszukała wszystkie chaty w wiosce, aż znalazła kawałki pożółkłego papieru i ogryzek ołówka. Przez większość dnia dziewczynka rysowała. Jeden z obrazków rozśmieszył ją do łez, a na widok drugiego posmutniała. Jenny przeglądała później jej prace, lecz uznała je za bohomy i nie potrafiła doszukać się w nich żadnego sensu.

Zdawała sobie jednak sprawę, że może nie być obiektywna.

Gotowała się w środku ze złości i oskarżała w duchu Gracielę za opóźnienie w podróży, chociaż wiedziała dobrze, że to nie jej wina. Jenny miała wrażenie, że nadmiar zmartwień i przenikliwy zapach cebuli odbiera jej zdolność logicznego myślenia. Wprost nie mogła się doczekać wyjazdu.

Rankiem czwartego dnia dziewczynkę, dzięki Bogu, opuściła gorączka, jej oczy stały się jak przedtem jasne i żywe. Jenny przestała się w końcu zamartwiać o jej zdrowie i życie. Do tego stopnia, że momentami wracała jej chęć zamordowania małej.

- Wybierzmy się na spacer - zdecydowała, przyjrawszy się bacznie podopiecznej. - Zobaczymy, jak dajesz sobie radę z chodzeniem. Jeśli wszystko pójdzie dobrze, jutro rano wyruszymy w drogę.

Oblicze Gracieli natychmiast pojaśniało, wizja opuszczenia małego, upalnego i przesiąkniętego zapachem cebuli pokoiku podziałała na nią jak balsam. Ubrała się szybciej niż kiedykolwiek i z takim entuzjazmem, że Jenny patrzyła na nią jak oniemiała. Nigdy nie uwierzyłaby, że dziewczynka przez ostatnie trzy dni walczyła ze śmiercią.

Kiedy wyszły z chaty na poranne słońce, Graciela uśmiechnęła się do niej.

- Wspaniale, że nie masz już tego wstrętnego czernidła na głowie. Twoje włosy wyglądają teraz o wiele lepiej. Są ładne, lśniące i odzyskały swój naturalny kolor.

- Myłam je codziennie - wyjaśniła Jenny. Nawet tak umiarkowany komplement wprowił ją w ogromne zakłopotanie i zupełnie nie wiedziała, jak zareagować. Zdażyła się już zorientować, że Graciela uwielbia rozmawiać o fryzurach, ubraniach i podobnych błahostkach. O dziwo, niektóre tematy okazały się dość interesujące. Teraz jednak dziewczynka po raz pierwszy powiedziała coś miłego pod jej adresem. Zaniepokoiło ją odkrycie, że aż tak ją to ucieszyło.

Szły obok siebie główną uliczką, trzymając się cienia i pozdrawiając mijanych ludzi. Mieścina była mała i nic nie usprawiedliwiała jej istnienia. Nie było tu żadnego przemysłu, naj bliższa linia kolejowa przebiegała o wiele mil dalej na wschód.

- Potrzebuję parasolki - stwierdziła nagle Graciela mrużąc w słońcu oczy.

- Więc zapomnij o tym, bo jej nie dostaniesz.

- Dlaczego?

Za każdym razem, gdy lenny słyszała to słowo, dostawała mdłości, a palce same zwijały się w pięści. Nienawidziła tego, czuła, że lasuje się jej mózg i ogarnia ślepa furia.

- Kuzyn lorje!

- Co? - lenny z trudem wyrwała się z zadumy. Na szczęście zdążyła przytrzymać na czas Gracielę, by nie pobiegła w stronę mężczyzny, który odwrócił się na dźwięk dziecięcego głosu i stał teraz na środku uliczki, miażdżąc lenny spojrzeniem.

- Puść mnie! - Graciela starała się wyrwać opiekunce. - To mój kuzyn lorje.

Przyjechał zabrać mnie do domu!

- Kuzyn lorje? - lenny powoli i dokładnie przyjrzała się obcemu. Mężczyzna odchylił ponczo i jej oczom ukazały się przypięte do pasa rewolwery. Sprawa zaczęła wyglądać niewesoło. - Dzieciaku ...
- odezwała się lenny i przesunęła na bok swoje ponczo. - Tak naprawdę, ilu masz jeszcze zafajdanych kuzynów?

Pierwsza kula świsnęła tuż nad jej głową.

9 ~

Ty ściągnął wodze i odwrócił głowę w stronę, skąd dobiegały strzały. Gdyby nie one, z pewnością przejechałby nie zauważając mijanej wioski, wyglądała bowiem na zbyt małą, by przyciągnąć uwagę lenny. Od czasu, gdy go wytropiła i zostawiła związanego pod kocem, wiele zyskała w jego oczach. Podziwiał jej spryt i instynkt walki. Teraz, gdy zastanawiał się nad miejscem jej pobytu, zadał

sobie pytanie, co zrobiłby na jej miejscu.

Na pewno zatrzymałby się w miejscu, gdzie mógłby dostać świeże mięso i mleko dla bratanicy. Z pewnością tak właśnie postąpiła lenny. Kobieta zostawiła za sobą łatwe do rozszyfrowania ślady. Wyprzedzała go o parę dni, co samo w sobie było irytujące, ale przecież on mógł podróżować szybciej i o wiele dłużej niż ona, obciążona dzieckiem. Zdawał sobie sprawę, że prędzej czy później ją dogoni.

Potem przyjdzie czas na zemstę. Ty miał wiele czasu i okazji, by powrócić myślami do tego, jak go dopadła, związała niczym cielaka i zostawiła na półtora dnia z nosem przy ziemi. Nie ma co, zrobiła z niego durnia. Mocno rozeźlony wypatrywał porządnej bójki, a ręce go świerzbiły, by zemścić się na lenny lones.

Bojowy nastrój sprawił, że błyskawicznie zareagował na odgłos strzałów.

Dźgnął konia ostrogami i pogalopował do wioski, chcąc się przekonać, czy awantura jest warta jego uwagi. Dobra bójka pomoże mu się rozładować, możliwe, że dzięki niej uda mu się spokojnie zasnąć.

Gdy dotarł na miejsce, nie wierzył własnym oczom. Na środku uliczki ujrzał

Jenny Jones, która strzelała do wąsatego Meksykanina o wyglądzie zbója.

Dziewczyna miała na sobie męskie spodnie i bezkształtne ponczo, mimo to nie mógł jej nie rozpoznać. Na ziemi leżał zakurzony kapelusz i wzrok kowboja przykuły charakterystyczne rude włosy.

Gdyby się lepiej przyjrzał, już wcześniej dostrzegłby bratanicę.

Kobieta strzelała jedną ręką, drugą zaś trzymała Gracielę za pelerynę. W pewnej chwili dziewczynka przestała się szamotać, zrzuciła wierzchnie okrycie i omijając Jenny, pobiegła prosto przez linię ognia.

- Graciela! - krzyknął Ty w tej samej chwili co Jenny i zeskoczył z konia pośród tumanów kurzu. - Na Boga, kryj się! - jęknął.

Dziewczynka nie zważając na ich krzyki, zmierzała prosto do mężczyzny, który celował teraz i w Ty'a.

- Nie strzelaj do Jenny, kuzynie Jorje! - krzyczała dziewczynka.

- Już dobrze, jestem z tobą. Nie musisz jej zabijać!

Przeklinając wniebogłosy, Jenny tupnęła ze złością butem.

- Nie strzelaj - przestrzegła Ty'a. - Możesz trafić małą. - I choć sama machała pistoletem, jakby chciała kontynuować walkę, nie odważyła się nic zrobić.

- Schowaj tyłek za drzewo! - Kowboj pchnął Jenny za szeroki pień, sam zaś przykucnął za poidłem dla koni.

- Cholera! Jest ich więcej! - Kobieta wychyliła się zza drzewa. Ty wyjrzał

ponad zbiornikiem i dostrzegł trzech mężczyzn biegnących z odsieczą.

Graciela skakała w miejscu, klaskała i ze śmiechem powtarzała ich imiona.

- Jeszcze więcej przonych kuzynów! Boże, ona ma rodzinę w każdej dziurze w Meksyku. Są wszędzie.

- I co ważniejsze, jest ich więcej niż nas. - Ty błyskawicznie ocenił sytuację.

Zerknął w stronę drzewa i widząc odkrytą Jenny, krzyknął do niej ponad hukami strzałów: - Do diabła, chowaj się za pień! - Kobieta miała więcej odwagi niż rozumu. - Posłuchaj, nie wygramy tej walki. Trzeba na razie wstrzymać ogień i pozwolić im odejść.

- Co mówisz, ty sukinsynu? - Jenny wskoczyła za pojemnik z wodą. - Mamy się poddać i pozwolić, by ją zabrali?

- Odbijemy ją, lecz do tego czasu musimy pozostać żywi. Kobieta badawczo zmierzyła wzrokiem Ty'a, a potem napastników. Ty obserwował wyraz jej twarzy - wreszcie pogodziła się z nieuniknionym. Spuściła ramiona, pistolet upadł jej na ziemię i zakryła oczy trzęsącymi się dłońmi. Tuż obok pocisk uderzył w lustro wody, a inny wzbił obłok kurzu. Ty podniósł ostrożnie głowę.

Miał szczerą ochotę odpowiedzieć ogniem, ale się powstrzymał na widok Gracieli, która biegła radośnie między mężczyznami. Sfrustrowany, skulił

palce w pięści i uderzył o wodę z taką siłą, że zaczęła się wylewać ze zbiornika.

Meksykanie skończyli walkę i powoli wycofywali się w kierunku baru, tylko ostatni jeszcze się ostrzeliwał.

- Czekaście! - krzyknęła Graciela.

Dziewczynka odłączyła się od grupy i w milczeniu przyglądała się Jenny, która wyszła na uliczkę, gdy usłyszała krzyk dziecka. Patrzyły na siebie dłuższą chwilę, po czym Graciela pomachała jej ręką, odwróciła się i pobiegła z powrotem do mężczyzn. Jeden z typów bezczelnie wsadził ją sobie na ramię, pewien, że Ty i Jenny nie odważą się strzelać. Nie zatrzymywani przez nikogo, dosiedli koni stojących przed barem i odjechali.

Jenny oparła się ciężko o pień drzewa i patrzyła za nimi otępiąłym wzrokiem.

Myślała tylko o Gracieli, siedzącej na koniu w objęciach kuzyna Jorje.

- Zabiją ją. Dobrze o tym wiesz - odezwała się nie patrząc na Ty'a.

Mężczyzna powoli wstał, odwrócił się plecami do tumanów kurzu wzbitego przez odjeżdżających i obrzucił ją wściekłym spojrzeniem. - O czym, u diabła, myślałaś, gdy tak stałaś na samym środku uliczki, udając jakiegoś cholernego rewolwerowca? Twoje szczęście, że Meksykanin kiepsko strzelał. Dziwię się, że cię nie trafili.

- Mylisz się, właśnie że dostałam kulkę.

- Chryste! - Ty podszedł i szorstko pomacał ją po ramieniu. '

Znalazł w końcu mokrą plamę w okolicy łokcia. - Masz jeszcze inne rany? -

Spojrzał jej w oczy.

- Nie, tylko ręka.

Odchylił ponczo kobiety, chwycił za koszulę i rozerwał wzdłuż rękawa.

Jenny skrzywiła się, gdy dotknął rany.

- Przeżyjesz. Kula przeszła na wylot nie naruszając kości.

- Posłuchaj mnie, Sanders, niepotrzebnie tracimy czas. - Odsunęła się od niego. - Ruszajmy w ślad za nią.

- Zrobimy to później - odparł surowo i wytarł palce z krwi.

- Najpierw należy to opatrzyć.

- Nie łudź się, w tej dziurze nie znajdziesz lekarza. - Jenny zaśmiała się - Lepiej już jedźmy.

- Sądysz, że ci czterej specjalnie was szukali, czy też strzelanina wywiązała się przypadkowo? Bo jeśli tak, to w najbliższym czasie nic się już nie wydarzy.

Graciela jest bezpieczna, dopóki nie zdecydują, co robić. Dwóch Meksykanów potrafi sprzeczać się cały dzień, by dojść do wniosku, że niebo jest błękitne.

Ty zamilkł, bo nagle uświadomił sobie, że powtarza słowa ojca. - Posłuchaj -

rzekł z marsową miną. - Mamy tu czterech mężczyzn, którzy potrzebują przynajmniej dwóch dni na ustalenie, że brakuje im jakiegoś planu, i kolejnych dwóch lub trzech, by go opracować.

- Nie masz dobrego zdania o Meksykanach, co, Sanders? - Jenny przekrzywiła głowę.

- Od kiedy pamiętam, don Antonio Barrancas starał się zagarnąć dla siebie ziemię Sandersów i udawał, że nie widzi, gdy jego ludzie kradli nasze bydło. -

Ruszyli w stronę baru. - A jego córka skłóciła całą naszą rodzinę.

- Ale to tylko jedna rodzina. Barrancasowie nie reprezentują wszystkich mieszkańców Meksyku.

- Niewykluczone, że zaczynam to zauważać. - Ty zmarszczył czoło. A może powinnaś lepiej pilnować swego nosa?

- Chodzi mi o Gracielę, a to już moja sprawa. Możliwe, że twoja nietolerancja jest jednym z powodów, dla których nigdy nie oddam ci dziecka.

Stali twarzą w twarz, mierząc się wzrokiem.

- Takie stwierdzenie mnie obraża. Nie jestem aż tak zaślepiony przez ...

pewne sprawy ... abym nie lubił dziecka, tylko dlatego, że jest... - Zmieszał się i zająknął. - Jeśli starasz się wypełnić jakąś misję i przekonać mnie, że wszyscy Meksykanie mają wokół głowy świecą aureolę ...

- Bzdura, mam tylko zamiar dotrzymać obietnicy, którą swojego czasu złożyłam pewnej dobrej kobiecie. Jako pierwsza przyznam, że kuzyni Barrancasów to zgniłe dupki.

'- To chyba jedyna rzecz na tym świecie, co do której się w pełni zgadzamy. -

Chwycił ją za zdrową rękę, wciągnął do baru i zamówił butelkę tequili. - Siadaj.

- Pokazał na stół przy kontuarze z nie heblowanych desek. - I położył rękę na blacie.

- *Que esta?* - zapytał barman. Patrzył z udanym zaskoczeniem na zakrwawioną rękę Jenny, jakby nie słyszał strzałów na zewnątrz i nie widział

mężczyzn wskakujących na konie tuż przed jego nosem.

- Nie wiesz? Twoi kołesie postrzelili kobietę i mam zamiar oczyścić jej ranę -

warknął Ty. - Masz z tym jakiś problem? - Barman podniósł ręce i cofnął się o kilka kroków. - A ty?

- zwrócił się do Jenny.

- Rób, co trzeba. - Wzruszyła ramionami.

Ty odchylił poły poncza, odciągnął zakrwawione brzegi rękawa i przyjrzał się z bliska ranie. Trochę w lewo i kula roztrzaskałaby kość przedramienia, zamieniając rękę w bezużyteczny kikut. Trochę w prawo i już by grzebał tę kobietę. Kowboj nalał tequili do szklanki i podał ją Jenny.

- Wypij, bo będzie boleć jak cholera.

Wychyliła duszkiem zawartość szklanki, co wskazywało, że to dla niej nie pierwszyzna.

- Już mnie kiedyś postrzelono, niedaleko El Paso. - Zdrową ręką wytarła usta. - Jakiś sukinsyn próbował ukraść mój wóz z towarem.

Nie dostał go, ale posłał mi kulkę między żebra. Spojrzała na Ty'a. -

Zostałeś kiedyś trafiony?

- Z pięć lat temu. Jeden z ludzi starego Barrancasa przygwoździł

mnie, gdy wjechałem na ich ziemię w poszukiwaniu skradzionego bydła. - Nalał jej kolejną porcję tequili i patrzył, jak Jenny bez mrugnięcia okiem opróżnia szklaneczkę.

Nie spotkał jeszcze takiej kobiety. Nie mieściło mu się w głowie, że mogła w tym stanie siedzieć przy barze popijając alkohol i bez słowa skargi opowiadać barwne historyjki ze swojego życia.

- Wiesz co? - Ty pokręcił głową, nalał sobie porcję tequili i stuknął

się z nią szklankami. Popatrzył na jej rude włosy, po czym obwiódł

wzrokiem zarys podbródka i ust. - Nie umiem tego wytłumaczyć, ale cholernie na mnie działasz. Pragnę cię. Wybacz, jeśli to uwaga nie na miejscu, ale wyglądasz na dziewczynę, która nie lubi owijania rzeczy w bawełnę.

- Pragniesz mnie? - Jej brwi uformowały się w prostą linię, a usta rozchyliły się ze zdziwienia. - Mnie? Dlaczego? - Wykrzywiła ze wstrętem twarz, on zaś myślał przez moment, że grymas jest skierowany do niego, ale Jenny przeprosiła go po chwili. - To przez Gracielę. Tak bardzo zbrzydło mi słowo "dlaczego", że przyrzekłam sobie nigdy go nie używać.

- Nie odpowiem na to, sam nie wiem, dlaczego. - Wypił tequilę i obserwował Jenny znad szklanki.

Nie była nawet odrobinę podobna do kobiet, których dotychczas pożądał. Nie miała w sobie nic z delikatności czy kobiecej kokieterii. Lecz nie potrafił o niej myśleć bez podziwu. Pomijając dziwną fryzurę i niemodną opaleniznę, była nawet niebrzydka. Gdy wspomniawszy jej ciężkie piersi i wąską talię, na czoło wystąpiły mu krople potu.

- Graciela powiedziała, że nienawidzisz mnie za śmierć jej matki. -

Bawiąc się szklanką, Jenny popatrzyła mu prosto w oczy.

- To nieprawda. - Kowboj zastanawiał się. Nie chciał nazywać bratanicy kłamczuchą, ale w tym wypadku dziewczynka lekko przesadziła. - Graciela musiała mnie źle zrozumieć - wyjaśnił ostrożnie.

- To dobrze, bo wygląda na to, że przyjdzie nam ze sobą współpracować. -

Zmrużyła oczy i spojrzała na niego w zadumie. - Byłam porządnie wkurzona, bo uwierzyłam, że mnie nie CierpISZ.

- Zgadnij, jak ja się czułem, gdy związanego jak cielaka zostawiłaś mnie na pustyni. - Nalał jeszcze tequili i uznał, że słowa kobiety brzmiały zachęcająco. -

Pamiętaj, w przyszłości mam zamiar wyrównać z tobą rachunki. - Wzruszył

ramionami. Nie była nowicjuską; przeżyła niejedno i musiała rozumieć, że ta sprawa wymagała rewanżu. - Rzecz w tym, że mi się podobasz. Nawet z obciętymi włosami. Mają ładny kolor i do twarzy ci bez tego czernidła.

- Wszy. - Jenny dotknęła poszarpanego kosmyka koło ucha i zmarszczyła czoło.

- Tak też sobie pomyślałem. - Może wysokie, postawne kobiety nie odpowiadały gustom każdego mężczyzny, ale ta dla niego z pewnością stanowiła wyzwanie. - Podziwiam twój styl. Chryste, czy można wytłumaczyć pożądanie? Jeszcze nie spotkałem kobiety takiej jak ty.

- Tego możesz być pewien - odparła ze słabym uśmiechem. Ty zauważył, że zarumieniła się ze wstydu, ale po chwili uznał, że był to zapewne efekt gorąca i bólu.

Mimo wszystko zaimponowała mu. Nie wyobrażał sobie, że można tak siedzieć przy kontuarze z

postrzeloną ręką i śmiać się, nie zwracając uwagi na ludzi gromadzących się przed barem. Zadziwiająca z niej szelma. Dostrzegł

też, że do mankietu jej skóra ma mlecznobiały odcień. Domyślił się, że równie jasne jest jej całe ciało, może poza miejscem, gdzie ciemnieje rudy trójkąt.

Miejscem rozdzielającym długie nogi, zdolne owinać się zmysłowo wokół

mężczyzny i poprowadzić go do punktu, o którym marzy. Ta myśl zupełnie go sparaliżowała.

- Już czas - odezwał się po minucie, przełknął ślinę i otarł dłonią czoło. -

Trzymaj rękę nieruchomo. - Jenny przekręciła się bokiem do lady, wyciągnęła dłoń, zacisnęła palce w pięść i spuściła głowę. Gdy Ty polał ranę wódką, wciągnęła ze świstem powietrze i kilkakrotnie mrugnęła. Oczy jej stały się szkliste, ale nie popłynęła z nich ani jedna łza.

- Jeśli chcesz, możesz płakać.

- Nie będę - mruknęła przez zaciśnięte zęby.

Dokładnie wypłukał ranę i oczyścił rękę z krwi, a resztę wódki rozlał do szklanek i odczekał, aż Jenny wypije swoją porcję.

- No i?

- No i co? - Miała niski głos i oczy błyszczące od łez, ale, na Boga, zniosła ból jak prawdziwy mężczyzna.

Ty doszedł do wniosku, że musi mieć tę kobietę. Myślał tylko o tym, by zaciągnąć ją do łóżka, poskromić i posmakować jej wspaniałego ciała.

Ponieważ większość niewiast to istoty na wskroś łagodne, rzadko kiedy myślał

o nich w tych kategoriach. Ale Jenny Jones z pewnością nie była uległa. To stworzenie pełne kolców, uparte i podniecające na sposób, jakiego nigdy jeszcze nie doświadczył.

- Czy ty też mnie pragniesz? - rzucił zirytowany, że musi się tak poniżać przed kobietą. Ale był zdecydowany za wszelką cenę poznać jej uczucia. Nie pozwoli się zbywać. Obnażył przed nią duszę i zasługiwał na równie szczerą odpowiedź.

- Sądzę, że tak - przyznała po dłuższym wahaniu. Skrzywiła się. - Nie bardzo mi się to podoba, ale skoro już o tym wspomniałeś, to chyba pociągasz mnie fizycznie. - Zwróciła się do barmana za ladą: - Potrzebuję dwa kawałki polędwicy wieprzowej, *por favor*.

- I kilka bandaży - dodał Ty.

- Posłuchaj. To, że się nawzajem pragniemy, nie znaczy jeszcze, że musimy temu ulegać. Być może

czuję do ciebie słabość, ale poza tym nie widzę w tobie wiele zalet. Do tej pory byłeś jak wrzód na tyłku. Coś ci zdradzę.

Już raz się sparzyłam. Uległam pożądaniu i powiadam ci, więcej satysfakcji dała mi dzisiejsza strzelanina. Zupełnie mi się to nie podobało.

To była smutna wiadomość. W momencie gdy przyznała się do swojego pożądania, w myślach Ty'a wybuchły niczym fajerwerki dziesiątki najdzikszych obrazów. Nie robiła niczego połowicznie, wyobraził ją więc sobie jako radosną, pełną życia i entuzjazmu partnerkę. Ale okazało się, że gdzieś po drodze jakiś mężczyzna ją skrzywdził. Wielka szkoda. Kobiety są jak młode klacze. Wystarczy je odpowiednio okiełznać, a sprawiają mężczyźnie radość za każdym razem, gdy je dosiądzie. Jednak gdy się z nimi ktoś źle obchodzi, są potem tylko kłopotem.

Musiał to sobie przemyśleć.

Ty wziął od barmana mięso i obłożył z dwóch stron ranę. Potem przytrzymał i obwinał rękę bandażem. Skóra Jenny była ciepła i sprężysta; wyczuł pod nią lekko napięte mięśnie. Żałował, że dziewczyna ma na sobie ponczo, z chęcią przyjrzałby się jej okazałym piersiom.

- Nie twierdziłem, że musimy od razu odpowiadać na ten impuls -

skomentował ostrożnie. Nie miał pewności, czy jej słowa oznaczają wyraźną odmowę, a gdyby nawet, chciał jej dać do zrozumienia, że nie składał wiążącej propozycji.

Jenny wstała i dotknęła obandażowanej ręki. Miała trzeźwy wzrok i szła przed siebie zdecydowanym krokiem. Patrząc na nią, nie sposób było się domyślić, że oboje właśnie opróżnili pół butelki tequili. Ty dotychczas nie zastanawiał się nad tym, ale uznał mocną głowę u kobiety za niewątpliwą zaletę.

- Nie rozumiem cię, Sanders. Urządzasz sobie pogadankę o pożądaniu, zamiast planować, jak odzyskać bratanicę? Nie zależy ci na niej? A może jest dla ciebie tylko kolejnym nie chcianym meksykańskim bachorem?

- Moje uczucia do dziecka to absolutnie nie twoja sprawa.

- Spojrzał na nią twardo.

- Bardzo się mylisz, Graciela to wyłącznie moja sprawa.

- Gdzie masz rzeczy? - Ty zauważył, że kiedy Jenny mówi o Gracieli, zupełnie zmienia wyraz swojej twarzy - biła z niej surowość i żarliwa determinacja. Ona naprawdę wierzyła, że jest odpowiedzialna za małą!

- Niedaleko stąd. Ale nigdzie się nie ruszę, dopóki nie powiesz mi, co czujesz wobec Gracieli. Jeśli nie jesteś zdecydowany, by ją odzyskać, muszę to wiedzieć teraz.

Ty minął ją i wyszedł na ulicę. Tam zatrzymał się gwałtownie w pół kroku, zmuszając wieśniaka jadącego na mule, by ich ominął.

- Dobrze, spróbuję ci wyjaśnić, jak się sprawy mają. Podobnie jak ojca, nie ciesz się myśl o tym, że mamy w rodzinie kogoś z Barrancasów - rzekł

cowboja przez zaciśnięte zęby. _ Ale Graciela jest jedyną córką mojego brata, krwią z jego krwi, i obiecałem mu, że przywiozę ją całą i zdrową do domu.

Ponadto przyrzekłem, że zaopiekuję się matką i dzieckiem, gdyby Robertowi coś się przydarzyło. Dałem na to swoje słowo. Mówiłaś mi, jak to cenisz, więc chyba mnie rozumiesz. Graciela należy do rodziny, jest częścią mnie i biorę za nią całkowitą odpowiedzialność. Nie wyjadę bez niej z Meksyku.

Jenny poprawiła opaskę na rękę i pochyliła się w jego stronę z wojowniczym wyrazem twarzy.

- Mam dla ciebie dobrą wiadomość, mój panie. Jeśli coś przydarzy się Robertowi, czuj się zwolniony z danego słowa, bo to mnie poproszono o opiekę nad Gracielą. Przyrzekłam to Marguaricie i tak zrobię.

- Żadna obca osoba nie będzie wychowywać mojej krewnej!

Ani ty, ani nikt inny. Graciela ma jeszcze moją matkę i mnie, to jej najbliższa rodzina.

- Ma też don Antonia, ale widać Marguarita nie chciała, by zaopiekował się jej córką. Wybrała mnie!

Stali tak blisko siebie, że czuł ciepło bijące z jej ciała.

- Martwisz się o los Gracieli tylko dlatego, że dałaś słowo Marguaricie -

stwierdził bez ogródek, nie odrywając wzroku od jej ust.

- I zamierzam go dotrzymać, choćby miało mnie to zabić albo musiałabym zabić ciebie. Nie będziesz wychowywać Gracieli, bo ja to zrobię. - W jej oczach płonął ogień, a całe ciało naprężyło się jak do skoku: Nigdy jeszcze nie miał tak wielkiej ochoty, by kogoś uderzyć.

Zarazem wjedziały, że jeśli podniesie rękę na Jenny, ta rzuci się na niego, nie zważając na swoją ranę, i zaczną walczyć ze sobą pośrodku zakurzonej uliczki.

Nie rozumiał, jak można jednocześnie odczuwać wobec kobiety wściekłość i pożądanie. Miał ochotę iść z nią do łóżka i zbić ją na kwaśne jabłko. To intrygująca zagadka, której w żaden sposób nie potrafił rozwikłać.

- Tak naprawdę żadne z nas nie musi jej wychowywać, zrobi to Robert -

oświadczył ostro Ty i zacisnął pięści. - Już ci mówiłem, twoja misja dobiegła końca. Zrobisz nam wszystkim wielką przyjemność, gdy wyjedziesz daleko stąd i zapomnisz

o całej sprawie.

- Czy przewaga kuzynów nagle zmalała w czasie naszej rozmowy? Czy kilku z nich przypadkiem się zastrzeliło? A może planujesz ruszyć w pojedynkę na całą czwórkę? Nie jesteś aż tak dobry, Sanders.
- Uśmiechnęła się ukazując białe zęby.

Mężczyzna zaczerwienił się, gdy przypomniał sobie, jak zostawiła go związanego na ziemi. Ponownie zacisnął mocno pięści. Ta koza jeszcze nie wie, jaki jest dobry, ale przyjdzie i na to czas.

- Nie możemy sobie bez przerwy wykradać Gracieli, musimy to jakoś uporządkować i pomyśleć o współpracy.

- Nie ma czego ustalać - odparła i nie oglądając się, ruszyła przed siebie. - To ja zabieram dziecko do Roberta. Ręczyłam za to słowem i na tym koniec. A jeśli chcesz ciągnąć się za mną ... zgadzam się. To lepsze niż wszystko, co robiliśmy dotychczas. Wybór należy do ciebie i mało mnie obchodzi, co postanowisz.

Ty nic nie mówił, patrzył tylko, jak kobieta zbiera swoje rzeczy i siodła konia.

Odezwał się dopiero wtedy, gdy ujechali dobrą milę na wschód od wioski, wypatrując śladów zostawionych przez kuzynów.

- Twoja rana nie wygląda najgorzej, za parę dni będziesz mogła używać ręki -

powiedział oschle, gdy się zrównali.

- W razie potrzeby użyję jej choćby i teraz.

Zachodzące słońce rzucało na ziemię purpurowe cienie. Ty ocenił, że mają przed sobą co najwyżej pół godziny jazdy, potem trzeba będzie rozbić obóz na noc.

- Nie możemy niczego postanowić; dopóki się nie upewnimy, dokąd te zbiry jada i co zamierzają zrobić - stwierdził.

- To proste. Jada w stronę linii kolejowej i planują zabić Gracielę. Pozostaje pytanie, gdzie i kiedy.

- Chciałbym choć przez chwilę odegrać rolę adwokata diabła.

- Niepokoił go jej brak jakichkolwiek wątpliwości.

- Poczekaj chwilę - mruknęła i skrzywiła się. Wyjęła z kieszeni słowniczek, przerzuciła kilka kartek, podniosła bliżej oczu i pokiwała ponuro głową. - Proszę bardzo. Bądź sobie adwokatem, idealnie też nadajesz się na diabła.

- W oskarżaniu kuzynów podpierasz się jedynie opinią Marguarity. Skąd wiesz, że zamierzają skrzywdzić Gracielę?

- Odjechali z nią czy nie?

- Z ich punktu widzenia uratowali Gracielę z rąk obcej kobiety, która porwała dziecko po śmierci matki.

- Meksykanie nie są tępi jak skała! - Uniosła wysoko zdrową rękę.

- Wcale tego nie twierdzę - odparł, starając się zachować cierpliwość. -

Przypuszczam jedynie, że kuzyni mogą mieć taki sam interes w odbiciu Graciel jak ja. Przecież należy do ich rodziny. W przeciwieństwie do nich ty nie masz żadnych praw.

- Myślę, że wszyscy zainteresowani zdążyli się już dowiedzieć, że Margarita zginęła pod murem zamiast mnie. - Jenny przekręciła się w siodle i uważnie spojrzała na Ty'a. - Doskonale wiedzą, że nie zmusiłam jej do tego, to był jej świadomy wybór. Zdają sobie sprawę, że nie wykradłam Graciel z hacjendy, to ona mi ją przywiozła. Życzeniem Marguarity było, abym zawiozła dziecko do Kalifornii. Poczawszy od dony Theodory, wszyscy świetnie wiedzą, co i dlaczego się stało.

- Jeśli nic się nie zmieni, już wkrótce będziemy zmuszeni zabić kilku Barrancasów - ciągnął Ty uparcie. - Potrzebuję jakiegoś zapewnienia, że nie pozbawiam ludzi życia bez konkretnego powodu.

_ Margarita wierzyła, że jej kuzyni to banda morderczych sukinsynów.

Wierzyła w to tak bardzo, że wołała powierzyć mnie swoją córkę. Dla mnie to wystarczający dowód.

Ty zatrzymał się obok mijanych moczarów, zeskoczył z konia i podszedł do niewielkiego bajora. Pochylił się, nabrał do ręki nieco wody, powąchał i spróbował.

_ Jest trochę błotnista, ale nadaje się do picia - zawołał do Jenny. - Rozbijemy tu obóz. - Kiedy się upewnił, że kobieta nie ma zamiaru się sprzeciwić, wrócił

do koni i zdjął co cięższe rzeczy, których Jenny nie udźwignęłaby jedną ręką.

Krzążając się przy bagażach, wrócił myślami do sceny, której był świadkiem w barze w maleńkiej bezimiennej wiosce. Odniósł wtedy wrażenie, że kuzyn Emil potrzebuje Graciel dla okupu. Nie przypominał sobie jednak, by była o tym mowa, mógł się więc mylić. A może krewni naprawdę kochali dziewczynkę i chcieli ją tylko ściągnąć do domu, gdzie jej miejsce. To tłumaczyłoby wiadomość od dony Theodory Barrancas y Thalmas. Zapewne oczekiwała, że kuzyni odnajdą dziecko i przywiozą je do hacjendy. Kobieta nie chciała stracić Graciel, oddając ją obcej kobiecie czy Sandersom w Kalifornii.

Niepokoilo go, że wydarzenia mogą mieć inne wytłumaczenie niż to, które sugerowała Jenny. Równie zatrwazająca była myśl, że Jenny może mieć rację.

Margarita z pewnością wierzyła, iż kuzyni są zdolni do wszelkiego zła.

Zginęła, bo w to wierzyła.

Po kolacji złożonej z fasoli i podgrzanych tortilli usiedli przy ognisku i popijali kawę. Nad nimi

rozbłysły gwiazdy i wypalały dziury w czarnym aksamicie nieba.

„ Jestem awanturnikiem i nie unikam bójek, a kiedy trzeba, potrafię też niezle strzelać - wyjaśnił kowboj, wpatrując się w twarz Jenny, oświetloną blaskiem ogniska. - Ale nie jestem mordercą.

„ Jeśliś taki wybredny w kwestii zabijania, to wracaj do Kalifornii i czekaj tam na mnie i na Graciele.

- Tylko spójrzcie, co mówi ta kobieta. ~ Ty zaśmiał się. „ Zamierzasz sama poradzić sobie z czterema roslymi chłopami?

Nie jesteś aż taka dobra, Jones - z zadowoleniem zacytował jej słowa.

Jenny zmarszczyła czoło, po czym roześmiała się głośno i szczerze. W jednej chwili całkowicie zmieniło się jej oblicze. Ty nie wiedział, czy sprawiły to odbite na policzkach tańczące płomienie ogniska, czy uśmiech na ustach i w oczach, ale wydała mu się śliczna. Nie spuszczał z niej wzroku.

- Rozszyfrowałam cię - odparła niskim głosem. - Zrobisz, co masz do zrobienia, bo tak obiecałeś bratu. Nigdzie się nie ruszysz bez dziecka, nie muszę się więc martwić, że przyjdzie mi walczyć w pojedynkę.

Nic dodać, nic ująć. Rzecz jasna, ma rację. Kobieta zna siłę danego słowa tak samo jak on.

- Masz rodzinę, Sanders? Żonę, dzieci? - Oparła kubek z kawą na kolanie i spojrzała na niego bacznie. Jej twarz nie zdradzała żadnych uczuć.

- A gdzie tam! - prychnął". rozbawiony tym pytaniem. - Nie należę do tego typu mężczyzn. - Jenny nie przestawała się mu przyglądać; pochylił się i dolał

sobie kawy. - Człowiek taki jak ja nie potrafi dzielić życia z kimś innym.

- Naprawdę? - Jenny wypila łyk kawy. - Dlaczego? Co masz w sobie takiego, że nikt nie wytrzymałby życia z tobą?

- Matka twierdziła, że już się taki urodziłem. - Wzruszył ramionami i wlepił

wzrok w ognisko. - Może miała rację. - Zadumał się chwilę. - Nie spotkałem jeszcze kobiety, której obecność zniósłbym dłużej niż tydzień. - Na jego ustach pojawił się przewrotny uśmiech. - Pewnie miały o mnie podobne zdanie.

To, co z początku uważał za urocze kobiece kaprysy, z czasem brzydło mu i powszedniało. Irytowały go naiwne i nudne rozmowy i wieczna obsesja, by przestrzegać najdrobniejszych zasad etykiety. Ty gubił się w tym wszystkim i w krótkim czasie miał dosyć. Te nieskończone starania, by wygładzić jego zachowanie, te delikatne zachęty i naciski ... I dlaczego zawsze próbowały go zmienić? Wszystkie kobiety chciały od nowa ulepić go na swoją modłę.

- Więc co robisz, gdy nie przemierzasz pustyni Meksyku? Jesteś obieżyświatem?

- Można to tak określić. Podróżowałem przez kilka lat wzdłuż Zachodniego Wybrzeża.

- A potem?

- Zawsze wracałem na ranczo, do domu. - Do posiadłości ojca, a teraz brata; Ty skrzywił się. - Dlaczego zadajesz mi te wszystkie pytania?

- Bez powodu. - Wzruszyła ramieniem; gest ten mógłby poczytać za obojętność, gdyby już trochę nie poznał tej kobiety. - Tak sobie rozmawiamy przy ognisku, nic więcej. Próbuję spędzić jakiś czas. Nie musisz mi przecież odpowiadać.

- Mam swój kawałek ranczo, ze sto pięćdziesiąt hektarów, które dostałem od ojca parę lat temu. Hoduję bydło i staram się powstrzymać ludzi starego Barrancasa, by zaprzestali kradzieży. Można powiedzieć, że nawzajem kradniemy sobie bydło już od dwudziestu lat. - Próbował sił w innych zawodach, lecz zawsze wracał na ranczo. Miłość do ziemi miał we krwi. -

Pracowałaś kiedyś na ranczo?

- Dawno temu, przez niecały rok. Jedzenie było dobre, ale wynagrodzenie fatalne. Wydaje mi się, że człowiek może to polubić, gdy ma własną ziemię.

- A ty? Byłaś kiedyś zamężna?

- Ja? Ależ skąd! - Jej śmiech wydał mu się zardzewiały, jakby nieczęsto go używała. - Tak się złożyło, że moje zajęcia nie skłaniały do romantycznych uniesień. Poganianie mułów, obdzieranie ich ze skóry, rozumiesz, co mam na myśli? - Ziewnęła

i zerknęła w stronę posłania. - Zdaje się, że jesteśmy do siebie podobni. Nie spotkałam jeszcze mężczyzny, którego nie chciałabym zastrzelić po trzech dniach znajomości. - Wstała, poprawiła płócienny temblak na ręce i pochyliła się, by rozprostować kości.

- Boli cię?

- Do diabła, a co myślisz? - Rozszerzyła oczy z oburzenia.

- Jasne, że boli, i to jak cholera.

Podniosła głowę i spojrzała w niebo. Milczała przez kilka minut.

- Gracieli nic się nie stanie ... prawda? - szepnęła. Utkwiła wzrok w odległej gwiazdzie. - Spraw, bym uwierzyła, że jej jeszcze nie zabili.

Surowa udręka w jej głosie zaskoczyła Ty'a. Po raz pierwszy ujrzał w niej tak wyraźne oznaki słabości. Nowy wizerunek Jenny Jones sprawił, że poczuł

ściskanie w gardle. Odchrząknął i powiedział to, co chciała usłyszeć.

- Nie skrzywdzili Gracieli - stwierdził stanowczo. - Nikt jej nie zabije, odzyskamy ją.

- Wiem. - Odwróciła się do niego plecami i popatrzyła na wysokie kaktusy stojące wokół nich jak na straży. Spuściła ramiona i pochyliła głowę.

- Dzieciak prosił Jorje, by mnie nie zabijał ""- rzekła ochryłym głosem, patrząc na swoje buty. - Byłeś świadkiem, nie przesłyszałam się. - Stała w milczeniu przez jakąś chwilę, po czym kopnęła kamień, który potoczył się w stronę karłowatych dębów. Potem wróciła na swoje posłanie.

Ty siedział trzymając oburącz kubek z kawą i wpatrywał się w dopalające się ognisko. Do tej pory mógłby przysiąc, że jedyną rzeczą łączącą Jenny z Gracielą było słowo dane Marguaricie. Teraz zaczął mieć wątpliwości. Kobieta przed paroma minutami pokazała, że jej uczucia są głębsze i bardziej skomplikowane.

Być może jej nie docenił.

- Sanders?

- Słucham? - Ty podniósł głowę.

- Nie mam niczego do zaoferowania mężczyźnie, a i ty niewiele możesz dać kobiecie. Więc niech ci przypadkiem nie przyjdzie do głowy realizować swoich pokretnych pragnień. Mam tu przy sobie kolta i ostrzegam: zrób tylko ruch w moją stronę, a odstrzelę ci tyłek.

- Ależ na Boga! - zachnął się wzburzony. - Sądzisz, że miałbym sumienie napastować ranną kobietę?

- Najlepiej zostań po swojej stronie ogniska - odparła z ciemności po dłuższym milczeniu.

Ty zaśmiał się. Z jego twarzy znikła cała złość. A więc myśli onim i o jego pożądanu. Zadowolony, popatrzył na siodło, którego użyła za poduszkę.

_ Kochanie, gdy będę gotów do zaspokojenia tej żądzы ... jeszcze będziesz mnie błagać, żebym do ciebie przyszedł. Obiecuję ci to.

Z jej strony dobiegły okrzyki oburzenia.

_ Tak się na pewno nie stanie! - krzyknęła z przejęciem w głosie. _

Zobaczmy - odparł cicho. Z uśmiechem wylał resztkę kawy na ziemię i podszedł do swojego posłania.

Ktoś, kto w przeszłości ujeżdżał tę klaczkę, robił to niewłaściwie. Musiał to naprawić. A wtedy i ona dozna radości, która przedtem nie była jej udziałem.

Na myśl o tym poczuł w kroczu gorące

dreszcze.

Na twarzy Gracieli krzyżowały się na przemian radość i zmieszanie, niczym migające światła przejazdu kolejowego. Wreszcie wraca do domu, do ciotki Tete i swojego pokoju, komfortu hacjendy pełnej służby, do swojego dawnego, bezpiecznego życia.

Ale nie spotka tam mamy. Dom już nigdy nie będzie tym samym miejscem, które zapamiętała. W oczach dziewczynki pojawiły się łzy.

Skuliła się w kłębek przy ognisku i objęła rękami kolana. Słońce już zaszło za górami i wieczorny chłód ogarnął pustynię. Ciałem dziewczynki wstrząsnął

lekki dreszcz. Patrzyła leniwie na kuzyna Tito, który odpiął od siodła zawiązany worek i rzucił go przed ognisko. Natychmiast wróciła do rzeczywistości. Ze strachu włosy stanęły jej na głowie i wyprostowała się jak struna, bo zdała sobie sprawę, że w worku coś się rusza.

- Jadłaś kiedyś węża? - spytał Tito z przebiegłym uśmiechem na twarzy.

Graciela powoli wstała, nie spuszczać oczu z ruchliwego pakunku. Nie było na świecie rzeczy, która przerażałaby ją bardziej niż węże.

Tito wziął worek i trzymając go przy nodze spojrzął na Jorje, Carlosa i Favra.

Nagle Graciela zdała sobie sprawę z dziwnego napięcia, które wyczuwała przez cały dzień. Teraz i ją ogarnął niepokój. Z otwartymi szeroko oczami i suchym gardłem starała się cofnąć, podczas gdy Tito ukląkł tuż obok i położył worek na ziemi. Dziewczynka na próżno usiłowała się ruszyć, dygoczące ze strachu nogi odmówiły posłuszeństwa.

_ Uważaj, teraz wypuszczę jednego - wyjaśnił Tito, a z jego twarzy nie schodził złowieszczy uśmiech. - Najpierw uderzę go w głowę, a potem obedrę ze skóry i upiekę nad ogniem. Mięso z węża jest białe i soczyste, pomyślisz, że to kurczak.

Graciela instynktownie przełknęła ślinę. Nie mogła oderwać oczu od obrzydliwych skrętów wewnątrz worka. Sparaliżował ją strach i spierzchnęły jej usta, a serce waliło tak głośno, że jak przez mgłę zdała sobie sprawę, iż pozostali zamilkli.

Tito również obserwował ruszający się worek, po czym porozumiewawczo łypnął okiem na *lorje*. Graciela nawet nie próbowała zgadywać, co starali się sobie powiedzieć. Nie mogła myśleć, mówić ani się poruszać. Wciągnęła tylko gwałtownie powietrze, gdy Tito opróżnił przed nią worek. Na ziemię wypadły trzy wielkie, tłuste grzechotniki.

Znieruchomiała ze zgrozy. Miała trudności z oddychaniem i była pewna, że zaraz zemdleje. Jeden gad prześliznął się koło jej nogi zostawiając na piasku ślady w kształcie litery S i błyskawicznie zniknął w ciemnościach pustyni.

Drugi zwinął się w kłębek i pozostał w takiej pozycji z uniesionym łbem, sycząc i wysuwając rozdwojony język.

Graciela wiedziała, że przyczajony wąż może lada chwila uderzyć, usiłowała więc za wszelką cenę zachować spokój, chociaż drżał jej każdy mięsień, a mózg krzyczał, by czym prędzej uciekać. Modliła się cichym szeptem, by któryś z kuzynów zastrzelił syczącego potwora, zanim ją ukąsi, ale żaden z mężczyzn nie zareagował.

Śmiertelnie przerażona patrzyła na zbliżającego się do niej trzeciego gada.

Zatrzęsła się gwałtownym dreszczem, kiedy przesunął się po jej bucie i przepadł w mroku. Chciała spojrzeć za siebie, by się upewnić, że uciekł w stronę pustyni. Irracjonalnie była jednak pewna, że wpęłźnie zaraz pod brzeg jej sukienki, oplecie nogę i ją ukąsi. Mogła jedynie żywić nadzieję, że grzechot nik ma inne plany, ale nie odważyła się tego sprawdzić. Bała się, że najmniejszy ruch przyciągnie uwagę drugiego, wciąż zwiniętego węża, który przedstawiał

największe zagrożenie.

Raptem podszedł do nich Favre, odepchnął na bok kuzyna Tito i strzelił

gadowi prosto w głowę. Graciela zrazu podskoczyła na odgłos strzału, a potem poczuła olbrzymią ulgę i osunęła się bezwładnie na ziemię niczym kupka zużytych szmat. Jednak wyobraźnia nie pozwoliła jej odpocząć. Wnet zerwała się na równe nogi i potrząsała zawzięcie spódnicą, wypatrując pozostałych grzechotników. Przecierała przy tym załzawione oczy, by lepiej widzieć, zdając sobie sprawę, że gady są gdzieś w pobliżu, tuż poza kręgiem światła ogniska.

- *El stup ido!* - warknął Favre na Tito. Ukłęknął, wyciągnął nóż z za pasa i przystąpił do ściągania skóry z zabitego węża. Jeden z mężczyzn zaśmiał się nerwowo, po czym wszyscy powrócili do organizowania obozowiska.

Graciela jeszcze nie mogła dojść do siebie. Wytarła oczy i spojrzała na kuzyna Tito, spodziewając się, że ją zaraz przeprosi i wytłumaczy cały ten straszny incydent. Przecież widział, jak łatwo mogła zginąć. Jednak na próżno czekała, aż ją przytuli i pocieszy. Mężczyzna obrzucił ją tylko lodowatym spojrzeniem i rzucił:

- Miałaś dużo szczęścia, *chica*.

Zmieszana i wciąż zszokowana dziewczynka zbliżyła się do ogniska i wyciągnęła w stronę płomieni drżące ręce. Upewniła się przedtem, że stoi wystarczająco daleko od zabitego potwora.

Tymczasem Favre ustawił nad ogniem dwa rozwidlone kije i położył na nich węża. Graciela nie mogła na to patrzeć. Gdy nadszedł czas posiłku, jej żołądek zaprotestował. Skubnęła trochę ryżu i tortilli, ale nie ruszyła upieczonych kawałków.

Kuzyni odstawili talerze i wyjęli butelkę tequili, którą podawali sobie kolejno z rąk do rąk. Co jakiś czas któryś z nich spoglądał na nią, lecz ich twarze nie zdradzały jakichkolwiek uczuć. Wężę już zniknęły, a przynajmniej taką miała nadzieję, lecz jej strach pozostał.

Gdy opadły emocje, Gracieli zaczęły przychodzić do głowy przeraźliwe myśli.

Choć bardzo starała się znaleźć inne wytłumaczenie, utwierdziła się w przekonaniu, że Tito nieprzypadkowo upuścił koło niej worek z grzechotnikami. Chwilę przedtem popatrzył na nią wyczekująco swymi ciemnymi, pełnymi chciwości oczami.

Żaden z kuzynów nie pośpieszył jej z pomocą i nie odtrącił dalej gadów. Nikt nie wyjął pistoletu, dopiero Favre zdecydował się na interwencję. Badając uważnie jego oświetloną ogniskiem twarz zastanawiała się, czy chciał ją uratować, czy tylko się obawiał, że ucieknie im ostatni wąż i nie będą mieć mięsa na kolację.

- Twoje posłanie jest tam - rzekł Jorje i pokiwał głową w ciemność. Graciela, niema z przerażenia, spojrzała na niego wielkimi oczyma. - Węże już dawno uciekły - dodał niecierpliwie. Dzieczynka nadal się nie ruszała, więc odszedł

od ogniska i pociągnął ją za łokieć. Obserwowała w ciszy, jak wywrócił koc, potrząsnął nim i pokazał, że nic jej nie grozi. - Idź już spać - rozkazał surowym głosem. Znała ten ton; tak mówią dorośli, gdy chcą porozmawiać o sprawach, których dzieci nie powinny słyszeć.

- Dobranoc - szepnęła.

Kuzyn Jorje wrócił do towarzyszy i dziewczynka poczuła się samotna i nieszczęśliwa.

Zanim weszła pod koc, na wszelki wypadek przeszła po nim kilka razy. Gdy się upewniła, że nie wyczuwa pod butami nic, co przypominałoby węża, ostrożnie wśliznęła się na posłanie i zerknęła z niepokojem w stronę ogniska.

Po raz pierwszy w swoim młodym życiu Graciela Sanders nie czuła się bezpiecznie w towarzystwie kuzynów. Coś jest nie tak,

ostrzegają ją wszystkie zmysły. Ci mężczyźni zupełnie nie przypominali innych członków rodziny, których często widywała, jak Luis czy Chulo. Ale dobrze pamiętała, że siedzący przy ognisku mężczyźni zawsze byli serdeczni, rozmowni, lubili się przechwalać i żartować.

Tego wieczoru nikt się nie uśmiechał. Nie było dowcipów i przekomarzań ani w czasie drogi, ani przy ognisku. Nie głaskali jej po głowie i nie obsypywali komplementami, jak to mieli w zwyczaju podczas wizyt na hacjendzie ciotki Tete. Traktowali ją wręcz jak kogoś obcego.

Graciela zmówiła szybki pacierz, po czym starała się odsunąć od siebie niepokojące myśli. Wspominała miękkość domowego łóżka i rzędy pięknie ubranych lalek, które stały na półce w jej pokoju? a także książki, tablicę i niezliczone skrzyneczki i pudełka ze skarbami. To na krótko poprawiło jej nastrój.

Ale zaraz przypomniała sobie, że już nigdy więcej nie wbiegnie rano do pokoju mamy, by podzielić się z nią filiżanką gorącej czekolady, nie zmówi wraz z nią pacierza, nie pojedzie powozem, w którym unosi się delikatny zapach jej perfum, ani nie usłyszy jej kochanego głosu. Poczowała dojmujący ból w piersiach.

Mama nie żyje, a ona boi się mężczyzn siedzących nieopodal. Wtuliła twarz w koc, starając się nie

płakać, i szukała w myślach miłych wspomnień. Pomyślała o swojej przyjaciółce, Consueli, z którą podzieli się opowieściami o ostatnich przygodach.

Consuela nigdy nie jechała pociągiem ani nie widziała miasta wielkości Durango, tego Graciela była pewna. Nie wyszła też z domu na cały dzień bez opiekunki, nie czesała się sama ani nie myła się w potoku. Czy Consueli rozszerzą się z podziwu i pewnie westchnie z przejęcia na wiadomość, że jej koleżanka zamieniła się ubraniami z żebraczką, jadła pieczone na ognisku potrawy i spała . na ziemi pod kocem.

- Czy mała już zasnęła?

Kuzyn Jorje podszedł cicho do posłania i Graciela zamknęła oczy udając, że śpi. Gdy usłyszała szcęk ostróg oddalającego się mężczyzny, uspokoiła się i znowu pomyślała o Consueli. Zastanawiała się, jak wytłumaczy przyjaciółce swój stosunek do Jenny.

Jenny zabiła jej mamę i za to ją znenawidziła. Ale jest też prawdą, że opiekowała się nią w czasie choroby i nauczyła wielu pożytecznych rzeczy.

Gniewało ją, że Jenny traktuje ją jak służącą, lecz z drugiej strony bardzo ceniła sobie jej zdanie.

Miotaly nią sprzeczne uczucia i mieszały jej w głowie, zaczęła więc wspominać wujka Ty'a i zastanawiać się, czy go jeszcze zobaczy. Także i w tym wypadku nie miała pewności, Wujek Ty był dla niej miły i bardzo go polubiła, ale nie wiedziała, czy aby z wzajemnością.

To podejrzenie ogromnie ją zabolalo. Od kiedy pamięta, zawsze się o nią troszczono, kochano i rozpieszczano. Wokół niej koncentrowało się bez wątpienia całe życie mamy. Była też oczkiem w głowie cioci Tete i aż do dzisiaj wierzyła niezachwianie, że jest ulubienicą kuzynów.

Myśl, że to wszystko mrzonki i że już nikt jej nie kocha, wstrząsnęła nią do głębi.

Otarła łzy z policzków i zacisnęła oczy z nadzieją, że zaraz zaśnie. Lecz gdy uspokoiła myśli, jej uwagę przykuły niskie, pełne napięcia głosy dobiegające od strony ogniska.

- Wiemy, co należy zrobić - rozpoznała kuzyna Jorje. Złowieszcza stanowczość jego słów zaalarmowała dziewczynkę. - Skoro węże nie rozwiązały problemu, uważam, że powinniśmy wziąć sprawy w swoje ręce.

- Na Boga, przecież to jeszcze dziecko! - odezwał się Favre, ten sam, który zastrzelił węża, zanim gad zdążył ją zaatakować, i który tańczył z nią do upadłego na jej ostatnich imieninach.

- Uważaj, nie tak głośno.

- Luis i Emil już dawno zdecydowali, że umrze - odparł Favre tak cicho, że Graciela musiała wyteńczyć słuch. - W takim razie niech oni ją zabiją.

- I zgarną wszystkie pieniądze don Antonia? - zapytał ostro Tito. - Czy tego właśnie chcesz?

Graciela wstrzymała oddech i słyszała jedynie łomot własnego serca. Mówią o jej dziadku, Antonio, i o niej. Jenny miała rację, kuzyni chcą zobaczyć ją martwą.

Już sama myśl o tym była zbyt niepojęta i przerażająca. Sztywna ze strachu, leżała w ciemnościach i ścisnęła koc drżącymi dłońmi.

- Jesteście głupcami, jeśli wam się wydaje, że zobaczymy choć jednego centawo z majątku don Antonia. - Carlos wstał, a jego potężna postać górowała na tle ogniska. Machał gniewnie rękami. - Luis i Chulo zaplanowali już wyprawę do Ameryki, by powiadomić don Antonia o śmierci jego córki i wnuczki. Myślicie, że kim będą nowi spadkobiercy don Antonia? To skończona głupota wierzyć, że Luis i Chulo wspomną o nas.

- Dlatego jestem zdania, że powinniśmy sami rozwiązać ten problem. - Jorje również wstał. Spojrzał w stronę posłania Gracieli. - Nalegam, by jeden z nas pojechał z Luisem i Chulo, żeby nas nie wykołowali. To my ją znaleźliśmy.

Jeśli zajmiemy się tą sprawą - ponownie rzucił okiem w stronę dziecka - jak nic załatwimy Luisa i Chulo. - Uderzył pięścią w dłoń.

- Ona jest z Barrancasów - warknął Favre. - Jak ty i ja.

Zabiłbyś członka własnej rodziny? Pluję na was wszystkich.

W zapadłej ciszy Graciela słyszała bicie własnego serca - miała wrażenie, że za chwilę wyskoczy jej z piersi. Po policzkach płynęły jej ciurkiem łzy, a dłonie ścisnące koc dygotały jak suche gałęzie. Ogarnęła ją panika, a duszę opanował

nieznośny ból; była zbyt młoda i niedoświadczona, by wiedzieć, że tak boli zdrada.

Co począć? Nie miała dokąd uciec i gdzie się schować. Wycierała rozpaczliwie łzy i starała się obmyślić sposób ucieczki, ale nic sensownego nie przychodziło jej do głowy.

- Pomóż mi - szepnęła, ścisnąjąc w dłoni mały medalionik. Nie kierowała tych słów do kogoś konkretnego, może podświadomie myślała o Bogu czy o matce, a może miała nadzieję, że Jenny ją znowu odnajdzie, tak jak zrobiła to w Durango.

Kiedy świt zaczął rozjaśniać niebo pasemkami różu i błękitu, Graciela podniosła się niepewnie z posłania. Jej oczy były opuchnięte od łez i niewyspania. Postanowiła zachować dystans i nie patrzeć kuzynom w oczy z obawy, że mogą zauważyć, jak bardzo jest przerażona.

- Czas stąd zwiewać - oznajmił Jorje, gdy już zjedli i spakowali juki.

Wyciągnął rękę, chcąc ją podsadzić na konia, ale Graciela pokręciła głową.

- Chcę jechać z Favre - rzekła cicho.

- Jak chcesz - zgodził się Jorje i wzruszył ramionami. Posłał

kuzynowi długie, ostre spojrzenie i wsiadł na konia.

Favre skłonił się przed dziewczynką w dworskim ukłonie, wymachując przesadnie ręką, potem podniósł ją i posadził w siodle, a na koniec sam wskoczył na konia. Graciela chciała mu podziękować, ale bała się zdradzić, iż zna treść ich wczorajszej rozmowy. Wydawało się jej, że słyszy przestrogi Jenny, która każe jej siedzieć cicho i chronić własny tyłek.

W południe zrobili postój, by ukryć się w cieniu drzew przed zabójczym słońcem. Graciela, osłaniając oczy dłonią, z napięciem przeczesywała wzrokiem pagórkowatą okolicę. Wokół kaktusów rosnących na północy krążyły myszołowy; dziewczynka dostrzegła też kołującego przy ziemi jastrzębia, lecz nigdzie nie widziała charakterystycznej sylwetki jeźdźca.

- Martwisz się, że może jechać za nami ta ruda wiedźma?

- spytał kuzyn Jorje i podał jej bukłak z wodą.

- Trochę - odparła Graciela nie patrząc na niego.

- Nie odważą się nas ścigać. - Zaśmiał się i wypiął dumnie pierś. Gdy mówił "oni", przypomniała sobie, że wujek Ty dołączył do Jenny. -

My - rzekł i pokazał cztery palce. - Oni - wyciągnął dwa palce i znowu się zaśmiał.

Graciela powoli pokiwała głową. Dotarł do niej sens tych słów i serce zadrżało jej z żalu. Zanim wróciła do cienia, raz jeszcze przebiegła wzrokiem po horyzoncie, przyglądając się dłużej skalnym zagłębieniom.

Kuzyni drzemali pod karłowatymi drzewami albo palili cygara w cieniu swoich szerokich *sombreros*. Od czasu do czasu Gracielę dobiegały strzępki rozmów. Zmęczona upałem, znalazła sobie miejsce koło niskiego krzaka i zapadła w płytki, niespokojny sen.

. Raptem poczuła, jak para dłoni obejmuje ją za gardło.

Dziewczynka otworzyła oczy i starając się usiąść, chwyciła oburącz obce palce.

- To byłoby takie łatwe - mruknął jej Carlos prosto do ucha. Coraz mocniej zaciskał palce, które wpijały się żelazną obręczą w jej ciało. Graciela zakrzuszyła się i na próżno usiłowała złapać oddech. Przed oczami zatańczyły jej czarne plamy, a płuca wołały o odrobinę powietrza. Kątem oka zobaczyła zbliżający się ciemny kształt.

To Favre rzucił się na Carlosa i odciągnął go od Gracieli.

Dziewczynka upadła na plecy i leżała tak dysząc i kaszląc. Kiedy doszła już nieco do siebie, usiadła, przełknęła ślinę i spojrzała na obu mężczyzn bijących się w tumanach kurzu. Jorje i Tito też się im przyglądali. Stali nieopodal z dłońmi na kaburach pistoletów.

Graciela nie wiedziała dokładnie, co się dzieje, bo skuliła się i ukryła twarz w ramionach. Nie

odważyła się patrzeć na wal-O czących, dopóki nie doszedł ją odgłos strzału. Wystraszona, podniosła głowę i ujrzała Favre'a leżacego nieruchomo na ziemi - miał zakrwawioną i zmienioną nie do poznania twarz.

Tuż obok zobaczyła Carllosa, w jego piersiach tkwił nóż Favre'a, wbity aż po rękojeść.

Krzusząc się z przerażenia i płaczu, Graciela zgięła się wpół i zwymiotowała koło niskiego kaktusa.

lorje zaklął, Tito zaś podszedł do mężczyzn, by sprawdzić, czy żyją. Po chwili wyprostował się i pokręcił ponuro głową. Warknął na Gracielę, lecz go nie dosłyszała, bo dzwoniło jej w uszach od huku niedawnego wystrzału.

Dziewczynka była śmiertelnie przerażona, za bardzo, by spojrzeć na niego czy na lorje'a bądź wykrztusić choćby jedno słowo. Potoczyła strwożonym wzrokiem po nasiąkniętym krwią ubraniu Favre'a, po czym odbiegła kilka kroków i odwróciła się do nich plecami. Cała się trzęsła, jakby łagodne powiewy wiatru zamieniły się nagle w huragan.

Czuła się chora, oblewały ją na przemian to fale ciepła, to bezlitosnego zimna.

Szczękała zębami. Towarzyszący jej mężczyźni w niczym nie przypominali śmiejących się kuzynów, którzy tańczyli i żartowali z nią w hacjendzie. Nie zna ich, to zupełnie obcy, okrutni ludzie. Dotknęła ostrożnie obolałej szyi i przełknęła ślinę pełną żółci i strachu.

Bez Favre'a w pobliżu jest teraz zdana na łaskę Tita i lorje'a.

Zabiją ją prędzej czy później, przeczuwała to z bolesną świadomością.

Przesunęła wzrokiem po spalonej słońcem ziemi. lenny dała słowo, że się nią zaopiekuje, a ona nigdy nie łamie obietnicy, pocieszała się w duchu. *lenny* już wkrótce przybędzie i ją uratuje. Musi w to wierzyć.

Gdy wróciła do ogniska powłócząc nogami, lorje i Tito kopali płytkie groby w kamienistej ziemi. Otuchy dodawała jej myśl o lenny, szczególnie w momentach, gdy kuzyni łypali na nią groźnym wzrokiem.

Bez przerwy modliła się gorąco, by lenny przybyła na czas i zdążyła ocalić jej życie.

Tam!

Ty podążył wzrokiem za palcem lenny, pokiwał głową i oboje ruszyli w dół

kolejnego wyschniętego koryta rzeki. Wkrótce zeskoczyli z koni i wdrapali się na brzeg parowu, Ty zaś wyjął z futerału lunetę.

Dostrzegł ich od razu, odpoczywali w cieniu niskich dębów. Bez słowa podał

lenny lunetę.

- *lest* cała i zdrowa.

- Iak dotąd - mruknęła lenny. Wyciągnęła się na brzuchu, oparła na łokciach i przytrzymała mocniej przyrząd. Po minucie ukryła twarz w dłoniach i westchnęła: - Dzięki Bogu! - Potem podniosła lunetę i metr po metrze uważnie obserwowała okolicę. - Widzę tylko dwóch mężczyzn. - Oddała przyrząd Ty' owi.

- Ale są cztery konie, więc pozostała dwójka musi być gdzieś w pobliżu.

Ty zsunął się ze zbocza i wyjął z juków manierkę. Pociągnął łyk, po czym zmoczył sobie twarz i kark. Temperatura musi sięgać ponad czterdzieści stopni w cieniu - całą koszulę i spodnie miał mokre od potu. Patrzył bez słowa, jak lenny zrywa kilka gałęzi i wiesza na nich koc, by uzyskać choć odrobinę cienia.

Chciał pospieszyć jej z pomocą, ale wyczuł, że to by ją uraziło.

Obserwował więc dalej z zainteresowaniem jej wysiłki - po licznych próbach osiągnęła w końcu zamierzony cel. Przedstawiała sobą całkiem przyjemny widok; wilgotne spodnie uwodzicielsko oblepiały jędrne pośladki, a równie mokra koszula ukazywała cudownie krągłe piersi.

Ty z trudem odsunął od siebie kuszące myśli - bardziej gorące niż otaczające ich powietrze - i z manierką w ręku usiadł obok niej w clemu.

- Zaskoczmy ich nocą - rzekł. Gdy Jenny piła wodę, jej szyja " wygięła się zmysłowo i Ty ostatkiem woli powstrzymał się, by jej nie dotknąć.

- Musimy zaatakować dzisiaj - pokiwała głową i wytarła usta dłonią. - Jutro może być za późno, jeśli dotrą do linii kolejowej.

- Jesteś pewna, że myślisz logicznie?

Jenny skrzywiła się i sięgnęła po słownik. Sprawdziła ostatnie słowo i po namyśle 'odparła:

- Oczywiście, że tak. Zwiążemy ich i wypuścimy konie. W razie czego będziemy musieli ich zabić. W ostateczności, ma się rozumieć. - Zamknęła słownik i włożyła go z powrotem do kieszeni. - Logicznie, to ładne słowo.

- Jak dotąd, zgadzamy się ze sobą. - Ty rozpiął kołnierzyk.

Suche, rozpalone powietrze stało w miejscu, nie poruszone najlżejszym podmuchem wiatru. Siedząc tak blisko niej czuł żar jej ciała i słodki zapach wieprzowiny, unoszący się spod bandaży. Wytarł z potu twarz i szyję. - Chcesz, żebym obejrzał twoją ranę?

- Sprawdzałam rano, wygląda całkiem nieźle. '- Zmieniła nieco pozycję i odgarnąwszy kilka kamieni, oparła się o siodło. - Nie martw się, jakoś wytrzymam trudy dzisiejszej nocy.

- Nie martwię się - odparł, choć tak naprawdę myślał inaczej.

Dwa do czterech to nie najlepszy stosunek sił, szczególnie jeśli jedno z nich ma niesprawną rękę.

Jenny, jakby czytając w jego myślach, zdjęła rękę z temblaka, zacisnęła zęby i wyciągnęła ją przed siebie. Potem parę razy zgięła ją na piersiach i znowu rozprostowała.

- Przestań się gapić na moje cycki, do cholery.

- Patrzę na twoją rękę.

- Właśnie że nie.

- No dobrze, masz rację.

- Więc skończ z tym.

Wpatrywała się w niego, dopóki nie podniósł oczu. Potem znowu zaczęła ćwiczyć rękę, próbując pokonać sztywność. Musiało ją boleć jak sto diabłów.

Skoro już poznał jej plany, domyślał się, że nie opuszczą parowu przed północą. Czeka ich długie, upalne popołudnie i większa część nocy.

- Nie wyśpimy się dzisiaj, więc spróbuj teraz choć trochę się zdrzemnąć -

powiedziała w przerwie między ćwiczeniami.

- Nk mogę, jest za gorąco - Rozważał zdjęcie butów, ale doszedł do wniosku, że taki wysiłek kosztowałby go zbyt wiele energii. Wyciągnął się więc tylko, oparł głowę o siodło i zapalił cygaro. Zauważył, że Jenny z lubością wdycha dym i zaproponował, że odda jej swoje cygaro. Nie był zaskoczony, gdy przyjęła je z westchnieniem ulgi. Sobie zapalił drugie.

- Czemu tak się bronisz przed zaspokojeniem pożądania?

- spytał.

- Już ci mówiłam. Raz spróbowałam i wcale mi się to nie podobało. I co ważniejsze, nie chcę zajść w ciążę. - Wypuściła idealne kółko z dymu i patrzyła jak rośnie i blednie, aż w końcu rozplywa się w powietrzu. -

Kto zatrudni kobietę w ciąży, albo z dzieciakiem uczeptionym spódnicy? Cięża to najgorsze, co mogłoby mi się przydarzyć.

- Istnieją sposoby, by się przed tym zabezpieczyć. - Teraz on wypuścił kółko dymu.

- Pewnie. Gdyby te sposoby były skutecznie, to po świecie chodziłoby o wiele mniej ludzi. - Rzuciła mu pogardliwe spojrzenie. - Mówiłeś, że nie należysz do ludzi, co się żenią. Ty jesteś z tych, co odchodzą, Sanders. Używasz kobiet, żeby dogadzać swoim zachciankom, a potem *adios*. Dziękuję, że mi to zaproponowałeś, jestem ci za to cholernie wdzięczna. Mimo wszystko nie jestem w nastroju, by

zostać wykorzystana i porzucona. Szkoda, że niepoznaliśmy się, kiedy marzyłam akurat o czymś takim. - Przekręciła się na bok i splunęła na ziemię, spoglądając na niego, by się upewnić, że to widział.

Ty popatrzył na koc wiszący nad ich głowami i gorączkowo szukał argumentów na swoją obronę.

- Można na to spojrzeć z innej strony - zaczął w końcu.

- Wybacz, ale ja będę patrzyła tylko z tego punktu widzenia.

Nie rzucę się w ramiona jakiemś sukinsynowi z błaganiem, żeby mnie wykorzystał, zrobił dzieciaka, a potem odszedł. Żadne pożądanie nie jest tego warte.

- Mój brat nie porzucił Marguarity, gdy zaszła w. ciążę. - Studiował uważnie spłóviały zygzakowaty motyw na kocu.

- Tylko że ty nie jesteś swoim bratem - odcięła się i zaczęła znowu ruszać ręką. - Moim zdaniem, nie ma co stawiać go za przykład. Ożenił się z Marguaritą, ale nigdy nie był dla niej prawdziwym mężem ani ojcem dla ich dziecka. Pozwolił, by żona wyjechała w hańbie, bo nie chciał porzucić cennego spadku.

Mówiła z cygarem w zębach, przyglądając się swojej ręce. Na jej karku pojawiły się krople potu. Patrząc na nią Ty uznał, że podoba się mu kobieta, która potrafi docenić dobre cygaro. Jego matka również paliła od czasu do czasu na swoich urodzinach lub po corocznym znakowaniu bydła.

Zdziwiło go, gdy nagle zdał sobie sprawę, że Ellen Sanders polubiłaby Jenny.

Tak jak i ona odrzucała konwenanse, chodziła po ranczo w męskich spodniach, lubiła sobie czasem coś wypić, jednym słowem, nie zachowywała się jak wytworna dama. Ona też mówiłaby wprost o ciąży, nie szukając pięknych słówek.

- Porzuciłabyś ot tak półtora tysiąca hektarów pierwszorzędniej ziemi w Kalifornii? - zapytał. Miał szczerą ochotę poradzić jej, żeby przestała wymachiwać ręką. Jej czoło było spocone, a cygaro mocno pogryzione.

- Nie chodzi o to, co ja bym zrobiła - odparła i puściła w powietrze chmurę dymu. - Rzecz w tym, że Robert wybrał majątek zamiast Marguarity i dziecka.

- Zrozumiałabyś go, gdybyś znała mojego ojca. - Ty zaśmiał się ponuro.

- Co ma do tego twój ojciec?

- Więcej, niż myślisz. Po pierwsze, nie mówi się "nie" Calowi Sandersowi. Po drugie, ojciec by nie zniósł, gdybym to ja przejął posiadłość. Uczyniłby wszystko, by powstrzymać Roberta od pogoni za meksykańską żoną. I nie chodziło tylko o wydziedziczenie, zniszczyłby Roberta i mój brat doskonale

zdawał sobie z tego sprawę. Nikt bezkarnie nie wchodził Calowi Sandersowi w drogę.

- Dlaczego ojciec nie chciał, żebyś to ty odziedziczył ranczo?

- Wytarła rękawem czoło i ponownie zaczęła gimnastykować rękę.

- Może powiedziałem mu, że mam to gdzieś. - To był jedyny sposób, żeby mu dopiec; odrzucił jedyną rzecz, na której ojcu zależało. - Ale, ale, wydaje mi się, że trochę odbiegliliśmy od tematu. Co mamy zrobić z wzajemnym przyciąganiem się? - Podniósł dłoń i dotknął delikatnie jej policzka.

- Zapomnimy o tym - odparła, odwracając głowę. - Na razie musimy trzymać swoje żądze na wodzy. - Na jej ustach pojawił się drwiący uśmiech. - Lubię używać nowych słówek.

- Zauważyłem.

- Nie chcę jej nadwerężyć. - Spojrzała z grymasem na rękę i włożyła ją z powrotem w temblak. Oparła się ponownie o siodło. - W El Paso mieszkała pewna kobieta, która pożyczała mi książki. Gdy trafiłam na dobry zaprzęg, mogłam czytać do woli w czasie jazdy. Jeśli człowiek umie czytać, nigdy nie będzie samotny. Ja uwielbiam książki - skończyła z dumą, przypatrując się kowbojowi.

- Godne podziwu - rzekł Ty i nasunął kapelusz na oczy, by nie kusił go widok jej piersi. - Rzecz w tym - ciągnął - że moje żądze nie dają się tak łatwo okiełznać. - Popatrzył w dół, tam, gdzie łączyły się jej uda. Wilgotne ubranie podkreślało charakterystyczną wypukłość w kształcie litery V, która przypominała mu strzałkę wskazującą niebo. Ty poczuł, jak gorąca fala ogarnia jego podbrzusze, aż musiał zamknąć oczy.

- Czy masz coś z uszami? - Kobieta gwałtownie usiadła.

Podniosła mu brzeg kapelusza i spojrzała prosto w oczy. - Ile razy mam ci to powtarzać? Możemy pożądać się do końca świata, ale nic z tego nie wyjdzie.

Tak to jest, Sanders, i wbij to sobie raz na zawsze do głowy. Być może przyjdzie mi wychowywać jedno dziecko, i to już będzie wielkim problemem.

Na pewno nie chcę mieć kolejnego, więc zapomnij o całej sprawie.

Wcisnęła mu kapelusz na oczy tak mocno, że z ust wypadło mu cygaro. Usiadł

gwałtownie, strzepnął żar z koszuli, odnalazł niedopałek w fałdach spodni i cisnął go daleko od siebie.

- Zaczynasz mnie wkurzać - rzekł możliwie spokojnym głosem.

- W kółko ci powtarzam, że Gracielę weźmie pod opiekę Robert.

Ale ty mówisz bez przerwy, że to wyłącznie twoja sprawa. Przypominam po raz dziesiąty: Robert żyje, czuje się świetnie i chce jak diabli zobaczyć córkę.

Kobieta miała nawyk pochylania się do twarzy rozmówcy, by podkreślić swoje słowa. Teraz też niemal stykali się nosami. Ty miał szczerą ochotę pochwylić ją w ramiona i mocno pocałować, aż opuści ją wszelka chęć do walki.

- Dziecko jest na wpół Barrancasem.

- Sądzisz, że to zaskoczy Roberta? Od dziecka kochał się w Marguaricie Barrancas. To ja mam kompleks na ich punkcie. - Skrzywił usta z obrzydzeniem. - Teraz Robert stara się położyć kres animozjom między naszymi rodzinami.

Zanim Ty wyjechał do Meksyku, długo sprzeczała się na temat starego Barrancasa. Robert nie chciał, by Marguarita musiała wybierać pomiędzy ojcem i mężem, pragnął zakończyć czasy wrogości i nienawiści. Ty był temu przeciwny. Zbyt wiele zła się wydarzyło, na przeszkodzie stało za dużo skradzionego bydła i nieporozumień o miedzę, zbyt wielu rannych mężczyzn i ostrych starć w ciągnącej się latami waśni. Ty nie zamierzał o tym zapomnieć, a tym bardziej wybaczyć, i nie potrafił zrozumieć punktu widzenia Roberta.

- Niezłe z ciebie ziółko. - Jenny cofnęła się i zmarszczyła czoło. - Na wiadomość o śmierci Marguarity pewnie chciałaś wyskoczyć z butów z radości.

- Nie cieszyłem się, że umarła, ale i nie martwiłem zanadto

- odparł po minucie. - To ona rozdzieliła naszą rodzinę. - Na te słowa Jenny zacisnęła z gniewu zęby. - Po tym, jak Robert poślubił córkę Barrancasa, ojciec nie był już taki jak przedtem. Od tamtej pory traktował

Roberta z równą pogardą co mnie. Zaczął pić i przestał zajmować się ranczo.

Przez kolejne sześć lat Robert zniechęcił sam siebie, bo nie starczyło mu odwagi, by przeciwstawić się staremu. Cierpiała również nasza matka, która znalazła się między młotem i kowadłem.

- To Robert, a nie Marguarita jest winien wszystkich rodzinnych kłopotów

-szydziła Jenny. - Gdyby powstrzymał swoje wybuchające chucie, uniknęlibyście problemów. - Kobieta ponownie się pochyliła i dźgnęła go palcem w piersi. -

Założę się, że podczas tych sześciu lat nie było nocy, by Marguarita nie żałowała swojej uległości. Ha! Mnie się to nie przydarzy.

Jenny przeciągnęła się, poprawiła głowę na siodle i odwróciła się na drugi bok, pokazując mu plecy.

- Skończmy to gadanie, chcę się teraz trochę przespać.

Jakie to typowo kobiece, pomyślał Ty ze złością. Zawsze muszą mieć ostatnie słowo. Położył się, skrzyżował ręce na piersi i wbił rozwścieczony wzrok w wiszącą nad głową koc.

Po jakimś czasie uspokoił się i stwierdził, że poczynili pewne postępy. Została zdefiniowana przeszkoda stojąca na drodze do ich szczęścia. Teraz tylko trzeba znaleźć wyjście, a do tego czasu poprzestanie na zalotach. Ta decyzja spowodowała, że pomyślał o pani McGowan i uśmiechnął się szeroko.

Pani McGowan poszła z nim do łóżka, gdy był jurnym niczym ogier, szesnastoletnim młodzieńcem. Żona weterynarza odkryła przed nim wspaniałe, zaskakujące tajemnice, o których nawet mu się nie śniło. Odkąd sięgał

pamięcią, wszystko, czego nauczył się o kobietach, pochodziło od Alice MCGowan. Obdarzyła go też szczerze najlepszymi radami, jakie kiedykolwiek udało mu się otrzymać.

- Zawsze traktuj kobietę jak damę - upomniała go, zanim poszła z nim do łóżka. - Myśl o niej jak o ostatniej kobiecie na ziemi, podczas gdy siebie uważaj za jednego z miliona starających się o jej względy.

Biorąc pod uwagę stan jego umysłu w owym czasie, aż cud, że zapamiętał jej rady. Ale tak było i musiał przyznać, że stosował je, z powodzeniem przez ostatnie lata.

Tak, Jenny' Jones jeszcze o tym nie wie, ale będzie musiała się poddać.

Zastanawiał się, czy poznała już słówko "skapitulować".

Przez całe życie Jenny pragnęła wielu rzeczy, które były dla niej nieosiągalne. Zazwyczaj wzruszała ramionami i zapominała o kolejnej zachciance, ale tym razem los ją przechytrzył.

Postawił na jej drodze twardego i przystojnego kowboja, na widok którego aż ją w środku skręcało. Jakby nie dość tych tortur, złośliwy chochlik przeznaczenia obudził w nich obojgu niepoohamowane pożądanie.

Skrycie ją to podniecało, a jednocześnie wprawiało w fatalny nastrój, bo nie mogła spełnić swych pragnień.

Musiałyby mieć mamałygę zamiast mózgu, by ryzykować zajście w ciążę z tym mężczyzną - wszak otwarcie przyznał, że wykorzystuje kobiety. Z drugiej strony i ona nie zamierzała wikłać się w małżeństwo, bo podobnie jak kowboj czuła, że się do tego nie nadaje. Zresztą nawet się nie spodziewała, żeby syn bogatego ranczera wybrał sobie na żonę niewykształconą, szorstką w obyciu i źle wychowaną kobietę. Ale nie w tym rzecz.

W mgnieniu oka ściągnęłyby majtki, gdyby była absolutnie pewna, że nie zajdzie w ciążę.

Wystarczająco długo zastanawiała się, jak utrzymać i wychować Graciełę.

Drugi dzieciak zupełnie by ją wykończył. Zgotowałyby całej trójce straszny los, bo zanim zginęliby razem z głodu czy zimna, musiałyby przejść przez wszystkie stadia degradacji, na jakie może być narażona kobieta.

Nie zasługiwała na to, również jej dzieci nie powinny tego oglądać.

Nie mogła już dłużej znieść myśli o niedoli głodujących dzieci, których z braku pracy nie byłaby w stanie wykarmić. Tak ją to rozwścieczyło, że odwróciła się i kopnęła Ty' a w nogę.

- Zwariowałaś? Co to, u diabła, ma znaczyć? - Ocknął się momentalnie i z oburzeniem masował bolący piszczel.

- Wciąż powtarzam, że nie nadaję się na niańkę. Ale wy wszyscy myślicie, że potrafię zdziałać cuda i wyczarować jedzenie z niczego! Nie pozwolę się wykorzystywać. Nie mam zamiaru zostać prostytutką, nie będę też żebrac na ulicach. Żadne dziecko nie będzie głodowało na moich oczach, słyszysz? -

Zacisnęła palce w pięść i uderzyła go w ramię. - Nawet cię nie lubię.

Gdyby miała sprawne ręce, w mig zrobiłaby sobie drugi daszek i przesunęła się tam wraz z siodłem. Jednak panujący upał wybił jej z głowy podobne myśli.

Mogła jedynie położyć się jak najdalej od kowboja.

Po jakimś czasie mężczyzna znowu się przeciągnął. - Czy ktoś ci powiedział, że masz piękne oczy?

- Zamknij się! Po co mi to mówisz?

- Bo to prawda - odparł leniwie. - Mówię, co widzę. Masz śliczne oczy, piękne piersi i zgrabne uda.

O Boże! Znowu oblała ją fala podniecenia. Jeszcze żaden mężczyzna nie przemawiał do niej w ten sposób, a miała słabość do pięknych słówek. Palący ogień sugerował też, że łatwo traci głowę w obecności przystojnych kowbojów.

- Obudź mnie na kolację - rzekła nienaturalnie niskim głosem. Aby zapomnieć o pożądaniu, wyobraziła sobie, że trzyma w ramionach kwilące, rudowłose niemowlę, które patrzy na nią niebieskozielonymi oczami kowboja. Ten obraz rozśmieszył ją, a zarazem przeraził i ... wzruszył. Nie wiedzieć czemu, zrobiło się jej lekko i ckliwie na duszy.

Jęknęła z obrzydzenia i wtuliła twarz w rękę. Jeśli Graciela nie zrujnuje jej życia, to na pewno sprawi to Ty Sanders.

11 ~

Wbrew oczekiwaniom Meksykanie nie zwinęli obozu i nie ruszyli dalej. Kiedy Jenny patrzyła na nich przez lunetę Ty'a, mężczyźni wydawali się sprzeczać.

Sądząc po ich gestach, jeden chciał wyjechać, a drugi jeszcze się wahał. Nadal nie było widać ich kompanów. Graciela, dzięki Bogu, wyglądała na całą i zdrową.

Brak pozostałej dwójki niepokoił Jenny i Ty'a, zdecydowali więc, że poczekają do wschodu słońca.

Zwłoka pozwoli ujawnić się nieobecny kuzynom, a to da Jenny i Ty'owi pewność, że nie zaskoczą ich w trakcie ataku.

Noc minęła powoli, niewiele rozmawiali. W końcu, ku olbrzymiej uldze kobiety, nadszedł czas, by otrząsnąć się z senności, dosiąść koni i ruszyć ciemną jeszcze pustynią.

Zatrzymali konie dwieście metrów od obozowiska Meksykanów i w ciszy okrążyli teren, Jenny z lewej strony, a Ty z prawej. Spotkali się ponownie koło niskiego kaktusa, gdzie zostawili konie.

- Nie ma nikogo na straży - zakomunikowała szeptem Jenny, ustami niemal dotykając ucha kowboja. Mężczyzna był spięty i najwyraźniej przygotowywał

się do nadchodzącej walki. Kobieta również czuła zdenerwowanie. Nade wszystko jednak chciała rozładować nagromadzone w niej napięcie.

Wielogodzinne przebywanie z nim sam na sam na pustkowiu i nie spełnione pożądanie nadszarpięło jej nerwy i przeszkadzało w myśleniu. Była pewna, że porządna walka dobrze zrobi im obojgu i oczyści atmosferę.

Nagle Ty chwycił ją palcami za podbródek i przekręcił w swoją stronę, tak że poczuła na policzku ciepły oddech. Bliskość mężczyzny i wypowiedane szeptem słowa przyprawiły ją o drżenie ud. - Wydaje mi się, że dwaj kuzyni nie żyją. Ze czterdzieści metrów od ogniska trafiłem na coś, co przypomina świeże groby.

Teraz nadeszła jej kolej. Gdy zbliżyła głowę, by szepnąć mu do ucha, delikatnie musnęła ustami jego brodę, a piersiami lekko dotknęła ramienia.

- Jeżeli nie żyją, to nasze szanse ogromnie wzrosły.

- Co, u diabła, robisz? - Odskoczył jak oparzony i spojrzał na nią ostro. -Przez ciebie zginiemy oboje. - O co ci chodzi? -

spytała zdumiona.

- Dobrze wiesz, o czym mówię. Właśnie o tym!

Podniósł rękę i ujął w dłoń jej pierś, unosząc ją lekko. Nieoczekiwane dotknięcie poraziło Jenny niczym prądem, miała wrażenie, że płomień trawia jej ciało i kości.

Opuściły ją siły i opadła bezwładnie na kolana, a wtedy na linii jej wzroku pojawiły się męskie uda. Patrzyła prosto w jego krocze. Chociaż zdaniem Jenny, była to wspaniale wyglądająca część męskiego ciała, o której myślała przez większość dnia, teraz była zbyt oszołomiona, by się jej przyglądać.

Wspomnienie ciepłej dłoni Ty'a obejmującej jej pierś wzburzyło jej umysł

niczym małe trzęsienie ziemi. Nie uwierzyłaby, że niedbałe dotknięcie mężczyzny zdoła powalić ją

na kolana. Naturalnie, żaden jej jeszcze nie pieścił.

Wiedziała z doświadczenia, że potrafią jedynie brutalnie chwycić, okładać pięściami i przygniatać do ziemi. Nigdy nie dotykano jej delikatnie ani nie głaskano, nikt też nie zdołał wprawić jej ciała w drżenie.

- O Jezusie -jęknęła cicho.

- Co się stało? Coś z twoją ręką?

...: Nigdy więcej nie dotykaj moich piersi, bo skopię ci jaja.

- Chwyliła go za rękę, wstała i strzepnęła niewidzialne ślady po jego palcach, jakby były trucizną.

- A ty się o mnie nie ocieraj - rzucił jej gniewnie do ucha.

- Przynajmniej nie przed walką, masz kiepskie wyczucie czasu.

- Rozłożył ręce i zirytowany, wycedził przez zęby: - Czekałem cały cholerny dzień i większą część nocy, żebyś okazała mi choć cień zainteresowania, a ty kiedy się do tego zabierasz? Dwie minuty przed akcją, w której możemy zginąć. Niech cię wszyscy diabli, Jenny Jones!

- Nie ocierałam się o ciebie! - Zaczerwieniła się aż po nasadę włosów. -

Nachylałam się tylko, żeby coś szepnąć do twego cholernego ucha. - Kiedy się broniła, natychmiast zapomniała o cudownych dreszczach, wnet zniknęło też uczucie słabości. - Ruszamy, czy też masz zamiar stać tu i sprzeczać się aż do .

wschodu słońca?

Stali tak but przy bucie, kapelusz przy kapeluszu, piorunując się nawzajem wzrokiem i walcząc z kolejnym przyływem pożądania.

- Jeden z nich śpi na siedząco przy ognisku - szepnął Ty, nie odrywając oczu od jej ust. - Drugi leży z boku pod kocem.

- A Graciela znajduje się między nimi. - Jenny pokiwała głową. Głos Ty'a był

chłodny, lecz jego ciało zdawało się parzyć. Była pewna, że oczami wypalił

ślad na jej ustach. Przełknęła ślinę i chciała się cofnąć, ale nogi odmówiły jej posłuszeństwa.

- Należy się spodziewać, że będziemy mieli przeciw sobie i dziecko -

powiedziała. - Mała na pewno zechce bronić swych pieprzonych kuzynów.

- Jak ręka? - Dotknął lekko jej przedramienia. - Będiesz w stanie nią poruszać?

- Boli, ale tym się nie przejmuj. - Przynajmniej tym razem nie poniżyła się i nie upadła na ziemię, gdy ją dotknął. - Zajmę się tym draniem na posłaniu i chwycę dziecko. Twój będzie kuzyn przy ognisku. Uważaj, bo mam przeczucie, że może sprawić najwięcej kłopotów.

Stali w milczeniu i patrzyli sobie w oczy.

- Chciałbym pocałować cię na szczęście - powiedział w końcu Ty.

- Boże, nie waż się! - Oparła dłonie na jego piersi i lekko go pchnęła. -

Widziałeś, co sprawił twój dotyk, nie ryzykuj więc i nawet mnie nie prosz o pocałunek. Rusz tyłek i w drogę. - Na myśl o całusie paliło ją w środku, a nogi znowu zrobiły się jak z waty. - Do diabła, Sanders, od wielu godzin przeżywam męczarnie z powodu twoich idiotycznych uwag - szepnęła gniewnie. - Po raz ostatni mówię ci, przestań ...

- A co ja mam powiedzieć? Po raz pierwszy w życiu będę walczył ze sterzącą laską! Mogą człowieka zabić, gdy coś takiego rozprasza uwagę.

- Popatrz, jaki jesteś, znowu zaczynasz - ofuknęła go Jenny. Zaklął cicho, popatrzył na jej ponczo, jakby było przezroczyste, i wyciągnął pistolet.

- Tak mnie rozпалиłaś, że już nie mogę normalnie myśleć.

Chryste, muszę ochłonać! Czekać na mój znak, uderzymy w tym samym momencie.

Nic na to nie mogła poradzić. Wytężyła wzrok, starając się ocenić w ciemnościach stan jego członka. Kiedy Ty się zorientował, że mu się przygląda, jęknął i pokręcił głową. Jenny znowu się zaczerwieniła.

- Mogłeś kłamać - prychnęła. Z nieoczekiwaną przyjemnością zauważyła jednak, że mówił prawdę. Wręcz szalenie jej to pochlebiło i była zaskoczona, że podniecił się równie mocno, co ona. Wyjęła z broni magazynek i sprawdziła dwukrotnie, czy jest pełen. - Dobrze ci radzę, zapomnij o mnie i zacznij myśleć o kuzynie drzemającym przy ognisku. Ruszajmy!

- Ty też się skoncentruj - syknął i pogładził jej szyję gorącym palcem. Po chwili zniknął w ciemnościach.

Jenny próbowała się skupić na czekającym ją zadaniu, ale myślami wciąż powracała do wzwodów, pocałunków, dotykania i gorączkowych spekulacji o zamiarach kowboja. Mogłaby przysiąc, że w miejscu, gdzie przebiegł palcem, zostawił na jej szyi płonący ślad.

- A niech mnie gęś kopnie! - Pokręciła mocno głową, przykucnęła i pobiegła w stronę żarzących się polan, przeskakując od krzaka do krzaka. Poprzysięgła sobie stanowczo, że nie narazi akcji na niebezpieczeństwo z powodu rozpraszających ją myśli. Nie będzie już dłużej rozpamiętywać dotyku ręki ujmującej jej pierś.

Lecz zanim zdążyła to zrobić, znalazła się w obozowisku, o włos od głowy śpiącego Meksykanina.

Podniosła wzrok i ujrzała, jak Ty zakrywa usta drugiemu mężczyźnie i odciąga go do tyłu.

Stłumiony odgłos szamotaniny wystarczył, by obudzić drugiego kuzyna.

Widać spodziewał się ataku, bo natychmiast otworzył oczy. W ułamku sekundy rozległ się huk strzału. Gdyby Jenny nie rzuciła się na bok, sukinsyn niechybnie by ją trafił. Przekręciła się na kolanie, odciągnęła kurek i strzeliła. Aby upewnić się, że kula dosięgła celu, zerwała z Meksykanina koc, odrzuciła na bok broń i przyłożyła palce do szyi, by sprawdzić puls.

- Baba z wozu, koniom lżej - mruknęła.

Nagle z ciemności wyłonił się drobny kształt i spadł na nią z impetem. Siła uderzenia odrzuciła ją do tyłu i powaliła na ziemię. Przeklinając głośno, Jenny wyswobodziła jedną rękę i wsadziła lufę pistoletu prosto między żebra Gracieli.

- Dzieciaku! Do diabła, omal cię nie zastrzeliłam.

Jenny próbowała usiąść i zrzucić ją z siebie, ale dziecko ani drgnęło. Upłynęła cała minuta, zanim zrozumiała, że dziewczynka wcale z nią nie walczy. Graciela trzymała się jej kurczowo, szlochała i mamrotała coś bez ładu i składu. Jenny sprawdziła szybko, czy dziecko nie jest ranne, a wtedy głęboko odetchnęła z ulgą. Miała ochotę pójść w ślady Gracieli, bo odzyskanie jej w jednym kawałku zakrawało na cud.

Nadszedł Ty i z wyrazem ponurej satysfakcji na twarzy schował do kabury pistolet. Jenny napotkała jego wzrok, kiwnęła głową i odwróciła się do Gracieli.

- Dzieciaku! Trochę wolniej, nie rozumiem ani słowa.

- Moi cholerni kuzyni chcieli mnie zabić! - Graciela oderwała się wreszcie od jej szyi i przetarła oczy. Zanim Jenny zdążyła ją powstrzymać, spojrzała na martwego kuzyna, leżącego obok na posłaniu. Ale nie zareagowała. Łzy płynące po policzkach dziewczynki nie były przeznaczone dla niego.

Odwróciła przejętą twarz do Jenny, a z jej ust wciąż wylewał się potok słów.

- "Wtąpścili koło mnie okropne węże! - Przeszył ją dreszcz na wspomnienie tamtego wydarzenia. - Takie wielkie! - Rozpostarła ręce. - Potem Carlos chciał

mnie udusić, ale Favre mu nie pozwolił. Zaczęli walczyć, aż pozabijali się nawzajem. Bałam się jak cholera i chociaż wiedziałam, że przyjedziecie, myślałam sobie: już po mnie!

Znów rzuciła się w objęcia opiekunki i zanosła się od płaczu.

Rozpaczliwie przywarła do niej całym ciałem. Jenny rozłożyła bezradnie ręce, po czym niezgrabnie poklepała ją po ramieniu, zdumiona, że sprawia jej to tak wielką przyjemność.

- Już po wszystkim - szeptała raz po raz. - Jestem przy tobie i już nikt cię nie skrzywdzi.

Gdy podniosła głowę, ujrzała Ty'a stojącego nad nią z rękoma na biodrach. Miał na twarzy paskudny grymas. - Czego? - Jenny skrzywiła się.

- Słyszałaś, co powiedziała moja bratanica?

- W końcu uwierzyła, że jej śmierdzący kuzyni chcieli ją zabić, co zresztą już od dawna starałam się jej wytłumaczyć. - Jenny nie rozumiała jego złości.

- Powiedziała, że jej "cholerni" kuzyni chcieli ją zabić.

- Tak, i całe szczęście, że do tego nie doszło. Wygląda na to, że sukinsyny próbowali to zrobić. Słyszałaś, co mówiła? Cholerne bękarty, wypuścili na nią węże. Węże!

- Jenny, ona powiedziała "cholerni". - Popatrzył na nią znacząco, po czym przeniósł wzrok na trzęsące się plecy małej.

- Gracielo, przestań płakać. - Jenny usiłowała oderwać ją od siebie. - Ściskasz moją ranną rękę i bardzo mnie to boli.

Dziewczynka z ociąganiem cofnęła się nieco. Spojrzała niepewnie na Ty'a i Jenny.

- Czy oni wszyscy nie żyją?

- Już cię nigdy nie skrzywdzą - rzekł cicho Ty. Przysiadł na posłaniu i wpatrywał się w drobną twarz dziecka. - Nic ci nie jest?

Tym razem dziewczynka rzuciła się na szyję jemu i ponownie wybuchnęła płaczem. Beładnie opowiadała swoje przygody, w których sceny walki przeplatały się z opisem węży, grubych jak sztachety w płocie. Ty, podobnie jak Jenny, wyglądał na zaskoczonego, gdy Graciela objęła go kurczowo, również tak samo niezgrabnie pocieszał dziewczynkę i szeptał jej do ucha słowa otuchy.

- Tak się bałam tych pieprzonych węży! Jeden z nich próbował oplątać mi nogę i ...

- Posłuchaj, kochanie. - Ty odsunął ją delikatnie i spojrzał jej w oczy. -

Przyzwoite panny nie używają takich słów jak "cholerny" czy "pieprzony".

A więc o to chodzi. Jenny wstała, otrzepała kapelusz z kurzu i wcisnęła go na głowę.

- Jenny tak mówi przez cały czas - pisnęła Graciela.

Zapadła pełna konsternacji cisza. W końcu Ty odchrząknął i przemówił:

- Wiesz, że twoja mama nie chciałaby, żebyś tak przeklinała.

- Podniósł rękę i poprawił luźny kosmyk włosów dziewczynki.

- Wiem też, że nie chcieliby tego twój tata i babcia Ellen.

- Zamilkł na moment i zerknął oskarżająco na Jenny. - Założę się, że i Jenny wolałaby, byś nie używała już słowa "cholerny".

Ta nabrała powietrza w płuca i wbiła wzrok w niebo. Gwiazdy zaczęły już blednąć i tylko ta należąca do Marguarity wciąż jeszcze świeciła, ale ona zawsze gasła jako ostatnia. Teraz mrugała na Jenny chłodnym i jasnym światłem.

W porządku, Marguarito, pomyślała Jenny, więc mała zaczyna już mówić jak ja. A niby czego się spodziewałaś? Wybierając mnie, dobrze wiedziałaś, że nie umiem używać pięknych słówek. Poganiacze mułów są z tego znani.

Przeklinam, bo to pasuje do mojego zawodu. To nie jest moja wina.

A właśnie że jest. Marguarita wiedziała o tym, a i Jenny również. - Jenny? -

Ponaglający głos kowboja był pełen świętego oburzenia. Ty przyparł ją do muru i zdawała sobie sprawę, że nie wywinie się z tego w żaden sposób.

- On ma rację - wykrztusiła z trudnością i zwróciła się do dziewczynki. - Już nigdy więcej nie powiesz "cholerny". Gdy następnym razem usłyszę, że przeklinasz, wypłuczę ci usta mydlinami, słyszysz?

- To niesprawiedliwe, przecież ty tak ciągle mówisz. - Graciela nie kryła urazy.

Ty uśmiechał się, obserwując zmieszanie Jenny. Z jawną uciechą patrzył, jak przestępuje z nogi na nogę.

Na jej policzkach pojawiły się czerwone plamy i ze zdenerwowania kopnęła żarzące się polano. Zmrużyła oczy i syknęła do Ty'a:

- Myślisz, że zjadłeś wszystkie rozumy? Więc powiadam ci, przestań zadzierać nosa i się rozejrzyj, kowboju. - Machnęła zdrową ręką. - Siedzimy obok dwóch zabitych mężczyzn. Czy nie martwi cię, że twoja droga bratanica patrzy na ich zakrwawione ciała? Nie, ty gromisz ją niczym jakiś przeklęty kaznodzieja, bo niechcący zdarzyło się jej przekląć. Może się mylisz, może źle wybrałaś swoje cholery. .. - Skrzywiła się, gdy dostrzegła pojawiający się na twarzy Gracieli wyraz triumfu. - ... swoje głupie priorytety. Nawet ja wiem, że dzieci nie powinny siedzieć przy ognisku w towarzystwie dwóch trupów.

I tu go miała, wystarczył jeden rzut oka. Ty wstał gwałtownie i odwrócił

Gracielę plecami do zabitego kuzyna.

- Już dobrze. Przyznaję, to nie jest najbardziej zręczna sytuacja.

Ale pamiętaj, nigdzie nie znajdziesz człowieka mniej przypominającego kaznodzieję. Gdyby nie to

dziecko, pokazałbym ci, z jakim mężczyzną masz do czynienia.

. Jego spojrzenie sprawiło, że poczuła gorący dreszcz w palcach u nóg. Boże, jakież on jest wspaniałe, twarde jak gwóźdź w podkładzie kolejowym. Nie mogła uwierzyć, że taki człowiek jej pragnie.

Zataczając się z radości, wzięła Gracielę za rękę. - Chodźmy, dzieciaku, czas jechać.

Dziewczynka patrzyła na nią załzawionymi i zaczerwienionymi' oczami i Jenny odgadła, że Graciela spała dzisiejszej nocy nie dłużej niż godzinę. -

Pogrzebiemy Jorje'a i Tito?

- Uważasz, że powinniśmy? - zastanowiła się głośno Jenny.

- Pewnie, że nie - parsknął Ty.

- Nie pytałam ciebie. - Zwróciła się do Gracieli. - Ty decyduj, ale zanim to zrobisz, przypomnę ci tylko dwie rzeczy: węże i próbę duszenia. -

Nie możesz wymagać, by dziecko podejmowało taką decyzję. II Kładziesz na jej barki zbyt wielką odpowiedzialność. - Wcale nie. ,.... Jenny dotknęła palcem czubka głowy Gracieli.

- Więc jak będzie?

Dziewczynka podniosła podbródek, wyprostowała ramiona i nie oglądając się za siebie, poszła w kierunku koni.

- To nie te konie! - zawołała za nią Jenny. - Nasze są po drugiej stronie ogniska. - Dziewczynka zawróciła i pomaszerowała z powrotem. Gdy mijała opiekunkę, ta, poklepała ją po ramieniu. - Rozsądny wybór.

- Dlaczego ty możesz mówić "cholerny"? - wytknęła jej Graciela.

Jenny zmarszczyła czoło. Z tym będzie problem. Zerknęła na blade niebo i wydało jej się, że widzi jeszcze gwiazdę Marguarity, która groźnie na nią spogląda. Jeśli w ogóle jest możliwe, żeby gwiazda wyglądała na groźną.

No dobrze. Zgubiłam małą kilka razy, ale ją odzyskałam, prawda? Zmrużyła oczy i uniosła nieco podbródek. Cq do I przeklinania, jestem, jaka jestem. Nie oczekuj, żebym zmieniła całe swoje zachowanie tylko po to, by zadowolić ciebie i dziecko. Do diabła, chyba musiałas użyć słowa "cholerny" choć raz w życiu?

Mimo naj szerszych chęci nie mogła sobie tego wyobrazić.

Z pięknych i zadbanych ust Marguarity nigdy nie wydostałoby się przekleństwo.

Dumna arystokratka naj pewniej zemdlałaby z wrażenia, słysząc coś takiego od swojej małej

córeczki.

Z piersi Jenny wydobył się głuchy jęk; uderzyła się pięścią w udo. Cóż to za okropne uczucie - być odpowiedzialnym, za dziecko! Ta historia zmieniła całe jej życie, a wciąż nie widać końca problemów; przeciwnie, mnożyły się jak grzyby po deszczu.

Gdy doszła do koni, Ty siedział już na swoim wałachu, trzymając przed sobą Graciele.

- Jeśli narzucimy odpowiednie tempo, powinniśmy złapać następny pociąg na północ - rzekł tonem nie znoszącym sprzeciwu. - A jeśli nam się nie uda? -

spytała Jenny z przekąsem, osłaniając oczy przed wschodzącym słońcem.

- To przenocujemy w najbliższej wiosce i pojedziemy później.

- Wzruszył ramionami.

- Ktoś mógł już powiadomić Chulo i Luisa, że kuzyni odbili Graciele.

- Możliwe. Ale nie będą wiedzieli, że ją odzyskaliśmy. Znowu miał rację i za to go nienawidziła.

Gdyby jechali bez dziewczynki, dotarliby do linii kolejowej z wystarczającym zapasem czasu, ale Graciela znacznie spowalniała tempo podróży.

Kiedy stało się oczywiste, że nie zdążą, Ty zrównał się z Jenny, poprawił kapelusz i wskazał na dym unoszący się w oddali.

- Tam musi być jakaś osada. Co ty na to, żebyśmy poszukali noclegu? Zgoda?

- Dzieciakowi przydałaby się kąpiel, porządny posiłek i dużo snu. -

Popatrzyła na zaczerwienioną twarz Gracieli i pokiwała głową.

- Ja też o tym marzę. - Ty westchnął, napinając mięśnie.

Przyklejony z gorąca do dziewczynki, dziwił się, że wielogodzinna jazda z dzieckiem może być aż tak męcząca. - A ty jak się czujesz? - zapytał bratanicę.

- Jest mi smutno - odparła dziewczynka cichym głosem.

Nie bardzo wiedział, co na to odpowiedzieć; dorośli nie są tak otwarci w wyrażaniu uczuć. Ściągnął chustkę z szyi, wytarł twarz z potu i brudu i gorączkowo szukał sensownej odpowiedzi.

- Przykro mi - rzekł w końcu. To wydało mu się dalece niewystarczające, więc dodał: - Wiem, jak to jest. - Ogarnęło go współczucie, wszak wokół niej umierali ludzie, których kochała i darzyła

zaufaniem.

- Wujku Ty? - odezwała się tym samym cichym głosem.

- Kochasz mnie? - Przekręciła się w siodle i spojrzała na niego wielkimi zielononiebieskimi oczami.

- Cóż ... - zaczął. Czuł się nieswojo, gdy patrzył w niewinne oczy dziecka.

Rozpaczliwie szukał rozwiązania, wążąc prawdę przeciw gładkiej dwuznaczności. Zerknął na Jenny, która przyglądała mu się z szyderczym uśmiechem na ustach.

Zdawał sobie sprawę, że istnieje tylko jedna dobra odpowiedź, każda inna będzie zbyt okrutna.

- Oczywiście, że tak - wyrzucił z siebie trudem. Miał wrażenie, że słowaomal nie przykleiły się mu do podniebienia. Takiej odpowiedzi oczekiwałby Robert.

- Możesz mi to powiedzieć? - poprosiła z wahaniem Graciela.

W oczach miała łzy.

O Boże. Wciągnął powietrze, zacisnął zęby i wymamrotał:

- Kocham cię. - Jeśli Jenny odezwie się choć jednym słówkiem, czy choćby się zakrztusi, zrzuci ją z konia i zostawi samą na pustyni.

Gdy zerknął na nią, patrzyła prosto przed siebie i miała wciągnięte policzki.

Nie śmiała się jednak i milczała.

- Ja też cię kocham, wujku Ty. - Dziewczynka pocałowała kowboja w podbródek i ponownie się w niego wtuliła.

Oszołomiony, chwycił mocniej cugle i wpatrując się przed siebie w niewidzialny punkt, próbował zrozumieć, co przed chwilą zaszło.

Dotychczas nie miał za wiele do czynienia z dziećmi i musiał przyznać, że mu to odpowiadało. Gdy już je spotykał, zwykle próbował je ignorować, poirytowany ciągłymi hałasami, płaczem i trudnością z dogadaniem się.

Był nie przygotowany na niezwykle wzruszenia, wywołane paroma słowami i niewinnym całusem dziewczynki.

Zmarszczył czoło, bo przypomniał sobie, że w żyłach Gracieli Sanders płynie krew Barrancasów. Jest żywym dowodem na szaleństwo i brak wyobraźni jego brata, jest po prostu jedną wielką pomyłką. Ty początkowo planował pojechać po Marguaritę i jej dziecko, jak najszybciej odstawić je pod drzwi Roberta, a później ograniczyć kontakty z nimi do rzadkich spotkań w gronie rodzinnym.

Nie wyobrażał sobie sytuacji, kiedy z własnej i nieprzymuszonej woli dzieliłby pokój z jednym z Barrancasów.

I nagle to zrobił, a co więcej, nie sprawiło mu to specjalnej przykrości.

Był zaniepokojony i zdezorientowany, bo sam nie wiedział, co czuje w obliczu tak nagłej i tajemniczej zmiany. Gdy zdał sobie sprawę, że Jenny się odezwała, zamrugał i popatrzył na nią.

- Mówiłaś coś do mnie? - Wydało mu się, że brzmiało to jak "niewdzięczny bachor", ale to nie miałoby sensu, więc chyba się przesłyszał.

- Powiedziałam, żebyś w wiosce siedział cicho i pozwolił mi wszystko załatwić. Jesteś taki ordynarny, że jeśli zapytasz o pokój, spędzimy noc pośród kaktusów.

Posłał jej ironiczny uśmiech i przypominając sobie swój plan, odezwał się po angielsku:

- Kochanie, z radością oddam tę sprawę w twoje zdolne ręce.

Wszystkich podbije twój urzekający czar.

Jenny natychmiast wyjęła słowniczek, przekartkowała kilka stron, po czym podejrzliwie spytała:

- Miałaś na myśli urzekający, czy się przesłyszałam?

- Kotku, jesteś najśłodsza istotą po tej stronie Rio Grande.

- Uśmiechnął się i od razu poczuł się lepiej. Rady pani McGowan podobały mu się coraz bardziej. Jenny Jones została właśnie trafiona - wyczytał

w jej oczach panikę i rosnące zmieszanie.

Jeszcze raz sprawdziła znaczenie słowa, po czym schowała książkę do kieszeni. Pod wpływem emocji jej twarz zmieniała się kilka razy, widać Jenny za wszelką cenę próbowała dopasować do siebie określenie "urzekająca". Nie bardzo jej to wychodziło i Ty omal nie wybuchnął śmiechem.

- Jenny nie jest ani słodka, ani urzekająca - odezwała się raptem Graciela.

- To ty mówisz po angielsku? - zdziwił się Ty, spoglądając na czubek jej głowy.

- Mama mnie nauczyła - odparła z dumą. - Żebym była gotowa na przyjazd taty.

- Jaka z ciebie mądra dziewczynka!

- Pewnie, że tak.

- Jest dość sprytna, by odróżnić gów ... - Jenny zamilkła i przełknęła ślinę. - żeby rozróżnić brednie. Urzekająca, niech mnie gęś ... -

Dźgnęła konia obcasami i pogalopowała przed siebie, zostawiając Ty'a z Gracielą w kłębach kurzu, wzbitego kopytami jej wierzchowca.

Kiedy Ty wjechał do wioski, zobaczył kobyłę Jenny przywiązaną przed niewielką chatą pokrytą darnią. Domyślił się, że jedzenie i kąpiel zostały już zamówione.

Zsiadł z konia, pomógł zsiąść Gracieli i przyjrzał się kilku wieśniakom, którzy wylegli z domów, by na niego popatrzeć. Nie mógł sobie wyobrazić, by któryś z nich zaoferował pokój, gdyby

oto poprosił.

- *Buenos tardes* - rzucił i zmusił się do uśmiechu. Odpowiedziały mu liczne uśmiechy i pozdrowienia.

Sukinsyny. A może Jenny miała rację, może jest aroganckim i zbyt podejrzliwym draniem. Z drugiej strony było wielce prawdopodobne, że ci ludzie nie zasługują na jego uprzejmość. Ktoś z wioski mógł już wyjechać, by powiadomić Luisa i Chulo, że oto zjawiała się para *gringos* z meksykańskim dzieckiem.

Gdy wszedł z Gracielą do jednoizbowej chaty, zastał Jenny rozpakowującą juki. Mebli było niewiele - trzy hamaki, prymitywny stolik i parę stołków, jednak wrażenie intymności i schronienie przed słońcem od razu poprawiło nastrój Ty'a.

- *Señor Armijo* powiesi przy torach czerwoną flagę. Gdy maszynista zobaczy znak, zatrzyma poranny pociąg, wszystko załatwione. - Jenny rzuciła wzrokiem na Gracielę. - Za chwilę dostaniemy gorącą wodę i coś do jedzenia. Potem będziesz mogła się wyspać.

- Przecież jest jasno na dworze, noc jeszcze nie zapadła.

- Kilka dni temu byłaś bardzo ciężko chora, zastanawiałam się nawet, czy z' tego wyjdiesz. Wyglądasz, jakbyś od tamtej pory nie zmrużyła oczu. Powieki musisz chyba podpierać zapalkami, potrzebujesz dużo snu.

Jenny uznała sprawę za przesadzoną, mimo że Graciela tupiała nogami i głośno protestowała. Jej opiekunka nie zwracała na nią jednak najmniejszej uwagi.

- Mógłbyś trochę pomóc i zająć się końmi - rzekła do Ty'a.

- Wyjaśnijmy sobie coś od razu. - Ty położył juki na podłodze i uniósł brwi. - Jeśli chcesz coś ode mnie, poproś, a nie rozkazuj.

- Byłoby cholernie uprzejmie, gdybyś raczył rozsiodłać konie, napoić je i nakarmić. - Jenny odsunęła poły poncza, położyła ręce na biodrach i pochyliła się do przodu. - Więc proszę, rusz tyłek i zrób to.

- Widzisz? - krzyknęła Graciela. - Powiedziała "cholernie".

- To nie najlepsze wykorzystanie słowa "uprzejmy". - Kowboj także się pochylił.

- Nie dbam o to, ty draniu.

Przybliżyła twarz i stanęła tak blisko, że prawie dotykała go piersiami. Gdyby nie obserwująca ich bacznie bratanica, objąłby ją i namiętnie pocałował. Miał

ochotę zdławić wyzwanie w jej oczach, posiąść **t u** i teraz i zostawić błagającą o więcej. Ale powiedział tylko:

- A jakże, bardzo o to dbasz. - Kolor jej twarzy niedwuznacznie to potwierdzał: nie lubiła błędnie używać słów. Na jego ustach pojawił się lekki uśmiech. - W łóżku też lubisz walczyć?

- Zamknij się - rzuciła przez ramię i spojrzała na niego ze złością.

- Czy również drapiesz i gryziesz? - zapytał cicho, przyglądając się jej ustom, które, ku jego wielkiemu zadowoleniu, stały się purpurowe. - Lubisz przemoc, czy lubisz długie, delikatne pieszczoty?

- Czyś ty zwariował? - Otworzyła ze zdumienia usta i zająkała się: - Wy ...

wynoś się stąd. Wynocha, i to zaraz! - Pchnęła go w stronę drzwi i Ty omal nie wpadł na człowieka niosącego dużą wannę.

Kowboj z uśmiechem uchylił przed nim kapelusza i wyszedł w popołudniowy, pustynny skwar.

Ta dziewczyna słabnie, pomyślał. Niedługo jej opór skruszeje i ostatecznie będzie musiała się poddać. Warto trochę poczekać, by pochwycić ją w ramiona.

Na miły Bóg, nigdy nie zapomni tej przygody. Ani ona.

12 ~

J enny była tak roztrzęsiona, że bez słowa sama rozebrała Gracielę. Sanders to przebiegły drań, ale rozszyfrowała jego grę. Wystarczająco dużo słyszała o podstępnych umizgach' i zalotach, by je bez trudu rozpoznać. Te "kochanie" i

"kotku", przypadkowe dotknięcia, skandaliczne pochlebstwa i sugestywne uwagi ... Wszystko to na zimno zawczasu zaplanowane i obliczone na to, by podstępnie zdjąć jej spodnie i zaciągnąć do łóżka.

- Urocza, niech mnie gęś kopnie.

- lenny! - Oburzona Graciela podciągnęła kolana pod brodę i popatrzyła na nią z pretensją w oczach. - Nie słuchasz mnie. Ile razy mam ci mówić o tych cholernych wężach?

To wreszcie przykuło jej uwagę. Pochyliła się nad wanną i spojrzała na siniaki wokół szyi dziecka.

- Podaj mi mydło.

Nie miała na to ochoty. Ale wiedziała jedno - jest warta tyle, ile dane przez nią słowo. Tylko to ma i musi być konsekwentna.

- Nie! - Dziewczynka otworzyła szeroko oczy, widząc jak *lenny* namydla dłonie.

- Ależ tak - odparła stanowczo. Mydło śmierdziało jak zjełczone masło i szczypało ją w ręce. Ale wypłucze nim dziecku buzię, albo odrzuci na bok swoje zasady, wiarygodność, szacunek do siebie i do wszystkiego, w co wierzy.

Wywiązała się prawdziwa walka. Dziewczynka była śliska i ruchliwa jak piskorz. Zanim Jenny odniosła zwycięstwo, rozlały pół wanny wody. Mokra i wyczerpana, usiadła bez tchu na podłodze, teraz pełnej błota, oparła się o wannę i ciężko dysząc oglądała swoją rękę.

- Ugryzłaś mnie w palec, ty mała gówniario.

- Nienawidzę cię, nienawidzę! - krzyczała Graciela i na wszystkie strony pluła mydłem.

- Twój drogi wujek Ty zrobiłby to samo. - Jenny rozcierała czoło, na którym widniały ślady zębów.

- Nieprawda, nie zrobiłby tego!

- Posłuchaj, mało mnie obchodzi, co i jak mówisz. To wujek Ty nalega, żebyś zachowywała się jak dama. - Zawahała się, po czym odwróciła się do dziewczynki i dokończyła myśl: - Mimo wszystko ma rację. Z początku zachowywałaś się wyjątkowo akuratanie, musisz po prostu nadal to robić.

Graciela wstała i chwyciła ręcznik z rąk opiekunki.

- A ty wciąż przeklinasz - rzuciła, a potem wytarła oczy i nos.

- Wiem, myślałam już o tym. -- Jenny wzięła ręcznik i wytarła małej plecy, starając się nie używać zamoczonej części. Wyjęła dziewczynkę z wanny, postawiła na stołku i włożyła jej przez głowę cienką bawełnianą koszulę, którą dostała od gospodyni. Wychodząc naprzeciw następnemu żądaniu dziecka, szybko odpięła z ubrania złoty medalion i przypięła go do koszuli.

Następnie wzięła Gracielę na ręce i położyła w jednym z hamaków.

- Posłuchaj, dzieciaku. - Podciągnęła stołek, usiadła ciężko i otarła pot z czoła.

- Przecież obiecałaś, że nie będziesz mówić "dzieciaku".

- Dobrze, Gracielo. Często przeklinam i nie mówię najpiękniej, to święta prawda. - Patrzyła dziewczynce prosto w oczy. - Ale chyba nie chcesz być taka jak ja. - Poczowała ukłucie w sercu. Nie przypuszczała, że rozmowa może się okazać taka trudna. - Niestety, mam te wszystkie cechy, jakich ty nie powinnaś mieć. - Wzięła głęboki oddech i po chwili ciszy ciągnęła: - Jestem niewykształcona, oschła i wściekła na cały świat. - Spuściła głowę i przyjrzała się swoim potężnym i zniszczonym dłoniom, mając w pamięci delikatne i gładkie ręce Marguarity. - Do tej pory nie miało znaczenia, kim jestem, jak mówię i co robię. - Uniosła głowę i zmarszczyła czoło. - Rzecz w tym, że do tej pory

nikogo to nie obchodziło.

Nie potrafiła sobie wyobrazić, że ktoś zechce wpływać na jej zachowanie czy sposób mówienia. Czuli się dziwnie, słysząc swoje przekleństwa w ustach dziecka. Jakaś mała jej część skrycie się z tego cieszyła, jednak bardziej ją to denerwowało, szczególnie po krytyce ze strony Ty'a.

- To niesprawiedliwe, żebyś mogła mówić coś, czego mnie nie wolno - nie ustępowała Graciela. Usiadła w hamaku i pochyliła się, by wytrzeć z pięty odrobinę błota.

Zapadła długa cisza, podczas której Jenny rozmyślała o sprawiedliwości.

Miała w zanadrzu kilka gotowych odpowiedzi, z których najlepszą była:

"Dorośli czasami mówią i postępują inaczej niż dzieci", ale wiedziała, że Gracieli się to nie spodoba.

- Nie mam pojęcia, jak rozwiązać ten problem - przyznała w końcu szczerze. -

Ale powiem ci jedno, nie chcę przez to ponownie przechodzić. - Kiwnęła głową w stronę wanny. - Musisz przestać przeklinać.

- Zgoda, jeśli i ty przestaniesz. - Graciela uniosła podbródek.

- Ja? Zapomnij o tym, ja przeklinam od małego. - Jenny zaśmiała się. - To jedna z rzeczy, które naprawdę potrafię, jestem w tym dobra. -

Gdy patrzyła na delikatną, świeżo wymytą twarz dziecka, nie mogła uwierzyć, że jest zdolne do przekleństw. Ale tak, niestety, wyglądała prawda, a co gorsza, sytuacja nie mogła się polepszyć, Graciela bowiem bez przerwy była pod jej wpływem. Jenny spuściła ramiona. Niepodobal się jej ani tok tej rozmowy, ani wnioski, które w nieuchronny sposób z niej wynikały.

- Wujek Ty nie klnie.

- Po prostu nie robi tego w twojej obecności.

Oczywiście, i to jest rozwiązanie! Oblicze Jenny nagle pojaśniało.

Nie musi zmieniać całej swojej osobowości, by sprostać nowym wymaganiom, wystarczy uważać na słowa, kiedy Graciela znajdzie się w pobliżu. Powinna dać sobie radę. Im więcej o tym myślała, tym lepszy wydawał jej się nowo wymyślony kompromis. Cudownie rozwiązywał problem sprawiedliwości, w czym upatrywała największą trudność.

- Dobrze - rzekła powoli. - Oto moja propozycja. Od tej pory żadna z nas nie powie już "cholerny". - A w myślach dodała: w każdym razie nie wtedy, gdy będziemy razem.

W oczach Gracieli pojawił się błysk triumfu i rozczarowania.

- A więc nie możemy używać: cholera, do diabła, Chryste ani sukinsyn.

Wujek Ty też by tego nie chciał.

Wujek Ty równie dobrze mógłby wskoczyć do beczki z gównem, tyle ją teraz obchodzi. Jenny zacisnęła usta i z wielką niechęcią kiwnęła głową.

- W porządku, ale zaczyna mnie to wkurzać - rzekła.

- Nie mówimy też "wkurzać".

- A niech to, niedługo nie będę się mogła w ogóle odezwać. Jak radziła sobie twoja mama, gdy coś ją naprawdę wkurza ... irytowało? - Mówiła, że jest niezadowolona. - Dziewczynka wydeła pogardliwie usta.

- Ha! - Jenny miała ochotę przewrócić oczami i zawołać:

"Jezusie", ale to z pewnością też było zabronione. - Posłuchaj mnie, pewnie jeszcze nie raz się zapomnę. Musisz to zrozumieć i zaakceptować, bo już od lat mówię w ten sposób. Człowiek nie zmienia się z dnia na dzień. Nie myśl więc, że celowo łamię obietnicę, gdy wymsknie mi się parę mocniejszych słówek.

- Jeśli się zapomnisz i przeklniesz ... czy będę mogła wtedy wyszorować ci usta mydłem? - Graciela uciekła wzrokiem w bok, a na jej ustach pojawił się lekki uśmiech.

. Jenny zamrugnęła, po czym odrzuciła do tyłu głowę i wybuchnęła głośnym śmiechem. Od czasu do czasu zdarzały się chwile, gdy dziewczynka bawiła ją do łez.

- Jeśli spróbujesz, będę bardzo ... niezadowolona. Poza tym pamiętaj, że jestem od ciebie znacznie większa. - Teraz uśmiechnęły się obie. - Wiesz co?

Kiedy nie zachowujesz się jak ostatni gówniarz, wydajesz się całkiem sympatyczna - dodała miękko Jenny.

- Jestem głodna. - Graciela pochyliła się i rozmasowała palce u nóg.

- *Senora* Armijo już przygotowuje dla nas kolację. - Jenny dotknęła pleców dziewczynki, a przy okazji przyjrzała się siniakom na jej szyi. -

Chcę ci coś powiedzieć. Przykro mi, że musiałaś przekonać się na własnej skórze, jakimi ludźmi są twoi kuzyni ... - Zawahała się, szukając odpowiednich słów. - Że są źli i pazerni. Ale dobrze, że wreszcie o tym wiesz. Luis i Chulo wciąż cię szukają, to niebezpieczni ludzie, Gracielo. Może nawet groźniejsi od tych, których zostawiliśmy na pustyni.

- Kuzyn Tito wypuścił na mnie węże! Chciał, żeby mnie ukąsiły!

- Usta małej zadrżały zyrzejącia.

- Wyobrażam sobie, co przeżyłaś. Biedna, przestraszona dziewczynka, sam na sam z jadowitymi węzami! Jestem z ciebie dumna i uważam, że byłaś bardzo odważna.

Graciela pokraśniała z zadowolenia, a jej oczy zalśniły radością.

Jenny była zaskoczona, że dziecko aż tak ceni jej zdanie i aprobatę. Poczła też lekki niepokój. Dotychczas to, co mówiła, było wyłącznie jej prywatną sprawą.

Nikt tego specjalnie nie słuchał, a tym bardziej nie brał sobie do serca. Jednak teraz miała wrażenie, że Graciela chłonie jej słowa niczym gąbka. Trochę ją przerażało, że ma tak wielki wpływ na innego człowieka.

- Założę się, że ty się nigdy nie bałaś.

- Nie warto, przegrałabyś z kretesem. - Na ustach Jenny pojawił

się przekorny uśmiech. - Miałam stracha wiele razy.

Nagle otworzyły się drzwi i do środka wkroczył pewnie mężczyzna, który napawał ją ostatnio największą obawą.

- *Senora Armijo* już idzie z kolacją - zakomunikował Ty i rzucił na wieszak kapelusz. - Co tu się stało? - Spojrzał pytająco na mokrą podłogę.

- Nic - odparła machinalnie Jenny, widząc minę dziecka. Kiedy dziewczynka zdała sobie sprawę, że incydent z mydłem nie wyjdzie najaw, niepewność i zakłopotanie zniknęły z jej twarzy. - Proszę postawić jedzenie na stole -

poprosiła Jenny kobietę. Nic nie mówili, dopóki gospodyni nie opuściła izby. Ty wyjął Gracielę z hamaka i posadził na stołku.

- To mi wygląda na wołowinę z pomidorami i cebulą - stwierdził wesoło.

Podciągnął jeszcze dwa taborety dla *lenny* i siebie. - Czy panie są gotowe na zjedzenie czegoś innego poza fasolą i tortillą?

lenny usiadła i zatknęła sobie pod brodą kolorową serwetkę.

Czuła się dziwnie nieswojo, siadając do kolacji razem z tym mężczyzną i dzieckiem. Niespodziewanie przypomniała sobie sielankowy obrazek rodziny przy stole, który widziała w jakimś piśmie. I chociaż tamci ludzie byli lepiej od nich ubrani, przebywali też w znacznie wykwintniejszym otoczeniu, dostrzegła pewne podobieństwo. Deprymowało ją to, bo pamiętała, że patrząc na obrazek wyobrażała sobie, iż tak właśnie wygląda prawdziwa rodzina.

- Powinnaś położyć serwetkę na kolanach - zauważyła Graciela.

- Tak jak ja.

- Tere-ferre. - W tym samym momencie *lenny* zauważyła, że Ty również ma na kolanach serwetkę. Poczowała, jak płoną jej policzki. - Lubię mieć pod brodą. - Wbiła widelec w kawałek wołowiny.

- Co robisz? - zapytała widząc, że Ty pochyla się nad talerzem dziewczynki.

- A jak myślisz? Chcę pokroić mojej bratanicy mięso.

- Przecież nie jest stara i niedołączna. Może sobie sama pokroić to cholerne mięso.

- Nie należy używać słowa "cholerny". - Graciela posłała jej jeden ze swoich pełnych wyższości uśmiezków, których *lenny* tak nie znosiła.

- *lenny*, ona ma dopiero sześć lat! - upomniał ją Ty.

- Co oznacza, że jest wystarczająco dorosła, by się sama nakarmić.

- Nie wolno mi używać noży - odparła Graciela z rozbijającą szczerością.

lenny opuściła widelec. Ta gówniara uwielbia, kiedy się jej usługuje.

- Chcę zapytać o jedno: jeśli ktoś nie pokroi ci mięsa, co zrobisz? Weźmiesz w rękę i zaczniesz obgryzać? - Popatrzyła krzywo na Ty'a.

- Ależ skąd! - Mała wyglądała na zgorzoną.

- Czyli siedziałabyś tak, dopóki nie umarłabyś z głodu? - Graciel a piorunowała ją wzrokiem. - Gdybyś była dostatecznie głodna, to daję głowę, że potrafiłabyś pokroić sobie mięso. A więc, jesteś czy nie jesteś wystarczająco głodna? - Celowo prowokowała dziewczynkę.

Ty odłożył sztućce na talerz, położył obok serwetkę i wstał

z grymasem na twarzy.

- Wyjdźmy, chciałbym zamienić z tobą dwa słowa.

- Teraz jemy.

- Natychmiast. - Odwrócił się na pięcie i zniknął za drzwiami.

lenny wyciągnęła zza kołnierzyka serwetkę, rzuciła ją na stół i wbiła wzrok w Gracielę.

- Przez ten czas zastanów się, jak użyć noża. Zaraz wrócę. Stare, rozpadające się chaty wyglądały malowniczo pośród zapadającego zmroku. Uliczką pełną kolein pobiegło dwóch chłopców z psem, kierując się w stronę domu, skąd dochodził zapach smażonych chili. W chacie obok słychać było śmiech i odgłos nuconej kołysanki.

- Czego chcesz? - *lenny* minęła podwórze i stanęła przy wozie z połamanym kołem.

Ty oparł ręce na biodrach i patrzył na nią w milczeniu. Blask zachodzącego słońca podkreślał jego opaleniznę i ostre rysy twarzy. Na ten widok *lenny* ogarnęła znajoma słabość - uczucie, którego nie cierpiała. Dopiero co rozpoczęli starcie, a już czuła się pokonana.

- Zbyt wiele od niej wymagasz.

- A ty za mało. - Oparła się o wóz i założyła ręce na piersiach.

- Kiedy ma się nauczyć, jak kroić jedzenie? Gdy będzie miała dwanaście lat, piętnaście, a może dwadzieścia? Kiedyś wreszcie musi się zdobyć na samodzielność.

Słońce odbijało się w jego oczach jak płomienie. Ty umył się do kolacji, lecz na jego ubraniu wciąż widniały ślady niedawnej podróży - drobiny kurzu w załamaniach koszuli i marynarki. Pachniał wyprawioną bawołą skórą i końskim potem, zapachami, które kojarzyły się jej z tym, co w mężczyźnie najlepsze.

Wysoki i szczupły, wydawał się typem człowieka zdecydowanego i bezwzględnego, który bez zastanowienia robi swoje, a jednocześnie jest na tyle pewny siebie, że nie wstydzi się delikatnie traktować kobietę.

Jenny zmarszczyła czoło i odwróciła twarz, a Ty ciągnął:

- Graciela jest spadkobierczynią potężnego i bogatego rodu, odziedziczy po Antonio Barrancasie więcej, niż zdołałaby wydać przez resztę życia. Jest również sukcesorką mojego brata. Będzie opływać w luksusy, zawsze otoczona służbą, troskliwie ubierana, czesana i karmiona. Cała chmara ludzi zadba o to, by spełnić jej najmniejszą zachciankę?

- Założmy jednak, że stanie się inaczej. - Jenny wysunęła z uporem podbródek.

- Powiedzmy, że szlag trafi świat i twoje plany, a Graciela będzie zmuszona zdać się na własne siły. Jakie wtedy dasz jej szanse na przetrwanie? Dziecko, które nawet nie potrafi ukroić sobie mięsa! - Skrzywiła usta z odrazą.

Ty pochylił się do przodu, położył dłonie na ramionach Jenny i spojrzał jej prosto w oczy.

- Posłuchaj. To, co się przydarzyło tobie, nie stanie się nigdy udziałem Gracieli. Nikt jej nie porzuci na pastwę losu.

- Jeśli jednak będę musiała ją wychowywać ...

- W porządku. - Przyłożył palec do jej ust. - Chociaż to absolutnie niemożliwe, założmy przez chwilę, że tak będzie. - Zniecierpliwienie zaostrzyło mu głos. - Zostałaś sama z Gracielą i musisz ją wychowywać. Od czego zaczniesz? Dokąd się udacie?

- Mówisz poważnie? - Uniosła podejrzliwie brwi. Gdy uświadomiła sobie, że nie potrafi jasno myśleć, kiedy czuje na swoich barkach potężne, ciepłe dłonie, zrzuciła je wzruszeniem ramion.

- Gdzie z nią pojedziesz, Jenny? - ponaglał Ty.

- Nie wiem ... - Starła się skupić. - Chyba wybrałabym San Francisco, bo to najbliższe duże miasto. Tam też zaczęłabym szukać pracy.

- A co robiłaby przez ten czas Graciela? - Mężczyzna wyjął z kieszeni marynarki cienkie cygaro, zapalił je i zgasiwszy zapałkę machnięciem dłoni, powoli wypuścił dym.

Jenny zastanawiała się już nad tym setki razy i nie doszła do żadnych zadowalających wniosków. Dziecko nie wydawało się wystarczająco samodzielne, by zostawiać je w domu bez opieki, ona zaś nie знаła sposobu, żeby zatrzymać dziewczynkę przy sobie, chyba że obie miałyby pracować. - Coś wymyślę.

- Gdzie zamieszkacie? - Ty patrzył z uwagą na rozżarzony czubek cygara, po czym ogarnął wzrokiem zniszczony dach chaty, którą wynajęli na nocleg.

- Jeśli masz mi coś do powiedzenia, może wyduś to z siebie.

- Jenny gotowała się w środku ze złości. Nie podobała się jej własna bezradność, tym bardziej że Ty chciał, by się do niej otwarcie przyznała.

- Naprawdę wierzysz, że Marguarita pragnęłaby odrzucić życie Gracieli z należącego jej komfortu? - Zmierzył się z nią wzrokiem. - Sądzisz, że wybrałaby dla córki drogę wyrzeczeń i trudu?

W głowie Jenny huczało. Odwróciła się i szukając wsparcia spojrzała na niebo. Jednak nie dostrzegła znajomej gwiazdy.

- Powiedziała, że jeśli Robert z jakichś względów nie zdoła zająć się dzieckiem, muszę je wychować sama. Kazała mi przysiąc ...

Po raz pierwszy w jej głosie zabrakło przekonania. Cholerny kowboj, zupełnie pomieszał jej w głowie.

- Marguarita była umierająca. Panicznie bała się o dziecko i o siebie. Czy to takie dziwne, że nie myślała wtedy rozsądnie? Poza tym, jeśli to prawda, że nie dostała od Roberta żadnego listu, nie mogła wiedzieć o śmierci naszego ojca.

Gdyby tak było, bez wahania powierzyłaby Gracielę opiece mojej matki. Bała się tylko Cala Sandersa, a i to nie bez racji. - Ty westchnął i po chwili przerwy kontynuował: - Moja matka oczekuje przybycia wnuczki i na pewno szczerze ją pokocha. Przyjęłaby też chętnie Marguaritę, bo taki ma już charakter. Gdy dorastałem, Ellen Sanders była dla mnie podporą w ciężkich chwilach i najlepszą przyjaciółką. Będzie taką również dla Gracieli. Broniała mnie wiele razy, nawet nie potrafię tego zliczyć. By pomóc synom, była gotowa walczyć z mężem, wszystkimi żywiołami i całym światem. Szkoda, że Robert nie zdążył

opowiedzieć o niej Marguaricie. Zrozumiałaby, że choć ojciec nigdy by jej nie przyjął i nie zaakceptował, w mamie znalazłaby wszelkie oparcie i pomoc.

Gdyby Marguarita знаła rzeczywistą sytuację, co najwyżej poprosiłaby cię o zawiezenie Gracieli do Roberta. Nie wierzę, żeby życzyła jedynej córce życia pośród żebraków przemierzających ciemne uliczki San Francisco. - Spojrzał na nią twardym wzrokiem. - Jenny, zrobiłabyś to Gracieli? Pozbawiłabyś ją poczucia bezpieczeństwa, wygodnego życia czy wykształcenia? Bez względu na przysługujące jej prawa i pochodzenie skazałabyś na niedolę? I po co? Tylko dlatego, żeby spełnić obietnicę daną nieszczęsnej, wprowadzonej w błąd kobiecie ...

- Nasza rozmowa odbiegła znacznie od kwestii krojenia mięsa

- szepnęła.

- To, co próbujesz udowodnić, może byłoby chwalebne w innych okolicznościach - ciągnął cicho. - Twoja niezależność i pomysłowość pomogły ci przetrwać, ale Graciela tego nie potrzebuje. Gdy tylko zawieziemy ją do domu, już nigdy więcej nie poczuje się samotna i opuszczona. Tam znajdzie opiekę i miłość, nie zazna głodu ani nie będzie pracować na swoje utrzymanie.

- Jeśli Robert zechce ją przyjąć - wyszeptała Jenny z uporem, ale bez pasji. W

głębi duszy pogodziła się z faktem, że Robert będzie dla Gracieli ojcem i opiekunem.

Mimo to nadal martwiła się o przyszłość, bo nie wątpiła, że odegra w niej wielką rolę. Spuściła głowę i pomasaowała skronie. Wszystko, co Ty mówił, miało sens, ale ...

- Jenny, pozwól Gracieli być dzieckiem. Przestań wciąż ją pouczać, karcic za to, że nie jest dorosła.

- Taki z ciebie specjalista w dziedzinie dzieci? - Podniosła gwałtownie głowę i pochyliła się ku niemu, a w jej oczach zabłyśły ostatnie promienie zachodzącego słońca.

- Nic nie wiem o dzieciach, ale jednego jestem pewien - odparł, odwzajemniając spojrzenie - podobnie jak i ty, zbyt szybko dorosłem i nie jest to bynajmniej powód do dumy. Żadne z nas nie miało prawdziwego dzieciństwa. Zanim skończyłem osiem lat, wykonywałem pracę dorosłego, ty zaś walczyłaś o swoje w wieku, kiedy większość dziewczynek bawi się jeszcze lalkami. Gracielę czeka lepsze życie, więc pozwól jej odetchnąć, niech czas dzieciństwa kojarzy się jej z beztroską i zabawą.

Długo patrzyli sobie w oczy w zapadających ciemnościach.

- Żałuję, że nas odnalazłeś - powiedziała oschle Jenny. - Gdyby nie to, sprawy wyglądałyby o wiele prościej.

Miała już dość Ty'a i tej irytującej rozmowy, która uczyniła taki zamęt w jej głowie, więc czym prędzej odwróciła się na pięcie i odeszła w stronę chaty. Gdy otworzyła drzwi, zaskoczona, zatrzymała się gwałtownie na progu.

Pierwszą rzeczą, która rzuciła się jej w oczy, był stół; mięso na talerzach Ty'a i Gracieli zostało pocięte na małe, nierówne kawałki. Usta Jenny rozciągnęły się w ponurym uśmiechu. Albo dziewczynka urniała już wcześniej obsługiwać się nożem, albo nauczyła się tego nadzwyczaj szybko.

Podniosła lampę i przechodząc koło wanny, ujrzała śpiące w hamaku dziecko.

Aby wdrapać się do środka, dziewczynka użyła stołka. W świetle lampy Jenny ujrzała pod jej nosem ślady po wypitym mleku.

- Wygląda na to, że doskonale daje sobie radę, kiedy nie ma w pobliżu służących - szepnęła, gdy Ty pojawił się w chacie. Pokrojone mięso i fakt, że Graciela weszła do hamaka o własnych siłach, powinny były sprawić jej przyjemność, ale tak nie było.

Spojrzała tylko na pogrążoną we śnie dziewczynkę i zastanawiała się, jak to jest, gdy człowiek jest pewien, że nie zazna nigdy głodu ni samotności, a co wieczór znajdzie pod głową miękką poduszkę i czystą pościel. Co czuje, gdy nie musi obawiać się jutra?

- Przydałaby się odrobina światła - rzucił Ty znad talerza. Jenny dotknęła złotego medalionu przypiętego do koszuli Gracieli, po czym wróciła z lampą do stołu i usiadła przed swoim talerzem. Pierwszy kęs był zimny i przypominał w smaku gumę.

- *Senora* Armijo przyniosła dzbanek *pulque*. Napijesz się?

- spytał Ty.

Pokiwała głową i, zaczęła dziobać widelcem kawałki mięsa.

Doszczętnie straciła apetyt. W końcu dała za wygraną, odsunęła talerz i pociągnęła łyk nalewki. Płyn palił jej przetyk, a w oczach pojawiły się łzy.

- Więc co zamierzasz robić, gdy skończy się ta przygoda?

- spytała Ty'a, przyglądając się, jak je.

- Pomogę Robertowi prowadzić ranczo ... A może zacznę sam hodować bydło.

- To ciężkie i wymagające życie, ale podoba mi się - rzekła.

- Nie musisz się martwić, gdzie szukać następnego befsztyka.

- Cygaro? - zapytał Ty po skończonym posiłku. Rozsiadł się wygodnie i założył nogę na nogę.

- Czemu nie. - Ku jej zdumieniu pochylił się i podał jej ogień.

Przyjemnie było siedzieć tak razem przy stole i palić cygara, wsłuchując się w odgłosy szykującej się do snu wioski. Z początku Jenny obawiała się, że dłuższe milczenie może być krępujące, ale wkrótce zmieniła zdanie. Pomyślała nagle, że to jest miarą prawdziwego zrozumienia - nie tyle łatwa rozmowa o niczym, co właśnie spokojne rozkoszowanie się ciszą.

- Ładnie wyglądasz w świetle tej lampy.

- Do diabła, Sanders! - Jenny zakrztusiła się dymem i zaczęła kaszleć. - Prosiłam cię tyle razy, żebyś nie wmawiał mi podobnych bzdur.

- Czemu nie? Przecież to prawda. - Zmrużył oczy i przyjrzał się jej przez kłęby dymu. - Masz regularne, mocne rysy. Kobiety takie jak ty tylko zyskują z wiekiem. Jeszcze długo po tym, gdy inne piękności zbledną, za tobą mężczyźni będą się oglądać.

Spojrzała na niego i zaśmiała się szczerze rozbawiona.

- Dziwne, ale jesteś pierwszym mężczyzną, który to zauważył.

- Wątpię. Może nie mówią o tym wprost, lecz wielu z pewnością dostrzegło i doceniło twoją urodę.

Poczerwieniała; takie rozmowy zwykle zbijały ją z tropu i wprawiały w zakłopotanie. Robiła się przy tym szalenie podejrziwa i nie wiedziała, jak reagować.

- Zamilcz - rzuciła w końcu, starając się skupić całą uwagę na rozżarzonej czubku cygara.

- Czy całowałaś się kiedyś? Mam na myśli prawdziwy pocałunek.

Treść pytania i sposób, w jaki je zadał, poruszyło coś w Jej wnętrzu. Poczwała, że pali ją skóra.

. - Jasne, że się całowałam - odparła zaczepnie.

~ Musiał być wyjątkowo odważnym mężczyzną. - Kowboj zaśmiał się.

- Psiakość, a co to niby miało znaczyć?

- Jesteś onieśmielającą kobietą. - Omiótł wzrokiem jej twarz i szyję. - Wyobrażam sobie, że wielu chętnych wycofało się przed takim wyzwaniem.

- Nie opowiadaj głupstw! - Zamiast poprawić sobie włosy, na co miała nieprzepartą ochotę, wypuściła w ciemności kółko z dymu. - Większość mężczyzn nawet mnie nie zauważa. I wiesz co? To mi odpowiada.

- Jeśli nawet cię nie widzą, to dlatego, że tego nie chcesz.

Właśnie po to chowasz się pod bezkształtnym ponczo i nosisz stary kapelusz nasunięty na oczy. - Wypuścił przed siebie obłok dymu i patrzył, jak rozplywa się w powietrzu. - Złotko, gdybyś tylko zapuściła włosy i włożyła ładną sukienkę, mężczyźni ustawialiby się przed tobą w kolejce.

- Jak bym tego chciała! - Jenny przesunęła językiem po spierzchniętych wargach i przełknęła ślinę. Gdy zdała sobie sprawę, że zaczynają jej drzeć dłonie, skrzywiła twarz i zgasła z niesmakiem cygaro. - Nie mam ochoty rozmawiać dłużej na ten temat.

- Wolisz nosić rękę na temblaku i udawać twardziela. A niech no tylko ktoś spróbuje powiedzieć ci komplement! Zastanów się, zachowujesz się jak nieopierzony chłopak, który za nic na świecie nie

chce mieć do czynienia z dziewczyną.

- Zamknij się.

- Gdybym miał cię pocałować ... - Zawahał się i spojrzał na jej usta. - Ciekawe, co byś zrobiła?

Serce Jenny zabiło gwałtownie. Chwyciła się brzegu stołu i zmrużyła ostrzegawczo oczy.

- Powtarzam ci po raz ostatni ... Przestań.

- Zacząłbym naprawdę powoli, żeby cię nie spłoszyć. - Wciąż patrzył na jej usta i Jenny wydało się, że spali ją żar tego spojrzenia. - Położyłbym ci dłonie w pasie, nisko, prawie na biodrach. Potem przyciągnąłbym cię do siebie, żebyś poczuła,

oczym myślę. - Uśmiechnął się leniwie.

Zrozumiała aluzję. Próbowwała przełknąć ślinę, ale zaschło jej w gardle. Oczy utkwiała w jego twarzy, niezdolna, by poruszyć choć jednym mięśniem.

Wstrzymała oddech i czekała. Wiedziała, że powinien przestać, ale w głębi ducha pragnęła go słuchać, jeszcze i jeszcze, w nieskończoność ...

- Zacznę ocierać się o ciebie długimi, powolnymi ruchami, aż poznamy język naszych ciał i przyzwyczajamy się do siebie. - Zwęził oczy i zacisnął mocno szczęki, lecz po chwili uspokoił się, a jego twarz znów przybrała wyraz leniwego zadowolenia. - Potem powędruję dłońmi dalej, w górę, póki nie poczuję pod palcami delikatnego ciepła twoich piersi.

- Zamilcz - szepnęła Jenny, nie odrywając wzroku od jego ust. Cisnął resztką cygara w otwarte drzwi i oparł ręce na kolanach. - Pochylę się nad tobą i zbliżę usta do twojej twarzy, ale jeszcze

przez moment poczekam z pocałunkiem. - Patrzyli na siebie w migotliwym świetle lampy. - Przedtem chciałbym wdychać zapach twego ciała. Wciągnę w płuca twój oddech, by rozkoszować się nim do woli, a dopiero potem musnę ustami twoje wargi.

- O Boże - westchnęła. Zabrakło jej tchu. Spuściła ramiona, dłonie zsunęły się jej ze stołu, a z ręki wypadło cygaro. Miała wrażenie, że serce zaraz wyskoczy jej z piersi i słyszała krew tętniącą w skroniach. Dusiło ją suche i gorące powietrze.

Kowboj na powrót zawiesił wzrok na jej ustach.

- Przebiegnę językiem po tych wargach, aż zapamiętam ich kształt, a potem ...

- Ty podniósł się ze stołka i jego twarz utonęła w ciemnościach. - Wstań, Jenny.

- Nie mogę - wyszeptała. Nogi miała jak z waty, choć tym razem nawet jej nie dotknął - uczynił to za pomocą słów. Nie potrafiła mu się przeciwstawić i odrętwiała, wpatrywała się w niego wielkimi ze strachu i zmieszania oczami.

Ty chwycił ją za rękę i pociągnął do siebie. Poczwała nagle żar jego ciała -

równie szybko i ją oblała fala gorąca. Oblizwała nerwowo usta i starała się przemówić.

- Nie! - Zduszony okrzyk przypominał bardziej odległy skrzek żaby, był cichy i zupełnie pozbawiony stanowczości.

Zamrugwała i przełknęła ślinę. W jego oczach płonęło pożądanie. Pomyślała, że jeśli jej zaraz nie pocałuje, to umrze z zawodu i zniecierpliwienia. Ale kowboj tylko uniósł dłoń i przesunął palcami po jej podbródku, a potem powoli wzdłuż linii szyi.

Jenny zaczerpnęła gwałtownie powietrza. Po jej plecach przebiegły ciarki i wbiły w skórę tysiące igieł, a zaraz potem dreszcze ogarnęły stopy i przeniknęły resztę ciała, trzęsąc nią niczym w febrze. Jeszcze nic takiego się jej nie przydarzyło.

Dotychczas z dziecinną łatwością mogła przerwać niewygodną rozmowę czy odtrącić natrętą męską rękę. I Bóg jej świadkiem, że robiła tak po wielekroć.

Nie umiała się jednak bronić, gdy w grę wchodziły delikatne gesty i kuszące słowa.

Ty wziął ją za rękę i bez słowa wyprowadził na podwórze, skąpane w srebrnej księżycowej poświacie. Bezwolna jak małe dziecko, szła za nim na drżących nogach i nie opierała się, gdy oparł ją plecami o ścianę chaty. Nie mogła wykrztusić ani słowa, czekając na nieuniknione.

Ty oparł dłonie o deski ściany po obu stronach jej twarzy, a potem zbliżył się powoli, otaczając ją zapachem i ciepłem swego ciała. Zmysłowy ucisk silnych męskich bioder sprawił, że jęknęła cicho i zamknęła oczy. Przyparta do ściany, mogła w pełni poczuć siłę jego podniecenia.

- Chciałem cię mieć już wtedy, gdy ujrzałem cię po raz pierwszy

- mruknął jej do ucha. Miał niski, napięty głos, przerywany ciężkim oddechem. - Widziałem, jak rzuciłaś się na Luisa i pomyślałem sobie, że jesteś wspaniałą kobietą, wartą poskromienia.

Jenny chciała się sprzeciwić, zaśmiać szyderczo i rzucić mu w twarz, że żaden mężczyzna nigdy jej nie ujarzmi. Ale nie mogła mówić. Serce waliło jej w piersiach jak oszalałe, skóra płonęła, a ciało zupełnie odmówiło posłuszeństwa.

Między nogami poczuła gorącą wilgoć.

Z jej ust wydobył się dźwięk podobny do szlochu, a biodra poruszyły się mimowolnie, jakby zaczęły żyć własnym życiem. Ty musnął ustami jej czoło, drainiac końcówki nerwów, i wciąż szeptał namiętne słowa, które ledwie mogła zrozumieć.

Jego dotyk do reszty ją oszołomił. Nie widziała już księżycy świecącego w ciepłych ciemnościach, stała się głucha na ochryply szept mężczyzny. Łowiła zmysłami jego zapach, gorący i zniewalająco męski, ale to dotyk wypalał jej wnętrze. Miała wrażenie, że nie znieśie już dłużej szeptów laskoczających jejskronie, przyciskających ją do ściany bioder i jawnych oznak jego pożądania, które

czuła przez ubranie.

- Błagam ... - szepnęła i rozchyliła usta. Pieszczoty mężczyzny obudziły w niej dziką, nieposkromioną namiętność i zdławiły w szelką myśl o oporze. Była pewna, że nie przeżyje kolejnej minuty, jeśli nie poczuje na wargach jego ust, więc nie namyślając się wiele, chwyciła go za koszulę, przyciągnęła do siebie i zarzuciła mu ręce na szyję.

Ty jakby na to czekał. Złapał ją w talii i przycisnął mocno do ściany. Gdy Jenny drgnęła zaskoczona, kowboj przesunął dłońmi w górę, po jej brzuchu i unieruchomił biodrami.

- Powoli - rzekł cicho. Usta trzymał tuż ponad wargami kobiety, a jego ciepły, pachnący słodkim *pulque* oddech odbijał się od jej twarzy.

Jenny dyszała i wiała się pod żarem jego ciała, a gdy Ty sięgnął do jej piersi, westchnęła i odrzuciła do tyłu głowę. Przeszył ją gwałtowny dreszcz, biodra odpowiedziały zmysłowym ruchem, a ręce kurczowo zaciskały się i rozluźniały na jego karku. Nie mogła oddychać ani myśleć, w tej chwili chciała zapomnieć o całym świecie i zanurzyć się w rozkosznym morzu ogma.

- Och, Jenny - jęknął ochryple Ty.

Przełknęła ślinę i czując krople potu między piersiami i pulsujące pożądanie w dole brzucha, otworzyła oczy.

I w końcu wargi mężczyzny spoczęły twardo na jej ustach.

Zaplotła ręce wokół jego szyi i przyciągnęła do siebie obejmując tak mocno, że poczuła bicie jego serca.

Oszalała z żądzy, rozchyliła usta i nie uciekła przed naciskiem jego języka.

Potem wczepiła się dłońmi w gęste włosy Ty'a i przycisnęła do siebie jego głowę. Kiedy ujął pod ponczo jej piersi, westchnęła i przerwała pocałunek. Ty przebiegł ustami po jej szyi, po czym wrócił do ust, zdołując ją bez reszty i pozostawiając bez tchu, uległą i dyszącą z pożądania. I wtedy jego ruchy spowolniały.

Chociaż wciąż trzymał ją w ramionach, szeptał czule do ucha i gładził ciepłą dłonią po plecach, zniknęła gdzieś cała pasja i namiętność. Jej gwałtowne drżenie stopniowo opadło, uspokoił się oddech. Oparła głowę na jego ramieniu zastanawiając się, co, u licha, się stało.

- Myślę, że powinniśmy się trochę przespać - musimy nadrobić zaległości z zeszłej nocy - powiedział spokojnie, jak gdyby nigdy nic.

Jenny spojrzała mu w oczy, lecz była zbyt oszołomiona, by w pełni ogarnąć sens jego słów. Gdy wreszcie ochłonęła, jeszcze nie rozumiała, co zaszło.

Oczekiwała, że powali ją na ziemię i weźmie z gwałtownością dorównującą wcześniejszym pocałunkom. Wydawało jej się to naturalną kolejnością rzeczy.

Miała w głowie taki chaos, że nie opierałaby się, musiał o tym wiedzieć.

W końcu oderwała się od niego. Potykając się co krok i starając uspokoić rozbiegane myśli, weszła do chaty i spojrzała na Graciele. Dziewczynka smacznie spała, nieświadoma, że jeszcze kilka minut temu cały świat oszalał.

Gdy Jenny się odwróciła, Ty stał na progu; jego szczupłą postać oświetlał z tyłu blask księżyca.

- Dlaczego? - spytała. Przesunęła językiem po ustach, czując jeszcze smak mężczyzny.

- To musi być twoja decyzja. - Wiedział, co miała na myśli.

Jego głos był wciąż zabarwiony pożądaniem. - Gdy będziesz gotowa, sama do mnie przyjdiesz. - Błysnął płomień zapalanej zapalniczki, którą przypalił sobie cygaro. - Teraz spróbuj się zdrzemnąć.

- A ty co chcesz robić? - Poczowała się raptem zmęczona i wyżęta z sił jak stara ścierka.

- Popalę sobie i trochę pomyślę.

Jenny nie ruszała się przez chwilę. Potem przesunęła do siebie skraj hamaka i weszła do środka, słysząc, jak Ty siada przy stole i nalewa sobie szklaneczkę *pulque*.

- Ty? - odezwała się.

-- Tak?

- Myliłam się. - Wpatrywała się w ciemne belki sufitu. - Aż do dzisiejszego wieczoru nigdy tak naprawdę się nie całowałam. - Odniosłem zupełnie inne wrażenie - odparł cicho.

13 ~

Rankiem w towarzystwie prawie trzydziestu osób udali się w stronę stacji kolejowej. Chociaż pociąg przejeżdżał tędy codziennie, niezmiernie rzadko się zatrzymywał. Nic więc dziwnego, że wieśniacy 'urządzali święto z okazji każdego postoju. Kobiety ubierały się w najlepsze suknie, mężczyźni zaś wkładali białe wykrochmalone koszule i haftowane *sombrera*. W czasie gdy ładowano na platformę konie, mały chłopiec biegał wzdłuż wagonów trzymając wielką jaszczurkę i pokazywał ją pasażerom. Kobiety sprzedawały pierożki z mięsem, gotowane na parze i zawinięte w liście kukurydzy. Ktoś grał na gitarze, a dwóch mężczyzn tańczyło wokół rozłożonych na ziemi kapeluszy, wzbijając przy tym tumany kurzu.

Gdy załadowano konie, Ted poprowadził Jenny i Graciele do jednego z wagonów, znalazł wolne siedzenia i miejsce do złożenia juków.

- Nienawidzę pociągów - stwierdziła Graciela. - Można w nich umrzeć z gorąca, duchoty i smrodu. - Zrobiła skwaszoną minę i przegoniła kurę siedzącą na końcu ławki. - Kiedy zajedziemy na miejsce?

Jenny wachlowała twarz nowo kupionym szalem. W powietrzu unosił się fetor kurzych i psich

odchodów, spalonego tłuszczu i rozkładającego się potu.

- Nawet nie wiesz, dokąd zmierzamy - odpowiedziała dziewczynce, patrząc przez okno na wieśniaków machających do pasażerów.

Ty, zanim usiadł, przyjrzał się dokładnie współtowarzyszom podróży. Okazało się, że większość z nich to kobiety i dzieci. Kowboj wyłowił z tłumu dwóch starców siedzących w końcu wagonu oraz trzech mężczyzn w sile wieku, którzy najwyraźniej podróżowali z rodzinami. Wyglądali na zmęczonych upałem i nie wydawali się niebezpieczni. Nikt zresztą nie interesował się zbytnio nowymi pasażerami.

Gdy pociąg ruszył, Ty pochylił się, by zamknąć okno i uchronić przed sadzą i iskrami nowe ubranie Jenny, które nabyła przed wyjazdem. Pod szarym szalem miała białą bluzkę wpuszczoną w niebieską, wyblakłą spódnicę. Rzeczy były używane, ale czyste i uprasowane i niewątpliwie przyciągały mniej uwagi niż jej stare męskie ponczo i spodnie. Ubranie Gracieli wyglądało podobnie. Poza tym obie panie miały na głowach słomiane kapelusze.

- Pięknie wyglądacie. - Uśmiechnął się i usiadł na twardej ławce. Graciela odwzajemniła uśmiech i kokieteryjnie poprawiła spięte w kok włosy. Jenny tylko uniosła brwi, po czym wróciła do kontemplowania widoków za oknem.

Cały ranek była dziwnie poważna i milcząca. Od czasu do czasu rzucała mu ukradkowe spojrzenia, których nie potrafił odczytać i odwracała szybko głowę, gdy ją na tym przyłapał. Podejrzewał, że wraca myślami do wydarzeń poprzedniej nocy, podobnie zresztą jak i on.

Ty zapalił cygaro i ogarnął wzrokiem przetaczający się za brudną szybą krajobraz pustyni. Co pewien czas na horyzoncie pojawiały się odległe pasma gór, przeważały jednak kępy pożółkłych traw i wyschniętych krzewów, zalegające centralny płaskowyż.

Znowu naszły go wspomnienia gorączkowych pocałunków w księżycową noc.

Nie żałował niczego. Poza tym, biorąc pod uwagę narastające między nimi napięcie, wydawało się to nieuniknione.

Zaskoczyła go tylko niewinność Jenny. Na pozór była oschłą, sceptyczną kobietą, prowadzącą z powodzeniem niekonwencjonalny tryb życia. Los ją po wielokroć doświadczył i nauczył trzymać się wobec innych na dystans, a co za tym idzie, skrywać głęboko emocje. Mogła uchodzić za typową zgorzkniałą samotniczkę, nie oczekującą zbyt wiele od życia i ludzi.

Ale w sprawach uczuć Jenny Jones okazała się nieporadna i bezbronna jak nowo narodzone niemowlę. Ty zaciągnął się cygarem, przyglądając się czystej, zdecydowanej linii jej profilu.

Jeszcze zanim wyprowadził ją przed chatę, wyczuł, że mu ulegnie. W jej zachowaniu nie dostrzegł przewrotności ani typowych kobiecych sztuczek. Była szczerą i spontaniczną, a emocje malujące się na jej twarzy odzwierciedlały jej wnętrze równie wyraźnie, co latarnia wskazująca nocą drogę. Szeroko otwarte ufne oczy i drżące usta mówiły mu, że zrobi wszystko, co jej każe. Wprawdzie Jenny

przeżyła już kiedyś miłosną przygodę, jednak odgadł podświadomie, że jeszcze nikt się do niej nie zalecał. Zakosztowała seksu, ale nie słodkiej sztuki uwodzenia. Mógł postawić swojego konia, że Jenny nigdy dotąd nie czuła się tak podniecona.

Pytanie, jakie zadał sobie w świetle dnia, brzmiało: Dlaczego nie skorzystał z okazji? Bóg mu świadkiem, że kobieta była chętna i reagowała na jego pieszczoty z cudowną żywiołowością. Rozpalona do białości, była gotowa mu się oddać, więc co go powstrzymało?

Zmarszczył czoło, wsłuchując się w rytmiczny stukot kół i odbijający się od ścian wagonu hałas - gładkanie kur, krzyk dzieci i jednostajny gwar prowadzonych rozmów.

Chciał ją mieć, dobry Boże, jakże jej pragnął! Jego pożądanie było tak silne, że jeszcze przez kilka godzin odczuwał na myśl o niej niemal fizyczny ból.

Nawet teraz wystąpiły mu na czoło krople potu, gdy przypomniał sobie dotyk jej pełnych piersi. Nie ośmielił się jednak do reszty pogрузić we wspomnieniach, choć wyobraźnia podsuwała mu obrazy półnagiej Jenny, jej zmysłowych ruchów i ciała pełnego gorących obietnic.

Pochylił się do przodu, zgasił obcasem cygaro i wytarł twarz chustką. Gdy spostrzegł, że lenny go znów obserwuje, przerwał niezręczną ciszę:

- Parno tu jak w łaźni tureckiej. Byłaś tam kiedyś?

- Raz, w San Francisco.

- Co to jest łaźnia turecka? - spytała zaciekawiona Graciela.

Siedziała obok lenny jak przykładna uczennica, wyprostowana, z rękami skromnie złożonymi na kolanach.

W oczach dziewczynki, w linii podbródka i sposobie, w jaki pochylała głowę, Ty ujrzał odbicie swojego brata. Dostrzegł też pewne podobieństwo do matki, ojca i po trosze do niego. Zastanawiał się, co zobaczyłby w niej stary Barrancas, i ta myśl go zaintrygowała. Czy kształt jej ust przypominałby don Antonio Marguaritę? Czy arystokratyczne zachowanie dziecka przywiodłoby mu na pamięć żonę, którą pochował, a może nawet i siebie?

Ty naprężył mięśnie ramion, starając się wygodniej oprzeć plecami o twardą ławkę. Wokół niego unosiła się gęsta chmura dymu - to siedzący z tyłu pasażer okazał się namiętym palaczem cygar.

- Pociąg zatrzyma się w Yerde Flores mniej więcej za trzy godziny - mówił

cicho, patrząc na lenny. Ta zacisnęła usta. - Może powinniśmy o tym porozmawiać.

- Co to jest łaźnia turecka? - nie dawała za wygraną Graciela.

- Ludzie chodzą tam, żeby się wykąpać - wyjaśniła niecierpliwie lenny. Poruszyła się i niby mimochodem poprawiła szal pokazując kowbojowi pistolet zatknięty za pasem.

Nie byłby sobą, gdyby nie dostrzegł zarysu jej piersi, wyraźnie odznaczających się pod cienkim materiałem. Do licha, taki widok może prześladować mężczyznę do końca życia, pomyślał.

- Moim zdaniem, kuzyni zamierzają sprawdzić każdy pociąg jadący na północ

- rzekł.

Gdy ujrzał ją po raz pierwszy, uznał, że jest atrakcyjna, choć w dość nietypowy, surowy sposób. Teraz tamto wrażenie wydało mu się krzywdzące - to niemożliwe, by mógł przegapić jej urodę. Lenny miała pełne i jędrne usta, a rdzawe brwi okalały niebieskie jak letnie niebo i przysłonięte gęstymi rzęsami oczy. Twarz i szyja były opalone, ale nie wydawało się to już takie niezwykle; złocistoróżowa karnacja podkreślała tylko jej witalność i niepokorny charakter.

Chociaż zdążył się przyzwyczaić do krótko ściętych włosów, wyobrażał sobie, że są długie i opadają na ramiona jedwabną, płomienną falą.

- Sanders? - Zbeształa go wzrokiem. - Do diabła, co się z tobą dzieje, słuchasz mnie czy nie?

- Powiedziałaś "do diabła". - Graciela trąciła ją łokciem.

- Przepraszam. - Lenny przewróciła oczami, po czym zmrużyła je ze złością. - O czym ty w ogóle myślisz?

W jej głosie było tyle oskarżenia, że Ty omal nie parsknął śmiechem. Nagły rumieniec na policzkach utwierdził go w przekonaniu, że odgadła jego myśli.

- Potrzebujemy planu - odparł, nie odrywając wzroku od jej ust. Lenny mimowolnie zakryła je dłonią. Ale ani ostre słowa, ani gniewne spojrzenie nie zdołały przesłonić poczucia zagubienia, jakie malowało się w jej oczach.

I wtedy zrozumiał, dlaczego nie posunął się dalej zeszłej nocy.

Nie chciał jej wprawiać w zakłopotanie, gdy pojawił, jaka jest wrażliwa i bezbronna.

Kiedy zostawiła go na pustyni związanego z nosem przy ziemi, poprzysiął

sobie, że odkryje jej słabe punkty i okrutnie się zemści.

Cóż, szybko je odnalazł i udowodnił, że potrafi pokonać Lenny za pomocą miłych słówek i odrobiny czułości. Zaskoczyło go odkrycie, że czyni to niechętnie. Chciał, by mu uległa z własnej woli i w pełni świadomie, a nie z ignorancji czy braku doświadczenia.

- Doprowadzasz mnie do szaleństwa - powiedział cicho. Wciąż się jej przyglądał. Wpadające przez brudne okno ostre słońce sprawiało, że oczy Lenny stały się niemal przezroczyście. Cienka warstwa potu niczym rosa pokryła zarumienioną twarz. Ciągle go zaskakiwała. Iak bardzo potrafiła się zmieniać, wyglądała inaczej z dnia na dzień, z minuty na minutę.

- I ja też przez nią zwariuję - wtrąciła pośpiesznie Graciela, a w jej oczach pojawił się wyraz zrozumienia.

Zaskoczony Ty spojrzał na dziewczynkę, uniósł brwi, po czym przeniósł wzrok z powrotem na Jenny.

Tak mocno ścisnęła dłonie, że zbieleły jej kostki palców.

- Trzeba wreszcie dać spokój ... błahostkom i ułożyć jakiś plan

- rzekła przez zaciśnięte zęby.

- Naprawdę potrafisz przestać o tym myśleć? - zapytał Ty.

Jemu się to nie udało.

- O czym wy właściwie mówicie? - zaniepokoiła się Graciela.

Patrzyła po kolei na każde z nich.

- To nic ważnego - rzuciła gniewnie Jenny. Policzki jej pałały. Ty zaśmiał się cicho. Przewycięży jej kruchą bezradność i zmieszanie kolejnymi pocałunkami. Podejrzywał, że przyjdzie mu tego żałować, ale nauczy ją, kto trzyma wodze w odwiecznej grze' między kobietą a mężczyzną. Im lepiej Jenny pozna swoją moc, tym słodsza będzie jej kapitulacja.

Słońce stało w zenicie, gdy pociąg wjeżdżał na stację w Verde Flores.

Surowy, pustynny krajobraz złagodniał za sprawą rzeki, która przepływała przez miasteczko. Wzdłuż jej brzegów rosły i drzewa i gęste kępy krzewów.

Godzinę wcześniej, zgodnie z ustalonym planem, zamienili się miejscami z rodziną siedzącą w końcu wagonu. Chodziło o to, by nie zobaczono Gracieli w oknie od strony stacji.

Gdy pociąg się zatrzymał, Ty spojrzał porozumiewawczo na Jenny; wyszedł

na pomost między wagonami i zerknął w stronę poczekalni. Wysiadających pasażerów obstąpili witający, inni zaś wstali i zbierając bagaże szykowali się do podróży. Ty wychylił się - ! maksymalnie i spojrzał wzdłuż wagonów, a potem z zasępioną ,

miną wrócił na miejsce obok Jenny. //- _."~

- Trzech mężczyzn - powiedział cicho. - Jeden stoi na pomoście, drugi wszedł do wagonu tuż za lokomotywą, trzeci z~. sprawdza tył pociągu.

\

- Przejdą przez cały skład, aż się spotkają. - Jenny westchnęła.

- Najprawdopodobniej . - Ty dotknął ramienia Gracieli i spojrzął w Jej wielkie, przestraszone oczy.
- Pamiętasz, omawialiśmy to. - Dziewczynka pokiwała w skupieniu głową. - Jeśli któremuś z nich uda się nas minąć i odnaleźć ciebie, uciekaj na peron i rób tyle hałasu, ile zdołasz. Zobaczymy cię albo usłyszymy.

W przeciwnym wypadku zostań na miejscu i nie wąż się ruszać.

GdyTy skończył mówić, Jenny położyła rękę na ramieniu małej. -- Niech ci przypadkiem nie przyjdzie do głowy ponownie zaufać kuzynom. Chyba nie łudzisz się, że cię zawiozą do ciotki Tete. Wiesz, czego chcą. - Graciela zagryzła wargę i pokiwała głową. - Powiedz na głos.

- Pieniędzy - szepnęło dziecko. - Chcą mnie skrzywdzić.

- Zgadza się - stwierdziła stanowczo Jenny. - Gdyby naszła cię chętką, żeby do nich dołączyć, przypomnij sobie hasło "węże". - Pochyliła się i spojrzała Gracieli prosto w oczy. - Wierzymy, że nie uciekniesz. Powiedz, że tego nie zrobisz.

- Nie ucieknę.

- Dałaś słowo.

- Już dobrze, ona to rozumie. - Ty dotknął ramienia Jenny.

- Marnujemy tylko czas. - Wyprostowała się i ujrzał, jak ściąga twarz w skupieniu, koncentrując myśli na czekającym ich zadaniu. - Idź

naprzód, ja zajmę się tyłem pociągu.

Ty stracił kolejną minutę, gdy zapatrzył się w jej niebieskie oczy. Słomkowy kapelusz i spódnica stale mu przypominały, że jest kobietą. Wydało mu się szaleństwem posyłać ją do walki z uzbrojonymi zbirami.

Zreflektował się nieco, gdy pomyślał o jej umiejętnościach; niejeden mężczyzna nie potrafiłby rozdzielać ciosów tak jak ona. Mimo wszystko nie uspokoiło to jego sumienia.

- Co z twoją ręką? - zapytał.

- Jest jak nowa. Ruszaj już. - Zerknęła po raz ostatni na Gracielę, po czym zgrabnie się odwróciła i zamiatając spódnicą poszła w stronę przedniego wyjścia. Nie spojrzała więcej za siebie.

Ty z marsową miną patrzył za odchodzącą. Czułby się lepiej, gdyby miała na sobie spodnie i bezkształne, obszerne ponczo.

- Nie martw się - powiedziała Graciela spokojnym głosem bez śladu zwątpienia. - Jenny jest silna i bardzo odważna, poradzi sobie. - Masz rację. -

Niepokoilo go, że zostawia dziewczynkę samą.

- Nie ruszaj się stąd.

Ale ona zrobiła po swojemu. Zanim Ty opuścił wagon, zdążyła już zmienić miejsce, przysiadając się do zajmującej dwie ławki rodziny Meksykanów.

Kowboj pokiwał z uznaniem głową; mądra z niej osóbką.

Szybko przemierzył następny zatłoczony wagon, a potem kolejny.

Kuzyni okazali się w swych poszukiwaniach niezwykle skrupulatni, nie pomijali niczego. Mężczyzna, którego spostrzegł na końcu składu, przetrząsał

jako pierwszy wagon ze zwierzętami. Gdy Ty upewnił się, że Barrancas jeszcze stamtąd nie wyszedł, zeskoczył na ziemię i schylony pobiegł w tamtą stronę. Zastał drzwi otwarte, więc błyskawicznie wciągnął się do środka i omal nie zderzył z mężczyzną, który akurat gotował się do wyjścia.

Ty postanowił nie dać sukinsynowi żadnej szansy. Zerwał się na równe nogi i posłał obcemu silny prawy sierpowy, aż ten poszybował w stronę koni i mułów.

Jednak nie docenił siły przeciwnika, bo gdy chciał go dopaść i ostatecznie unieszkodliwić, nadział się na potężną pięść Meksykanina. Okładali się nawzajem, tarzając po całej podłodze między kopytami spłoszonych zwierząt.

Tymczasem Jenny minęła pierwszy wagon, weszła na chybotliwy pomost i zajrzała przez okno w drzwiach do następnego. Natychmiast schyliła się i przykleiła do ściany, by zniknąć z pola widzenia, bo właśnie zobaczyła Chulo Barrancasa. Szedł powoli w jej stronę i przyglądał się uważnie każdej mijanej twarzy.

Wychyliła się z pomostu i starała ocenić, ile czasu pozostało jeszcze do odjazdu. Zauważyła, że kierownik pociągu wraz z konduktorem stoją już na stopniach wagonu, ale wkrótce widok przesłoniły jej kłęby pary. Powietrze przeszył przeraźliwy odgłos gwizdka i wagony szarpnęły do przodu.

Pociąg stopniowo nabierał szybkości i Jenny dla odzyskania równowagi

złapała się metalowego uchwyty. Wyciągnęła zza pasa pistolet i zamarła w oczekiwaniu, aż Chulo otworzy drzwi. Czekala, aż przejdzie koło niej, a gdy wyciągnął rękę chcąc przedostać się do kolejnego wagonu, wbiła mu w plecy lufę pistoletu.

Broń trzymał przy nodze, więc z łatwością wyjęła mu ją z ręki i uśmiechnęła się, słysząc, jak szpetnie zaklął.

- Oprzyj ręce o drzwi - rozkazała i odrzuciła daleko na bok jego pistolet.

Wyjechali już z Yerde Flores i pociąg toczył się coraz szybciej.

Na pomoście hulał gorący wiatr, który zrywał jej z głowy kapelusz i owijał

spódnicę wokół kolan. Jenny poczekała, aż osiągną maksymalną prędkość, puszczając mimo uszu przekleństwa i groźby miotane przez Chulo. Wciąż wypluwał z siebie coraz to nowe obelgi i objaśniał, co zrobią Barrancasowie, gdy ją dopadną. Groził, że nie ukradnie ich małej kuzynki, bo ją zabiją, a przedtem z przyjemnością wezmą w obroty ... Jenny spodobało się to ostatnie określenie, jako że było wyjątkowo pojemne i wieloznaczne.

- W porządku, parszywa świnió, pokażę ci, co zrobimy. - Kobieta trzymała lufę pistoletu mocno wciśniętą w grube cielsko mężczyzny. - Cofniesz się powoli o krok, odwrócisz i zeskoczysz z pomostu. Jeśli się zawahasz chociaż sekundę, zastrzelę cię jak psa. - Cofnęła się ustępując mu miejsca, żeby nie mógł jej dosięgnąć. - Ruszaj się, skurwysynu, skacz!

Wiatr targał jej włosy i spódnicę, pomost kołysał się na wszystkie strony, Chulo zaś okazał się podstępny jak żmija i szybszy, niż przypuszczała.

Odwrócił się szczerząc zęby i Jenny nie zauważyła noża w jego dłoni, dopóki nie poczuła, jak zimna stal zagłębia się w jej brzuchu. Zakrwawione ostrze błysnęło w słońcu.

Zatoczyła się w stronę drzwi, chcąc złapać równowagę, lecz się potknęła i upadła na skraj platformy. W ostatnim momencie zdążyła jeszcze strzelić.

Chulo zgiął się wpół i chwycił za brzuch. Jenny nie widziała, żeby spadał z pomostu, zresztą nie miała czasu na rozglądanie się. Ze wszystkich sił starała się za coś złapać i pil nować, by brzeg spódnicy nie dostał się w sprzęg wagonów.

Dopiero gdy znalazła się w bezpiecznym miejscu, obejrzała się za siebie.

Pomost był pusty, więc sukinsyn niechybnie wypadł z pociągu.

Dopiero wtedy odważyła się zająć sobą. Patrzyła ze złością na rozszerzającą się na bluzce krwawą plamę. Psiakrew. Rana jeszcze nie bolała, ale zapewne już niebawem da o sobie znać. Zaklęła pod posem i wcisnęła pistolet za pas. Potem przyłożyła dłoń do nasiąkniętej krwią bluzki i okryła się szalem, żeby ukryć krwawiące miejsce przed wścibskim wzrokiem podróżnych. Otworzyła ciężkie drzwi i ruszyła w drogę powrotną. Mijała z wolna kolejne wagony, aż wreszcie dotarła na miejsce.

Ty wstał i ze srogą miną ruszył w jej stronę. Przeciskał się między zatłoczonymi ławkami i odgarniał nogą płaczące się wszędzie kurczaki.

- Dlaczego zajęło ci to tyle czasu? - Chwycił ją za ramię.

- Zrób, co możesz, by przesadzić dalej siedzących koło nas ludzi. Potrzebujemy trochę odosobnienia.

- Chryste! - jęknął, gdy uchyliła szala i pokazała mu zakrwawione miejsce.

Spojrzał jej w oczy. - Czy to poważne?

- Jeszcze nie wiem - odparła przez zaciśnięte zęby. Zaczynało ją boleć. - Na mój gust obejdziesz się bez szycia.

- Poproszę tamtą rodzinę, żeby się przesiedli.

Przekonał Meksykanów szybciej, niż mogła się spodziewać - za sprawą garści pesos zmienił ich ponury opór w radosną zgodę. Jenny przycisnęła dłoń do rany, czując ciekącą przez palce krew. Szła przed siebie nierównym krokiem mając nadzieję, że to tylko wynik kołysania się pociągu. Gdy dotarła do końca wagonu, jej czoło pokrywały grube krople potu, a twarz przybrała kolor popiołu.

Usiadła ciężko na ławce i zamknęła oczy.

- Jenny? - Graciela wpatrywała się w nią z przerażeniem.

- To ten sukinsyn, twój kuzyn Chulo tak mnie urządził.

Dziewczynka pochyliła się i uniosła koniec szala. Na widok rany wciągnęła z sykiem powietrze i zakryła usta dłonią. Zaraz też odwróciła się plecami, przyłożyła jedną rękę do brzucha, a drugiej nie odrywała od twarzy.

Ty usiadł naprzeciwko i nie spuszczać wzroku z pozostałych pasażerów pilnował, żeby nikt nie zakłócił im spokoju.

- Trzeba obejrzyć ranę - mruknął.

Jenny przełknęła ślinę, wyjęła pistolet z pasa i podała go kowbojowi. Potem ze stłumionym jękiem wyciągnęła kołnierz ze spódnicy i uniosła go do piersi.

- Powiedz szczerze, co o tym myślisz? - zapytała szeptem, wpatrując się w Ty'a.

- Rana ma kilkanaście centymetrów długości. Po brzegach wygląda niegroźnie, ale w środku jest głęboka. Masz rację, należy to zszyć. - Ich wzrok się spotkał. Ty sięgnął pod ławkę po juki. - Masz jakiś pomysł?

- Kiedy dojedziemy do Chihuahua?

- Nawet przy założeniu minimalnej ilości przystanków, naj-wcześniej jutro w południe. - Ty wzruszył ramionami.

Oboje wiedzieli, że tak długo nie mogli czekać. Jenny musiała zostać opatrzona teraz.

- Dobrze. - Zebrała myśli, odetchnęła głęboko i doszła do wniosku, że zniesie ból. Nie miała zresztą wielkiego wyboru. - Znajdziesz w swoich jukach jakiś alkohol, kowboju? Z chęcią napiłabym się czegoś mocniejszego.

Ty wyjął butelkę tequili, wyciągnął zębami korek i podał ją Jenny. - Dziękuję -

mruknęła i pociągnęła potężny łyk. Poczwała w przelyku kulę ognia sunącą w stronę żołądka. - W porządku. A teraz znajdź koszulę nocną Gracieli, to pewnie najbardziej czysta rzecz, jaką mamy. Podrzyj ją w paski na bandaż, będziemy też potrzebować czegoś do wycierania krwi.

- Zapomniałam poprosić Pana Boga, żeby cię już nie karał.

- Graciela klęczała na ławce, a po policzkach płynęły jej łzy.

- Nie urządził mnie tak Pan Bóg, ale ta gruba świnia, twój kuzyn - wyrzuciła z siebie Jenny, a w jej oczach błysnęło zadowolenie. -

Obiecuję ci, już więcej tego nie zrobi.

- Tak mi przykro, Jenny. - Ręce Gracieli drżały, gdy wyciągała je i cofała, bojąc się jej dotknąć. - Przepraszam.

- Nie przejmuj się, mała, to nie twoja wina. - Tequila nieco jej pomogła, więc napiła się jeszcze trochę. Obserwowała, jak Ty stara się porwać na kawałki koszulę Gracieli. - Co się stało z drugim sukinsynem?

- Jego ścierwo zostało na pustyni, gdzieś po drodze do Verde Flores, i czeka, aż rozszarpia je sępy.

- To dobrze. - Jenny wzięła od niego kawałek materiału, złożyła kilka razy i nasączyła wódką. - Potrzebuję twojej pomocy - zwróciła się do Gracieli. -

Przytrzymaj mi bluzkę w górze, tak żeby nie zawadzała.

Wysokie oparcie ławki skutecznie zasłaniało ich przed ciekawością obcych.

Gdyby nawet ktoś zwrócił na nich uwagę, zobaczyłby tylko czubek głowy Jenny oraz Ty'a palącego cygaro i przyglądającego się swoim towarzyszkom.

Jenny wzięła głęboki wdech, powoli wypuściła z płuc powietrze i przyłożyła do rany nasączony tequilą materiał. Poczwała, jak w mózg wbijają się jej tysiące ostrych igieł, i żeby nie krzyknąć, westchnęła gwałtownie i zamrugła przez łzy.

- Jezusie! Przepraszam, mała, ale ... O mój Boże!

Dławiąc łkanie Graciela osunęła się na ławce i skuliła w kłębek, a głowę przykryła szalem. Jej małym ciałem wstrząsały dreszcze.

Jenny tymczasem zebrała wszystkie siły i trzymając tampon poniżej skaleczenia polała wódkę bezpośrednio na ranę. Ręce się jej trzęsły, a zęby zaciskała tak mocno, że słyszała, jak o siebie zgrzytają. - Boże przenajświętszy, ależ to boli -

jęknęła i starała się złapać oddech. - A co z trzecim kuzynem? Wsiadł do pociągu?

- Nie wiem - odparł Ty gburowato.

Jenny skończyła obmywać ranę, po czym oparła się ciężko o ławkę, przymknęła oczy i napiła się znowu tequili. Dyszała jak po wyczerpującym biegu. Gdy otworzyła oczy, ujrzała Ty'ą; wpatrywał się w nią z trudnym do określenia wyrazem twarzy.

- To sto razy gorsze od samego postrzału - odezwała się, sprawdzając siłę i pewność swego głosu. Trochę drżał, ale panowała nad nim lepiej, niż mogła się tego spodziewać.

Kowboj podał jej zapalone cygaro, a Jenny zaciągnęła się głęboko i wypuściła z ulgą kłęby dymu. Ty odczekał pełną minutę.

- Widzę jeden istotny kłopot - rzekł niskim głosem, nie spuszczając z niej wzroku. - Żeby cię zszyć, musiałbym przed tobą uklęknąć. - Oboje wiedzieli doskonale, że to właśnie może zaintrygować podróżnych. - A nie możesz przecież zrobić tego sama ...

Jenny pokiwała potakująco głową i położyła rękę na trzęsącym się ramieniu Gracieli.

- Biedne dziecko. Maleńka, przestań już płakać i usiądź. Musimy porozmawiać - powiedziała.

- Czy ty umrzesz? - Graciela oderwała szal od zapłakanej twarzyczki i popatrzyła na swą opiekunkę.

- Ależ skąd, do ... - Jenny ugryzła się w język. - Muszę powiedzieć, że jestem teraz bardzo ... niezadowolona i jak nigdy przedtem potrzebuję twojej pomocy.

- Skoncentrowała się na swoich słowach. Musi uważać jak diabli, ten cholerny dzieciak zapamięta każdą minutę z mijających wydarzeń, wbije sobie w głowę ich wszystkie słowa i uczynki. Chryste, jak cholernie trudno czuć się odpowiedzialnym za małą dziewczynkę, a co więcej, świecić jej przykładem ...

- Potrzebujesz mojej pomocy? - powtórzyła zaskoczona Graciela.

Wyprostowała się, spojrzała na Ty'a, a później na Jenny.

- Kiedyś mówiłaś, że potrafisz szyc, pamiętasz? - Kobieta przesunęła językiem po ustach. Rozmowa z dzieckiem odsuwała nieco myśl o bólu.

Graciela skwapliwie kiwnęła głową. Miała poważną minę, choć jeszcze nic nie rozumiała.

- Gracielo ... chcę, żebyś zszyła brzegi mojej rany. - Jenny wpatrywała się w oczy dziewczynki. - Potrafisz to zrobić?

- Ale ja ... ja nie mogę. - Na twarzy Gracieli malowało się przerażenie, a z ust wydobywały się bełkotliwe dźwięki.

- Jenny. - Ty pochylił się nad nimi z wyraźnym niezadowoleniem.

- Czy widzisz tu innych chętnych? - warknęła i na nowo zwróciła się do bladej jak ściana Gracieli. - Może jednak spróbujesz? To łatwe, jak szycie materiału.

Trzeba tylko połączyć ze sobą brzegi rany. Sama bym to zrobiła, ale nie widzę dobrze skaleczenia. - Nie sprecyzowała, że widok zasłaniają jej piersi.

- Ja nie mogę, nie mogę - powtarzała w kółko Graciela, kręcąc bez opamiętania głową. Po policzkach płynęły jej łzy i zaczęło kapać z nosa.

- Wytrzym ją, dobrze? - rzuciła Jenny ze wstrętem. Ponownie łknęła tequili.

- Na Boga, Jenny. Zbyt dużo wymagasz od małej dziewczynki.

Ja to zrobię - mruknął Ty i zaczął szukać w jukach przyrządów do operacji.

- W porządku - odparła kobieta, piorunując go wzrokiem.

- Proszę bardzo, daj jej pistolet i niech siedzi na czatach. Tylko przedtem nie zapomnij wyjaśnić, żeby strzelała do trzeciego kuzyna, w razie gdyby się pojawił w naszym wagonie. - Kiedy spostrzegła zmieszanie na jego twarzy, wiedziała, że dopięła swego.

- Jeśli mężczyzna z peronu wsiadł do pociągu, to powinniśmy byli go już zobaczyć, nie sądzisz? - protestował jeszcze słabo Ty. - Możliwe. Ale niewykluczone, że gra na zwłokę i czeka z atakiem do następnej stacji.

Jenny przekonała go ostatecznie.

- Przykro mi, kochanie. -:- Ty zwrócił się do bratanicy. - Nie myśl, że mi się to podoba, ale wygląda' na to, że naprawdę będziesz musiała nam pomóc.

- Nie mogę! Nie mogę! - Graciela szlochała z dłońmi przyciśniętymi do policzków i wciąż kręciła głową.

- Posłuchaj - mówiła cicho Jenny. Wzięła delikatnie jej dłoń, zostawiając na niej krwawy ślad. - Jeżeli nie zaszyjesz mi tej rany, nie przestanie krwawić, a to znaczy, że nie będzie się mogła zagoić. - Patrzyła w szeroko otwarte i załzawione oczy dziecka. - Jeśli nie zdołamy zatrzymać krwawienia, znaję się w prawdziwych tarapatach. Rozumiesz, co mówię?

- Nie potrafię wbić igły w ... - Nie dokończyła, bo przeszył ją dreszcz, a twarz stała się biała jak serwetka.

- Oczywiście że potrafisz. Skóra ludzka jest twardsza niż materiał, to jak szycie zamszu. Ale bez obaw, zrobisz to, musisz tylko trochę mocniej wbijać igłę.

- Ale to będzie cię boleć. - Graciela dygocząc oparła głowę na ramieniu Jenny.

- Oczywiście. Będzie bolało prawdziwie kure ... jak sto diabłów.

Postaram się nie krzyczeć, jeśli i ty nie będziesz. - Nie dam rady, pociągiem tak strasznie rzuca!

Jenny pogłaskała Gracielę po głowie. Przez chwilę zastanawiała się, co się stało z kapeluszem dziewczynki.

- Ufam, że zrobisz to najlepiej, jak potrafisz.

- Wierzysz mi? - szepnęła Graciela i spojrzała z przejęciem w jej oczy.

- Powierzam ci moje życie, mała, to mówi samo za siebie.

- Jenny odwzajemniła bez wahania jej spojrzenie. ~ I tak powinno być. Bo widzisz, uważam, że jesteś mi to winna. Opiekowałam się tobą, gdy byłaś chora, a teraz twoja kolej. Inna sprawa, że masz ułatwione zadanie. Ja w każdej chwili wolałabym zrobić kilka szwów niż sprzątać po kimś rzygowiny. Brrr!

Graciela wytarła rękawem oczy i nos; w normalnych warunkach nigdy by tego nie zrobiła. Wreszcie zerknęła na przybory do szycia w rękach Ty' a.

- Czy mogę też spróbować tequili?

- Zwariowałaś? - Jenny skrzywiła się. - Jeśli zaczniesz mi tu pić, to Bóg mi świadkiem, że cię spiorę.

- Przymknęła oczy, kilka razy głęboko nabrała powietrza, po czym ponagliła kowboja: - Daj jej igłę.

- Zwróciła się do Gracieli. - Wybierz najmocniejszą nitkę i złóż ją we dwoje. I pamiętaj, zawiąż na supeł każdy szew. Gracielo, jeszcze jedno.

- Co? - spytała dziewczynka. Przybory do szycia trzęsły się w jej małych palcach.

- Gdybym zemdląca, w żadnym razie nie przerywaj. Przeciwnie, szyj wtedy jak najszybciej, rozumiesz?

Ty miotał pod nosem serię przekleństw, po czym stanął w przejściu i wypatrywał z gniewem śmiazków, którzy odważyliby się do nich zbliżyć. Jenny po raz ostatni spojrzała na niego, po czym dała znać Gracieli, żeby przed nią uklękła.

Dziewczynka musiała przyzwyczaić się do kołysania pociągu, zanim udało się jej nawlec igłę. Ręce małej tak bardzo się trzęsły, że napaśtek kilka razy spadał

jej z palca. Jenny pociągnęła spory łyk tequili i pochyliła się w stronę dziecka.

- Przeszliśmy wspólnie już niejedno - rzekła cicho. - To, co robisz teraz, to tylko kolejne zadanie, w dodatku wcale nie najtrudniejsze.

- Boli cię? - odezwała się drżącym szeptem dziewczynka.

- Okropnie. - Ta pieprzona rana boli kurewsko, już raz chciała to powiedzieć, ale powstrzymała swój niewyparzony język. Mogła być z siebie dumna.

Margarito, ufam, że spoglądasz na nas z wysokości i doceniasz wszystkie moje cholerne wysiłki. Gdyby mi przyszło wybierać najlepszy czas na przeklinanie, to nadszedł właśnie teraz. Mam nadzieję, że zauważyłaś, jakim świecę przykładem?

- Zacznieś płakać? - dopytywała się Graciela.

- Być może. To marny widok i nie chciałabym, żebyś na to patrzyła, więc lepiej mi się nie przyglądaj. - Odsłoniła ranę i usłyszała westchnienie Gracieli. - Gdy skończysz, polej wszystko tequilą. - Zamknęła oczy, podniosła wysoko bluzkę, by nie przeszkadzała, i oparła się o ławkę, starając się oddychać miarowo i spokojnie.

Pierwsze ukłucie przypominało raczej dotknięcie - okazało się wystarczająco mocne, by zwrócić jej uwagę, ale zbyt słabe, żeby przebić skórę. Podobnie było za drugim razem.

- Na Boga, zacznieś szyc, czy zamierzasz mnie tylko torturować? - Jenny z trudem rozchyliła szczęki.
- Pospiesz się i skończ wreszcie tę robotę.

Przy czwartej próbie igła przebiła skórę i Jenny zemdląła.

14 ~

Ty zrobił z juków zgrabny podglówek dla Jenny, a gdy skuliła się na ławce, okrył ją szalem. Potem ukląkł i bacznie się jej przyglądał w nadziei, że nie będzie gorączkowała.

- Czy bandaż nie jest zbyt ciasny?

- Wydaje mi się, że mam na sobie gorset - jęknęła Jenny.

- Chcesz się napić tequili? - Odgarnął jej z czoła mokry od potu kosmyk. - Jeśli jesteś głodna, mamy jeszcze tortille. - Pokręciła przecząco głową. - W porządku, odpocznij sobie. Sen jest najlepszym lekarstwem.

Ty oparł się o ławkę obok Gracieli i dla zabicia czasu zapalił kolejne cygaro.

Zaczynało już zmierzchać i kaktusy na pustyni rzucały na ziemię długie cienie.

Gdyby jechał na koniu, z pewnością zauważyłby, że teren staje się górzysty i stromy, lecz ruch i kołysanie pociągu zniekształcały perspektywę widzenia.

Kończył cygaro i gotując się w środku z gniewu, patrzył na bladą twarz Jenny, na jej długie rzęsy, opadające, niczym rdzawe półksiężycy na policzki, i na jej rozchylone lekko usta.

To powinno przydarzyć się jemu. Do diabła, przecież już raz ją postrzelono.

Jeśli ktoś miał zostać ranny, nadeszła jego kolej. Zmarszczył czoło i spoglądał

ponad głową Gracieli przez okno.

Chociaż Margarita szukała opiekunki dla córki w pośpiechu, jej wybór okazał

się nader trafny. Chyba intuicyjnie wyczuła nieustraszoną siłę woli tej dziewczyny, jej przebojowość i determinację, z jaką dotrzymywała słowa. Do tej pory Jenny zaliczyła już podbite oko, rozciętą wargę, postrzał w przedramię i rozplątany nożem brzuch, mimo że jeszcze nie opuścili Meksyku.

- Coś mówiłaś? - Ty usłyszał nagle monotony szept Gracieli.

- Modłę się - odparła stłumionym głosem dziewczynka. - Chcę przekonać Boga, że tak naprawdę nie życzyłam Jenny śmierci ani cierpień.

- Posłuchaj. - Ty objął ją ramieniem i przytulił do siebie. - To, co się przytrafiło Jenny, nie jest twoją winą.

- Ale prosiłam Boga, by ją ukarał. - Graciela chlipnęła z twarzą wtuloną w jego marynarkę.

Zdał sobie sprawę, że rozmowa zaczyna go przerastać. Zaciągał się cygarem, szukając odpowiednich słów, choć słowa wydawały się tak samo ulotne, jak wydmuchiwany z ust dym. Nie był pewien, czy potrafi tak sformułować myśli, żeby przekonać i uspokoić sześciolatnie dziecko. Gdyby go ktoś zapytał, odparłby, iż nie jest człowiekiem tradycyjnie religijnym. Dla niego Bóg był

iskrą, tkwiącą w każdej żywej istocie, genialnym artystą malującym morską bryzę i chmurami w świetle zachodzącego słońca, rzeźbiarzem tworzącym w żywej glinie, ziemskiej skorupie i odległych gwiazdach. Z tego punktu widzenia wierzył w Boga i uważał go za jedyne stwórcę.

Nigdy nie przypuszczał, że przyjdzie mu tłumaczyć dziecku istotę i zamysły Boga. Zastanawiał się, czy Robert ma choćby mgliste pojęcie o tym, co go czeka i jak bardzo rodzicielstwo odmieni jego życie.

- Cóż, Bóg nie słucha niesprawiedliwych żądań. Chciałaś ukarać Jenny za śmierć mamy, i to było złe. Więc Bóg zignorował tę część twoich modlitw. - Ty miał nadzieję, że takie wytłumaczenie załatwi sprawę, nie docenił jednak dociekliwości dziewczynki.

- Nie rozumiem, przecież została ukarana, postrzelono ją i ugodzono nożem.

- Wiem - brnął dalej. - Skoro już dyskutujemy na ten temat, załóżmy przez chwilę, że Bóg ukarał Jenny, bo go o to poprosiłaś.

Ale powiedziałaś mu później, że zmieniłaś zdanie, bo tak się chyba stało, prawda?

Graciela poważnie pokiwała głową, cały czas wpatrzona w niego jak w obraz.

- No i masz rozwiązanie zagadki. Bóg odwrócił bieg spraw pozwalając, abyś to ty ocaliła jej życie.

- Uratowałam Jenny życie? - Graciela uniosła brwi ze zdziwieniem.

- Wykrwawiłaby się na śmierć, gdybyś jej nie pomogła. Dziewczynka odprężyła się i przytuliła do

wujka. W tym momencie przypomniał sobie psiaka, który przytulał się do niego z podobną ufnością. Po kilku minutach ciszy Graciela podniosła głowę.

- Wujku Ty?

- Słucham. - Kowboj popatrzył na dziewczynkę.

- Niekiedy lubię Jenny - szepnęła.

- Ja też. - Obiekt i9h rozmowy lekko pochrapywał i od czasu do czasu wydawał z siebie ciche jęki. Ty uśmiechnął się, dochodząc do wniosku, że mężczyzna, który się ugania za Jenny Jones, przedkłada rzeczywistość nad fantazje.

- Kiedy zaczynam ją lubić, jest mi źle z powodu mojej mamy. Tym jednym krótkim stwierdzeniem rzuciła go ponownie na głęboką wodę. Poklepał ją niezgrabnie po ramieniu, chcąc złagodzić swe słowa.

- Kochanie, przecież wiesz, że Jenny nie zabiła twojej mamy.

Jesteś tego świadoma. Tłumaczyła ci to kiedyś mama, potem Jenny i ja. Musisz przestać ją obwiniać, bo to dla niej ogromnie niesprawiedliwe. - Boże, znoWu doprowadził bratanicę do płaczu. - Uwierz mi, nic nie stoi na przeszkodzie, żebyś ją lubiła. - Ty zdjął chustkę z szyi i wręczył Gracieli. - Wytrzyj oczy i nos. To dobrze, że ją lubisz, ponieważ ... - Myśli skakały mu po głowie jak krople wody na rozgrzanej fajerce. Gorączkowo szukał jakiegoś sensownego wytłumaczenia. - Teraz ona należy do ciebie, odpowiadasz za nią. - A sam tłumaczył Jenny, by nie wymagała zbyt wiele od dziecka. Cholera.

- CO? - Dziewczynka przyłożyła materiał do oczu.

Jak się powiedziało "a", trzeba powiedzieć i "b". Ty wziął głęboki oddech.

- Niedaleko ranczo twojego taty rozpościera się wielkie miasto zwane San Francisco. W mieście tym żyje wielu Chińczyków.

- Kto to są Chińczycy?

- Ludzie, którzy przyjechali do nas z egzotycznego kraju po drugiej stronie morza, z Chin. To zresztą nieważne. Otóż Chińczycy wierzą, że jeśli uratujesz komuś życie, wtedy do końca twoich dni jesteś za taką osobą odpowiedzialna, zupełnie tak, jakbyś ją miała na własność. - Właściwie nie miał

pewności, czy to faktycznie chińskie wierzenia, ale gdzieś o tym słyszał. -

Dlatego powtarzam: dobrze, że polubiłaś Jenny. To zupełnie naturalne, bo teraz ona należy do ciebie.

Dziewczynka skryła twarz w chustce i Ty mógłby przysiąc, że słyszy, jak rozmyśla. Gdy w końcu podniosła głowę, miała w oczach wyraz radosnego zaciekawienia.

- To znaczy, że należę do ciebie i Jenny, skoro uratowaliście mnie przed kuzynami i wężami?

- Chyba tak - przyznał z wahaniem, bo w głębi ducha czuł się niezręcznie.

Sprawy niepotrzebnie się komplikują i szczerze żałował, że w ogóle jej o tym wspomniał. Automatycznie połączyła w myślach całą trójkę, ale tym będzie się martwił później.

Na następnej stacji Ty kupił na kolację ostry gulasz i bochenek świeżego, ciemnego chleba, a później uzupełnił wodę w manierkach. Kiedy pociąg znowu ruszył, Graciela zmoczyła wodą chustkę i delikatnie wytarła pot z czoła Jenny.

Ranna przebudziła się, mruknęła coś niezrozumiale i znowu zapadła w sen. Ty obserwował z coraz większym podziwem, jak bratanica poprawia szal wokół

ramion Jenny, i doszedł do wniosku, że to Jenny miała rację, nie on.

Sześciolatek jest zdolny do tylu rzeczy, że nigdy by nie uwierzył.

- Opowiedz mi bajkę. - Graciela wtuliła się w niego, opierając mu głowę na piersi.

- Niestety, nie znam żadnych wymyślonych historyjek. - Uniósł brwi i odchrząknął.

- W takim razie opowiedz o czasach, kiedy obaj z tatą byliście małymi chłopcami.

- Nie będziesz chciała tego słuchać - próbował się wyłgać, ale dziewczynka nalegała i Ty, najpierw z ociąganiem, a potem z rosnącą przyjemnością wspominał, jak próbowali z Robertem ukraść najlepszego byka don Antonia Barrancasa, a rozdrażnione zwierzę ubodło go prosto w tyłek. - Nie mogłem potem siedzieć przez cały tydzień - opowiadał ze śmiechem. Potem mówił, jak mama zawsze piekła na zapas dodatkowe ciastka z wiśniami, bo wiedziała, że chłopcy skradną jej kilka, albo jak pewnego razu wymknęli się w nocy przez okno sypialni do stodoły, ale Cal ich nakrył i sprawił solidne lanie. Pewnie wspominałby tak do północy, lecz zamilkł zauważywszy, że dziewczynka usnęła.

Starając się jej nie zbudzić, ostrożnie zapalił cygaro i zapatrzył się w pustynny krajobraz za oknem. Graciela nie jest jego córką, tak jak Jenny nie jest jego kobietą. Ale czuł się wspaniale w roli opiekuna czuwającego nad ich bezpiecznym snem, tak jakby byli rodziną. Miał wrażenie, że każdego intruza rozszarpałby na kawałki.

Po raz pierwszy w życiu zaczynał pojmować, dlaczego mężczyzna zakłada rodzinę i wybiera życie pełne nie kończących się obowiązków i poczucia odpowiedzialności.

Jenny starała się usiąść, mrużąc oczy przed ostrymi promieniami wschodzącego słońca. Naprzeciw niej spała Graciela z głową na kolanach Ty'a.

Kowboj uważnie przyglądał się Jenny.

- Dzień dobry - powiedziała lekko zmieszana i okryła szalem zakrwawioną bluzkę. - Spałeś?

- Trochę. Jak się czujesz?

- Przyznam, że bywało lepiej. Ten cholerny pociąg tak trzęsie, że jeszcze moment, i rozleczę się na tysiąc kawałków. Dostanę łyk wody? - Gdy podawał jej manierkę, dotknęli się palcami. Jenny spojrzała na Ty'a, zmarszczyła czoło, zmoczyła bandaż i wytarła nim twarz i ręce.

Przez okna wagonu widziała połacie spalonej słońcem i popękanej ziemi.

Gdzeniegdzie stały też grupki wychudłego bydła. Zawsze ją ciekawiło, czym żywią się te biedne zwierzęta. Oblizwała wargi, napiła się wody i zamknęła manierkę.

- Już niedługo opuścimy obszar pustyni i zobaczymy pierwsze ranczo. -

Pochyliła się i obserwując w świetle poranka znajomy krajobraz, uśmiechnęła się, gdy dostrzegła na tle brązowych wzgórz strzeliste zielone kaktusy.

Przemierzyła trasę z El Paso do Chihuahua tyle razy, że znała ją niemal na pamięć.

- Musimy się tu zaszyć na kilka dni - oznajmił Ty cichym głosem, patrząc, jak Jenny czesze włosy. - Będiesz miała czas, by odzyskać siły i dojść do siebie.

Włożyła rękę pod szal i delikatnie przesunęła palcami po bandażu, który Ty z Gracielą owinęli jej wokół pasa. Nie potrafiła określić, czy od wczoraj ból choć trochę zelżał - okazało się, o dziwo, że jest czymś trudno zmierzalnym (ciężkim do zapamiętania).

- Już wkrótce pozostali przy życiu kuzyni niechybnie odkryją ciała pobratymców - zauważyła i oparła się o twardą ławkę. - Luis nadal tam jest i prędzej padnie trupem, niż przestanie nas szukać. - Na szczęście Chihuahua to miasto na tyle duże, że można się w nim ukrywać przez cały miesiąc i nie zostać zauważonym.

To prawda. Prawie dwustuletnie miasto wyrosło pośród pustyni jak oaza pełna pięknych domów, róż i gajów pomarańczowych. Przez ostatnie lata zniknęły obskurne baraki górników i wąskie uliczki z czasów kolonialnych. Teraz miasto mogło się pochwalić szerokimi, czystymi ulicami i pięciokilometrowym akweduktem. Między Teksasem a Chihuahua kwitł ożywiony handel, który niebagatelnie przyczynił się do wzrostu rangi miasta. W porównaniu z Chihuahua Durango było jedynie nędzną miejsciną.

- Kuzyni zamierzają śCigać nas aż do Rio Grande, prawda? - mruknęła Jenny przymykając oczy.

- Według mnie, najgorsze już za nami. Kiedy nabierzesz sił i będziesz w stanie podróżować, udamy się pociągiem do El Paso, tam przesiądziemy się na linię Southern Pacific i dojedziemy prosto do San Francisco. Następnie kupimy wóz i konie i po dwóch dniach będziemy popijać kawę w kuchni mojej mamy. -

Kowboj zamilkł na chwilę. - Jenny, nie musisz jechać do samego końca, równie dobrze możemy się pożegnać w El Paso.

Parsknęła śmiechem, po czym westchnęła głęboko i dotknęła bandaży.

- Dobrze wiesz, że nie opuszczę Gracieli. Nie powiem "do widzenia", zanim nie przekażę dziecka twojemu świętoszkowatemu braciszкови. Poza tym nie mam już nic do roboty w El Paso.

- Dobrze - odparł cicho. Patrzył na nią jasnym, intensywnym wzrokiem.

Dobrze? To jakaś zmiana. Pod pozorem wyglądania przez okno odwróciła twarz, lecz nie wytrzymała długo i rzuciła okiem na kowboja. Sam jego widok sprawił, że się zarumieniła. Ty siedział na ławce z szeroko rozstawionymi nogami, jedną ręką obejmował Gracielę, a drugą trzymał włożoną za pas. Był

nie ogolony, lecz kilkudniowy zarost tylko przydawał mu męskości - miała wrażenie, że wygląda bardziej niebezpiecznie niż zwykle. Poczowała ściskanie w żołądku, gdy przypomniała sobie dotyk jego ust. Boże, jak mogła o tym myśleć, kiedy była głodna, osłabiona i ranna?

Doszła do wniosku, że pocałunki Ty'a, pierwsze prawdziwe pocałunki w jej życiu, wyzwoliły w jej głowie zupełne szaleństwo. Cały zeszły dzień i teraz, zaraz po przebudzeniu, nie potrafiła myśleć o niczym innym. Wspomnienie dzikich, zmysłowych pieszczot w świetle księżyca niepodzielnie zawładnęło jej ciałem i umysłem. To zdumiewające, bo całe życie wyśmiewała romantyczne uniesienia i miłości innych. Ale to było kiedyś, dzisiaj przepełniała ją nowa, zupełnie inna, fascynująca wiedza.

Zdezorientowana, przebiegła językiem po krawędziach zębów.

Dostrzegła, że Ty patrząc na nią zaciska szczęki.

- Wytlumacz mi, dłużej już tego nie zniosę. Dlaczego powiedziałeś "dobrze", gdy stwierdziłam, że was nie opuszczę?

- Bo nie jestem jeszcze gotów, by pozwolić ci odejść - odparł niskim głosem.

Pożerał ją wzrokiem, przewiercał oczami jej twarz i szyję. - Mamy do załatwienia parę nie dokończonych spraw.

Ciałem Jenny wstrząsnął dreszcz lęklivego oczekiwania. Przygryzła wargę.

Starła się złapać oddech i pozbierać myśli.

Nagle uświadomiła sobie, że to się stanie - ona i Ty połączeni w jedno.

Nieważne, że w głębi serca wiedziała, iż seks nie oznacza nic innego, jak trzy minuty suchego bólu i rozczarowania. Nieważne, że śmiertelnie się boi zajścia w ciążę. Uniosła głowę, śmiało spojrzała mu w oczy i nagle serce zatrzepotało jej w piersi, przytłoczone poczuciem niewyobrażalnej pustki. Wiedziała, że Ty jest w stanie ją wypełnić i oboje zwariują, jeśli się to nie stanie. Ich wzajemne pożądanie przypominało iskrę przeskakującą po niewidzialnych drutach, co lada chwila groziło wybuchem.

- Zgłodniałam - powiedziała nagle Graciela, wyprostowała się i przetarła oczy.

Jenny jeszcze przez parę sekund patrzyła w zwężone oczy Ty'a, po czym z ulgą przeniosła wzrok na dziecko.

Z okna hotelowego rozciągał się widok na podwójne wieżyczki kościoła pod wezwaniem św. Franciszka, górujące ponad dachami Chihuahua. W dole, po obu stronach szerokiej ulicy, rosły wonne drzewa pomarańczy. Panował zwykły o tej porze ruch, zewsząd ciągnęły objuczone muły i wypełnione towarami wozy, a od czasu do czasu po kamiennym bruku przejeżdżał czarny szykowny powóz.

Jenny zaciągnęła firankę i odwróciła się plecami do okna, patrząc tęsknym wzrokiem na dwa łóżka. W tej chwili chciała jedynie zwinąć się na jednym z nich w kłębek i zasnąć.

- Kiedy wróci wujek Ty? - Graciela siedziała na łóżku i podskakiwała, jakby sprawdzała wytrzymałość sprężyn materaca.

- Poszedł na dworzec załatwić sprawę koni. Zdecydowaliśmy, że nie będą już nam potrzebne, więc postara się je sprzedać. - Woda, którą nalała sobie z malowanego dzbanka, okazała się orzeźwiająco chłodna, mimo to nie zdołała całkowicie zaspokoić pragnienia. - Zejdź z łóżka, chciałabym się położyć.

- Pomogę ci zdjąć buty.

- To byłoby bardzo miłe. - Zaskoczona Jenny zamrugnęła z niedowierzaniem. Potem usiadła z ulgą na miękkim materacu i wyciągnęła przed siebie nogi, a Graciela zwała jej buty. - Co za wspaniałe uczucie. -

Westchnęła ruszając palcami stóp.

- Co mogę teraz robić?

- Co chcesz, byle po cichu, muszę trochę odpocząć. - Droga ze stacji nie trwała długo, ale wóz tak niemiłosiernie podskakiwał na wybojach, że martwiła się, czy nie popękają jej szwy. Podciągnęła bluzkę szukając mokrych śladów, lecz, ku jej uldze, bandaże okazały się suche.

- Nie mam nic do roboty - stwierdziła dziewczynka. - Szkoda, że nie możesz opowiedzieć mi jakiejś historyjki.

- Jestem zbyt zmęczona. Powyglądaj sobie przez okno. - Jenny wśliznęła się pod koc i wtuliła twarz w cudownie miękką poduszkę. Oto prawdziwa miara luksusu, pomyślała sennie. Gdyby mogła spędzać każdą noc z głową na poduszce z pierza, miałaby wrażenie, iż wiedzie żywot księżniczki!

Już prawie zasypiała, gdy poczuła lekki nacisk na materacu.

Otworzyła oczy i ujrzała twarz Gracieli zaledwie o kilka centymetrów od swojej. Dziewczynka klęczała przy łóżku z rękami złożonymi na kocu. Opierała twarz na dłoniach i uważnie przyglądała

się Jenny.

- U licha, co ty wyprawiasz? . - Należysz do mnie.

- Co takiego? - Jenny usiadła i spojrzała na małą. - Nie opowiadaj głupstw, nie jestem niczyją własnością.

- Ależ tak, należysz do mnie - powtórzyła Graciela z powagą.

- Wujek Ty wszystko mi wyjaśnił.

- Znałam kiedyś w Denver pewnego Chińczyka - powiedziała Jenny, unosząc brwi po wysłuchaniu opowieści dziewczynki. - Pracowałam wtedy w pralni, ale z tego, co pamiętam, nigdy

o tym nie wspominał.

- To prawda, tak mówił wujek Ty. - Graciela poprawiła Jenny poduszkę i kazała się jej położyć. - Osobiście uratowałam ci życie, więc muszę opiekować się tobą aż do śmierci. Posiadać kogoś oznacza czuć się za niego odpowiedzialnym.

Chyba wiesz, co znaczy słowo odpowiedzialność?

- Dzieciaku, znam więcej słów, niż zdołasz poznać przez resztę życia - odparła Jenny z politowaniem. - I zapamiętaj sobie, ani ja nie należę do ciebie, ani ty nie jesteś za mnie odpowiedzialna. - Graciela ciągle klęczała przy łóżku i bacznie ją obserwowała.

- I przestań się na mnie gapić!

- Ja też należę do ciebie i wujka Ty'a, bo uratowaliście mi życie

- ciągnęła niewzruszenie dziewczynka.

-- Posłuchaj. - Poirytowana Jenny ponownie usiadła. - Do nikogo nie należysz. Jesteś panią samej siebie i tylko na siebie możesz liczyć.

Jej słowa zawisły w powietrzu, kiedy doszła do zatrważającego wniosku, że wcale nie są prawdziwe. Od chwili, gdy połączyli z Ty'em siły, bez wątpienia polegali na sobie. Potem Jenny powierzyła życie zręcznym palcom Gracieli, która zaszyła jej ranę i powstrzymała przed wykrwawieniem się na śmierć.

- Wporządku, czasem należy zaufać innym - przyznała Jenny słabym głosem.

Po tylu latach samodzielności, ba, samowystarczalności zaczęła nagle liczyć na innych. Świadomość tego zaszokowała ją. Jak to się stało?

Graciela znowu miała na ustach ten swój nieznośny uśmieszek wyższości, którego Jenny nie cierpiała. Co ta smarkata może wiedzieć? To jeszcze małe, niedoświadczone dziecko.

- Czas na zmianę bandażu - zdecydowała Jenny. - Wyjmij z juków koszulę nocną, zrobimy z niej kolejne bandaże. Przynieś też nasze małe lustro, chcę zobaczyć szwy.

Gdy powoli i uważnie zdejmowała stary opatrunek, zauważyła, że rana, choć jeszcze wilgotna, już nie krwawi. To dobrze. Odpoczęła chwilę, oparłszy się o wezłowie łóżka, a kiedy doszła do wniosku, że jest już na to gotowa, uniosła bluzkę i spojrzała w lustro.

- Niezgorszy widok - stwierdziła w końcu. Graciela patrzyła na nią wyczekująco. - Odwaliłaś kawał dobrej roboty. To całkiem zgrabne szwy.

Gdybym cię nie znała, pomyślałabym, że zarabiasz na życie jako chirurg.

- Ten był najtrudniejszy - odparła Graciela pokazując palcem na ostatni szew.

Jej oczy lśniły z przejęcia i dumy.

- Z tego, co pamiętam, naj gorszy był pierwszy. - Jenny posłała jej porozumiewawczy uśmiech.

- Nie chciałam cię zranić - szepnęła mała. Jej twarzyczka nagle się zachmurzyła, a w oczach pojawiły się łzy.

Wzruszenie ścisnęło serce Jenny. Przebyły długą drogę od czasu, gdy Graciela prosiła Boga o jej śmierć. Bardzo długą drogę. Jej oczy też nagle zwilgotniały.

- To najmiłsza rzecz, jaką kiedykolwiek słyszałam - mruknęła, kiedy przewyciężyła wreszcie suchość w gardle. Po chwili wahania poklepała dłonią materac. . U siadź koło mnie.

- To wydawało się takie trudne i strasznie się bałam. - Graciela wspięła się na łóżko i oparła o Jenny. - Tyle było krwi! A na dodatek pociąg trząsał się i chygotał. - Przez ciało dziewczynki przebiegł dreszcz.

- Czasem należy kogoś zranić, żeby mu pomóc. - Jenny objęła dziewczynkę i przytuliła ją mocno. - Masz rację, to szalenie trudne. Ale ci się udało i jestem z ciebie dumna. Wygląda na to, że uratowałaś mi życie. - Zamilkła na chwilę. -

Ale nie należę do ciebie. - Przyłożyła policzek do jej głowy, wdychając zapach włosów. Pachniały delikatnie i słodko, w typowy dziecięcy sposób.

Zaskoczyło ją, że sprawia jej to aż taką przyjemność.

- Jenny? - szepnęła Graciela. - Czasami bardzo cię lubię.

O Boże. To wyznanie na powrót odebrało Jenny mowę. Miała wrażenie, że za chwilę się udusi.

- Czy ty czujesz to samo? - spytała Graciela.

- Czasami - przyznała jej opiekunka dziwnie niskim głosem.

- Może nie za często, ale tak, lubię cię.

Gdy Ty wrócił z miasta, ujrzał niecodzienny widok - spały mocno do siebie przytulone.

Graciela obudziła się, kiedy wszedł do pokoju. Przyłożył palec do ust i pokazał wzrokiem na Jenny. Dziewczynka kiwnęła głową, po czym ostrożnie ześliznęła się z łóżka.

- Co z nią, jak się czuje? - zapytał cicho Ty.

- Jest zmęczona - szepnęła mała. - Poza tym chyba boli ją jeszcze rana.

Ty podszedł do łóżka i delikatnie przyłożył dłoń do czoła Jenny. Skórę miała suchą, lecz gorącą. Ostrożnie, by jej nie zbudzić, podniósł brzegi bluzki i przyjrzał się obrażeniom. Odetchnął z ulgą, bo widywał już w życiu gorsze rany. Ta była lekko zaczerwieniona po brzegach, ale poza tym nie wyglądała groźnie. Bratanica spisała się doskonale, sam nie zrobiłby tego lepiej. Pomyślał

chwilę, po czym dał głową znać, że' wychodzą.

- Dokąd? - spytała z wahaniem Graciela i zerknęła na Jenny.

-,- Jeszcze nie spotkałem kobiet, które straciłyby naraz tyle ubrań. Musim'y kupić wam nowe ciuchy.

Graciela podskoczyła z radości i złapała go za rękę, natychmiast gotowa do wyjścia.

Prowadziła go od sklepu do sklepu i wydawała pieniądze z zapalem godnym dorosłej kobiety. Kupiła dla siebie i Jenny taką masę rzeczy, że Ty musiał

zaopatrzyć się w kufer, by to wszystko pomieścić. Na koniec oznajmiła władczo, że potrzebuje jeszcze nowego stroju podróżnego, więc Ty, chcąc nie chcąc, ruszył na kolejną rundę zakupów. Późnym popołudniem stwierdził, że dzień spędzony w siodle przy zapędzaniu bydła jest mniej męczący niż zakupy w towarzystwie damy, nawet jeśli ma ona tylko sześć lat.

Wreszcie uniósł ręce i oznajmił, że ma dosyć. Graciela widać również poczuła zmęczenie, bo bez większych protestów pozwoliła się zaprowadzić do eleganckiej kawiarni na świeżo wyciśnięty sok z pomarańczy i kawałek słodkiego meksykańskiego ciasta.

Ogarnęło go uczucie oszołomienia, gdy przyglądał się, jak dziewczynka elegancko zdejmuje lukier z ciasta i powoli zjada kawałek po kawałku. Kiedy jakiś czas temu przejeżdżał przez miasto, zmierzając w stronę Verde Flores i bezimiennej wioski, nie zauważył tej kawiarni, bo może i nie szukał podobnych do niej miejsc. Zatrzymał się wówczas w tanim, podrzędnym zajeździe i spędził

wieczór popijając *pulque* w hałaśliwym barze na skraju miasta.

Tamta noc wydała mu się odległa o wieki, a jego sposób myślenia tak bardzo różnił się od dzisiejszego, że Ty spokojnie mógłby uchodzić za innego człowieka. Od tego czasu wiele się wydarzyło. Nabył cztery konie, zabił dwóch mężczyzn i - co go najbardziej zaskoczyło - co i raz uczestniczył w zakupach damskich ciuszków. A teraz, o dziwo, siedzi z dzieckiem w kawiarni,

zamiast pić piwo w jakiejś knajpie. Kolejną rzeczą, jaka go zdumiała, było całkiem nowe postrzeganie bratanicy. Kiedy na nią patrzył, nie widział już tylko krzywd doznanych od Barrancasów. Miał oto przed sobą śliczne i mądre dziecko o zielononiebieskich oczach, do złudzenia przypominających jego oczy.

Dostrzegał bogatą osobowość Gracieli, cieszył się widząc jej każdy uśmiech i zaufanie, z jakim brała go za rękę.

Była też Jenny. Dawny Ty, który wcześniej przejeżdżał przez Chihuahue, nie miał zielonego pojęcia, że w ogóle istnieją takie kobiety. Większość niewiast uważał za istoty delikatne, oderwane od życia i nieciekawe, służące mężczyznom tylko w jednym celu - dla zaspokojenia ich seksualnych potrzeb.

Tamten człowiek roześmiałby się na myśl, że można szanować kobietę za odwagę, wierność obranym celom czy silny charakter. Wysztydziłby z pogardą każdego, kto ośmieliłby się sugerować, że przyjdzie mu tęsknić za kobietą, która go pobiła, przeklina jak szewc i potrafi pić jak mężczyzna.

I tak podróż, którą traktował początkowo jako godną pożałowania przysługę dla brata, okazała się dla niego wielką życiową przemianą. Zmarszczył czoło, gdy zdał sobie sprawę, że już' nigdy nie spojrzy na świat w dawny sposób.

Wszystkie opinie i niewzruszone zasady, które ukształtował w sobie przez lata, bezpowrotnie zginęły.

- Wujku Ty? - Graciela skończyła jeść i czekała niecierpliwie, aż kowboj ocknie się z zadumy. - Najwyższy czas, żeby sprawdzić; co u Jenny. Nie było nas bardzo długo, a przecież może nas potrzebować.

Ty nagle sposepniał, bo wcale nie miał pewności, kto komu jest bardziej potrzebny.

Jenny smacznie spała, kiedy do drzwi zapukał pierwszy posłaniec. Potem przesyłki zaczęły napływać jedna za drugą co kilka minut, więc nawet nie próbowała się już położyć. Podczas jednej z rzadkich przerw udało jej się zamówić kąpiel i coś do zjedzenia. Odświeżona, przystąpiła do rozpakowywania zakupów. Na widok sterty ubrań i bielizny wysypujących się z papierowych toreb, otworzyła usta. Z niedowierzaniem w oczach podnosiła halki, koszulki, pończochy, koszule nocne, spódnice, bluzki oraz kompletny strój podróżny wraz z odpowiednimi kapeluszami i torebkami. Jeszcze nigdy nie widziała naraz tylu wspaniałych kreacji.

Domyśliła się, że w zakupach uczestniczyła Graciela, bo nie podejrzewała Ty'a o taką biegłość w doborze garderoby. Jej przypuszczenia okazały się trafne, gdy rozpakowała paczki z nowymi ubraniami Gracieli.

Usiadła na łóżku z dziewczęcym strojem podróżnym - dopiero co przymierzała taki sam przed lustrem. Choć odpowiednio mniejszy, stanowił

wierną kopię tamtego, zarówno pod względem kroju, jak i koloru.

Podobne komplety widywała w eleganckich katalogach. Gdy wsiądą tak ubrane do pociągu, będą wyglądały jak matka z córką.

Pochyliła się i zakryła oczy drżącą ręką. Marguarito, znalazłam się w nie lada potrzasku.

Choć zwykle przemyślenia miały się nijak do bezpośredniej rozmowy z gwiazdą, nie mogła czekać do wieczora.

Między mną a Gracielą dzieje się coś wyjątkowego. Musisz wiedzieć, że nie chcę zajmować twojego miejsca. Wolałabym, żeby dziewczynka się do mnie nie przywiązała, szczególnie teraz, kiedy czeka na nią twój drogi Roberto.

Jenny nachyliła się jeszcze bardziej i przyłożyła dłoń do bolącego brzucha.

Źle by się stało, gdyby połączyło nas głębsze uczucie, przecież naj dalej za parę tygodni ją opuszczę. Wiem, że nie kocha mnie tak jak Ty'a, ale trochę mnie lubi, sama mi to powiedziała. A ja ... Cóż, też ją lubię, Marguarito. Na początku wyglądało to zupełnie inaczej i nie spodziewałam się, że zmienię zdanie, ale tak jest i nic na to nie poradzę. Potrzebowałam czasu, żeby dostrzec jej zalety, i powiadam ci, nie myliłaś się ani na jotę. Dziewczynka wydaje się ponad wiek rolgarnięta, a kiedy zechce, jest cholernie sprytna. Zna wiele słów, jest śliczna, dobrze wychowana i odważna. Mój Boże, szalenie odważna - widziałaś, jak opatrzyła mi ranę.

Dobry Boże, zaczyna już gadać jak rodzona matka tego dziecka.

Odłożyła na łóżko strój Gracieli, podeszła do okna i odciągawszy firanki spojrzała w niebo.

Marguarito, musisz nam pomóc - nie pozwól, by Graciela za bardzo się do mnie przywiązała. Ja przez całe życie zegnałam się z ludźmi, których zdążyłam poznać i polubić, i wiem, że to niełatwe, tym bardziej więc nie chcę narażać na to twojej córki. Chociaż wolałabym - wybacz te okropne myśli - by przyjęła ze smutkiem wieść o naszym rozstaniu, to z drugiej strony za nic na świecie nie chcę jej zranić, bo mimo młodego wieku wiele już w życiu przeszła. Nie mam pojęcia, co robić, ale ufam, że podsuniesz mi w porę jakąś dobrą radę.

- Już jesteśmy! - Graciela wbiegła do pokoju. - Wujku Ty, ona już nie śpi!

Widziałaś nasze nowe stroje? Są identyczne, mamy nawet jednakowe kolczyki!

Znalazłaś je?

- Nie widziałam tu żadnej biżuterii - odparła Jenny słabym głosem. Podczas gdy jej podopieczna przeszukiwała resztę pakunków, spojrzała na Ty'a. - Widzę, że się ogoliłeś. Po ilości zakupów zgaduję, że wykupiłeś wszystkie damskie ubrania w Chihuahua.

- Przyniosłem ci też lekarstwo na gorączkę. Aptekarz polecił rozpuścić łyżeczkę w gorącej wodzie i zażywać trzy razy dziennie. - Podeszedł bliżej i ujął

jej podbródek. - Błyszczą ci oczy i masz zaczerwienioną skórę, ale wyglądasz ...

prześlicznie. Umyłaś włosy?

- Wykąpałam się - odparła szeptem. Przymknęła powieki i przełykając ślinę pochyliła się w jego stronę.

Czy kiedykolwiek przyzwyczai się do jego dotyku? Nie wyobrażała sobie, że to w ogóle możliwe. Czy nadejdzie czas, że stojąc tak blisko, nie zapragnie przytulić się i napawać jego ciepłem i siłą?

Cofnęła się o krok, końcami palców dotknęła skroni i pokręciła głową.

- Może powinnam wziąć lekarstwo, nie najlepiej się czuję. Graciela tymczasem otworzyła małe zawiniątko, na które Jenny nie zwróciła wcześniej uwagi, i zaszczębiotała:

- Popatrz! Tu są nasze kolczyki. To naj prawdziwsze turkusy oprawione w srebro!

Dziewczynka wyglądała na szczęśliwą i tak podekscytowaną, że Jenny nią wspomniała, że nie ma przekłutych uszu i nie może przyczepić nowo kupionych błyskotek.

- W sklepie były też tańsze kolczyki z niebieskimi szkiełkami, ale wujek Ty powiedział: "Nie dla moich dziewczyn" i kupił nam prawdziwe turkusy.

- A to ci numer - rzekła cicho Jenny. Twarz kowboja oblała się rumieńcem, a mogłaby przysiąc, że Ty Sanders nie jest zdolny do takich wzruszeń. Na ustach Jenny pojawił się figlarny uśmiech.

- To było głupie stwierdzenie - powiedział zirytowany Ty i odwrócił się do niej plecami.

- Twoje dziewczyny, doprawdy? - udała zdziwienie.

- Idę się czegoś napić. Później przyniosę coś na kolację.

-!-- Wcisnął na głowę kapelusz i wyszedł trzasnąwszy drzwiami.

Jednak po chwili otworzył je i zajrzał do środka. - Przyślę kogoś z gorącą wodą do lekarstwa.

_ Byłabym bardzo wdzięczna. - Śmiała się już całkiem otwarcie, napotykając jego piorunujący wzrok. Drzwi znowu trzasnęły, a Jenny spojrzała na łóżka i rozmarzyła się - gdyby tylko nie była ranna ...

_ Przymierzałaś już kapelusze? - wyrwała ją z zadumy Graciela.

Trzymała jeden z nich, ciężki i przyozdobiony jedwabnymi kwiatami. - Moim zdaniem, ten jest najpiękniejszy.

Jenny oderwała wzrok od łóżka. Do diabła, co jej się roi w głowie? Nawet gdyby tryskała zdrowiem, między nią a Ty'em do niczego by nie doszło. Na pewno nie tutaj, w tym pokoju, z Gracielą śpiącą kilka metrów dalej.

Westchnęła, usiadła przy małym stoliku i obserwowała z roztargnieniem, jak dziewczynka przymierza kapelusz. Jej myśli zajęte były czymś innym.

Oczywiście wiedziała, co robią kobieta i mężczyzna, kiedy pragną mieć dziecko, zastanawiała się jednak, jak sobie radzą w sytuacji, gdy nie chcą poprzestać na jednym. Jak znajdują dla siebie odrobinę prywatności?

Kiedy uświadomiła sobie, że martwi się sprawami, o których wcześniej nie spodziewała się nawet myśleć, zaśmiała się i pokręciła głową. Niewątpliwie to skutki gorączki.

Minęło już sporo czasu, odkąd usnęła Graciela, lecz Jenny wciąż leżała obok z otwartymi oczami i wsłuchiwała się w jej miarowy oddech oraz odgłosy przewracającego się na sąsiednim łóżku Ty'a. W końcu wstał i podszedł do marynarki przewieszanej przez oparcie najbliższego krzesła. Po chwili ujrzała błysk zapalniczki i doszedł ją zapach dymu z cygara.

- Widzę, że sobie również sprawiłeś nową bieliznę - skomentowała cicho i uśmiechnęła się w ciemnościach. W łagodnym świetle księżycy widać było, jak materiał dokładnie opina mu ramiona i pierś, odstając nieco z tyłu. Nie ma zbyt okazałego tyłka, zauważyła, zapewne za sprawą częstej jazdy na koniu, dodała w myślach.

- Dlaczego nie śpisz? - Ty wrócił do łóżka, poprawił sobie poduszki i usiadłszy wygodnie, zapalił w ciemnościach.

- Od dwudziestu czterech godzin nie robię nic innego, widać mam już dość snu.

- Jak się czujesz? Lekarstwo pomogło?

- Chyba tak. Brzuch już mnie tak nie boli, a w ogóle twarda ze mnie. sztuka, moje rany zawsze się szybko goiły. Jenny ...

podejdź tu do mnie.

Serce podskoczyło jej do gardła. Wzięła głęboki oddech, ale w ostatniej chwili zawahała się, zwalczając pokusę.

- Co to, to nie. Nie mam zamiaru pakować się do łóżka mężczyzny, kiedy w pokoju śpi dziecko - odparła sztywno niczym żona pastora. Na dnie serca pozostała jednak odrobina żalu.

- Nie masz o mnie zbyt wysokiego mniemania.

Wprawdzie Jenny nie mogła zobaczyć wyrazu jego oczu, ale wyobraziła go sobie bez trudu i omal nie wybuchnęła śmiechem.

- Bez obaw - ciągnął Ty - nic wielkiego się nie stanie, chodzi co najwyżej o parę całusów i dotknięć, które i tak będą mnie wiele kosztować. Ale dość gadania, chodź tutaj.

- Cóż ... chętnie zaciągnęłabym się cygarem. - Pokusa zwyciężyła.

Odsunęła się z wolna od Gracieli, ostrożnie zsunęła z pościeli i na palcach podeszła do jego łóżka.

- Daj mi poduszkę - powiedziała kładąc się na brzegu.

- Nie mogę, kiedy siedzę, potrzebuję obu. Przytul się do mnie.

- Ty uniósł rękę, Jenny zaś głęboko westchnęła i oparła mu głowę na ramieniu. Poczwała się wspaniale.

- Mogłoby się zdawać, że leżę obok pieca - mruknęła, ale nie odsunęła się ani o milimetr. Sięgnęła po cygaro Ty'a, włożyła je sobie do ust i powoli, z lubością się zaciągnęła. - Cudownie, cały dzień miałam na to ochotę.

Gdy ponownie wypuściła dym z ust, Ty wyjął jej cygaro z ręki i zgasił w popielniczce stojącej na stoliku między łózkami.

- Dlaczego nie wzięłaś sobie jednego z moich juków?

- Ja nie ... no wiesz, nie byłam pewna ... kiedy wrócicie. Nie chciałam palić przy małej i dawać jej złego przykładu. - Nie mogła uwierzyć, że potrafi mówić logicznie, kiedy dłoń mężczyzny była tak blisko jej piersi.

- Jesteś niesamowita. - Ty zaśmiał się cicho. - Przypominasz mi jajko, z zewnątrz pozornie twarde, lecz kruche, w środku zaś miękka niczym żółtko.

- Masz zamiar całą noc gadać podobne bzdury? Może przejdziemy do rzeczy i wreszcie mnie pocałujesz? - Gdy kowboj znowu się zaśmiał i przyłożył usta do jej warg, ciało Jenny przeszło dreszcz radosnego oczekiwania. - Tylko zachowuj się cicho, nie chcę, by Graciela się obudziła.

- Pocałunki nie są zbyt hałaśliwe. - Zsunął się niżej, aż zrównał się z jej głową.

Pogładził ją delikatnie po twarzy i przesunął powoli palcem po jej ustach. -

Zgadnij, na co mam teraz ochotę? - szepnął niskim głosem.

- Wiesz, że nie możemy - odparła czując suchość w gardle.

Serce biło jej w piersiach jak oszalałe i oddychała z coraz większym trudem.

Przysunął się do niej, lecz nie przytulił mocniej w obawie, że sprawi jej ból. Był

jednak dostatecznie blisko, by mogła wyczuć jego podniecenie. Westchnęła głęboko i przymknęła oczy.

- Mam ochotę ściągnąć ci koszulę i przebiec językiem po całym twoim ciele -

szepnął Ty. Pocałował lekko kąciki jej ust i przyłożył gorącą dłoń do jej szyi.

- Dobry Boże! - Jenny odsunęła się i ze zdumieniem popatrzyła mu w oczy.

Nigdy o czymś takim nie słyszała. Sam pomysł dotykania językiem jej ciała powinien wydać się jej obrzydliwy, ale ... o dziwo, nie był. Spróbowała wyobrazić sobie tę sytuację i zadrżała pod wpływem rosnącego podniecenia.

Gdyby nie leżała, z pewnością upadłaby na podłogę, zupełnie jak za pierwszym razem, gdy dotknął jej piersi.

- Chciałbym cię tu pocałować. - Musnął ustami jej powieki, delikatnie przesunął dłoń po piersiach, a potem opuścił rękę i przez materiał nocnej koszuli pogłaskał jej sutki. Jenny westchnęła głęboko. - I tutaj. - Palce kowboja powędrowały ponad bandażem i spoczęły na dolnej części brzucha.

- Chryste - szepnęła i lekko dysząc wzdrygnęła się pod naporem jego ręki. Nie potrafiłaby uleżeć w miejscu, nawet gdyby miało zależeć od tego jej życie.

Zwariowany kowboj, jak może wymyślać te wszystkie dziwne, szalone rzeczy, które nigdy nie przyszłyby jej do głowy!

- I tutaj.

- Tutaj? - Otworzyła gwałtownie oczy i rozchyliła usta ze zdumienia. Ręka kowboja spoczęła na najbardziej intymnej części jej ciała, parząc ją przez cienką tkaninę. - Chcesz mnie pocałować tam? - Miała wrażenie, że zaraz zemdleje.

- Właśnie. - Zaśmiał się cicho. - Daj mi rękę, pokażę ci, jak na mnie działa sama myśl o tym.

Wiedziała; co Ty zamierza zrobić, i nie opierała się. Pozwoliła, by poprowadził jej rękę w dół, aż do miejsca, gdzie materiał bielizny napręzał się, opinając ciasno jego ciało.

- o Boże - mruknęła znowu, obejmując palcami członek. Gdy kowboj jęknął, szybko cofnęła rękę, ale on złapał jej palce i ponownie przyciągnął do siebie.

Najpierw ostrożnie, a potem z rosnącym zaciekawieniem i pewnością siebie

'Jenny badała trzymany w ręku okazały symbol męskości.

Ku swemu zdziwieniu odkryła, że potrafi wydobyć z Ty'a całą symfonię dźwięków - od barytonowych jęków aż po niskie pomruki i szepty. Gdy poruszała ręką w jeden sposób, całe jego ciało napinało się i drżało. Kiedy zmieniała rodzaj pieszczot, Ty całował ją tak namiętnie, że piekły ją usta. Gdy robiła jedno i drugie, wzdychał i stawał się bezwładny.

Kowboj miał moc zdolną rozpalić ogień w jej wnętrzu, jedną pieszczotą potrafił rzucić ją na kolana. Lecz oto okazało się, że i ona posiada władzę, co było nowym, zaskakującym i wielce' przyjemnym uczuciem.

- Poczekaj - błagał ją chrapliwie. - Przestań na chwilę, to dla mnie tortury.

- Lubię cię dręczyć - szepnęła frywolnie i zasypała mu twarz pocałunkami, zataczając biodrami

koliste ruchy, jakby chciała sprawdzić, co się stanie.

- Mogłem się domyślić, że jesteś pojętna. - Jęknął jak na katuszach, zsunął się niżej, rozpiął górę jej koszuli, po czym odnalazł ustami i językiem jej piersi. -

Pokażę ci prawdziwe tortury.

, Gdy Jenny chwiejnym krokiem wróciła nad ranem do łóżka, doszła do wniosku, że kowboj dotrzymał słowa. Wciąż go pożądała, cała płonęła, a nabrzmiałe usta i obolałe piersi wołały o więcej. Nigdy jeszcze nie doświadczyła czegoś podobnego. Doprowadzał ją do kolejnych szczytów i to wyłącznie dotykiem rąk i czułymi szeptami do ucha. Odkryła, że potrafi odwzajemniać mu się tym samym. To były dzikie, zmysłowe i wyczerpujące chwile, które nauczyły ją niejednego i dały wiele do myślenia.

Wpełzła do łóżka obok Gracieli i rzuciła jej spojrzenie, w którym czułość mieszała się z urazą. Gdyby dziewczynki tu nie było ... Z drugiej strony, gdyby nie ona, nigdy nie poznałaby Ty'a i nie znalazła się w jego łóżku.

- Ty? - Pochyliła się, by na niego popatrzeć.

- Nooo?

- Aż do dzisiejszej nocy nigdy jeszcze nie miałam ... - Nie знаła odpowiedniego słowa. Boże, Boże. Nawet nie podejrzewała, że kobieta potrafi tak wybuchnąć. - Ty? Sądziłam, że wiem wystarczająco dużo o ... no wiesz, o kobietach i mężczyznach ... ale widzę, że na niczym się nie znałam.

- No to teraz już wiesz - odparł cicho. Dobiegł ją rozbawiony chichot. - Teraz już się na tym znasz.

15 ~

Nie mając pewności, czy Barrancasowie nie wpadli już aby na ich trop i nie przeczesują właśnie ulic Chihuahua, Ty i Jenny starali się nie wychodzić na miasto i tylko z rzadka opuszczali pokój hotelowy. Wkrótce Jenny doszła do wniosku, że przymusowy areszt domowy jest naj gorszą częścią jej rekonwalescencji. Miała wrażenie, że oszaleje, jeśli jeszcze raz usłyszy skowyt Gracieli, pytającej: "Co mogę teraz robić?"

Od dłuższego czasu wpatrywała się niewidzącym wzrokiem w strony niedawno kupionej przez Ty'a powieści Marka Twaina i zastanawiała się nad swoim stosunkiem do dziewczynki. Za nic na świecie nie chciała zastępować jej matki, poprzysięgła sobie, że nigdy do tego nie dopuści - przecież nienawidziła wszystkich związanych z tym obowiązków. Poza tym nawet nie lubiła dzieci, nigdy za nimi nie przepadała i nie wierzyła, by kiedykolwiek mogło się to zmienić.

A teraz, mimo że wcale jej się to nie podobało, zaczynała zachowywać się jak typowy rodzic. To zaskoczyło ją równie mocno, co ojcowskie zapędy Ty'a. Nie spodziewała się, że kowboj okaże dziewczynce tyle troski, dziwiła się słuchając jego licznych uwag, upomnień i pochwał pod adresem małej bratanicy.

W bardziej sprzyjających okolicznościach mogłoby się to nawet wydać zabawne. Ona i Ty, dwie osoby tak bardzo nie cierpiące dzieci, mają nagle stawić czoło tysiącom wychowawczych problemów. W

warunkach kompletnego braku prywatności muszą świecić przykładem sześcioletniej dziewczynce, wdawać się z nią w długie i męczące dyskusje, a przede wszystkim starać się nie zwariować, słuchając zawodzeń znudzonego i rozdrażnionego dziecka.

Czy rodzona matka w podobnej sytuacji uczyłaby swoją pociechę gry w oczko czy pokera? Jenny musiała wierzyć, że tak, nawet Marguarita by tak zrobiła.

- Mam podnieść stawkę, sprawdzić czy pasowa~? - spytała niecierpliwie Graciela i pokazała karty Jenny, jednocześnie zasłaniając je przed baczny wzrokiem Ty'a.

- Już ci tłumaczyłam. - Jenny westchnęła i spojrzała na nią znad książki.

Czytała ten sam akapit już chyba dziesiąty raz. - Trzymam się zasady, by nigdy nie radzić mężczyźnie, jak powinien zagrać.

- Ale ja nie jestem mężczyzną, jestem dzieckiem. Odpadam, dobrze?

- Nie chcę ci mówić, co masz robić, ale ... - Jenny popatrzyła w pełne zawodu oczy Gracieli i pokiwała głową. Pochyliła się nad stołem i szepnęła: - Masz jedynie parę czwórek. Gdybym to ja grała, spasowałabym. A teraz już więcej mi nie przeszkadzaj.

Dziewczynka ze wstrętem rzuciła swoje karty na stół i obserwowała Ty'a, jak z uśmiechem na ustach przeciąga na swoją stronę okazały stos zapalek.

- Zagrajmy raz jeszcze - zaproponowała.

- Nie możemy - odparł Ty licząc wygraną. - Już późno, zbliża się pora kolacji.

- Może naucz ją jakiegoś pasjansa - zasugerowała Jenny.

Zastanawiała się, czy nie odłożyć na dobre książki; widać lektura nie była jej dzisiaj pisana. - To da nam chwilę wytchnienia.

- Nie będę się uczyć jeszcze jednej gry, chcę zagrać w pokera

- marudziła Graciela, układając buzię w ciup. - Chcę wygrać.

Mamusia i ciocia Tete pozwalały mi wygrywać w różnych grach. - Możesz o tym zapomnieć. - Jenny zaśmiała się. Nawet na ustach Ty'a pojawił się uśmiech. - Tutaj nikt ci na to nie "pozwoli". W dniu, w którym wygrasz ze mną czy wujkiem Ty, będziesz mogła sobie pogratulować, bo stanie się to w uczciwy sposób. Ale to na razie raczej odległa i mało prawdopodobna perspektywa, więc wbij sobie do głowy, że będziesz przegrywać. A teraz przestań już paplać, bo staram się skupić na czytaniu.

- Czemu nie poczytasz mi na głos, gdy będę grała w pokera z wujkiem Ty?

- Robiłam to rano. - Jenny zmarszczyła czoło i ponownie westchnęła. - Chyba należy mi się odrobina spokoju? Może poczytam ci później w pociągu, ale błagam, bądź wreszcie cicho.

Graciela spuściła ramiona i sprawiała wrażenie zupełnie przygnębionej. Jenny przyglądała się jej przez chwilę, po czym z trzaskiem zamknęła książkę.

- Skoro i tak masz już kiepski nastrój, chciałabym ci przypomnieć, że wieczorem wychodzę z wujkiem Ty'em. I nie chcę słyszeć żadnych narzekań na ten temat.

- Wychodzisz beze mnie? - Dziewczynka otworzyła usta w przesadnym zdumieniu i tupnęła z oburzeniem.

- Poprosiłam żonę właściciela hotelu, by przez ten czas z tobą posiedziała. Nie będziesz sama.

Ty potasował karty, złożył je i schował do pudełka.

- Nie cierpię jej, jest gruba i ma wąsy. Nie zostanę z nią, o nie!

- Ależ tak, zostaniesz - odparła Jenny spokojnie. - Możesz sobie wrzeszczeć do woli, ale zostaniesz. Wspominałam ci już otym trzy dni temu, kiedy pokazywałam moją nową suknię.

- Idę z wami! - Graciela zacisnęła palce w pięści, a po policzkach popłynęły jej łzy. - Należymy do siebie i jesteśmy za siebie odpowiedzialni. Musisz mnie zabrać ze sobą!

- Na litość boską! - Jenny skrzywiła się na widok miny Ty'a.

- Wiem, co ci chodzi po głowie - warknęła. - Przypomnij sobie tylko, kto tu jest dorosłym, a kto dzieckiem. Jeśli pozwolimy, by postawiła na swoim, będzie nas miała w garści, naprawdę zaczniemy do niej należeć. -

Odwróciła się i posłała Gracieli mrożące spojrzenie. - Nie zamierzam dopuścić, by tak się stało.

- Nie znoszę, gdy mówicie o mnie, jakby mnie tu nie było.

_ Gracielo, kochanie, *senora* Jaramillo też umie grać w pokera - odezwał się Ty łagodnym głosem.

Jenny zauważyła, że dziewczynka nie poddała się od razu, chociaż jej oblicze nieco pojaśniało. Obrażona mina świadczyła wyraźnie o tym, że mała czuje się podstępnie zdradzona, ale w duchu pogodziła się już z porażką. Jenny rozpoznała te gierki i omal nie parsknęła śmiechem. Starła się sobie przypomnieć, czy będąc w wieku Gracieli też manipulowała dorosłymi.

- A gdybym tak zabrał cię na kolację, kiedy Jenny będzie się ubierać? Czy wtedy uśmiech zagości na' twoich ustach? - Ty miał poczucie winy wypisane na twarzy.

- I ty twierdzisz, że jestem w środku jak żółtko jajka? - Jenny przewróciła ze zniecierpliwieniem

oczami. - Spójrz tylko na siebie. Owinęła cię wokół palca.

- Pójdę po pelerynkę - powiedziała dziewczynka z niewinnym uśmiechem.

Rzuciwszy Jenny zwycięskie spojrzenie, zsunęła się z krzesła.

- Naiwniak.

- Wrócimy za godzinę. - Ty zaśmiał się i włożył kapelusz.

- Mam nadzieję, że wystarczy ci czasu na kąpiel i zrobienie się na bóstwo?

Ty dokonał ablucji już wcześniej i teraz stał przed nią niesamowicie przystojny, ubrany w obcisłe spodnie z czarnego sztruksu, pasującą do nich kolorem meksykańską aksamitną marynarkę, nałożoną na wykrochmaloną białą koszulę. Uwagę Jenny przykuła zawiązana pod szyją czerwona aksamitka - aż do dzisiejszego wieczoru nie widziała go tak wystrojonego.

- Wyglądasz wspaniale - powiedziała cicho i zatrzymała wzrok na jego umięśnionych ramionach. Przebiegł ją dreszcz podniecenia na wspomnienie wszystkich nocy, które spędzili razem w tym tygodniu. Poznali się już nawzajem i Jenny wiedziała, że może ją rozpałić jednym dotknięciem czy pocałunkiem. Ona również nauczyła się nim kierować, pobudzać bądź

zatrzymywać gestem czy gorącym szeptem. Z jej oczu wyzierały pewność i poczucie siły. - Dokąd idziemy?

- To niespodzianka - odparł gburowato i zawisł wzrokiem na jej ustach. - Mam nadzieję, że spodoba ci się to, co zaplanowałem.

Nie chciał nic więcej powiedzieć, ale jego oczy były pełne obietnic.

Gdziekolwiek zechce ją zabrać, z pewnością nie będzie zawiedziona.

- Kiedy już będziesz na mieście, czy mógłbyś sprawdzić rozkład jazdy pociągów? Czuję, że jestem już gotowa na podróż do Teksasu. GracieJo, przypomnij mu, czas ruszać w drogę.

Miała przed sobą wizję spędzenia wieczoru sam na sam z Ty'em i wydało się jej zabawne, że on próbuje wynagrodzić to Gracieli oferując jej przyjemności, podczas gdy ona zmierza dokładnie do tego samego, powierzając im ważne zadanie. Podejrzewała, że dziewczynka jest na tyle przebiegła, by rozgryźć intencje ich obojga.

Gdy Ty i Graciela wyszli, Jenny zamówiła sobie kąpiel i ostrożnie położyła na jednym z łóżek nowy strój. Przesunęła palcami po delikatnej brzoskwiniowej satynie. Jeszcze przed miesiącem szorstkie dłonie zahaczyłyby o gładki, haftowany materiał. Teraz nie jeździła już codziennie konno i nie dźwigała ciężarów, więc nic dziwnego, że odciski na dłoniach zniknęły. Może dlatego wczoraj, z braku zajęcia, pożyczyła od Gracieli pilnik i spiłowała sobie paznokcie. Uśmiechnęła się dochodząc do wniosku, że piekło musiało chyba zamarznąć w chwili, gdy przyłożyła pilniczek do pierwszego palca. Od tej pory grzesznicy zamiast się smażyć w smole, będą drzeć z zimna.

Graciela kupiła niedawno kostkę różanego mydła i Jenny bez wahania pożyczyła je sobie do kąpieli, namydlając obficie skórę i włosy.

Jedną z niebagatelnych zalet krótkich włosów był fakt, że szybko schły w gorącym, pustynnym powietrzu. Stała naga przed toaletką i wpierw roztrzepała je palcami, a potem szesała do tyłu.

Następnie spojrzała niepewnie na gorset. Swego czasu poprzysięgła sobie, że nigdy nie weźmie tego świństwa do ręki. Teraz pomyślała z rozbawieniem o minie Ty'a kupującego tak intymną część garderoby, podniosła ją, naprężyła stalowe druty i przyjrzała się wykwintemu wykończeniu z koronek i wstążek.

Dobrze, że przynajmniej zapina się z przodu. Mimo to wątpiła, czy zdecydowałaby się włożyć tę szatańską konstrukcję, gdyby nie uwaga Gracieli, że suknia będzie źle leżeć, jeśli gorset nie ściągnie ciała w jednym i nie wypchnie w innym miejscu.

Gdy uporała się z bielizną, powróciła do włosów, zadowolona, że zdążyły wyschnąć. Tutaj poruszała się już po dobrze znanym gruncie, chociaż nawet na torturach nie przyznałaby się, że przez lata skrycie eksperymentowała z grzebieniem i szczotką. Włosy były bodaj jedyną częścią kobiety, którą znała i rozumiała. W mgnieniu oka przypięła nad karkiem kółeczko z kwiatów, stwarzając wrażenie misternego koka.

Jeszcze tylko parę kropel różanej wody toaletowej Gracieli i ... zawahała się.

Czy będzie wyglądać głupio, gdy przypudruje policzki i dekolt? Jeśli w ogóle się na to zdecyduje, zrobi to bardzo delikatnie, postanowiła. Zanim zdążyła zmienić zdanie, ostroinnie nałożyła puder na twarz, szyję i ramiona, a potem przejrzała się w lustrze.

Dobry Boże, ujrzała zupełnie nowe, całkiem interesujące oblicze.

Wstydliwie ucieszona, zauważyła, że puder rozjaśnił jej opaleniznę, a zaczesane do tyłu włosy ukazały światu wysokie, gładkie czoło. Tego wieczoru jej oczy błyszczały błękitem jak niebo na wiosnę. Zaskoczona przemianą, której nigdy dotąd nie doświadczyła, zerwała ze skrzynki z kwiatami czerwony płatek róży i potarła nim usta, nachylając się ciekawie nad lustrem, by natychmiast sprawdzić efekt tych zabiegów.

Miała zaledwie kilka minut do powrotu Ty'a i Gracieli, więc pośpiesznie włożyła brzoskwiniową suknię i zapięła ją z boku. Żałowała, że nie ma tu dużego lustra, w którym mogłaby zobaczyć jasnozielone bufiaste falbany, opadające lekko z tyłu sukni. Ich barwa idealnie współgrała z delikatnym haftem zdobiącym stanik oraz z szeroką kokardą przy dekolcie.

Kiedy patrzyła na siebie, widziała pięknego motyla, wspaniałe stworzenie, dotychczas ukryte pod niepozomą postacią poczwarki i czekające na dogodny moment, by ukazać się światu. A może wyglądała tylko jak elegancko ubrana kobieta, nie była już pewna niczego.

Do pokoju weszli Ty i Graciela i oczarowani jej widokiem, zatrzymali się w pół kroku.

- Jenny! Wyglądasz przepięknie - wyszeptała Graciela, gapiąc się na nią z podziwem.

Na policzkach jej opiekunki wykwitły rumieńce .. Podniosła oczy na Ty'a, wygładzając materiał drżącymi palcami. Gdy zauważyła, że jego wzrok płonie żarem, którego żadna kobieta nie jest w stanie pomylić, płochliwa niepewność przerodziła się w zadowolenie. Ale nadal...

- Nie wyglądam czasem jak tania dziwka? - zapytała szeptem, zastanawiając się, czy nie powinna była zrezygnować z pudru i czerwonych ust.

- Przypominasz ... objawienie - odparł cicho. - Suknia leży na tobie jak ulał, a kolor wspaniale harmonizuje z włosami.

Poczuła ogarniającą ją ciepłą radość, ale nie śmiała jeszcze wierzyć - wszak Ty jest mężczyzną, nie można do końca ufać jego zdaniu. Zwróciła się więc o opinię do Gracieli:

- Czy suknia nie odsłania za dużo biustu? - Nigdy w życiu nie pokazywała tyle ciała. Zerknąwszy w dół, z przerażeniem ujrzała różowe góry.

- Taka jest teraz moda - orzekła dziewczynka. Obeszła ją dokoła, naciągając materiał w jednym miejscu i poprawiając niewidzialną zmarszczkę w innym. Jej uwaga zabrzmiała poważnie i fachowo, jak w ustach doświadczonej sprzedawczyni. Gdy zatoczyła pełne kółko, cofnęła się o parę kroków i z oczami rozszerzonymi z zachwytu i niedowierzania, dodała: - Och, Jenny. Wyglądasz prześlicznie. Przypominasz księżniczkę z bajki.

- Hmh, bardzo ci dziękuję. - Jenny odchrząknęła i zerknęła na Ty'a, który nie ruszał się z miejsca. Stał jak zamurowany, nie otrząsnąwszy się jeszcze z wrażenia.

- Jenny? - Graciela zagryzła niepewnie wargę, po czym kiwnęła głową i dotknęła serduszka na piersiach. - Chciałabym ... Może masz ochotę pożyczyć moją broszkę na dzisiejszy wieczór?

Nieśmiała oferta zbiła ją z tropu. Podczas całej ich podróży Graciela zawsze nosiła klejnocik przy sobie, przez cały czas, w dzień i w nocy. To była jej najcenniejsza rzecz, jedyna namacalna pamiątka po matce.

- Będę zaszczycona - szepnęła Jenny zduszonym głosem. Dobry Boże.

Przymknęła oczy i przełknęła z przejęcia ślinę. U siadła na brzegu łóżka i czekała, aż Graciela odepnie sobie serduszko i przyczepi jej do sukni. Patrzyły na siebie dłuższą chwilę, po czym dziewczynka pochyliła się, złożyła pośpieszny pocałunek na jej policzku i odbiegła w stronę okna.

Z otwartymi z wrażenia ustami Jenny dotknęła policzka i oszołomiona patrzyła przed siebie. Nawet jeśli nic innego nie zdarzy się tego wieczoru, zapamięta ten dzień do końca życia. Graciela ją , pocałowała.

- Cóż ... - odezwała się Jenny, pochylając głowę, i zamrugnęła.

Czyżby miała łzy w oczach? Nie, oczywiście, że nie. - Gdzie moja torebka i wachlarz? I gdzie jest *senora* JaramiIlo?

- Ostatnio słyszałem ją na schodach - odparł Ty. Wciąż nie spuszczał z niej wzroku. - Jenny, mój Boże. Gdybyś mogła siebie zobaczyć. Wyglądasz ...

ośniewiająco. - Jego głos był łagodny i pełen przejęcia.

Przepelniona radością wstała, wzięła z toaletki wachlarz i torebkę, po czym okryła ramiona brzoskwiniowym szalem z satyny. Na skórze czuła muśnięcia bladozielonych frędzli. Aby ukryć nagły przyływ zdenerwowania na myśl o zostawieniu Gracieli samej, zaczęła wkładać rękawiczki, ale cały czas czuła na sobie spojrzenie Ty'a, bacznie obserwującego każdy jej ruch.

- Słuchaj, co mówi *senora* Jaramillo. Nie graj w pokera na pieniądze, tylko na zapałki i pójdz do łóżka, kiedy cię o to poprosi. Nie chciałabym słyszeć, że tu paliłaś, przeklinałaś czy piłaś.

- Nie martwiłabyś się tak, gdybyś to ty kładła mnie spać.

- Graciela już się nje uśmiechała, znowu stawała się nieznośnym bachorem.

- Po prostu niepokoję się o ciebie, bo zdaję sobie sprawę z przyjętej odpowiedzialności.' Czy to mi się podoba, czy nie, stałaś się dla mnie kimś ważnym. Może sprawi ci radość fakt, że czasem wolałabym pomyśleć o własnych sprawach. Prawdę mówiąc, to ciągle troszczenie się o ciebie jest dla mnie jak wrzód na ... szyi.

- Przyszła *senora* Jaramillo. - Ty z fasonem zdjął kapelusz, skłonił się przed bratanicą i pocałował ją w czubek głowy. - Zobaczymy się rano. - Gdy dziewczynka skrzyżowała ręce na piersiach i ostentacyjnie odwróciła się do niego plecami, uniósł brwi, zacisnął usta i przywitał nową opiekunkę.

Postali jeszcze kilka minut w towarzystwie kobiety, po czym Jenny wzięła Ty'a za rękę i wyszła z nim na korytarz. Kiedy tylko zamknęły się drzwi od pokoju, przystanąła.

- Przyłóż ucho do drzwi i posłuchaj, czy Graciela nie płacze

- szepnęła.

- Skąd, rozmawiają - odparł Ty.

- Jesteś pewien, że nie płacze? - Zacisnęła dłonie. - Czuję się podle, zostawiając ją samą, chociaż zdaję sobie sprawę, że celowo starała się popsuć nam humor. Dobrze o tym wiem, ale, do diabła, jej cholerna taktyka działa.

Od razU pożałowała, że zakłęła. Instykt podpowiadał jej, że takie słowa nie przystoją kobiecie spowitej w brzoskwiniowy jedwab. Po raz pierwszy miała chęć przeprosić za coś, co robiła przez całe życie.

Ty oderwał głowę od drzwi, wziął jej twarz w dłonie i bez wahania pocałował

w usta, ucinając jakikolwiek sprzeciw. Potem spojrział w jej szeroko otwarte oczy.

- Nie będziemy dzisiaj rozmawiać ani o Gracieli, ani o Barrancasach. Nie będziemy też się łąać za zostawienie jej samej. Dzisiejsza noc należy wyłącznie do nas.

-; Dokąd idziemy? - spytała bez tchu. Serce jej biło gwałtownie i odezwała się bardziej po to, by przemoc własną słabość, niż z ciekawości. Dopóki jest z nim, a kowboj wpatruje się w nią magnetycznym, pełnym pożądania wzrokiem, dopóty nie obchodzi jej, gdzie spędzą wieczór.

Naprawdę szła na kolację? Do licha, czy to możliwe, że kawałek satyny, kilka wstążek i koronki uczyniły z niej damę? Rozsądniej jednak byłoby pamiętać, że do tej pory zajmowała się obdzieraniem bawołów ze skóry, prała innym brudną bieliznę i powoziła zaprzęgiem cuchnących mułów. Żadna brzoskwiniowa suknia tego nie mogła zmienić.

- Chodź za mną - powiedział Ty, biorąc ją za rękę.

Stanęli przy schodach i Jenny zamierzała zejść na dół, ale Ty pociągnął ją lekko w drugą stronę. Spojrzała na niego pytającym wzrokiem, Ty zaś uśmiechnął się i odparł:

- Zobaczysz.

Kiedy zatrzymał się przy drzwiach na ostatnim piętrze i włożył klucz do zamka, krzyknęła:

- Ty podły psie! I do tego potrzebna mi była nowa, droga suknia i gorset? -

Przyłożyła palce do wilgotnych od śmiechu oczu.

Ale miejsce, do którego Ty wprowadził Jenny, nie było zwykłym pokojem hotelowym. Nigdy jeszcze nie widziała apartamentu i teraz ze zdumienia wciągnęła głęboko powietrze i przyłożyła dłoń do ust.

Miała wrażenie, jakby znaleźli się nagle w jakiejś niewielkiej, bogatej rezydencji. Przez drzwi urządzonego z przepychem salonu dostrzegła eleganckie łóżko z baldachimem.

- Będziemy jeść *al fresco*. - Ty z uśmiechem poprowadził ją do kręconych schodów. Wiesz, co to znaczy?

- Nie mam zielonego pojęcia - szepnęła, zbyt podekscytowana, by się złościć, co zwykle miało miejsce, gdy używał przy niej nieznanymi słów.

- To znaczy na dworze, na świeżym powietrzu.

Schodki prowadziły do małego, wytwornego patio na dachu.

Niewysłowione piękno tego miejsca zaparło jej dech w piersiach. Setki kwiatów i kwitnących roślin w doniczkach, wijących się wokół krat i wzdłuż kamiennych poręczy, tworzyły tropikalną orgię barw i kształtów. Jenny podeszła do barierki i zerknęła w dół na odległą ulicę, by się upewnić, że to nie może być prawdziwy ogród.

Potem spojrzała przed siebie, na zachwycającą panoramę miasta skąpanego w złotych blaskach zachodzącego słońca. Ze wszystkich stron otaczała ich pustynia, w oddali zaś rysował się ciemny masyw gór. Jenny po raz pierwszy znalazła się tak wysoko. Wydało się jej, że oto szybuje ponad miastem na utkanym z kwiatów dywanie, i doszła do wniosku, że ten wieczór na zawsze pozostanie w jej pamięci.

Odwróciła się do Ty'a, by podziękować mu za tyle wspaniałych doznań, i wtedy dostrzegła przystrojony świecami stół, nakryty kolorową meksykańską zastawą i srebrnymi sztucami.

- Ja ... Ty ... To jest po prostu ...

Ty zaśmiał się, rozbawiony jej zmieszaniem. Zadowolony z wrażenia, jakie wywarł na kobiecie, kiwnął ręką do kogoś za kratą i powietrze wypełniły łagodne dźwięki gitary. Jenny odwróciła się i dostrzegła trzech meksykańskich muzyków, stojących w dyskretnej odległości od stołu. Mężczyźni uklonili się dotykając brzegów swoich *sombrero* i grali dalej.

- Ty, to jest... niewiarygodne - odezwała się Jenny i przebiegła językiem po wyschniętych ustach. Czowała się oszołomiona. - To cudowne, wspaniałe... -

Przebierała nerwowo palcami i bezradnie patrzyła na niego. - Kiedy ... to takie

... - Zabrakło jej słów.

Ty uśmiechnął się, podał jej rękę, poprowadził do stołu i szarmancko odsunął

krzesło. Następnie zdjął z jej ramion szal i położył go na ławce razem ze swoim kapeluszem. Kiedy przy okazji dotknął jej skóry, Jenny lekko zadrżała.

Usiadł naprzeciwko, a wtedy jak spod ziemi wyrósł kelner i podał wino w kryształowych kieliszkach, w których światło świec odbijało się tysiącami iskier.

- Twoje zdrowie - rzekł cicho Ty i lekko trącił jej kieliszek.

- To jest... Ja nigdy jeszcze nie ... Wiesz, czuję się, jakby mi

ścięto głowę halabardą - szepnęła. Zerknęła przez ramię, by sprawdzić, czy muzycy widzą ich zza kraty porośniętej różami. Kelner również zniknął, chociaż podejrzewała, że stoi gdzieś blisko w pogotowiu.

- Podoba ci się?

- O Boże, nawet nie pytaj. To jak ... - Nie potrafiła znaleźć odpowiedniego porównania, bo nie przeżyła jeszcze nic takiego. - Och, Ty. Dziękuję, będę wspominać ten wieczór do końca moich dni. - Zmarszczyła czoło. - Kiedy zorientowałam się, że otwierasz drzwi pokoju hotelowego, pomyślałam, że ...

Kowboj przysunął się do Jenny, podniósł jej dłoń i przyłożył do ust. Przez rękawiczkę poczuła ciepło

jego twarzy i dziękowała Bogu, że siedzi. Do tej pory żaden mężczyzna nie pocałował jej w rękę i pewnie uśmiełaby się, gdyby spróbował. Dziwne, ale teraz nie wydało się jej to zabawne.

- Jenny, dzisiejszego wieczoru otwierają się przed nami dwie drogi i wybór należy do ciebie. Możemy zjeść wspaniałą kolację, porozmawiać i wrócić do Gracieli, do naszego pokoju na drugim piętrze. Druga możliwość to miła kolacja i rozmowa, a potem wizyta w sypialni w apartamencie piętro niżej ...

- Chyba wiesz, co chciałabym robić - szepnęła z wysiłkiem. Jej ręka drżała mu w dłoni. Jenny przełknęła ślinę na wspomnienie dzikich, nienasyconych pocałunków, którymi obsypywał ją co noc przez cały tydzień, gdy Graciela spała. Nie potrafiła mówić normalnym głosem.

- Nie chcę żadnych nieporozumień, Jenny. To nie byłoby uczciwe ani dla mnie, ani dla ciebie - rzekł, wbijając wzrok w jej usta. - Sądzę, że oboje wiemy, na czym stoimy, ale nie zaszkodzi małe przypomnienie.

- Obiecałeś, że nie będę miała od tego dziecka. - Jenny wypila wino, przyglądając się mu uważnie znad kieliszka.

- Bez obaw, nie zajdziesz w ciążę. - Ty podniósł rękę i pogłaskał jej podbródek. - Bardzo cię lubię, ale zarzekaliśmy się, że żadne z nas nie nadaje się do małżeństwa. Cokolwiek się zdarzy tej nocy, nie będzie oznaczać żadnych zobowiązań. Czy zgadzamy się w tej sprawie?

- Ty sukinsynu - mruknęła i przymknęła oczy. - Ile razy oszukałeś jakąś biedaczkę podobną przemową?

- Myślę o tobie i pamiętaj, nie chcę cię zwodzić. Dzisiejsza noc jest wprost stworzona dla dwoj~a ludzi, którzy mają się ku sobie, ale to wszystko. A może się mylę? Czy źle zrozumiałem twoje intencje? - zapytał ochryplym z podniecenia głosem.

Jenny złapała jego dłoń, zanim dotarł palcami do rowka między piersiami, podniosła do ust i pieszczotliwie chwyciła zębami za palec, wyczuwając smak mydła i soli. Zduszony jęk mężczyzny sprawił jej niespodziewanie wiele radości i rozjaśnił myśli.

Opróżniła kieliszek i podskoczyła zaskoczona, gdy w tej samej chwili zjawił

się kelner, by go napełnić. Poczekała, aż zniknie, a potem pochyliła się do przodu, celowo pokazując Ty'owi piersi, jakby chciała sprawdzić jego reakcję.

- Czy muzycy i kelner słyszą, o czym rozmawiamy? - zapytała.

- Nie - odparł. Gapił się w jej dekolt i Jenny uśmiechnęła się na widok kropli potu na jego czole.

- No dobrze, kowboju - rzekła ze zdwojoną energią. - Jestem tu, bo zamierzam skończyć z tą męką, która od kilku dni doprowadza mnie do szału. Jedyne, czego od ciebie oczekuję, to zapewnienie, że przez te cholerne zabawy nie będę miała dziecka, to wszystko. Nie martw się, skonsumowanie naszego pożądanego w niczym nie ograniczy twojej pieprzonej wolności. Chcę od ciebie jedynie tej

nocy. - Kobieta poczekała, aż Ty oderwie wzrok od jej piersi i spojrzy jej w oczy. - Gdy tylko skończy się nasza podróż, rozejdziemy się bez żadnych zobowiązań. Zadowolony?

Brutalna rzeczywistość dopadła ją bez ostrzeżenia i przesłoniła słodycz muzyki i zapach kwiatów.

A więc rozstaną się, to nieodwołalne. Z oczu Jenny zniknęło wyzwanie. Naj dalej za dwa tygodnie będą musieli powiedzieć sobie do widzenia. Przystojny kowboj opuści jej życie równie szybko, jak się w nim pojawił. A co z nią, przecież nie jest już tą samą Jenny? Będzie musiała powrócić do starej rzeczywistości - trudno, poradzi sobie.

Uderzyło ją, że zostało jej niewiele czasu, aby pogodzić się z tym faktem.

- Cieszę się, że się rozumiemy - mruknął kowboj i spojrzał jej głęboko w oczy.

Mimowolnie bawił się palcami jej dłoni.

- Tylko bez żadnego sadzenia ziarenek, rozumiesz? Nie chcę bachora rujnującego mi życie - wyjaśniła oschle i zwilżyła językiem usta.

- Jesteś dzisiaj taka śliczna. - Jego uśmiech był delikatny i pewny siebie. -

Wyglądasz dokładnie tak, jak sobie wyobrażałem: zachwycająco.

- Świetnie, skoro sobie wszystko wyjaśniliśmy, chodźmy już na dół. - Jenny czuła wzrastające napięcie. - Odłożyła na bok serwetkę i zamierzała wstać od stołu, lecz zatrzymała się, gdy dostrzegła uśmiech mężczyzny. - O co chodzi? -

Uniosła brwi.

- Och, Jenny, jesteś jedyna w swoim rodzaju. Nie widziałem jeszcze takiej kobiety. Usiądź, proszę. - Powoli usiadła i Ty wziął jej rękę, zdjął rękawiczkę i pokrył jej dłoń pocałunkami. - Będziemy się kochać, obiecuję, że sprawi ci to wielką przyjemność. - Posłał jej tak żarliwe spojrzenie, że wstrzymała oddech. -

Ale nie śpieszmy się. Najpierw zjemy kolację, potem przy świecach będziemy się delektować mocną kawą i dobrym cygarem. Przyrzekłem sobie kiedyś, że do niczego między nami nie dojdzie, dopóki o to nie poprosisz. - Zdecydowany, ostry wyraz jego twarzy doszczętnie pozbawił ją sił. - I to-właśnie się stanie -

dodał cicho, mierząc głodnym wzrokiem jej usta i piersi.

Jasne, że to się stanie, powtórzyła w myślach. Zapewne jeszcze zanim dojdą do kawy i cygar. Wygląda na to, że tego wieczoru czeka ich niezła próba sił.

Wzięła głęboki oddech i zdecydowała, że nadeszła pora, by dflć się unieść nastrojowi.

- Powiedz kelnerowi, żeby pośpieszył się z jedzeniem - szepnęła.

Z początku czuła się głupio, ale po chwili nabrała pewności siebie i przypatrując się bacznie Ty'owi, zaczęła się bawić wachlarzem. Przesuwała nim uwodzicielsko po szyi i dekolcie - to otwierała, zakrywając twarz i piersi, to znów zamykała, odsłaniając kolejne fragmenty ciała. Sprawianie mu takich męczarni okazało się tak podniecające i przyjemne, że prowadziła tę grę przez resztę posiłku.

Rozmawiali o dzieciństwie, przeczytanych książkach i miejscach, w których byli. Wspominali o muzyce, której żadne z nich tak naprawdę nie rozumiało, i o farmerstwie, na którym oboje znali się wyśmienicie - lecz żadne z nich nie potrafiłoby powtórzyć choćby słowa z prowadzonej przed chwilą rozmowy.

Palcami pieścili kryształowe szkło kieliszków i dotykali ustami srebrnych sztućców. Ich kolana ocierały się o siebie pod stołem, a palce niby przypadkiem łączyły się i splatały. Jedzenie pojawiała się i znikło i gdyby ktoś ich o to spytał, nie byłoby w stanie powiedzieć, czy coś jedli, czy też kelner zabierał z powrotem nietknięte talerze.

Kiedy na stole stanęły filiżanki z aromatyczną kawą, oboje siedzieli jak na szpilkach, rozpaleni żądzą, i marzyli o chwili, gdy ich ciała wreszcie się połączą. Napięcie Jenny rosło z każdym słowem i prowokującym spojrzeniem Ty'a. Jego zapach, widok i naj mniejszy gest pociągały strunę, która łączyła się z jej wilgotnym, gorącym wnętrzem.

- Błagam cię, Ty -: szepnęła ochryple i przymknęła drżące powieki. - Proszę, weź mnie, zanim umrę z tęsknoty i pożądania. - Powiedz to jeszcze raz - zażądał szorstko.

- Błagam cię, błagam, błagam.

Jakby tylko czekał na te słowa. Poderwał się z miejscCa tak gwałtownie, że przewrócił krzesło, podniósł ją i przerzucił sobie przez ramię. A potem, trzymając ją jedną ręką za pośladki, zniósł po kręconych schodkach, nie zważając na jej słabe protesty i bezradny śmiech. Wreszcie postawił ją przy łóżku

z baldachimem. Kiedy ujrzała jego płonący wzrok i wąską linię zaciśniętych ust, przestała się śmiać, a jej ciało przebiegł I słodki dreszcz oczekiwania. Słaniając się na nogach, oparła mu ręce na piersi. Wtedy zdało jej się, że czuje, jak przez rękę przenika jego ciepło i dociera aż do jej walącego jak oszalałe serca.

- Och, mój Boże - jęknęła. - Tak bardzo dygoczę, że zaraz ...

- Nie ruszaj się - poprosił niskim z żądz głosem. - Pozwól, żebym cię rozebrał..

- Czy masz zamiar ... Będziesz mnie całą całować, jak opowiadałeś? - Jenny przełknęła ślinę, walcząc o oddech.

- Caluteńką, od stóp do głów - obiecał pożądlawie. Zręcznymi palcami rozpiął

suknię, nie odrywając ust od jej szyi. Potem opuścił głowę i Jenny poczuła między piersiami jego język.

Z jękiem opadła na krawędź łóżka, jakby trafiona z pistoletu.

Brakowało jej tchu. Oszołomiona, dostrzegła wokół łóżka płonące świece, lecz nie miała siły zastanawiać się, kto i kiedy mógł je zapalić.

- Odwzajemnię ci się tym samym - obiecała, dochodząc do wniosku, że jemu też się coś należy. Na myśl o tak szalonych wyczynach kręciło się jej w głowie, a może tylko był to efekt nie . mających końca dotknięć, muśnięć warg i pocałunków.

Pomimo nastroju uniesienia nie opuszczało jej uczucie niedosytu.

Przez cały długi tydzień Ty drażnił ją pieścotami i rozpalał. Nie zniesie tego ani minuty dłużej. Odsunęła się od niego, wysliznęła z 'brzoskwiniowej sukni i odrzuciła ją daleko na bok.

- Pośpiesz się, błagam - ponagliła, dysząc przy ściąganiu kolejnych części ubrania.

Gdy na nowo podniosła wzrok, przeklinając ze złości, że drżące palce nie mogą rozpiąć haftek gorsetu, Ty był już nagi.

- O mój Boże. - Z ust Jenny wyrwało się przeciągłe westchnienie.

Nigdy nie spodziewałaby się, że przyjdzie jej podziwiać nagiego mężczyznę, jednak Ty wydał się jej taki przystojny i męski - bezsprzecznie piękny. Był

smukły i cudownie umięśniony, blady pod ciemnym zarostem ciągnącym się od piersi w dół.

- Och, Ty - bezwiednie wymówiła jego imię; zabrzmiało to jak błaganie. - Ty.

Zarzuciła mu ręce na szyję i przywarła do niego ustami w długim, namiętym i gorącym pocałunku, aż poczuła, że dusza jej śpiewa, a całe ciało drży z radości. Przyciągnął ją mocno i władczo i Jenny omal nie zaszlochała z ulgi -

dzisiejszej nocy nie wróci do łóżka nie zaspokojona, wreszcie pozna go do końca. I tym razem nie muszą zachowywać się cicho i ostrożnie.

Ciasno spleceni upadli na materac i przewracali się w pościeli, nie zważając na skrzypienie łóżka ani własne okrzyki. Palce Ty'a okazały się bardziej zwinne niż jej, bo w kilka sekund rozpiął jej gorset i rzucił go za siebie. A potem, o Boże, poczuła jego usta na piersiach. Całował ją, ssał i lizał, doprowadzając do szaleństwa kolejnymi falami, które ogarniały ją jak wznagający się sztorm i zalewały gorącą rozkoszą.

Już nie musieli czekać, już nic nie stało na przeszkodzie do ostatecznego spełnienia, kiedy ich ciała drżały jak w gorączce. Dyszeli z pragnienia i Jenny wykrzyknęła głośno jego imię, gdy poczuła pierwsze, głębokie pchnięcie.

Oczekiwała kilku gwałtownych ruchów, po których miał nastąpić szczyt i wyciszenie, ale nic takiego się nie stało. Otworzyła oczy ze zdziwienia i objęła go mocniej, gdy nie przestawał jej całować, a

ich ciała kołysały się w ekscytującym rytmie, który przybierał na sile, zamiast opadać. Czegoś takiego nigdy nie zaznała. Nie czuła bólu, a wszystkie inne myśli przesłonił Ty, który w przedziwny sposób zdołał obudzić i doprowadzić do wrzenia jej zmysły i ciało.

Między udami narastało nie znośne napięcie, aż eksplodowała wybuchem niewysłowionej rozkoszy.

Półprzytomna z błogiego zmęczenia, opadła bez sił. Jak za mgłą uświadomiła sobie, że Ty wycofał się, zanim ogarnęły go dreszcze. Jedyne, co pamiętała, to że przytulił ją mocno i niskim głosem kilkakrotnie jęknął jej imię.

Przez dłuższy czas nie byli zdolni się poruszyć - spleceni w uścisku czekali, aż uspokoją się ich oddechy, a serca przestaną bić jak oszalałe. To również było dla niej nowością. Dotychczas sądziła, iż mężczyzna, zaspokoiwszy swe żądze, odrywa się od kochanki, zapina spodnie i odchodzi. I tyle. Ale nie tej nocy, nie ten cudowny, twardy, a jednocześnie nieskończenie czuły młodzieniec.

Po jakimś czasie oderwali się od siebie i Ty zapalił cygaro dla obojga -

zaciągali się nim z przyjemnością. Jenny oparła mu głowę na ramieniu i nawet jej nie dziwiło, że oto leżą koło siebie nadszy i nieskrępowani. Mogła myśleć jedynie o chwili obecnej, która wydała się jej czymś najlepszym, co spotkało ją w życiu.

- Chciałabyś coś jeszcze? Kawy, tequili, a może trochę wina?

- Jego głos wypełniało leniwe zadowolenie.

- Nie - odparła po namyśle. Póki byli razem, nie potrzebowała niczego. -

Dobre cygaro - dodała. Nie miała pewności, czy naprawdę jest dobre, ale niewiele ją to obchodziło.

- Właśnie tak sobie ciebie wyobrażałem - mruknął jej Ty do ucha. -

Mlecznobiała, gdzie słońce nie dochodzi, i ognistoruda na dole. A czy ja sprostąłem twoim oczekiwaniom?

- Och, tak, jesteś wspaniała - odparła żarliwie i zdziwiła się, gdy Ty się zaśmiał. - Ale ...

- Co takiego?

- Cóż, może jestem odrobinę zawiedziona, że nie doszliśmy do całowania; przyznam, że oczekiwałam tego - powiedziała i nieśmiało przytuliła się do kochanka: Za każdym razem, gdy o tym myślała, nie mogła uleżeć spokojnie. - To takie osobliwe i niewiarygodne, że po części może i się cieszę, że tego nie zrobiliśmy. Nic takiego nie przeżyłam, więc ...

- Naprawdę myślałaś, że to już koniec? - Śmiech Ty'a przerwał jej w pół

zdania. Wyjął cygaro z jej ręki i zgasił w popielniczce. - Jenny, kochanie ... to był dopiero początek - rzekł obiecująco i pocałował w skroń. - Jeszcze dojdziemy do pieszczot i pocałunków w miejsca, o

których nawet nie śniłaś.

- Dojdziemy? - Otworzyła 'szeroko oczy, a jej serce zabiło gwałtownie. - Po całym ciele?

- Wszędzie - odparł ochryple i odwrócił ją twarzą do siebie. Zaczął od ust, drażniąc językiem kąciki warg i nie pozwalając się pocałować, mimo że usilnie tego próbowała. Potem musnięciami lekkimi jak płatki róż obsypał jej szyję, a po jakimś czasie przeszedł do piersi; całował, ssał, pieścił i lizał każdy zakątek jej ciała, wprawiając Jenny w upojne drżenie.

- Uwielbiam to robić - mruknął i przesuwał głowę wciąż niżej i niżej. Jenny miała ochotę krzyknąć, zdawało się, że umrze z nadmiaru doznań i rozkoszy.

Potem przyszła kolej na nią i tym razem to ona pieszczotami doprowadzała go do szaleństwa.

Gdy świt zaczął skradać się nad miastem, oszołomieni wracali do pokoju, wpatrując się w siebie z zachwytem i zakłopotaniem.

Przed drzwiami Ty ujął jej twarz w dłonie i pocałował delikatnie.

- Dziękuję za wspaniały wieczór, którego nigdy nie zapomnę

- szepnął.

- Nie patrz na mnie, pewnie przedstawiam sobą okropny widok

- Jenny starała się wygładzić pośpiesznie włożoną suknię.

- Wyglądasz na kobietę, która zna się na miłości. - Uśmiechnął

się i przekręcił klucz w zamku.

Po raz pierwszy w ich rozmowie padło słowo "miłość", lecz nie zwrócili na to uwagi. Gdy weszli do pokoju, obudzili żonę właściciela hotelu i odprowadzili ją do drzwi. Potem, całkiem nieświadomie, Ty na oczach Jenny rozebrał się, włożył bieliznę i, zanim wskoczył do łóżka, lekko pocałował dziewczynę. Po chwili już spał.

Z uśmiechem na ustach Jenny rozebrała się w szarej poświacie poranka i poszukała koszuli nocnej. Zanim jednak położyła się obok Gracieli, podeszła do okna i odszukała na niebie znajomą gwiazdę.

Margarito, niechcący źle cię osądziłam i chciałabym cię za to serdecznie przeprosić. Pomyślałam sobie, że musisz być niespełna rozumu, skoro tak lekkomyślnie oddałaś się Robertowi i ryzykowałam zajściem w ciążę. Wydawało mi się oczywiste, że spotkało cię to, na co zasłużyłaś. Sądziłam, że jestem od ciebie lepsza, bo mam za dużo oleju w głowie, żeby zrobić coś tak głupiego.

Cóż, pomyliłam się. Nie wyobrażałam sobie, jak to może być między kobietą i mężczyzną. Jeżeli przeżywaliście z Robertem to samo, co dzisiaj ja z Ty'em, potrafię zrozumieć, dlaczego byłaś gotowa poświęcić dla niego wszystko.

Wybacz, Marguarito, nie miałam pojęcia.

Poszła w stronę łóżka, ale zawróciła jeszcze ku oknu i ostatni raz spojrzała na blednącą już gwiazdę.

Marguarito? Mam nadzieję, że Robert też cię całą całował, od stóp do głów.

To takie niesamowite! Żal, żebyś została aniołem nie zakosztowawszy tego.

Może to niestosowny temat do rozmowy, ale wydaje mi się, że bardzo by ci się to spodobało.

Jenny ziewnęła i przeciągnęła się. Dobranoc, moja przyjaciółko.

Jutro rano odezwę się do ciebie z El Paso. Stamtąd rozpoczniemy ostatni etap naszej podróży.

Wchodząc do łóżka żalowała, że powiedziała ostatnie zdanie.

Przytuliła się do Gracieli i wdychając słodki zapach jej włosów; uśmiechnęła się na odgłos pochrapywania, który dobiegał z sąsiedniego łóżka.

Marzyła, by tak było wiecznie, cała ich trójka razem, jak prawdziwa rodzina.

Nagle poczuła skurcz żołądka i uścisk w gardle, a na dnie duszy gorzką pustkę.

16 ~

Wszystko szło po ich myśli. Nawet jeśli pociąg się spóźni, co było bardzo prawdopodobne, przybędą na dworzec El Paso DeI Norte jeszcze przed kolacją.

- Przekroczymy rzekę Rio Grande i znajdziemy hotel już po amerykańskiej stronie, w El Paso - wyjaśnił Ty Gracieli. - A jutro rano wsiądziemy do pociągu Southern Pacific, jadącego do San Francisco, i najdalej za tydzień będziemy w domu.

Kiedy odpowiadał bratanicy na kolejną lawinę pytań, spojrzął na Jenny.

Siedziała naprzeciw nich z głową opartą o szybę i drzemała, zupełnie nie zważając na panujący w środku upał i hałas. Jakie to do niej niepodobne! Z

rozbawieniem podszytym dumą przebiegł oczami po jej dopasowanym żakiecie.

Jej głęboki sen schlebiał mu i szczerze wzruszał - był oczywistym dowodem wyczerpującej nocy. Zresztą i on sam czuł się tego zmęczony; z pewnością nie odmówi sobie później godzinnej drzemki.

Boże, ależ z niej wspaniała kobieta. Z przyjemnością obserwował pogrążoną we śnie istotę. Poprzednia noc przeszła jego naj śmielsze oczekiwania. Jenny okazała się kochanką pełną pasji i entuzjazmu, niepohamowaną i królewsko szczodłą w uczuciach - z radosną gotowością odwzajemniała wszystko, czego się nauczyła. Nigdy jeszcze nie posiadał kobiety o tak doskonałych kształtach i proporcjach - szczupła i jędrna, a jednocześnie rozkosznie zaokrąglona gdzie trzeba. A

jak żywiołowo reagowała na jego pieszczoty ... Na myśl ojej dzikiej uległości poczuł ściskanie w dołku. Musi coś wymyślić, by dzisiejszej nocy znowu byli razem.

- Wujku Ty? - Graciela pociągnęła go za klapę marynarki.

- Nie słuchasz, co mówię.

- Opowiadałaś mi o swojej koleżance, Cordelii.

- O Consueli!

Zasepił się nagle. Do opieki nad bratanicą nie może wynająć byle kogo.

Ciężką sprawą było znalezienie opiekunki w tak krótkim czasie, a co więcej, ustalenie jej wiarygodności. Nie przestawał o tym myśleć, chociaż cały problem wydawał mu się poniekąd irytujący i śmieszny. A jednak wszystko, co się wiązało z Gracielą, budziło w nim żywe uczucia, których nawet nie potrafił

bliżej sprecyzować; pełne ufności spojrzenie dziewczynki wyzwalalo w jego duszy całe pokłady ciepła i opiekuńczości.

Niespodziewanie przypomniał sobie powiedzenie matki: "Chłopiec staje się mężczyzną w dniu, gdy weźmie do rąk swoje pierwsze dziecko". Święta prawda, pomyślał i spojrzał na Gracielę. Trzeba dziecka, żeby przemienić nieopierzonego młodzieńca w mężczyznę. Trzeba też i kobiety, bardzo wyjątkowej kobiety.

Przez następne dwie godziny chodziły mu po głowie różne dziwne myśli, gdy raptem w pociągu rozpętało się piekło.

Pierwszą eksplozję Ty wyczuł pod stopami na chwilę przed tym, jak ogłuszył

go wybuch dynamitu. Koła pociągu zablokowały się, a wagony z nieprawdopodobnym zgrzytem zaczęły wpadać jeden na drugi. Wybuch wyrzucił z ławki Jenny - wyrwana gwałtownie ze snu, skoczyła na równe nogi z paniką w oczach. Wokół nich rozlegały się przeraźliwe krzyki, po wagonie biegali w popłochu ludzie i zwierzęta, a pod nogami walały się porzucone torby, pudełka i koszyki.

Ty starał się przytrzymać w miejscu Gracielę i Jenny, lecz zadanie okazało się niewykonalne, gdy wagon zaczął podskakiwać na jednej osi; tylko zacisnął zęby i soczyście zaklął. Tymczasem za oknem buchnął obłok szaro-białej pary i kowboj dostrzegł wyłaniające się z mgły znajome sylwetki jeźdźców na koniach. Palce Jenny wbiły mu się w ramię i zrozumiał, że i ona poznała Luisa Barrancasa.

Na przodzie składu lokomotywa z hukiem wyskoczyła z szyn, zjechała z nasypu i zaryła głęboko w piasek pustyni, by wreszcie jak ranne zwierzę przewrócić się na bok. Pociągnęła za sobą następny wagon, kolejny zaś przechylił się i spadł w przeciwną stronę. Gdy ustał piekielny hałas i wagony się zatrzymały, Ty dziękował w duchu opatrności, że usiedli na końcu -

wprawdzie ich wagon pochylił się ostro, ale się nie przewrócił.

Odsunął lenny, znalazł juki i otworzył jedną z kieszeni.

- Trzymaj. - Wsadził w jej dłonie pistolet i pudełko z nabojami. Zsunęła z głowy kapelusz i spokojnie zaczęła ładować broń.

- Potrzebujemy koni - rzekła.

Ty kiwnął głową. Nie zaskoczyło go, że odgadła jego myśli, jakby czytała z otwartej księgi.

- Zostań na miejscu - rzucił Gracieli, która poprawiła kapelusz i rozglądała się z bladą twarzą i przerażeniem w oczach.

- Poczekaj, aż po ciebie wrócimy - dokończyła lenny. Wstając z miejsca kopnęła przestraszonego kurczaka. - Chodźmy.

Działali szybko i zdecydowanie, jakby wszystko wcześniej uzgodnili. lenny udała się na tył wagonu, zostawiając swemu towarzyszowi przednie wyjście.

Gdy znalazł się na przekrzywionym pomoście między wagonami, usłyszał

pierwszy strzał; powaliła jednego z jeźdźców. Buchająca spod kół para gryzła go w oczy, ale kryła przed wzrokiem napastników. Niestety, on również nie widział zbyt wyraźnie Barrancasów.

Zeskoczył na ziemię, pobiegł przez syczące obłoki i strzelał na oślep do przemykających postaci. Spośród trzech mężczyzn, którzy szarżowali w jego stronę, jednego ciężko zranił, drugiego zaś posłał do Pana Boga. Tylko trzeci pozostał bez szwanku - odwrócił się i zrejterował na koniec pociągu.

Ty również się cofnął, wspiął się z powrotem na pomost, przekradł na drugą stronę i zeskoczył na ziemię. Poprzez tumany kurzu i obłoki pary dostrzegł

lenny. Trzymała za wodze dwa konie, gniadego i karego, i starała się trafić zmierzającego wprost na nią jeźdźca. Ty pognał jej na odsiecz i oto już po chwili oboje strzelali do napastnika. Skutecznie, bo jeździec wnet zachybotał się i runął z siodła, zaplątując nogę w strzemień. Spłoszony koń skoczył do przodu i pogalopował w stronę pustyni, wlokąc za sobą Meksykanina.

- Przecież mówiliśmy, żebyś została w wagonie! - zwrócił się Ty do dziewczynki.

Zanim się odwrócił, lenny już wsadziła Gracielę na konia i szamocząc się z fałdami sukni, starała się usiąść za dziewczynką. Kowboj poczekał, aż rzuci mu cugle karego wierzchowca, po czym wskoczył na siodło i krzyknął:

- W drogę!

Gdy znaleźli się o dobre dwie mile od pociągu, Ty zaczął się zastanawiać nad dwiema znaczącymi sprawami. Po pierwsze, Graciela ich nie posłuchała i wyskoczyła z pociągu. Dobrze, że chociaż

zabrała ze sobą dwa juki, które wisiały teraz przytroczone do gniadosza. Po drugie, dostał paskudny postrzał w bok.

Przede wszystkim musieli znaleźć odrobinę cienia. Gdy lenny spostrzegła w oddali dwa wysokie kaktusy, krzyknęła do Ty'a i skierowała konia w tamtą stronę.

- Jest ciężko ranny? - spytała Graciela chyba po raz setny i zerknęła na Jenny.

- Do jasnej cholery, nie wiem! Proszę cię, Gracielo, bądź już cicho. Tak jak i ty martwię się o niego, ale nie jestem jasnowidzem. Już niebawem dowiemy się wszystkiego.

Niestety, nie wyglądało to najlepiej, wiedziała o tym. Czarne wizje paraliżowały jej myśli i ciało - była śmiertelnie przerażona.

Choć nie przypuszczała, żeby ruszył już za nimi pościg, przez bite dwie godziny jechali ostrym tempem na północ, pokonując połacie jałowej ziemi, na którą od kilku miesięcy nie spadła ani kropla deszczu. Teraz jednak stało się jasne, że nie mogą posuwać się dalej.

Prawy bok Ty'a pokrywała rdzawa plama zakrzepłej krwi. Już pół godziny wcześniej ranny nagle pochylił się w siodle i Jenny wstrzymała oddech z obawy, że upadnie na ziemię. W jej głowie odbijał się jeszcze echem stukot kół

pociągu, ale wkrótce zamiast "stuk-stuk" słyszała tylko „O Boże-O Boże”.

Proszę, niech nie umiera, błagam. Zrobię wszystko, co chcesz, byle tylko przeżył, powtarzała w kółko półgłosem, zupełnie nieświadoma, że to robi.

- Przywiąż konia. - Jenny zeskoczyła z siodła, pomogła zejść Gracieli i podała jej cugle. Trzęsącymi się palcami rozpięła popręg i zrzuciła siodło na ziemię, po czym zniosła je w stronę kaktusów. Następnie przywiązała rozpostartą derkę do grubych, zielonych pni, a pod ten prowizoryczny baldachim wciągnęła siodło. Dzięki Bogu mieli choć manierkę, ale poza tym zabrali ze sobą niewiele przydatnych rzeczy.

Kary koń ze słaniającym się w siodle Ty'em przeszedłby obok niej, gdyby nie podbiegła i w ostatniej chwili nie chwyciła za cugle, które ciągnęły się luzem po ziemi. Krzyknęła do Gracieli, żeby zajęła się również drugim wierzchowcem, podczas gdy ona złapała rannego, kiedy niezgrabnie starał się zsiąść.

- Tędy. - Wskazała ręką i wzięwszy go pod ramię, zaprowadziła do skromnego zadaszienia. Położyła go w cieniu i oparła mu głowę o siodło. Dopiero wtedy zdała sobie sprawę, że z trudem łapie oddech, a jej serce wali jak oszalałe. Ty był ranny, i to poważnie.

- W czym ci pomóc? - zapytała Graciela cienkim, piskliwym głosem.

- Sprawdź, czy jest manierka przy drugim koniu, a zresztą przynieś wszystko, czego dosięgniesz.

- Ta rana jest paskudna, Jenny. - Ty otworzył oczy i przyłożył dłoń do boku.

-,- Wiem o tym, kowboju. Obejrzymy ją sobie. - Jenny zacisnęła usta, pomogła mu zdjąć marynarkę, wzięła głęboki wdech i rozpięła koszulę. - To nie jest zwykłe zadraśnięcie - rzekła po minucie. - Pochyl się, chcę zobaczyć, czy kula przeszła na wylot.

Niestety, jej nadzieje okazały się płonne. Zwiesiła głowę, a z jej ust popłynął

potok przekleństw. Zamilkła dopiero na widok Gracieli, która włożyła w jej drżące ręce drugą manierkę.

- Proszę. - Dziewczynka podała jej również butelkę wódki z agawy. Trunek był diabelsko mocny i Jenny ucieszyła się, że go mają.

Nie zwlekając wyciągnęła korek zębami i podała butelkę rannemu.

Ty kiwnął z wdzięcznością głową, pociągnął spory łyk i otarł usta dłonią.

Usiadły przy nim, Graciela z jednej strony, a Jenny z drugiej. - Ta kulka mogła mnie posłać w zaświaty. Nie dam się ... ale mogła.

- Dosięgnie cię, jeśli szybko nie znajdziemy pomocy - stwierdziła rzeczowo Jenny.

- Ja cię zszyję, jestem w tym dobra! - zaproponowała Graciela.

- Kochanie, ta rana jest inna. - Jenny potrzebowała chwili na dojście do siebie; - Kula musi najpierw wyjść z ciała.

- Wyjmiemy ją! - Dziewczynka splotła ręce ze zdenerwowania.

Z oczu popłynęły jej łzy i zaczęło kapać z nosa.

Kiedy Jenny spojrzała Ty'owi w oczy, już wiedział, co chce powiedzieć.

Patrzyli na siebie przez dłuższą chwilę.

- Możemy o tym pomówić, ale nie sądzę. Jeśli popełnię choćby najmniejszy błąd, Ty umrze. - Nie wspomniała o najgorszym, bo nie przeszłoby jej to przez gardło. Nawet jeśli uda się jej wyjąć kulę, Ty stracił już zbyt wiele krwi, by kontynuować podróż. Kowboj nigdzie nie pojedzie.

- Musisz spróbować! Jenny, musisz wyjąć tę kulę! Pomogę ci!

- Graciela ciągnęła ją za rękaw.

- Kochanie, nie możecie tu zostać. - Ty przeniósł wzrok z Jenny na dziecko i chwycił ją za rękę. - Wśród mężczyzn, którzy wysadzili pociąg, był

Luis, ale go nie dopadliśmy. Nie przestanie nas ścigać. - Nie ruszymy się, nie zostawimy cię samego!
- zawodziła dziewczynka.

- Gracielo, zrozum, są tylko dwie manierki. Wody wystarczy co najwyżej na kilka dni, nawet jeśli będziemy ją racjonować. Nie mamy jedzenia. Nawet gdyby Luis nas nie ścigał, tutaj czeka was pewna śmierć.

Boże, Boże, Boże. To słowo jak magiczne zaklęcie kołatało po głowie Jenny, tłumiąc krzyk podchodzący jej do gardła.

- Dziecko, co najmniej przez tydzień Ty będzie potrzebował opieki. - Zmusiła się do mówienia spokojnym tonem. - Nie wystarczy nam jedzenia, pozostanie tutaj oznacza samobójstwo.,

- Ale umrze, jeśli go zostawimy! - Graciela zaszlochała.

Jenny sięgnęła ponad pokrwawioną koszulą rannego, chwyciła dłoń dziewczynki i lekko ją ścisnęła. Z trudem przełknęła ślinę.

- Chcę cię poprosić o ~oś, na co naj pewniej nie będziesz miała ochoty.

- Co takiego?

- Chcę cię poprosić, żebyś stanęła przy koniach i pozwoliła porozmawiać mi na osobności z twoim wujkiem.

- Nie chcę. - Mimo to dziewczynka wstała i powoli oddaliła się w stronę wierzchowców. Tam zatrzymała się i przestępując niecierpliwie z nogi na nogę, obserwowała ich z oddali.

Jenny napiła się wódki i oddała butelkę Ty' owi. Chwyciła mocno jego dłoń i potrząsnęła nią.

- Pij, kowboju. Zanim zacznę ci grzebać w brzuchu, musisz być pijany jak świnia. Jedyne, co mogę zrobić, to spróbować. Lepiej, żebyś ja cię zabiła, niż miałyby to zrobić Luis czy pustynia.

- To nie ma sensu, po co mamy oboje przez to przechodzić?

- Teraz Ty ścisnął jej rękę. Poważny wyraz jego twarzy świadczył

o tym, że wie, co go czeka. - Musisz uciekać w bezpieczne miejsce. Zostaw mi tylko wodę i naładowany pistolet.

- Ty, nie wiem, czy potrafię. - Boże, Boże, Boże. Spojrzała mu w oczy. - Tak po prostu odjechać i zostawić cię na pastwę losu? - Głos jej się łamał i kilka razy zamrugnęła, by powstrzymać łzy.

- Posłuchaj mnie, kochanie. To głupota czekać we trójkę na sępy. Wiesz, że mam rację. - Zacisnął usta i zamilkł na chwilę. - Jak myślisz, jak daleko stąd do najbliższej wioski?

- Przecież tędy jechałeś. Między Chihuahua a El Paso DeI Norte jest tylko pustynia. Żadnej miejscowości, gdzie można znaleźć chirurga czy choćby zwykłego lekarza. Przy odrobinie szczęścia spotka się co najwyżej lokalnego szamana.

- Musisz radzić sobie sama. Ja nie pojedę, w żadnym razie nie wsiadłbym na konia. - Pokręcił głową.

- Nie mogę tego zrobić, Ty. Nie zostawię cię rannego na pustyni. Nie potrafię.

- Jenny patrzyła na niego z rozpaczą.

- Zrozum, jeśli zostaniesz, Graciela umrze z głodu i pragnienia.

Skazałabyś ją na śmierć w męczarniach? - Uścisk jego dłoni stał się mocniejszy.

- Ktoś może nadjechać i ...

- Równie dobrze nie zobaczymy nikogo, albo, co gorsza, zabłądzi tu jakiś cholerny kuzyn Barrancasów. Luis nadal nas szuka, chyba że go zabił.

Pokręciła głową, przeklinając Luisa Barrancasa.

- Jenny, spójrz na mnie. Dałaś słowo. Obiecałaś dostarczyć ją całą i zdrową Robertowi. Więc wsiadaj na konia i zabieraj się stąd, póki możesz. Myślisz, że chcę, byście patrzyły, jak umieram? Wynoście się, do ciężkiej cholery!

Jenny jęknęła i pochyliwszy się, zaciekle biła pięściami o ziemię.

Jeśli zostanie, może uratować mu życie. A nuż ktoś będzie tędy przejeżdżał z wodą i jedzeniem.

- Jenny, między nami wiele się wydarzyło, ale nic sobie nie przyrzekaliśmy -

odezwał się Ty cicho. - Jednak ty obiecałaś coś kobiecie, która za ciebie zginęła.

- Och, zamknij się, myślisz, że nie pamiętam? - wrzasnęła Jenny i podniosła głowę. W tej chwili nienawidziła Gracieli, bo gdyby nie obawa o życie dziecka, żadna siła nie odciągnęłaby jej od kochanka. Co robić? Dała słowo umierającej kobiecie i jakby tego mało, teraz konający mężczyzna upomina ją, by dotrzymała przysięgi.

- I ja przyrzekałem bratu. Teraz polegam na tobie. Dopilnujesz wypełnienia obu obietnic, mojej i twojej.

- Wiem o tym, doskonale się orientuję. Och, Ty. Och, Boże drogi. - Wbijając palce w pustynny piasek, spuściła głowę i poczuła pieczenie w oczach. - Nie umieraj - szepnęła. - Przyślę tu kogoś po ciebie. Tylko nie umieraj, trzymaj się.

- Oto moja dzielna dziewczynka - powiedział i pociągnął kolejny łyk z butelki. -

Jenny? Nie mam prawa o to prosić, ale czy ... Kiedy dotrzesz na rancho, poczekaś na mnie miesiąc? Zrobisz to? - Jego twarz wykrzywił grymas bólu. -

Czuję, że szczęście mnie nie opuści i wkrótce po ciebie przyjadę.

- Ty głupi sukinsynu! - Podniosła głowę, a w jej oczach błyszczały łzy. -

Musiałeś dać się tak idiotycznie postrzelić? - Uklęła i pocałowała go mocno w usta. Wciąż patrzyła mu w oczy, kiedy wołała do Gracieli: - Chodź tu i pożegnaj się z wujkiem. Ruszamy w drogę.

- Nie! Nie zostawię cię! - Dziewczynka podbiegła i upadła obok niego na kolana. - Będziemy zawsze razem!

- Jedź z Jenny. Dołączę do was później - rzekł Ty i dotknął policzka dziewczynki.

- Błagam cię, nie umieraj, wujku Ty! Proszę cię, nie umieraj!

- Z oczu Gracieli płynęły ciurkiem łzy, ;;;- Będę się za ciebie modlić.

- Czy chcesz coś przekazać Robertowi albo swojej matce?

- spytała lenny zdławionym głosem, patrząc na niego z góry.

Rozmowa sprawiła, że był coraz słabszy, ona zaś ... Cóż, ją to po prostu zabijało. Jego blada twarz, krople potu na czole i górnej wardze, zakrzepła krew na koszuli ... Nie, nie zniesie tego dłużej. O Boże, Boże, Boże!

- Powiedz im, że ... do diabła, powiedz im tylko, żeby zaopiekowali się moimi dziewczynami. - Oczy mężczyzny nakazywały jej czym prędzej wyruszać, a przez krótki moment pojawił się w nich ból, kiedy Graciela rzuciła mu się z płaczem na szyję.

- Masz wszystko, co trzeba? - spytała szeptem Jenny. Podniosła Gracielę i wzięła ją na ręce. Na jego kolanach dostrzegła manierkę i pistolet oraz butelkę wódki. Zauważyła też, ile wysiłku Ty wkłada w to, żeby pozostać do końca przytomnym.

~ Jedźcie już - mruknął słabo. Język zaczynał mu się plątać.

- Ty? Dziękuję za ... wszystko. Kocham cię - szepnęła Jenny.

Wpatrywała się w niego, starając się na zawsze zapamiętać ten obraz.

Spuścił głowę i nie była pewna, czy ją usłyszał. Instynkt nakazywał jej zostać, wszak jej potrzebuje - trzeba mu wyjąć kulę i otoczyć troskliwą opieką. To dobry człowiek i zasługuje na coś lepszego niż samotna śmierć na odległej meksykańskiej pustyni.

- Znajdę jakąś wioskę i przyślę kogoś z pomocą, obiecuję! Obiecuję. Nigdy jeszcze to słowo nie wydało się jej bardziej zniechęcające. Oślepiąca rozpacz i łzami, wsadziła Gracielę na

karego konia, podciągnęła spódnicę i usiadła za dzieckiem, a potem, nie oglądając się pogalopowała przed siebie.

Ty usiłował za wszelką cenę nie zamykać oczu i patrzył za nimi tak długo, aż upodobniły się do pyłku

kurzu na horyzoncie. Do tego czasu łagodził ból wypijając resztę wódki. Cisza okryła śmiertelnym całunem całą okolicę.

Jego szanse wyglądały marnie, dobrze o tym wiedział. Obliczył, że z pełną manierką wytrwa być może ze cztery dni, jeśli, rzecz jasna, nie będzie się zbyt forsował. Czuł się tak słaby i stracił tyle krwi, że prawdopodobnie pozostało mu znacznie mniej czasu. Ale był przecież zdeterminowanym i twardym sukinsynem, nie podda się tak łatwo.

Poprawił głowę na siodle, otworzył oczy i dostrzegł trzy sępy, które krążyły o milę od niego. Zaciśnął dłoń na rękojeści pistoletu.

Miał wystarczającą liczbę nabojów, by odstraszyć drapieżniki, przynajmniej na jakiś czas. Problemem może się okazać nocny chłód oraz nieznośny upał za dnia, nie mówiąc o braku pożywienia.

Zamknął oczy, a głowa opadła mu bezwładnie na piersi.

Do diabła. Powinien był powiedzieć, że ją kocha. Powinien był powiedzieć im obu.

Dopiero w momencie, gdy odjeżdżały, dotarła do niego bolesna prawda.

Podobnie było z ojcem; staruszek zdążył umrzeć, zanim Ty zdał sobie sprawę, że go kocha. Teraz w obliczu własnej śmierci rozpoznał uczucia, z którymi walczył od tygodni.

Niech to wszyscy diabli, powinien był im powiedzieć. Pistolet wypadł mu z dłoni i Ty powoli przekręcił się na bok.

Zaszło słońce i zapadła noc, a Jenny wciąż jechała. Wtulona w jej ramiona Graciela już dawno zasnęła, zresztą i ona zapadała od czasu do czasu w krótką, niespokojną drzemkę, budząc się panicznym zrywem i zastanawiając, jak długo spała. W końcu tuż przed świtem dobiegły ją znajome zapachy wioski i skręciła na wschód w stronę pierwszej napotkanej osady.

Zarośnięty zielskim plac z nieczynną fontanną otaczało kilkanaście chat. To jej wystarczyło. Zatrzymała się przed najbliższą i zsiadła z konia, zataczając się ze zmęczenia.

- *Por favor*, potrzebuję pomocy - wyszeptała do mężczyzny, który wyjrzał zza drzwi obitych bawołą skórą. - Mam pieniądze, *senor*, zapłacę, tylko błagam ...

proszę mi pomóc.

Mężczyzna długo patrzył w jej przekrwione z wyczerpania oczy, przebiegł

wzrokiem po pogniecionym i poplamionym krwią ubraniu, a na koniec rzucił

okiem na Gracielę, śpiącą wciąż na koniu.

- Mój dom jest twoim domem, *senora* - powiedział wreszcie i otworzył

szeroko drzwi.

- *Gracias, señor, gracias.* Moje dziecko - rzekła i oparła się z ulgą o framugę.

Mężczyzna krzyknął coś i z chaty wyszła kobieta. Mijając Jenny posłała jej zaciekawione spojrzenie, po czym podbiegła do Gracieli i pomogła jej zsiąść z konia.

Jenny najpierw zajęła się dzieckiem - dopilnowała, by dziewczynka dostała jeść i się umyła. Zanim jednak sama skosztowała potrawy przygotowanej naprędce przez gospodynię, wyszła z jej mężem na podwórze.

- Ranny jest o półtora dnia jazdy stąd. - Opowiedziała mu o Ty'u drżącym z przejęcia głosem. - Będzie potrzebował znachora oraz noszy. -

Senor Gonzales przesuwał między palcami pieniądze, które dostał od Jenny; wreszcie pokiwał głową i odszedł w kierunku pustego placu.

Jenny przez dłuższą chwilę biła się z myślami - nie wiedziała, czy zaczekać, aż wieśniacy wrócą z Ty'em. Pragnęła tego, chociaż wiedziała, iż pozostając tu przez kilka dni nadużyje gościnności tych ludzi i nadweręży skromne zapasy wioski.

Gdyby nie jedna gnębiąca ją wątpliwość, zostałaaby i nic na świecie nie skłoniłoby jej do wyjazdu.

Ale Jenny nie mogła znieść myśli, że przywiozą tylko jego ciało.

Chciała pamiętać Ty'a takiego, jakim był: energicznym i silnym mężczyzną o oczach płonących ogniem, który jednym dotknięciem potrafił powalić ją na kolana. Człowiekiem twardym i niebezpiecznym, a jednocześnie zaskakująco delikatnym, złodziejem, który skradł jej serce i obudził uczucia, jakich nie spodziewała się w sobie znaleźć.

- Do diabła. - Roześmiałby się na widok jej wilgotnych oczu i wytknął chwilę słabości. Przetarła dłońmi powieki. Musi być silna ze względu na Gracielę, dziewczynka przecież także go kochała.

Była zbyt odrętwiała, by poczuć smak jedzenia. Po skończonym posiłku położyła się w hamaku z Gracielą i przytuliła ją mocno. Dziewczynka usnęła z twarzą mokrą od łez, w końcu zasnęła też i Jenny, budząc się dopiero po południu, gdy minął największy upał.

Senora Gonzalez sprzedała jej nowe ubranie. Za garść pesos Jenny nabyła wóz od starego mężczyzny, który nie mógł uwierzyć, że dostał za niego tyle pieniędzy. Wkrótce potem zaprzęła konia, zapakowała do wozu kilka garnków z wodą i koszyk z jedzeniem i wraz z dziewczynką opuściła wioskę, która miała się stać grobem dla jej serca.

Dwa dni później Jenny i Graciela, ślaniając się z wyczerpania, przekroczyły rzekę Rio Grande i wjechały do El Paso w Teksasie.

Już następnego popołudnia, ubrane w kupione pośpiesznie stroje i z biletami do San Francisco w rękę, wsiadły do zmierzającego na zachód pociągu linii Southern Pacific.

Komfort tej kolei tak bardzo przewyższał warunki panujące w pociągach meksykańskich, że wydawało się niemożliwe, aby obie koleje istniały na tym samym świecie.

Nie było tu psów, kur ani prosiaków biegających po wagonach.

Nozdrzy nie zatykał fetor zapchanych ubikacji, zwierzęcych odchodów i dziesiątków koszy z jedzeniem. Wygodne siedzenia były obite elegancką tapicerką, a w składzie znajdował się oddzielny wagon restauracyjny i osobne przedziały dla pasażerów.

Fundusze otrzymane od Marguarity powoli topniały, lecz Jenny postanowiła wykupić oddzielny przedział sypialny, by nie męczyć siebie i dziecka spaniem na siedząco.

- Smutno mi - rzekła cicho dziewczynka i oparła głowę o ramię opiekunki.

- Kochanie, wiem o tym. - Jenny wzięła jej dłoń i położyła sobie na kolanach.

Obserwowały w milczeniu przesuający się za oknem krajobraz Nowego Meksyku. Po amerykańskiej stronie nawet pustynia zmieniła oblicze - nie była już taka wymarła i surowa. Oczom podróżnych ukazywało się coraz więcej zarośli i liczne odmiany kaktusów, a gdzieś tam nawet kępy pustynnych sosen.

Jenny nie przestawała myśleć o Ty'u; do tego czasu pewnie znaleźli już na pustyni jego ciało i pochowali je albo przywieźli do wioski. Do licha, nawet nie znała jej nazwy. Zamartwiała się tym przez cały dzień i dopiero wieczorem, gdy zdjęła kapelusz przed udaniem się na kolację, doszła do wniosku, że to nieważne. Mężczyzna jej życia odszedł z tego świata, i tylko to się liczy. Miała szczęście go poznać, ale teraz straciła go na zawsze.

Jeszcze długo w nocy leżała na pościeli i wpatrywała się w sufit.

W dziwnym odrętwieniu słuchała majaczeń Gracieli i jednostajnego stukotu kół, który wydawał się prowadzić je w gwiazdną pustkę. Powinna raczej zastanowić się nad swoim przyszłym życiem, kiedy opuści rancho Sandersów, lecz nie potrafiła się na tym skupić. Nie pogodziła się jeszcze ze śmiercią Ty'a, nie była w stanie tego zrobić i chyba nigdy nie będzie. Jak zniesie na dodatek rozstanie z Gracielą?

Dopiero trzeciego dnia podróży zauważyła brak złotego medalionu dziewczynki.

- Poczekaj tu - rzekła z przejęciem i wstała, by nałożyć kapelusz.

- Musiałaś go zgubić przy kolacji. Pójdę poszukać w wagonie restauracyjnym.

- Wcale go nie zgubiłam - odezwała się ponuro Graciela i odwróciła się twarzą do okna. - Nie będę go już nosić.

- Dlaczego nie? - Jenny spojrzała na nią ze zdumieniem i ściągnęła brwi.

- Bo nie chcę już patrzeć na podobiznę mamy. Nie chcę stać się taka jak ona, wolę być taka jak ty. -

Dziewczynka spojrzała na nią, a słowa wylały się z jej ust nieprzerwanym potokiem. - Moja mama była słaba, płakała z byle powodu i nie umiała zrobić naj prostszych rzeczy. Nie potrafiła strzelać ani rozpałać ogniska, nie umiała powozić i nie miałyby pojęcia, jak przejechać wozem przez pustynię!

- Uniosła brwi i wydeła usta w pogardliwym grymasie. - Gdybym była z nią, dawno bym zginęła, ona zresztą również!

Jenny uniosła rękę i na odlew uderzyła Gracielę w twarz - na tyle mocno, że dziewczynka upadła na podłogę. Gdy pomagała jej wstać, wbiła mocno palce w jej ramiona.

- Nigdy, przenigdy nie waź się powiedzieć złego słowa na swoją matkę!

Słyszałaś? - Patrzyła na czerwony odcisk dłoni na policzku dziecka. - Twoja mama była najbardziej odważnym, kochającym i bezinteresownym człowiekiem, jakiego znałam. Kochała cię ponad życie, nigdy o tym nie zapominaj. Wszystko, co masz, kim jesteś teraz i kimkolwiek będziesz w przyszłości, zawdzięczasz jej. Jeśli chociaż w połowie odziedziczyłaś jej charakter, możesz być z tego dumna. Mów więc o niej z należnym szacunkiem i miłością.

- Ale ona zginęła. - Graciela wyswobodziła się z uścisku i oparła o szybę.

- Nie zaczynaj znowu - ostrzegła Jenny, cedząc słowa. - Nie zabiłam twojej matki.

- To nie ty ją zabiłaś, to ja! - krzyknęła z rozpaczą dziewczynka.

- Doprowadziłam do jej śmierci, umarła, żeby mnie ocalić! - Jej skurczona bólem twarz wyrażała nieskończone cierpienie. Dziecko opadło na podłogę i zasłoniło oczy. - Ja ją zabiłam! Zginęła dla mnie, to moja wina!

~ O Boże. - Jenny patrzyła na nią bezradnie. Naturalnie, mogła się tego domyślić. Powinna była spojrzeć na tę sprawę wnikliwiej. Czemu wcześniej nie zadała sobie pytania, dlaczego Graciela tak się upiera przy obarczaniu winą jej, Jenny. Po prostu nie mogła spojrzeć prawdzie w oczy i przyjąć do wiadomości tego, w co naprawdę wierzyła. A podświadomie wiedziała jedno - Marguarita zginęła, żeby dać jej szansę przeżycia. Oczywiście matka nie wyjaśniała jej tego w ten sposób ... Dziewczynka miała jednak bystry umysł. Zapewne pojęła podteksty w rozmowach Jenny i Ty'a i wyczuła desperację w zachowaniu matki.

- O mój Boże.

- Gracielo, nie opowiadaj głupstw, nie zabiłaś swojej mamy.

- Jenny uklękła obok dziewczynki. Przyciągnęła ją do siebie i mocno przytuliła. - Kochanie, twoja mama umierała na suchoty. To, że zajęła moje miejsce, jedynie o kilka dni przyspieszyło to, co nieuchronne. Była bardzo, bardzo chora. Musiałaś to zauważyć.

- Poświęciła życie, żebyś przyrzekła mnie ocalić, to moja wina!

- Graciela ze szlochem wtuliła się jej w ramię.

- Nie, nie, kochanie - Jenny głaskała ją po głowie drżącymi palcami. - To nie tak, jej po prostu nie starczyło czasu. Nie było w tym niczyjej winy.

- Gdyby nie ja, umarłaby spokojnie w swoim łóżku. Przeze mnie ją rozstrzelali!

Jenny trzymała ją w objęciach i wpatrywała się w pustynny krajobraz.

Nie umarłby, gdybyś go pilnowała jak należy! To twoja wina, że Billy nie żyje!

Znowu usłyszała te okrutne słowa i swój rozpaczliwy krzyk: *Ależ mamó, on uciekł! Nie widziałam, jak wpadł do jeziora!*

Moja wina, moja wina, moja wina. Miała wtedy dziewięć lat, a Billy siedem.

Jenny potrząsnęła gwałtownie głową. Ile razy przeżyła dzień śmierci brata?

- Gracielo, twoja mama nie stanęła przed plutonem egzekucyjnym przez ciebie. - Jenny zaczerpnęła głęboko powietrza i poczuła łzy zbierające się w kącikach oczu. - Ona zrobiła to dla mnie. - Dziewczynka wtuliła się w ramię Jenny i słuchała cicho popłakując. - Ja ... twoja mama i ja znałyśmy się, właściwie byliśmy przyjaciółkami. - Kobieta obserwowała widok za oknem.

- Marguarita wiedziała, że zostałam niesłusznie skazana. Zdawała sobie również sprawę, iż umiera, i poprosiła mnie o przyjacielską przysługę. Miałam cię zabrać do twego ojca, ponieważ jej nie starczyłoby na to sił. Zadanie wydało mi się łatwe, bo widzisz, i tak planowałam pojechać z wami do Kalifornii.

Miałam uważać na twoich kuzynów-zabijaków, tego właśnie oczekiwała ode mnie Marguarita.

Majaczy? Czy jej opowieść trzyma się kupy? Naprawdę potrafi opowiadać takie historie?

- Potem mnie aresztowano i groziła mi egzekucja, więc plany się zmieniły -

nie mogłam już pojechać do Kalifornii. Pogorszył się też stan zdrowia Marguarity. Tłumaczyłam jej, że powinnyśmy jechać wcześniej, ale ona ...

Ciotka Tete jej potrzebowała. Wiesz, jak dobre serce miała twoja mama.

Odkładałyśmy więc naszą podróż, a potem było już za późno. Marguarita była zbyt chora, by podróżować.

W okolicy rosło coraz mniej kaktusów, ziemię porastały niskie krzewy i trawa.

Ale wyglądało na to, że na zewnątrz panuje nadal piekielny upał.

- Kiedy przyszła do mnie do więzienia, błagałam, by ratowała mi życie. I tak stała nad grobem, a ja wciąż mogłam zawieźć cię do ojca i ochronić przed kuzynami. Obie miałyśmy okazję, by coś dla siebie zrobić. Gracielo, spójrz' na mnie. Byłam egoistką, ale chciałam żyć i widziałam przed sobą

jedyną drogę ratunku. Obiecałam twojej mamie, że zabiorę cię do Kalifornii, tak jak planowałam. A Marguarita, cóż, kochała mnie, bo byliśmy przyjaciółkami i pragnęła mnie ocalić. Ona nie zamieniła swojego życia na twoje, Gracielo.

Poświęciła się dla mnie" ponieważ uważała mnie za siostrę. Poza tym ja nie byłam chora i Marguarita wiedziała, że w imię naszej przyjaźni zaopiekuję się jej córką. Gracielo, nie zabiłam jej, ale jedno jest pewne: zginęła, by uratować moje życie.

- To prawda? - spytała szeptem dziewczynka, wytarła oczy i spojrzała na Jenny.

'- Bóg mi świadkiem, że powiedziałam naj szczerzą prawdę. - Boże, Boże, Boże. - Czy kiedykolwiek cię okłamałam? Jeśli upatrywać gdzieś winy, to chyba w mojej głupocie, bo pozwoliłam się aresztować i skazać na śmierć.

Zapamiętaj sobie, ty nie jesteś niczemu winna i nigdy nie będziesz.

- Och, Jenny. - Graciela z całej siły objęła ją za szyję i mocno przytrzymała.

Tym razem jej lament był słabszy, z oczu wycierał żal, a nie potępienie, głęboki smutek, a nie wina.

- I jeszcze jedno - odezwała się Jenny po długim milczeniu.

Mówiła cicho i głaskała Gracielę po głowie. - Nie myśl, że jesteś winna temu, co stało się z Ty'em. - Poczekaj, aż odzyska panowanie nad głosem. - Twój wujek to człowiek honoru, który pomógłby każdemu w potrzebie. Pamiętasz nasze pierwsze spotkanie, kiedy włączył się do bójki w Verde Flores? Wtedy jeszcze nas nie znał. To jego dobroć i prawy charakter popchnęły go w stronę tej kuli, nie ty. Jeśli Ty umrze, a stanowczo nie dopuszczam do siebie takiej myśli, nie będzie to miało nic wspólnego z tobą.

- Myślałam, że to przeze mnie ... Jesteś tego pewna? - mamrotała Graciela wtulona w ramię opiekunki.

Z pełnego udręki szeptu Jenny wywnioskowała, że się nie myliła. - Jak najbardziej. A teraz chodimy poszukać twojego medalionu. Przypniemy ci go do żakietu, aby uhonorować wspaniałą i odważną kobietę, moją przyjaciółkę, która kochała cię wielką, matczyną miłością.

- Jenny, ja kocham mamę, ale kocham też i ciebie.

O Boże. Przycisnęła mocno Gracielę i wtuliła głowę w jej włosy.

W gardle narastała jej wielka kula i czuła, że zaraz się udusi.

- Już dobrze - szepnęła Jenny w końcu, - To nie znaczy, że mniej kochasz swoją mamę, po prostu zależy ci także na mnie. - Z trudem przełknęła ślinę.

Zdawało się jej, że słyszy, jak pęka jej serce. - Nie zdradzasz swojej mamy.

Myślę, że nawet spodobałoby się jej to, że trochę mnie lubisz.

Tej nocy Jenny nawet nie starała się zasnąć. Siedziała przyoknie i patrzyła na przesuające się cienie. Nie żałowała, że okłamała Gracielę, w razie potrzeby zrobiłaby tak raz jeszcze. Jednak poza dziwną pustką w sercu czuła słodycz dziecięcej miłości.

Nadchodził świt; uniosła oczy w poszukiwaniu znajomej gwiazdy. Uderzyła ją, Marguarito. Czy to nie śmieszne? Tyle razy jej groziłam, ale nigdy nie podniosłam na nią ręki. I oto nagle, gdy przestała nosić złoty medalion ... Sama wiesz, co się stało.

Czy kłamstwo jest słuszną drogą? Może odrzuciłam pochopnie jedyną dobrą cechę mojej osobowości? Sama już nie wiem. Ale nie mogłam pozwolić, by znieawdziła samą siebie i żyła nadal w przekonaniu, że przyczyniła się do twojej śmierci. Z pewnością nie chciałabyś, żeby po latach, będąc w moim wieku, w chwilach słabości czy samotności wciąż się obwiniała.

Chyba słyszałaś również jej wyznanie - powiedziała, że mnie kocha.

Och, Marguarito. Jest mi tak cholernie ciężko, nie wiedziałam, że może mnie spotkać coś takiego.

Jak mam się z nią pożegnać?

17 ~

San Francisco było największym z miast, jakie lenny w życiu widziała. Dla kobiety, która nie obawia się ciężkiej pracy i nie boi zabrudzić rąk, roztaczały się tu wyjątkowo szerokie i zachęcające perspektywy. W zgrabnym kapelusiku na głowie, rękawiczkach i w nieco pogniecionym, lecz eleganckim stroju podróżnym w niczym nie przypominała takiej kobiety, ale nie miała złudzeń -

już niebawem musiało się to zmienić.

Zatrzymała wóz na lekkim wzniesieniu i przyjrzała okolicom portu, gdzie ruch chyba nigdy nie zamierał. Nie zwracała większej uwagi na pełną przejęcia paplaninę Gracieli na temat oceanu; jedyne, co wiedziała o morzach i portach, to to, że w ich pobliżu istnieje nieustający popyt na tanią siłę roboczą i że dzięki temu zarobi na utrzymanie.

Zadowolona, że przynajmniej ma przed sobą mglisty plan działania, cmoknęła na muła i skierowała go na drogę biegnącą

w głąb kraju.

- Kiedy dojedziemy na ranczo? - Graciela spojrzała na opiekunkę znad słownika, który czytała na głos.

- Spodziewam się dotrzeć tam jutro. Czytaj dalej i przestań się omnie opierać.

Gdy dziewczynka puściła mimo uszu jej prośbę, lenny spojrzała w niebo, przewracając oczami z czułą bezsilnością. Tajemnicą pozostawał dla niej moment, w którym zrobiła się taka miękka. I jak, do licha, zdołała to wyczuć Graciela?

- lenny? Boję się. - Dziewczynka nie odrywała wzroku od stron książki.

- Nie uwierzysz, ale wkrótce będziesz miała wrażenie, że od lat znasz swojego ojca i babcię - lenny poczuła ukłucie w piersiach i objęła dziecko. - I bądź

pewna, że i oni cię pokochają. Czy istnieje osoba, której nie potrafisz oczarować?

- Lubię, kiedy mówisz o mnie miłe rzeczy. - Graciela odchyliła kapelusz i posłała jej szelmowski uśmiech. - Czy ciebie też oczarowałam?

- Też coś! To mało prawdopodobne. - lenny zaśmiała się.

- Może troszkę. Ale ja mam twardego charakter. Za to twój tata i babcia zapewne nie uchronią się przed taką intrygantką jak ty. Pamiętasz to słowo?

- A co z dziadkiem Barrancasem? - Dziecko oparło się policzkiem o ramię opiekunki.

lenny niejednokrotnie myślała o don Antonio, ale żaden z wniosków, do których doszła, nie nadawał się teraz do powtórzenia.

- Może powinnaś dać mu trochę czasu, a nuż pójdzie po rozum do głowy i zechce się z tobą spotkać. - Spojrzała na kapelusz na głowie małej. - Gracielo, przygotuj się jednak na najgorsze, bo niewykluczone, że nigdy cię do siebie nie zaprosi. Był bardzo zagniewany na twoją mamę i teraz może przelać całą złość na ciebie. Tak czy inaczej, na twoim miejscu nie liczyłabym na serdeczne przyjęcie.

- Czasem ogarnia mnie przerażenie na myśl o spotkaniu z nimi wszystkimi.

Wtedy wyobrażam sobie, że jestem tobą, i zastanawiam się, co zrobiłabyś na moim miejscu.

- I jak, według ciebie, bym się zachowała? - lenny zagryzła wargę, wpatrując się w grzbiet muła.

- Byłabyś bardzo uprzejma, mówiłabyś *por favor* i *gracias*, ale w duchu nie przejmowałabyś się za bardzo, czy im się spodobaś.

- Chyba masz rację - przyznała lenny nie odrywając oczu od zwierzęcia.

- Dopóki lubisz samą siebie; opinia innych nie ma większego znaczenia. O, tak, moja panienko, to jest najważniejsze. Znajdź więc w sobie jakąś pozytywną cechę i się jej mocno trzymaj. - Mam wiele zalet.

- Jasne, że masz, ty mała cwaniaro. - Jenny zaśmiała się i przyciągnęła ją do siebie. - Jesteś bystra, odważna i lojalna, i szyjesz jak nikt na świecie.

- I nie płacę już tak często, chyba o tym zapomniałaś. Poza tym obie przestałyśmy przeklinać, to również pozytywna cecha.

- Och, Gracielo. - Jenny przez chwilę nie mogła wydusić z siebie ani słowa. -

Dziś wieczór trzeba ci będzie wypucować buty i umyć porządnie włosy.

Oddamy też nasze ubrania do prania i każemy je uprasować.

Graciela wtuliła twarz w ramię opiekunki i jej drobnym ciałem wstrząsnął dreszcz.

- Jenny? Powiedz, że mnie polubią.

- Moja droga, tylko trzymaj wysoko głowę, gdy będziemy wjeżdżać na rancho. Pamiętaj, że jesteś córką Marguarity Barrancas, a twoja dzielna mama nie zwykła korzyć się przed nikim. I ty nie musisz, to raczej oni powinni się martwić, czy ich zaakceptujesz.

Jenny zmarszczyła czoło i uniosła głowę. Niech no tylko ktoś z Sandersów spojrzy krzywo na Gracielę, to rozniesie tę ich cenną posiadłość niczym huragan.

Dotarli na rancho następnego popołudnia. Jenny zatrzymała wóz przed bramą.

- Przebyliśmy kawał drogi. Było ciężko, ale się udało - powiedziała cicho.

Dom stał o ćwierć mili od drogi. Ty dokładnie opisał okrągłą werandę i Jenny wiedziała, że może się spodziewać dwupiętrowego domu, nie wspomniał

jednak, jak ogromny jest to budynek. Jego okazałość połączona z wielką liczbą otaczających go zabudowań gospodarczych świadczyła o niesłychanej zamożności Sandersów. Widząc to wszystko, Jenny zrozumiała, dlaczego Robert nie potrafił zrzec się spadku, a i bunt Ty'a jawił się jej teraz zupełnie inaczej.

- Popraw spódnice i wyprostuj się - rzekła machinalnie, przypatrując się posiadłości. Dom otaczały strzeliste eukaliptusy i rozłożyste cedry, a soczyste zielone łąki zupełnie pozbawione były zarośli. W oddali pasło się dorodne bydło. Teksaszczy, których Jenny знаła, stratowaliby swoje babki i matki, by tylko posiąść na własność tak piękny i doprowadzony do perfekcji majątek.

- Wyglądamy ślicznie - stwierdziła Graciela drżącym głosem.

Trzęsącymi się ze zdenerwowania palcami dotknęła złotej broszki i poprawiła kapelusik. - Masz czystą chustkę?

- Wciąż mam ją w rękawie, tam, gdzie ją rano włożyłaś.

- Jenny popatrzyła małej w twarz, na gładką, lekko śniadą karnację i zielononiebieskie oczy oraz na

schludnie spięte, gęste i ciemne włosy. - Jesteś najpiękniejszą dziewczynką, jaką w życiu spotkałam - dodała cicho.

Z chwilą, gdy otworzą się drzwi tego domu, ich długa, wspólna wędrówka dobiegnie końca. Nowi ludzie wypełnią życie Gracieli i szybko staną się dla niej najważniejsi. Zajmą miejsce Jenny. Gdy otworzą się jedne drzwi, inne w tym samym momencie zaczną się zamykać.

- Gracielo? - szepnęła.

Ale jak tu powiedzieć jej: "Jesteś ukochanym dzieckiem mego serca, ale nie jest nam pisane być razem, kocham cię". Z drugiej strony, nie miała wyjścia.

Czy to sprawiedliwe, trzymać przy sobie to drogie dziecko, kiedy nadszedł czas pożegnania?

- Słucham?

- Ja tylko ... już nic. - Cmoknęła na muła i szarpnęła za lejce.

- Pocałuj swojego tatę i babcię, nawet gdyby wydali ci się brzydki jak noc, słyszysz? I nie mów nic o Ty'u, ja im wszystko opowiem. Lepiej też, żebyś nie pytała o don Antonia, przynajmniej jeszcze nie teraz.

Nikt nie wyszedł im na spotkanie, nie spodziewano się bowiem kobiety z małą dziewczynką. Jenny musiała zapukać do drzwi i poprosić przyjemnie wyglądającą Meksykankę, by zawołała Ellen bądź Roberta Sandersów.

Chociaż nigdy nie widziała Ellen Sanders, natychmiast rozpoznała matkę Ty'a, gdy ta z uprzejmym uśmiechem podeszła do drzwi, wycierając w biały fartuch oprószone mąką dłonie. Podobnie jak Ty i Graciela, była szczupłej budowy ciała i miała zielononiebieskie oczy. Zdecydowane rysy twarzy i zmarszczki w kącikach oczu i ust znamionowały pogodny i otwarty charakter. lenny odetchnęła z ulgą - od razu polubiła tę kobietę.

- Pani Sanders? - zapytała nabrawszy powietrza w płuca.

- Nazywam się lenny lones. - Wskazała małą postać siedzącą niecierpliwie na wozie. - A to jest Graciela Elena Barrancas y Sanders, pani wnuczka.

- Graciela Elena - szepnęła Ellen, wpatrując się we wskazanym kierunku. -

Mój Boże, Marguarita dała dziecku imię swojej matki i moje. - Minęła lenny i z płaczem pobiegła w stronę wozu, wołając do Roberta i innych ludzi, którzy zaciekawieni wylegli przed dom: - Szybko, szybko! Moja wnuczka wróciła do domu!

W rozgardiaszu, który nastąpił potem, zupełnie zapomniano o lenny.

T ego dnia ogólna radość przeplatała się ze smutkiem, kiedy lenny opowiadała pokrótce historię ich podróży. Robert, na którego widok bolało ją serce, od początku przeczuwał, że musiało wydarzyć się

coś złego, znał bowiem Marguaritę i wiedział, iż nie wysłałaby Gracielę samej. *luż* niebawem potwierdziło się najgorsze, a wówczas błyski w jego oczach zgasły. Gdy usłyszał, że prawdopodobnie i Ty nie wróci do domu, bez słowa opuścił

towarzystwo.

- Mieliliśmy nadzieję, że dla dobra nas wszystkich, a szczególnie Marguarity i jej .. dziecka, zakończymy właśnie z don Antoniem. - Ellen zniosła złe wieści nadspodziewanie spokojnie. - Nie wiem, czy teraz będzie to możliwe, skoro jeden z Barrancasów zabił mi syna.

- Może udało mu się przeżyć. - pocieszała ją bez przekonania lenny.

Starsza kobieta spojrzała jej w oczy, po czym udała się w stronę zachodniego pastwiska, gdzie stała nieruchomo przez blisko godzinę. Potem dołączyła do przyjęcia połączonego z grillem, wydanego na cześć jej wnuczki.

Był to jeden z najbardziej dłużących się dni, jakie lenny zachowała w pamięci.

Podano jej pełen jedzenia talerz, wypłała ogromne ilości lemoniady, słuchała kowboja grającego na skrzypcach i prowadziła uprzejme rozmowy z ludźmi, których nazwiska po chwili zapominała. Stała na uboczu i obserwowała Gracielę. Z jej radosnej i podekscytowanej z nadmiaru wrażeń twarzy wnet wywnioskowała, że wszystko będzie dobrze. Z dziecięcym entuzjazmem i ufnością dziewczynka otworzyła serce przed nową rodziną, która najwyraźniej była gotowa ją przyjąć i hołubić.

lenny nie miała cienia wątpliwości, że oto jest świadkiem narodzenia się nowej, mocnej i przepelnionej miłością więzi między babcią a wnuczką. Ellen S

anderson pokochała Gracielę od pierwszego wejrzenia i z niezwykłą naturalnością weszła w rolę jej nowej opiekunki. Od tej pory to ona w zastępstwie zmarłej matki będzie ją wychowywać, uczyć, karmić, czcić i kochać, stanie się jej powiernicą i wzorem, a w razie potrzeby będzie służyć pomocną radą.

lenny miała nadzieję, że i Robert z czasem pokocha córkę. Na razie był zbyt mocno zraniony, wszak legły w gruzach wszystkie jego marzenia. Ale w końcu powinien zbliżyć się do dziewczynki, która z dumą pokaże mu małe portrety w noszonym medalionie.

lenny spuściła głowę i zacisnęła zęby. Nigdy jeszcze nie czuła tyle nienawiści, co w tej chwili do Roberta Sandersa. Gdzieś na samym dnie duszy, w jej

.najbardziej odległym zakątku, skrywała nadzieję, że nie zastanie go żywego.

Wstydziła się tych myśli, ale śmierć Roberta umożliwiłaby jej dotrzymanie danego słowa i zabranie stąd Gracielę - z czystym sumieniem mogłaby ją wychowywać.

Wywiozłaby dziewczynkę z tego ogromnego domu, z dala od tysięcy spasionych krów, pięknej sypialni i wspaniałego życia, jakie ją tu czekało.

Odebrałaby dziecku to wszystko, by zamieszkać z nim w jakiejś rozpadającej się ruderze niedaleko portu? Czy jej miłość jest aż tak ślepa i okrutna?

Z bólem żołądka i pękającą głową przebrnęła przez resztę wieczoru, ciesząc się szczęściem Gracieli i użalając nad sobą. Brak Ty'a zwiększał tylko bolesną pustkę w jej sercu.

W końcu o dziesiątej wieczorem, po usilnych naleganiach Gracieli, towarzyszyła jej przy kąpieli w specjalnie dla tych celów zbudowanym pokoju, potem wysłuchiwała modlitwy i pomogła jej wejść pod kołdrę. Na liście osób, którym Graciela dobrze życzyła, pojawiły się dzisiaj nowe nazwiska.

Dziewczynka pocałowała ją i położyła głowę na miękkiej poduszce. Patrzyła na Jenny iskrzącymi się z przejęcia oczami.

- Wcale nie są brzydki. Tatusi jest równie przystojny, co wujek Ty, również babcia Ellen jest ładna, jak myślisz?

- Zgadza się - szepnęła Jenny i podciągnęła jej pod brodę pachnącą czystością pościel. - Gdzie twój medalion?

- Dałam go tatusiowi, prosił mnie o to. Tata jest teraz smutny z powodu mamy, ale obiecał, że później się lepiej poznamy. Podoba mi się też Juana i Grizzly Bill.

- A kim, do diabła, jest Grizzly Bill? - Gdy Graciela uniosła lekko brwi w grymasie niezadowolenia, Jenny pożałowała, że wymknęło jej się przekleństwo.

- Jest zarządcą. Powiedział, że ma kuca, który pasuje dla mnie jak ulał. Och, Jenny, wszyscy mnie tu lubią!

- Oczywiście, że tak, moja droga. - Jenny wstała i patrząc na rozrzucone na poduszce włosy Gracieli starała się uśmiechnąć. - Jesteś zbyt podekscytowana, by zasnąć? Mam cię zdzielić w szczękę i znokautować? Zrobię to z przyjemnością.

- Kocham cię, Jenny. - Graciela zaśmiała się. - Dobranoc.

- Dobrej nocy, dzieciaku. - Pochyliła się i zdmuchnęła świecę,'

po czym stanęła na progu i rozejrzała się po pokoju, w którym Graciela miała wyrosnąć na kobietę. Delikatny podmuch wiatru poruszył firankami w oknie.

Na podłodze leżały kosztowne, grube dywany, a ścianę pokrywały wzorzyste tapety, których deseń powtarzał się na narzucie łóżka. Przypomniał się jej obrazek z katalogu dla bogaczy.

Z kamiennym wyrazem twarzy zamknęła drzwi i skierowała się w stronę schodów.

Na dole czekali już na nią Robert i Ellen.

U siedli przy masywnym stole w kuchni, ponieważ Ellen, podobnie jak i Jenny, była zdania, że to

najlepsze miejsce na wysłuchanie wiadomości. Gdy Jenny skończyła swoją opowieść, zegar w przedpokoju wybijał północ.

Robert wstał; miał bladą i ściągniętą bólem twarz. Jenny nie sądziła, aby dotarło do niego coś więcej poza obrazem żołnierskich kul przeszywających drobną kobiecą postać.

- Jestem pani bardzo wdzięczny, panno Jones. Nasza rodzina wiele pani zawdzięcza. Może pani zostać na rancho tak długo, jak tylko pani zechce. Gdy będzie pani wyjeżdżać, otrzyma pani stosowne wynagrodzenie.

- Nie potrzebuję pańskich pieniędzy, szanowny panie. - Jenny zmarszczyła czoło. - Nie traktowałam przywiezienia Gracieli do jej rodzinnego domu jako pracy, raczej jak dotrzymanie danego słowa.

Robert wyszedł na dwór trzaskając drzwiami, na co Ellen ciężko westchnęła.

- Zdaje się, że nie rozumiesz tu wielu rzeczy. - Starsza pani odwróciła głowę i spojrzała przez okno. - To nie moja sprawa.

- Pijasz mocne trunki?

- Kilka razy w życiu miałam taką okazję - odparła ostrożnie Jenny.

- To dobrze. - Ellen podeszła do szatki, przesunęła kilka puszek i pudełek, po czym wróciła do stołu z butelką burbona i dwiema wysokimi szklankami. -

Wyczuwam, że nie wspomniałaś o wielu sprawach, które dotyczą ciebie i mojego syna. - Gdy napełniła szklanki, dodała: - Muszę dowiedzieć się wszystkiego.

Jenny dla kurażu pociągnęła duży łyk burbona i poczuła, jak złoty płyn pali jej przełyk. Następnie zaczęła opowieść o Ty'u,

o ich pierwszym spotkaniu, wspólnych przygodach i bólu rozstania.

Gdy skończyła, Ellen rozlała resztę alkoholu.

- Ostatnio wypiałam tyle po pogrzebie Cala. - Kobieta przyjrzała się twarzy Jenny w świetle lampy. - Kochałaś mojego chłopca - stwierdziła cicho.

- To już nie ma znaczenia.

- Z dwóch naszych synów to Ty był bardziej podobny do Cala, tyle że otwarcie żaden z nich tego nie przyznawał. - Ellen odsunęła się z krzesłem, chowając twarz w cieniu. - Obaj byli niesłuchanie uparci i nieugięci, żaden nie ustąpiłby drugiemu na krok. - Uśmiechnęła się i spojrzała na swoją szklankę. - Jeszcze w dzieciństwie Ty mawiał, że gdy dorośnie, będzie walczył

z bandytami, by ratować piękne kobiety. Jeśli więc miał zginąć, może i dobrze, że śmierć przyszła w czasie, kiedy robił to, o czym marzył. - Ellen uniosła głowę. - Polubiłam cię, Jenny Jones. Można ci

wierzyć, a była to, jak pamiętam, naj wyższa pochwała w ustach mojej matki. Z dumą mówiła do mnie: "Ellen, można ci wierzyć".

- Bardzo dziękuję, ale pani mnie nie zna.

- Tak ci się zdaje? - Ellen zaśmiała się, a po chwili jej twarz znowu spoważniała. - Wiem, że nie skłamiesz dla ocalenia wł~snej skóry ... ale jesteś gotowa to zrobić, aby oszczędzić cierpień dziecku. - Starsza pani uśmiechnęła się i dodała cicho: - Dobrze cię znam. Twe serce jest równie wielkie, co twoja odwaga. Szczerze kochasz tę małą, słodką dziewczynkę śpiącą na górze.

- Muszę stąd wyjechać. - Jenny patrzyła w pustą szklankę.

- Jutro. - Słowa same wyszły z jej ust, pchane ogarniającą ją rozpaczą. Polubiła matkę Ty'a, ale to tylko pogarszało sytuację. Czuła, że nie zniesie tego dłużej. Siedziała przy stole, przy którym on kiedyś siadywał.

Przechadzała się po tych samych pokojach, może nawet piła z tej samej szklanki. Gdziekolwiek spojrzała, wszędzie widziała i jego, i Gracielę.

- Kochanie. Zdaję sobie sprawę, że przeżyłaś tragedię i chcesz już zostawić te sprawy za sobą. Prawdą jest również, że jedno czyste cięcie czyni mniej bólu.

Ale tamta maleńka istota o tym nie wie. Ona cię kocha i nadal potrzebuje.

Proszę więc, zostań przynajmniej do czasu, aż poczuje się tu bezpieczna. -

Sięgnęła po jej dłoń. - Za miesiąc czy jutro, pożegnanie będzie równie bolesne.

- Chyba ma pani rację - odparła Jenny po chwili zastanowienia i pokiwała głową. - Zresztą dałam Ty'owi słowo, że odczekam miesiąc. - Uniosła głowę i spojrzała na sufit, a w jej oczach pojawiły się łzy. - Ale to takie trudne.

- Miłość jest trudna, moja droga. Niezwykle trudna.

Jenny postanowiła nie próżnować i zaczęła pomagać w kuchni przy zmywaniu i gotowaniu. Zaskoczyła też mężczyznę zwanego Grizzly Billem i jego pozostałych chłopców podczas tygodnia znakowania bydła, pracując ciężko i na równi z mężczyznami. Poza tym robiła przetwory i towarzyszyła Ellen przy innych domowych pracach.

Powoli też oddalała się od Gracieli.

Teraz to Ellen przysłuchiwała się szczebiotom dziewczynki przy jej wieczornych kąpielach. Także Ellen lub Robert modlili się razem z dziewczynką, a potem kładli ją do łóżka. Jenny w ciągu dnia dbała o to, by zawsze był przy nich ktoś trzeci. Bolało ją tylko, że dziewczynka zdaje się tego nie zauważać.

Pewnego dnia, gdy uznała, że jest w stanie to znieść, pożyczyła konia i udała się w stronę posiadłości

Ty' a. Dom był opustoszały i zabity deskami, lecz jego zdecydowane kształty natychmiast przypomniały jej ukochanego - bez trudu poznała jego rękę. Nie miała wątpliwości, że sarn wybrał to miejsce i zbudował

wymarzony dom, wyczuwała jego obecność w każdej piędzi ziemi i każdej desce budynku.

Usiadła na schodach ganku. Kiedy spojrzała na ziemię, po której Ty jeździł i którą tak pokochał, i wciągnęła głęboko powietrze, którym kiedyś oddychał, dała upust rozpaczy. Łzy same popłynęły jej po policzkach, a potem zakrywszy twarz dłońmi, gorzko zaszlochała. Nie robiła tego od dzieciństwa, od czasu, gdy jej ukochany brat utonął w jeziorze. Opłakiwała Ty'a, siebie i piękne marzenia, które umarły, zanim zdążyły się narodzić.

Oślepiąca bólem potykała się, biegając po podwórzu i krzycząc z wściekłością w stronę niebios. To niesprawiedliwe, nie tak miało być. Powinien był żyć i cieszyć się światem i jej miłością, nie zasłużył na to.

Wróciła w końcu na ganek i usiadła na schodkach. Kołysała się z udręki i przypominała sobie jego każde słowo i każdy, najdrobniejszy gest. Przywiodła przed oczy szczegóły spędzonej razem nocy, długich pocałunków, szaleńczych pieszczot, szeptów i cichego śmiechu.

Mimo wszystko nigdy nie przestała mieć nadziei. To najbardziej bolało, owa mała iskierka pełzająca na dnie duszy, kiedy wszystko wokół krzyczało, że Ty nie żyje. Dzisiaj starała się ostatecznie ją zdławić, ale płonęła uparcie i nie chciała do końca zgasnąć.

Pod koniec długiego popołudnia Jenny wróciła na ranczo. Ellen przyjrzała się jej opuchniętym oczom i drżącym ustom i delikatnie dotknęła jej dłoni.

- Pomogło? - spytała cicho.

- Nie.

Jenny? Pojedziesz dziś ze mną na konną wycieczkę? Jake długo mnie uczył, zdziwisz się, jak dobrze mi już idzie. Jeżdżę sama!

- Doskonały pomysł - przyklasnęła Ellen, zanim Jenny zdołała wymyślić jakąś wymówkę. - Pozbędę się was choć na trochę i w spokoju dokończę wypieków.

- Jest jedno miejsce, w które chcę pojechać - zwierzyła się Graciela, zniżając głos.

- Tak? A dokąd? - Jenny zdjęła fartuch i powiesiła go na kółku.

- To tajemnica. - Dziewczynka rzuciła okiem na babcię krzątającą się po kuchni. - Powiem ci później.

- Daj mi parę minut na przebranie się w strój do jazdy.

- Nie, to, co masz na sobie, jest w sam raz. Potrzebny ci tylko kapelusz.

Jake, którego Graciela zdążyła owinąć sobie wokół palca, przyprowadził

osiodłane konie.

- Byłaś pewna swego - stwierdziła Jenny i krzywiąc się wskoczyła na damskie siodło. Umiała jeździć jak amazonka, ale tego nie lubiła. - W porządku. A teraz mów, co to za tajemnica i skąd ten wielki pośpiech? Dokąd jedziemy?

Gdy dotarli do głównej drogi i Graciela skierowała kuca na prawo, Jenny wszystko zrozumiała.

- Chwileczkę. Zatrzymaj się, dzieciaku. - Spojrzała na zaczerwienioną twarz dziewczynki. - Sądysz, że wjedziesz sobie pod drzwi don Antonio Barrancasa ot tak sobie, bez zaproszenia?

- Jest moim dziadkiem.

- Oczywiście. Ale jakoś nie wydeptał ścieżki do posiadłości Sandersów, aby to przyznać, prawda?

- Może nie wie, że tu jestem? - Graciela odrzuciła do tyłu włosy.

- Po trzech tygodniach od naszego przyjazdu? Jeśli nawet ja słyszałam o nowym byku don Antonia, możesz być pewna, że on już dawno dowiedział się o tobie. Tutaj wieści rozchodzą się błyskawicznie.

- Chcę się spotkać z dziadkiem. - Graciela posłała jej wyniosłe, arystokratyczne spojrzenie. - Znam drogę na jego ranczo, Jake mi wytłumaczył.

Boję się jednak sama tam jechać.

Jenny pomyślała chwilę. Wiedziała, że Robert i Ellen tego nie pochwalą, ale ...

właściwie czemu nie? Może już czas, by don Antonio Barrancas poznał

wnuczkę. Poza tym mała była uparta jak osioł i bez względu na zakazy prędej czy później i tak by tam pojechała. Lepiej, żeby towarzyszył jej ktoś dorosły.

Ociągnąwszy się, Jenny dołączyła do dziewczynki.

- W porządku, ale to, co zamierzasz, zaprzecza zdrowemu rozsądkowi. Jeśli don Antonio wyrzuci nas na zbity pysk, nie mów, że cię nie ostrzegałam.

Dzień był ciepły, a lekki wiaterek niósł zapach odległego morza i kwitnących wokół kwiatów. W takie jasne wiosenne dni smutki odchodziły w cień i serce Jenny wypełniała radość życia.

- Jenny? Wciąż mnie lubisz?

- Co? - Spojrzała zaskoczona na małą. - Oczywiście, że cię lubię. Skąd to głupie pytanie?

- Od czasu, kiedy tu przyjechałyśmy, zachowujesz się bardzo dziwnie. Z

początku sądziłam, że rozpaczasz z powodu wujka Ty'a, ale potem pomyślałam, że ...

Nadszedł najlepszy czas na załatwienie tej sprawy, pomyślała Jenny - taka okazja mogła się już nie powtórzyć. Musiała tylko zebrać się na odwagę i zakomunikować Graciel, że wkrótce wyjeżdża.

- Posłuchaj, mała - zaczęła. Wpatrywała się prosto przed siebie i czuła narastające ściskanie w gardle. - Masz teraz rodzinę. Nie potrzebujesz ...

Jenny nie udało się jednak dokończyć przemowy, którą ćwiczyła w nieskończoność co wieczór. Z zarośli wyjechało bowiem dwóch mężczyzn; zatrzymali się tuż przed nimi i nakazali im stanąć.

- Wjechałyście na teren prywatny - powiedział jeden z nich z silnym akcentem hiszpańskim. - To własność Barrancasów, zawracajcie.

- Jedziemy złożyć wizytę don Antonio Barrancasowi - stwierdziła chłodno Jenny. Kiwnęła głową drugiemu mężczyźnie i przeszła na hiszpański. - Proszę powiadomić don Antonia, że jego wnuczka pragnie mu złożyć wizytę. -

Mężczyźni spojrzeli na Gracielę, po czym odwrócili się i pogalopowali drogą.

- Za kilka minut zobaczymy, czy jesteśmy tu mile widziane.

- Jenny strzepnęła kurz z kapelusza i rękawów sukni.

- Mama mówiła, że dziadek Antonio jest bardzo surowy. Chyba nie lubi małych dziewczynek - podzieliła się nagłą obawą Graciel. - W takim razie jesteś odważna przyjeżdżając tutaj.

Ranczo Sandersów sugerowało zamożność, ale posiadłość Barrancasów wprost krzychała bogactwem. Jenny zachłysnęła się z wrażenia, kiedy dostrzegła przez gęste cedry pokrytą dachówką hacjendę. Gdyby nie wiedziała, że to prywatna rezydencja, pomyślałaby, że ma przed sobą okazały gmach rządowy. Otaczające go mniejsze zabudowania przynajmniej dwukrotnie przekraczały liczbę tych na ranczo Sandersów. Nie zdawała sobie sprawy, że w jednym miejscu może znajdować się aż tyle pomieszczeń dla zwierząt.

- Wiesz co, mała, myślę sobie, że to nie był najlepszy pomysł.

- Jenny automatycznie poprawiła bluzkę i patrząc na hacjendę żałowała, że nie włożyła zakietu i lepszego kapelusza.

- Przestań wreszcie nazywać mnie dzieciakiem - szepnęła Graciel. Oniemiała, gapiła się na dom. - Przynajmniej nie wyrzucą nas od razu.

Pod szerokim zadaszeniem czekały na gości trzy osoby - mężczyzna, kobieta oraz chłopiec. Mężczyzna w milczeniu pomógł im zsiąść z koni, chłopiec zaś odprowadził zwierzęta do stajni.

Gdy kobieta ujrzała Graciek, westchnęła głośno i z wrażenia zasłoniła usta dłonią. Rzuciła niespokojne spojrzenie na Jenny, a potem z powrotem wbiła wzrok w dziewczynkę.

- Proszę tędy, *por favor* - mruknęła i zaprowadziła je do środka. Wszystko było tu olbrzymie, żeby nie powiedzieć monumentalne.

Wielkie rzeźbione belki podtrzymywały sufit, a na piętro prowadziły wspaniałe, szerokie schody. Masywne, błyszczące meble stały na dywanach równie pysznych, co draperie na wysokich ścianach.

Graciela podeszła bliżej. Jenny i chwyciła ją za rękę. Obie podążały w ślad za kobietą, która prowadziła je przez wielki hall i krótki, wyłożony terakotą korytarz. Niebawem znalazły się w pięknym salonie, który ożywiały kolorowe meble i dobrana do nich delikatna kremowa tapeta. Panował tu przyjemny chłód.

- Kawy, *senorita*? - zapytała cicho kobieta, nie odrywając wzroku od Gracieli.

- Może coś zimnego?

- Nie, *gracias* - podziękowała Jenny. Była pod wrażeniem dwóch portretów wiszących nad kominkiem.

Z jednego patrzyła na nią Marguarita, młoda, tryskająca życiem i oszałamiająco piękna. Drugi przedstawiał kobietę nieco starszą, lecz równie śliczną, najwyraźniej jej matkę. Obie miały wielkie ciemne oczy; gdyby nie to, Jenny mogłoby się wydawać, że patrzy na dwa oblicza Gracieli: w wieku szesnastu i czterdziestu lat.

- Witaj dziadku, nazywam się Graciela.

Jenny odwróciła się na pięcie i stanęła przed wysokim, przystojnym mężczyzną, o wiele młodszym, niż mogła się tego spodziewać. Wprawdzie skronie don Antonia były oprószone siwizną, a skórę twarzy nieco wysuszyły słońce i wiatr, Jenny wątpiła jednak, by był starszy od Ellen Sanders, która skończyła czterdzieści sześć lat.

- Po co tu przyjechałyście? - Patrzył na nią ponad głową Gracieli, lecz w jego czarnych oczach na próżno by szukać oznak powitania.

- *Senor Barrancas*. - Jenny odchrząknęła i wyprostowała się dumnie. -

Nazywam się Jenny Jones. Przywiozłam pana wnuczkę z Meksyku do Kalifornii. Mam też wieści o pana córce, jeśli to pana interesuje.

- Ja nie mam córki - odparł oschle. Skrzywił się i spojrzał na Gracielę, splatając z tyłu dłonie.

- Ależ miałeś, dziadku. Nie pamiętasz? - szepnęła Graciela.

- Widzisz? Tam na obrazie jest mama. Ale ona umarła, wujek Ty również. - Dziewczynka przysunęła się do Jenny. - Kuzyni Jorje i Tito próbowali mnie zabić. Na moje życie dybali też Luis i Chulo.

Chulo zranił

Jenny nożem, ale ja zszyłam jej ranę.

- Co to za brednie? - Don Antonio zadarł głowę i rzucił im chłodne spojrzenie.

Najpierw Jenny wydało się, że ujrzała w jego oczach nagły błysk bólu na wspomnienie śmierci Marguarity, lecz teraz widziała jedynie wściekłość.

- Czy przyprowadziła pani to dziecko, aby obrażać mnie i moją rodzinę w moim domu?

- Najwyraźniej pańscy krewni na południe od Rio Grande uważają, że to im, a nie pańskiej wnuczce należy się cała fortuna Barrancasów. - Jenny zwięzła oczy i naprężyła ramiona. - Robili wszystko, by nas zabić. Udało im się zastrzelić Ty'a Sandersa.

- Gdybym miał wnuczkę, żaden członek mojej rodziny nie odważyłby się jej skrzywdzić. Jeśli jednak ma pani na myśli bękarta Sandersa - rzucił

pogardliwym wzrokiem na Gracielę - pani kłamstwa stają się bezsensowne.

Bękart Sandersa nie ma żadnych praw do majątku Barrancasów.

- *Senor*, mam dokumenty poświadczające małżeństwo pana córki. Graciela, nazwana tak na cześć pana zmarłej żony, w żadnym razie nie jest bękartem. - Na policzkach Jenny wystąpiły czerwone plamy, lecz jej głos pozostał spokojny. -

Pańska córka nie była taka głupia, jak pan sądzi. Przed śmiercią zdążyła notarialnie potwierdzić, że Graciela jest pańską prawną spadkobierczynią, *senor*, czy się to panu podoba, czy nie. Ma pan moje słowo, że tylko dzięki szczęśliwej opatrności krwiożerczy członkowie pańskiej rodziny nie zabili panu wnuczki.

- Nie jest tu pani mile widziana, *senorita*. - Kości policzkowe mężczyzny aż pobieleły ze wściekłości. - Proszę też zabrać stąd to dziecko, kimkolwiek jest, i natychmiast opuścić moją posiadłość.

- Jenny nigdy nie kłamie! - Graciela uniosła podbródek, podświadomie naśladowując dziadka. Zaciśnęła pięści i posłała mu piorunujące spojrzenie. - Ja też nie kłamie! Tito wypuścił na mnie węże, a Luis wysadził pociąg, którym jechałam, i zabił wujka Ty'a. Próbowali także skrzywdzić twoją wnuczkę, to znaczy mnie, dziadku!

Mężczyzna obrócił się na pięcie i prawie doszedł do drzwi, kiedy ktoś zawołał

wysokim głosem:

- *Senor* Barrancas!

Jenny odwróciła się i ujrzała Ellen wchodzącą do pokoju; miała na sobie pośpiesznie włożony zakiet

i kapelusze. Spojrzała na Jenny i Gracielę z rozgoryczeniem, po czym usiadła na jedynym meblu, który nie był obity tkaniną.

- Może podasz coś orzeźwiającego? - odezwała się po hiszpańsku do stojącej na progu służącej. - Na przykład kawę dla dorosłych i lemoniadę dla wnuczki don Antonia.

Służąca rzuciła wzrokiem na rozwścieczonego mężczyznę i szybko zniknęła za drzwiami.

- Proszę wybaczyć, że chwilowo objęłam rolę gospodyni, ale wygląda na to, że ma pan dzisiaj sporo gości. - Błady uśmiech nie sięgnął jej oczu.

- *Senora Sanders*, proszę przyjąć moje kondolencje z powodu śmierci męża -

odezwał się don Antonio lodowatym tonem.

- Dosięgły mnie kolejne straty - odparła Ellen i dała znak Graciel, by usiadła koło niej. - Nie żyją mój syn i synowa.

Jenny stała przy kominku cicho jak mysz pod miotłą i obserwowała z podziwem chłodną, lecz wyjątkowo wyrafinowaną grę między głowami dwóch rodzin, które nienawidziły się od niepamiętnych czasów. Jej respekt w stosunku do kobiety wzrósł niepomiernie; Ellen użyła meksykańskiej kurtuazji, by manipulować don Antoniem.

Co więcej, odgadła w porę zamiary Graciel i pojechała za nimi, a teraz miała zamiar postawić na swoim, nie bacząc na to, że jest w paszczy lwa.

- Przepraszam za tę uwagę, ale wątpię, by strata pani rzekomej synowej bolała panią bardziej niż mnie śmierć Sandersa.

- Pan się myli. - Ellen spojrzała mu prosto w oczy. - Bardzo mnie zasmuciła wieść o śmierci Marguarity. Jeszcze niedawno zamierzałam powitać w moim domu żonę syna, gotowa ją zaakceptować i szczerze pokochać. Kobiety Barrancasów i Sandersów nigdy nie mieszały się do wendety pomiędzy mężczyznami.

- Proszę wybaczyć, ale mam ważne sprawy do załatwienia

- stwierdził oschle don Antonio. - Gdy skończą panie kawę, Chala odprowadzi panie do wyjścia.

- *Sefior*, stracił pan córkę, a ja męża i syna - odezwała się cicho Ellen. -

Antonio, niech to się już skończy. - Objęła Gracielę. - Niechaj nasza śliczna wnuczka stanie się pomostem, który połączy nasze zwaśnione rodziny.

Przyjechała do pana z własnej woli i wbrew moim wyraźnym życzeniom, ponieważ chce poznać rodzinę matki. Myliłam się co do niej, jest tak samo pana, jak i moja, i zjawiając się tutaj, miała rację. Odesłał już pan jedno dziecko, czy zamierza się pan odwrócić także od tego?

Gdy Ellen spojrzała na Jenny, ta od razu odgadła jej intencje.

Podeszła do Gracieli, wzięła ją za rękę i obie wyszły z salonu.

Przez następną godzinę Jenny i Graciela spacerowały wokół hacjendy. Nikt się do nich nie zbliżał i nikt z nimi nie rozmawiał. Gdy spostrzegły chłopca prowadzącego ich konie, zbliżyły się do ciężkich, rzeźbionych drzwi wejściowych.

Ellen wyszła z domu z zaciśniętymi ustami i twardym wzrokiem.

Bez słowa dosiadła swego konia, zaczekała na Gracielę i Jenny, po czym pojechała przodem. Zrównała się z nimi dopiero wtedy, gdy opuściły tereny Barrancasów.

- Czy zaakceptuje Gracielę? - zapytała cicho Jenny.

- A niech mnie diabli, sama nie wiem! To najbardziej dumny, uparty i nieugięty człowiek, jakiego w życiu poznałam, oczywiście poza Calem Sandersem. Trudno, przynajmniej usłyszał całą historię. Nie sądzę, aby ten stary bałwan uwierzył choć w połowę, ale będzie miał o czym myśleć. - Ellen zmrużyła oczy. - A gdy mowa o głupcach ... co wy, u diabła, sobie myślicie, jadąc tam jak para złodziei i narażając się na pewną chłostę? Powinam was zdzielić po głowach za to, że byliście tak cholemie głupie.

Graciela, z początku oniemiała ze zdumienia, odezwała się pierwsza.

- Jenny, babcia mówi zupełnie tak samo jak ty! - stwierdziła i wybuchnęła radosnym śmiechem.

Jenny z kamienną twarzą spojrzała na Ellen - za wszelką cenę starała się zachować powagę. Ale śmiech Gracieli był tak zaraźliwy, że nie wytrzymała i zaczęła po chwili głośno chichotać.

- Chyba do reszty straciłyśmy rozum - krzyczała przez łzy, śmiejąc się tak bardzo, że bała się, czy nie spadnie z konia. - Jak nic będzie pani musiała nam przywalić.

- Do cholery, to jasne jak słońce, że postradałyście rozum!

- Babciu, nie przeklinaj. Ja i Jenny przestałyśmy używać brzydkich słów. Ty również będziesz musiała z tym skończyć!

Wkrótce również Ellen uderzała się dłonią po udach i śmiała się do rozpuku, aż łzy pojawiły się w jej oczach.

Gdy przez następne dni któraś z nich spojrzała na drugą i zaczęła chichotać, już po chwili wszystkie trzy wybuchały śmiechem, przysiadając z braku sił.

Każdy dzień, wspólne żarty i wykonywane z Ellen i Marią prace, spacer z Robertem, konne przejażdżki pod ganek domu Ty'a i dotyk małej dłoni Gracieli w jej rękę, wszystko to sprawiało, że coraz trudniej było jej pogodzić się z myślą o wyjeździe.

Ale musiała stamtąd uciekać, póki została jej jeszcze choć odrobina serca.

Oddawała je po trochu Gracieli, Ellen i staremu Grizzly Billowi, zostawiła w zabitym deskami domu Ty'a, a małą częśćkę podarowała nawet Robertowi, który trzymał się stale na uboczu, dręczony bólem i zagubiony w rozpacz, którą ona tak dobrze poznała.

Nazajutrz miał upłynąć miesiąc, który obiecała Ty'owi. Pojutrze miała odjechać, pusta i wypalona w środku, choć jeszcze żywa.

18 ~

Babciu, możemy upiec dzisiaj ciasto? Może to rozweseli tatusia. Za każdym razem, gdy dziewczynka patrzyła na smutną minę ojca, krajało się jej serce.

Kiedy dała mu medalion, miała nadzieję, że portrecik mamy poprawi mu nieco nastrój. Niestety, tak się nie stało. Nie sądziła też, by pomogła mu w czymś jej obecność.

Ze wszystkich osób na rancho ojciec najbardziej ją onieśmiał.

Trzymał się zawsze z dala, apatyczny i pogrążony w swoim smutku. Czasem, ze skrytym poczuciem winy wyobrażała sobie, że jej ojcem jest Ty i wspólnie z Jenny tworzą szczęśliwą rodzinę. Wiedziała, że to dziecinada i nieziszczalne marzenia, ale nie potrafiła ich od siebie odegnąć.

Babcia Ellen wymieniła z Jenny porozumiewawcze spojrzenia, po czym wytarła w fartuch namydłone dłonie i rzekła:

- Kochanie, jutro upieczemy ciasto. Dzisiaj Jenny pojeździ z tobą konno.

- Och, to wspaniale! - Dziewczynka klasnęła w dłonie i uśmiechnęła się do Jenny. - Tylko ja i ty? Nikt więcej? To o wiele lepsze niż pieczenie ciasta.

- Tylko my dwie - powtórzyła Jenny dziwnie niskim głosem.

- Możemy się wybrać do domu wujka Ty'a? - Jeździły tam regularnie, wrywały chwasty koło schodów i 'zamiatały ganek. Graciela uwielbiała te wycieczki, bo mogła tam myśleć o wujku Ty'u, a poza tym widziała stamtąd dach hacjendy dziadka Barrancasa.

- Włóż spódnico-spodnie, bo nie mam zamiaru męczyć się na tym śmiesznym siodle dla pań. Pośpiesz się, a ja w tym czasie przygotuję koszyk z jedzeniem -

ponagliła ją Jenny.

Zanim dziewczynka weszła na schody, dobiegł ją głos babci mówiącej Jenny, by wzięła ze sobą broń.

- Chłopcy wspominali, że kilka dni temu widzieli obcych kręcących się po okolicy. Z początku myśleli, że to nowi pomocnicy Barrancasów, ale ich przypuszczenia się nie sprawdziły. Jenny, wiesz,

że nie lubię, jak jeździcie same do domu Ty'a. Mogłabyś zabrać ze sobą Jake'a albo choćby Grizzly Billa.

- Nie trzeba, to już ostatni raz.

Nastąpiła dziwna cisza i Gracieli wydało się, że doszły ją ciche odgłosy, jakby babcia przytulała Jenny. Coś w ich zachowaniu sprawiło, że dziewczynka poczuła się nieswojo. Doświadczyła dziwnego swędzenia na karku, podobnego do tego, jakie czasami odczuwa się przed burzą z piorunami.

Stała na końcu schodów i głęboko westchnęła, rozmyślając ozagadkowej wymianie spojrzeń między Jenny i babcią Ellen.

- Nie pamiętam, żebyś kiedykolwiek tak długo milczała - stwierdziła Jenny, gdy w całkowitej ciszy dotarły pod dom Ty'a. Przywiązała konia do słupa i sprawdziła, czy Graciela robi to samo, po czym zdjęła koszyk i zniosła go na ganek.

- Dlaczego masz broń i skąd te dziwne spodnie? - zapytała dziewczynka, siadając na schodkach.

- Wzięłam pistolet, by udobruchać twoją babcię. Warunkiem wyjazdu było zabranie broni albo towarzystwo Jake'a lub Grizzly Billa. Tego ostatniego wolałam jednak uniknąć, dzisiejszy dzień chcę spędzić tylko z tobą. - Wyjęła z koszyka udko kurczaka i podała je Gracieli, ale ta podziękowała. - Jak chcesz.

W każdym razie broń jest tu na wszelki wypadek.

- Wiem, dlaczego znowu nosisz robocze spodnie. Przygotowujesz się do wyjazdu i przyzwyczajasz się znowu do męskiego ubrania.

Jenny zamarła i opuściła rękę z kurczakiem. Zapomniała, jak przenikliwy umysł ma Graciela. Miała nadzieję, że spędzą razem wspaniałe popołudnie, zanim opowie dziewczynce o swych planach i obie pogrążą się w smutku pożegnań.

- Kochanie, jestem z innej gliny niż Sandersowie, zresztą już zbyt długo korzystam z ich gościnności. - Spuściła głowę i wytarła palce w serwetkę. -

Upewniłam się, że cię kochają i będą o ciebie dbać ... Spędziłam tu już cały miesiąc, który przyrzekłam Ty'owi. - Podniosła głowę i spojrzała w szkliste oczy Gracieli. - Kotku, muszę wyjechać.

- Kiedy wujek Ty wróci do domu, będzie się bardzo gniewał, że cię nie zastał.

- Po policzkach dziewczynki płynęły łzy gniewu i rozczarowania.

- Staralam się pogodzić ze śmiercią Ty'a, chociaż jakaś częśćka mnie w to nadal nie wierzy. - Jenny dotknęła serca i głęboko westchnęła. - Ale, kochanie, jeśli Ty by żył, już dawno by się odezwał. - Najbardziej bolała utrata nadziei, to było najtrudniejsze. Jej serce krwawiło i ból nie ustawał; rana

wydawała się ciągle zbyt świeża. - Tylko ty i ja wierzyliśmy, że mu się uda. Ale to tylko płonne nadzieje. Sądzę, że czas pogodzić się z najgorszym.

Łzy dziewczynki wprowadziły zamęt w głowie Jenny i sprawiły, że i jej zachciało się płakać. Czująca żółć podchodzącą do gardła i była zupełnie nie przygotowana na to, co nastąpiło. Graciela zniemacka wskoczyła jej na kolana i objęła mocno za szyję. Przez chwilę zdawało jej się, że stracą równowagę i runą w dół po schodach.

- Jeśli chcesz jechać, zabierz mnie ze sobą!

- Nie, kochanie, nie mogę. - Dobry Boże, czuła, jakby ktoś wbijał jej sztylet prosto w serce. Drobne ręce Gracieli owinięte wokół szyi i jej ciepłe, słodkie łzy, które Jenny czuła na policzkach ... Z dwojga złego wolałaby już chyba, żeby nóż Ch ula rozplatał jej brzuch. - To twoja najbliższa rodzina, kochają cię, a i ty odwzajemniasz to uczucie. Czeka cię tu wspaniałe życie.

- Ale ja jestem twoja! Ja kocham cię, a ty mnie, i nawet nie próbuj zaprzeczać. Wiem, że tak jest, Jenny! Musisz zabrać mnie ze sobą. Kto będzie ci wkładał do rękawa czyste chusteczki? Kto zaszyje ci rany? - Wzmocniła uścisk.

- Ja też cię potrzebuję. Kto nauczy mnie nowych słówek i nowych rzeczy? Jeśli odejdziesz, jak zdołam stać się taką jak ty?

- Gracielo, mój Boże. - Jenny trzymała ją tak mocno, że bała się, czy przypadkiem nie zrobi jej krzywdy.

Kiedy Graciela podniosła głowę, chcąc spojrzeć jej w oczy, Jenny musiała ją puścić.

- Jenny, ty płaczesz!

Przytuliły się do siebie i łzy popłynęły z ich oczu szeroką rzeką.

Płakały tak długo, aż ucichł lament i mogły tylko siedzieć, połączone wspólną niedolą. Jenny przytknęła policzek do włosów siedzącej na jej kolanach dziewczynki. Nigdy nie zapomni ich delikatnego zapachu i dotyku drobnego, ciepłego ciała. Kiedyś Graciela wydawała się jej taka ciężka, a teraz z przyjemnością trzymała ją na kolanach. Jak żyć bez niej? Strata Ty'a zostawiła głęboką wyrwę w jej sercu, a jutrzejszy wyjazd pogłębi ją jeszcze bardziej.

- Kocham cię, maleńka - mruknęła i pogłaskała ją niezgrabnie po głowie. -

Nie, nie patrz na mnie. Chcę ci powiedzieć parę słów i łatwiej mi będzie, jeśli nie będziesz mi się przyglądać.

- Ucieknę stąd i pojedę za tobą. Nie zatrzymasz mnie.

- Nie chcę tego robić.

. Marguarito, jeśli teraz nas słyszysz, błagam ... Pomóż nam obu. - Kochanie, uwierz mi. Staralam się

wymyślić sposób, żebyśmy

były razem, ale nie ma takiej możliwości. - Mógłabyś

poślubić mojego tatę.

Jenny również rozważała taką możliwość, ale doszła do wniosku, że jeśli nawet Robert zgodziłby się na podobne szaleństwo, rychło skończyłoby się to katastrofą. Potępiała go za dystans do własnej córki, gardziła za słabość, tę, którą okazał w przeszłości i obecnie.

- Twój tata kochał tylko jedną kobietę, Margaritę, i to się nie zmieni. - Co za parszywy los, pomyślała. A więc Graciela będzie dorastać bez matki, a przez większość czasu także bez ojca i nie można temu w żaden sposób zaradzić.

- Ale dlaczego nie zabierzesz mnie ze sobą?

- Bo kocham cię tak bardzo, że chcę ci zapewnić najlepsze z możliwych warunki życia, takie, jakich chciałaby dla ciebie twoja mama. - Jenny starała się przewyciężyć dławienie w gardle. - Nie zniosłabym, żebyś wychowywała się na ulicy jak ja. Chcę mieć pewność, że jesteś bezpieczna, wesoła i kochana, że nie cierpisz głodu, masz porządne ubranie i śpisz w łóżku w czystej pościeli. A w przyszłości, gdy pomyślę o tobie, a musisz pamiętać, że będę to robić do końca życia, chcę wiedzieć, że tu jesteś, w tym pięknym i zadbanym otoczeniu, wśród kochających cię krewnych. Jeżeli masz ochotę sprawić mi przyjemność, zostań z tatą i babcią Ellen i ciesz się życiem.

- Nie mogę ...

Nagły strzał przerwał ciszę wiosennego poranka; w słupie werandy tuż nad głową Jenny utkwiała pierwsza kula.

Zanim kawałki drewna zdążyły opaść na ganek, Jenny przerzuciła Gracielę przez barierkę i skoczyła w ślad za nią, wyciągając zza pasa pistolet. Potem podniosła ostrożnie głowę i spojrzała przez drewnianą balustradę na okoliczne krzaki.

- Widziałaś kogoś?

Graciela wychyliła się, westchnęła i szybko schowała głowę.

- To moi kuzyni, Luis i Emil. Wydaje mi się również, że dostrzegłam braci Cortez - odparła dziewczynka.

Jenny zakłęta w myślach. I ona ujrzała teraz przemykające za drzewami postacie. Doliczyła się sześciu mężczyzn, a wśród nich dostrzegła człowieka do złudzenia przypominającego Luisa Barrancasa. Graciela się nie myliła, to Luis.

Pierwszą myślą Jenny było: niemożliwe. Po chwili uznała jednak, że to może być prawda. Sukinsyn jechał za nimi i dopadł je w Kalifornii.

Jenny strzeliła kilka razy w stronę drzew. Myślała gorączkowo.

Dom Ty'a był za daleko od posiadłości Sandersów, by ktoś usłyszał strzały. Nie mogła się spodziewać pomocy z tej strony. Ale bez wsparcia wynik walki był

przesądzony - napastnicy mieli przecież przewagę liczebną.

- Posłuchaj, dzieciaku, mamy nikłe szanse. - To mało powiedziane, pomyślała.

Strzeliła znowu, czując na sobie przerażony wzrok Gracieli. - Kiedy wstanę i zacznę biec w stronę tamtego niskiego muru, ty uciekaj co sił w nogach w przeciwnym kierunku, do koni. Rozumiesz mnie?

- Chcesz, bym pojechała na ranczo. - Dziewczynka kiwnęła głową.

- Nie, kochanie, to za daleko. Jedź jak najszybciej do domu dziadka Barrancasa. Wyjaśnij, że to jego cholerni krewni i jego pieprzony problem, tylko powiedz to, nie używając przekleństw. - W kapelusz Jenny trafiła kula i zrzuciła go z głowy; przycupnęła koło dziewczynki.

- A co będzie, jeśli dziadek nie zechce przyjechać? - spytała Graciela z trwogą.

- Jeżeli postanowił cię zaakceptować, przyjedzie. - Jenny dotknęła jej policzka. - Lecz jeśli nadal zachowuje się jak ostatni palant, nie kiwnie palcem, to proste. - Przynajmniej Graciela będzie bezpieczna. Ellen opowiedziała Jenny wiele na temat don Antonia, na przykład wierzyła, iż jest on człowiekiem honoru. W pewnym momencie zasugerowała nawet, że nieporozumienia między ich rodami powstały z winy Cala Sandersa, a nie Barrancasa. Jenny nie wątpiła, że ci bandyci znaleźli się tutaj bez wiedzy don Antonia. - Wypróbuj na nim odrobinę swojego słynnego czaru, w przeciwnym razie mój tyłek będzie poważnie zagrożony. Teraz pocałuj mnie na szczęście i zmykaj.

Graciela pocałowała ją w usta i przez dłuższą chwilę patrzyły sobie w oczy.

- W porządku, ruszamy na trzy. Raz ... dwa ... trzy!

Strzelając przed siebie, Jenny biegła pochylona przez podwórko, a wokół niej rozszalało się piekło. Mimo wszystko w jakiś cudowny sposób udało się jej dotrzeć cało do kamiennego muru. Przeskoczyła kamienie i opadła płasko na ziemię. Za plecami usłyszała trzask przedzierającego się przez zarośla kuca Gracieli i modliła się, żeby któryś z kuzynów nie został po tamtej stronie domu.

Jeżeli miała rację, że zjawili się tutaj bez wiedzy don Antonia, zapewne nie chcieli być widziani z okien jego hacjendy. Ale kto mógł przewidzieć, co wymyślą te szalone sukinsyny.

Przekręciła się na brzuch, uzupełniła magazynek i oddała kilka strzałów.

Okazały się celne, bo zmniejszyła przewagę Meksykan o jednego strzelca, który właśnie wypadł z krzaków i leżał bez ruchu na ziemi.

Ostrzał był tak intensywny, że nie usłyszała zbliżającego się z tyłu konia i nie dostrzegła jeźdźca, który upadł koło niej, „gdy zwierzę przeskakiwało murek.

Mężczyzna obrócił się, wytrącił jej pistolet z ręki i jednym zgrabnym ruchem znalazł się na Jenny.

- Jak to jest, że zawsze, gdy cię spotykam, jesteś w samym środku walki? Co się z tobą dzieje, kobieto?

- Ty! - Jenny otworzyła szeroko oczy i rozluźniła mięśnie, powstrzymując się od kopnięcia napastnika w jądra. Oniemiała ze zdumienia, mogła tylko leżeć bez ruchu i patrzeć. Jeszcze nie rozumiała, jeszcze nie wierzyła, ale on tu był i śmiał się do niej swymi niebezpiecznymi, zielononiebieskimi oczami, które tak dobrze знаła. - Ty!

Objęła go za szyję i pociągnęła w dół, całując namiętnie raz po raz. Potem znowu się mu przyjrzała, zacisnęła palce w pięść, zamachnęła się i uderzyła go w szczękę. Na tyle mocno, że stracił równowagę i omal nie zwałił się obok niej na ziemię.

- Ty podły, bezmyślny, śmierdzący kawałku krowiego łajna! Ty samolubny sukinsynu! - Kula zagwizdała jej koło ucha, zanim Ty zdążył się otrząsnąć i przyciągnąć ją do siebie; w jego ramionach poczuła się bezpieczna. - Czy nie słyszałeś nigdy o cholernym telegrafie? Czy masz choćby blade pojęcie, przez co przesłama? Myślałam, że nie żyjesz!

- Powiedziałem, że wrócę do domu za miesiąc. Sądziś, że jesteś jedyną osobą na świecie, która dotrzymuje obietnic? Poza tym miałem ochotę zrobić ci niespodziankę. - Dotknął ostrożnie czerwonej plamy na jej bluzce. - Słowo daję, kochanie, to jakiś koszmar. Czy doczekam się spotkania, kiedy jedno z nas nie będzie pocięte nożem czy postrzelone? - Wyszczrzył zęby w szerokim uśmiechu.

- Ty idioto, oni mają nad nami przewagę. Jest ich czterech lub pięciu, a nas tylko dwoje. Co ty w ogóle wygadujesz? Niebawem zginiemy. - Pokryła jego twarz pocałunkami. - Boże, jak się cieszę widząc cię tutaj! - Łzy radości przesłoniły jej widok. - A teraz rusz swój nędzny tyłek i zastrzel kilku sukinsynów; przynajmniej nie umrzemy w hańbie.

- Kochanie, zostań tak przez chwilę w moich ramionach.

Ostatnio miałem dużo czasu do przemyśleń i muszę ci powiedzieć kilka rzeczy.

Nie obawiaj się, odsiecz już w drodze, są tuż za nami. Nie uwierzysz, kto dowodzi pospolitym ruszeniem.

Ledwie kowboj dokończył zdanie, zobaczyli, jak kilkunastu jeźdźców wyjeżdża z za drzew. Ty szarpnął Jenny do siebie, niemal wyciągając ją spod kopyt czarnego rumaka dosiadanego przez don Antonia. Jeźdźcy przeskoczyli przez kamienny murek i zniknęli wśród drzew po drugiej stronie polany.

- Jednak przyjechał - szepnęła Jenny i przymknawszy oczy uderzyła Ty'a lekko w pierś. - Zrobił to dla Gracieli.

- Musisz mówić głośniej - powiedział Ty i przyciągnął ją bliżej. Strzelanina przeniosła się już z dala od nich i tylko od czasu do czasu jakaś zabłąkana kula trafiała w murek.

Ty podłożył sobie pod głowę płaski kamień i spojrzał Jenny w oczy. - Kocham cię, Jenny Jones. Teraz wysłuchaj mnie i nie przerywaj. Zdaję sobie sprawę, że nie jesteś z tych, co marzą o zamążpójściu, ale musimy przewyciężyć twoje obawy i się pobrać.

- Oświadczasz mi się w środku tej cholernej strzelaniny?

- Zamrugła ze zdumienia. - Ja tu się wykrwawiam, a ty ... Panie Sanders, chyba pan stracił rozum na pustyni.

Ale on ją kochał, o tak. Powiedział to wyraźnie - on ją kocha!

Nagle stało się to najważniejszą rzeczą pod słońcem. Jeśli nawet gdzieś w pobliżu trwała strzelanina, nie miało to żadnego znaczenia. Dobiegał ją jedynie niski głos Ty'a, widziała tylko jego męską, wspaniale opaloną twarz, a pod sobą czuła jego twarde, gorące ciało. Jej serce biło jak oszalałe. Kochał ją.

- Chodź tu i połóż mi głowę na ramieniu. Okropnie bym się zeźlił, gdybyś padła martwa w połowie moich oświadczeń, szczególnie po tym wszystkim, co przeszedłem. Nie masz pojęcia, ile mnie kosztowało, żeby się tu dostać przed upływem miesiąca.

Jenny z uśmiechem przytuliła głowę do jego piersi. Należał teraz do niej.

- Może skończysz tę przemowę? Niby dlaczego powinniśmy się pobrać? -

zapytała.

- Bo chcę iść z tobą do łóżka, a małżeństwo jest idealnym rozwiązaniem na wypadek, gdybyś zaszła w ciążę. Potrzebuję takiej kobiety jak ty - i w łóżku, i w domu. Bo kochamy się jak diabli. I wreszcie dlatego, że, jak powiedziała moja matka, nie miałbym ni krzty oleju w głowie, gdybym się z tobą nie ożenił. -

Zaśmiał się głośno. - Przysłała mnie tu za tobą i zakazała wracać, dopóki się nie zgodzisz. - Uniósł ją delikatnie i spojrzał w jej wilgotne ze wzruszenia oczy. -

Jenny, powiedz "tak". Daj słowo, że zostaniesz ze mną, doprowadzając mnie do szaleństwa i nie przestając mnie kochać, gdy będziemy już starzy, zgrzybiali i otoczeni wnukami. Obiecuj, że pozwolisz się kochać, dopóki nie wyzionę ducha. Przyrzeknij!

- Och, tak, Ty. Z całego serca, obiecuję!

Leżeli tak za kamiennym murkiem, nie zważając na otaczający świat.

Przytuleni, całowali się jak szaleni i raz po raz wyznawali sobie miłość. Dopiero gdy zobaczyli nad sobą wysoką postać mężczyzny i stwierdzili ze zdumieniem, że strzelanina ustała, z wolna podnieśli się z ziemi, rzucając zakłopotane spojrzenia.

- Witam w rodzinnych stronach, *senor* Sanders. - Don Antonio zdjął kapelusz i zatoczył nim w

ukłonie szerokie koło.

Ty zawahał się i wyciągnął rękę; starszy mężczyzna mocno ją uściśnął. Długo patrzyli sobie w oczy i wspominali w myślach minione zatargi. Obaj zastanawiali się, jak inna może być przyszłość.

- Mam dla was prezent. - Nie spuszczać z nich wzroku, don Antonio uniósł

rękę i na ten znak jeden z jeźdźców przyprowadził konia. W poprzek siodła leżał przewieszony Luis Barrancas. Nie umarł w spokoju.

- To, rzecz jasna, nie zmywa hańby, jaką okryła się moja rodzina. Żadne przeprosiny nie wynagrodzą też zniewagi, której dopuściłem się wobec pani, podważając pani słowa, *senorita* Jones.

- Jego kark przeżył się dumnie i Jenny zrozumiała, jak wiele go to kosztowało. -

Przyznam ze wstydem, że przyjechałem tu w odpowiedzi na błaganie Gracieli, lecz nie uwierzyłem w jej opowieść, dopóki na własne oczy nie ujrzałem Luisa.

- Chłodnym spojrzeniem potoczył po dwóch krewnych, którzy przeżyli strzelaninę; jego ludzie wciąż trzymali ich na muszce. - Do zmroku poznam historię całej tej haniebnej zdrady.

- A co z Gracielą? - spytała Jenny. Zaczynała odczuwać ból w ramieniu i oparła się o Ty'a.

- Być może myliłem się w wielu kwestiach, *señorita*. - Don Antonio zatrzymał wzrok na trupie Luisa. Po chwili spojrzał na Ty'a. - Ręczę słowem, że żaden z Barrancasów nie wjedzie już w złej wierze na ziemię Sandersów. Jeśli się pan zgodzi, teraz i tutaj chciałbym zakończyć właśnie między naszymi rodzinami.

- Zgoda - odparł Ty po chwili wahania. Pokiwał głową i obaj uściśnęli sobie dłonie.

- Proszę dać Gracieli szansę, *señor* - rzekła cicho Jenny. - Ona tak bardzo pragnie pana pokochać. - Podejrzewała, że osławiony czar dziewczynki już zadziałał. Jeśli Barrancas pozwoli jej się zbliżyć, co wydawało się niemal pewne, Graciela bardzo szybko owinie go sobie wokół palca.

- Moja wnuczka zje dziś kolację w hacjendzie - oznajmił nagle.

- Jeden z moich ludzi odwiezie ją na rancho przed zmrokiem.

- Zgoda, *señor* - szepnęła Jenny. Zanim skończy dopalać cygaro czy pić kawę po kolacji, jego serce będzie już należało do Gracieli, pomyślała.

Spuściła głowę, by ukryć uśmiech, i wtedy zauważyła krople krwi, które ściekały jej po ramieniu i kapwały z palców na ziemię. - Do licha! - Zmarszczyła czoło i łypnęła okiem na Ty'a. - Muszę stwierdzić, kowboju, że nie spisałeś się jak należy. Co z ciebie za materiał na męża? Najpierw nie przysyłasz telegramu, o co jeszcze długo będę na ciebie wściekła, a teraz stoisz sobie w najlepsze i gadasz, podczas gdy każdy dureń zauważyłby, że wykrwawię się na śmierć.

Chyba muszę przemyśleć moją decyzję.

- Za późno. - Ty zaśmiał się, wziął ukochaną na ręce i obdarzył szerokim uśmiechem. - Obiecałaś wyjść za mnie, a nie spotkałem jeszcze osoby równie słownej, co ty. Jesteś więc zdana na moją łaskę.

- Wygląda na to, że masz rację. - Jenny uśmiechnęła się i oparła mu głowę na ramieniu, kiedy niósł ją w stronę konia. - Wiesz, co mi się najbardziej podoba?

Że ty również wpadłeś w moje sidła.

Wtuliła się w jego ramiona i plamiąc mu pierś krwią, zdecydowała, że to liaszczęśliwszy dzień w jej życiu.

Niespokojne prądy przebiegały między gośćmi zebranymi na przyjęciu u Ellen Sanders. Matka Ty'a wydała je z okazji powrotu syna do domu oraz, by uczcić jego zaręczyny z kobietą, o której myślał nieustannie każdego dnia rekowalescencji w małej meksykańskiej wiosce, a potem w czasie podróży na północ.

Mężczyźni z rodu Barrancasów i Sandersów stali po obu stronach wielkiego rusztu i przyglądali się sobie podejrzliwie. Matka Ty'a i don Antonio wymieniali ostrożne uprzejmości, traktując się nawzajem z chłodną i pełną przesady grzecznością; jedynie obecność innych gości powstrzymywała ich przed otwartym okazywaniem zniecierpliwienia.

Ale ten dzień był przełomem w ich dotychczasowych stosunkach i podwaliną przyszłych czasów, kiedy wspólne spotkania przyćmią w końcu pamięć dawnych niesnasek. Graciela, która biegała wesoło od jednej grupki do drugiej, z pewnością pomoże zbliżyć się obu rodom i nawiązać nowe, trwałe przyjaźnie.

Kiedy panie odciągnęły *lenny* na bok, Ty podszedł do Roberta, stojącego przy ogrodzeniu pastwiska. Rozpierało go szczęście, kiedy patrzył na to, co najbardziej ukochał - na ziemię i dom, w którym wyrósł, oraz na Jenny trzymającą za rękę dziecko. Ta cudowna kobieta, która wkrótce zostanie jego żoną, a także mała Graciela otworzyły mu umysł, zupełnie zmieniły postrzeganie świata i ostatecznie całe życie. Poczul ściskanie w gardle i z trudem przełknął ślinę.

- To wspaniała kobieta, szczęściarz z ciebie - powiedział Robert cicho.

- To prawda, nigdy nie spotkałem kogoś takiego. - Ty pokiwał dumnie głową.

Tego dnia wyglądała wyjątkowo pięknie, z rumieńcami na policzkach i błyszczącymi ze szczęścia oczami. Jej włosy, sięgające już za uszy, odbijały refleksy zachodzącego słońca i przywodziły mu na pamięć ognisty trójkąt między udami. Suknia uwydatniała kusząco wspaniałe piersi i zaokrągląa się na biodrach, jakby stworzonych do rodzenia dzieci. Ktoś, zapewne Graciela, przypiął jej do temblaka mały kwiatek. Boże, jakże ją kochał! Wciąż nie mógł

uwierzyć swojemu szczęściu.

Pod koniec tygodnia Jenny powinna wyzdrowieć na tyle, by móc podróżować, a zamierzał zabrać ją do San Francisco. Tam, z dala od czujnego wzroku matki i jej przestroóg, by do czasu ślubu spali w osobnych sypialniach, będzie się z nią kochał do upadłego, a potem sprawi jej welon i suknię ślubną w kolorze brzoskwini.

- Powiniennem był pojechać z Marguaritą do Meksyku - odezwał się Robert cichym głosem. On również przyglądał się Jenny. - Nigdy sobie tego nie wybaczę. A rancho ... cóż, powinno było przypaść w udziale tobie.

- Dobrze mi jest na moich stu hektarach. - Ty zapalił dwa cygara i podał jedno bratu.

- Nie kocham ziemi tak jak ty, nigdy tak nie było. - Robert palił w milczeniu.

- To jedna z rzeczy, z którą nie mogę się pogodzić. Pozwoliłem jej wyjechać, żeby zadowolić ojca, może też dlatego, żebyś nie dostał tego, co mi się prawnie należało. - Skrzywił usta z obrzydzeniem i pogardą do samego siebie.

- Nawet nie wystarczyło mi odwagi, by sprowadzić tu żonę i córkę. Poprosiłem o to ciebie, ponieważ bałem się spojrzeć w oczy Marguaricie. I, wybac mi, Boże, ale cieszę się, że nie musiałem tego robić.

Wyobrażasz sobie, jak można żyć z czymś takim?

Ty nie potrafił znaleźć odpowiedzi. Robert był jego bratem i bardzo go kochał.

Nigdy jednak się nie rozumieli, mieli diametralnie różne charaktery.

- Masz córkę - odparł w końcu. - Daj jej szansę, Robercie.

Jestem tu zaledwie od trzech dni i widzę, że nie pozwalasz jej stać się częścią swojego życia. To wspinała dziewczynka i zasługuje na coś lepszego.

- Oczywiście, masz rację - przyznał Robert, wpatrując się w Jenny i Gracielę. -

Dużo rozmyślałem przez ostatnie dni. Doszedłem do wniosku, że mogę wynagrodzić jej te błędy, zapewniając kochającą rodzinę i szczęście, które się jej należy. - Powoli wypuścił dym z ust. - Wyjeżdżam, Ty, jadę do Meksyku pożegnać się z moją żoną. Potem chyba udam się na południe, może do Mexico City, kto wie? - Wzruszył ramionami. - Jednego jestem pewien: już tu nie wrócę.

- A co z Gracielą? - spytał Ty.

- Chyba nie zdziwi cię, jeśli raz jeszcze poproszę cię o przysługę.

Przejmij moje obowiązki.

Ty milczał przez jakiś czas. Właściwie mógł to przewidzieć i przyznał ze smutkiem, że Robert ma rację. Propozycja bynajmniej go nie zaskoczyła.

- Ranczo od początku powinno było przypaść tobie, więc niech sprawiedliwości stanie się zadość. A co do mojej córki ... Razem z Jenny możecie stworzyć jej prawdziwy dom. Ja tego nie potrafię. Za każdym razem, gdy patrzę na nią, widzę nieszczęśliwą Margaritę i siebie - męża nieudacznika.

Ojciec też ze mnie żaden. Nie chcę zgotować jej takiego życia, bo, jak sam powiedziałeś, zasługuje na więcej. Więc jak, zrobisz to dla mnie? Jeśli Jenny się zgodzi, czy przejmiecie ranczo i wraz z moją córką uczynicie z niego własny dom?

- Doskonale znasz odpowiedź. - Nie musiał omawiać tego z Jenny, dobrze znał jej uczucia.

- Znalazłeś w Meksyku szczęście, które cię odmieniło - stwierdził Robert, przypatrując się twarzy brata. - Może i ja coś znajdę.

Ty palił w milczeniu i patrząc na Jenny wspominał tygodnie rekonwalescencji w wiosce na skraju pustyni. Już wtedy czuł się odmieniony, ale nie zgłębiał tych zmian. Teraz zdał sobie sprawę, że wprowadzie w Meksyku zrodziły się wszystkie uprzedzenia ojca, ale on, Ty, pogrzebał tam swoje resentymenty.

Zawdzięczał życie dobrym ludziom z pustynnej wioski - bez ich wspinałomyślności i troski, bez współczucia, które okazali obcemu, już by nie żył. Meksyk podarował mu życie, dał mu też Jenny i Gracielę.

- Co powiesz Gracieli?

- Że wyjeżdżam na bardzo długo. Gdy uznasz, że nadeszła odpowiednia chwila, powiedz jej, iż umarłem. Tak będzie lepiej.

- Robertcie, jesteś mi bardzo drogi, ale w tym momencie mam ochotę ci przyłożyć. Może prawy sierpowy wlałby ci trochę oleju do głowy.

- Na tym właśnie polega różnica między nami, ty jesteś wojownikiem, ja nie.

Jeśli to w czymś pomoże, to wiedz, że wobec mojej córki będę miał wyrzuty sumienia do końca życia.

- Więc zostań tu i bądź dla niej ojcem.

- Nie mogę. - Robert zdjął z szyi złoty łańcuszek i włożył

Ty'owi do ręki medalion Gracieli. - Daj jej to po moim wyjeździe i powiedz, że ją kocham. Może zrozumie któregoś dnia, że kierowała mną miłość.

- Czy jest coś, co może zmienić twoje zdanie? - Ty włożył medalion do kieszeni.

- Nie.

- Chcę, żebyś został przynajmniej do naszego ślubu - powiedział

Ty i pokiwał głową na znak niechętej, ale ostatecznej zgody. - Pragnę, byś był

wtedy przy mnie. I, Robertcie, od czasu do czasu pisz do mamy. Daj nam znać, co z tobą ... - Przełknął ślinę i chwycił brata za ramię. - Zawsze będziesz mógł

wrócić do domu, wiesz o tym.

- Tak, wiem. - Spojrzeli sobie w oczy. - Pomyśl czasami o mnie, jak to było za młodu, zanim wszystko się tak cholernie pogmatwało.

Przerwali rozmowę, bo właśnie Jenny zmierzała w ich stronę.

Kiedy Ty ujrzał obietnicę raję lśniąca w jej oczach, zapomniał

owszystkim.

Pośpieszył w jej stronę, a w połowie drogi chwycił ją w ramiona i pokierował

ku zacienionej azaliami części domu. Tam przytulił ją mocno do siebie.

- Ależ piękna z ciebie kobieta.

- Kowboju, może w to nie uwierzysz, ale jesteś jedynym człowiekiem na świecie, który tak myśli. - Jenny zaśmiała się i z wypiekami na twarzy objęła go zdrową ręką.

- Przeglądałaś się w lustrze, kochanie? - Pocałował ją i lekko ugryzł w ucho, mając nadzieję, że i w jej żyłach krew zacznie szybciej krążyć. - Zmieniłaś się od czasu, gdy cię pierwszy raz ujrzałem. Naturalnie te naj istotniejsze rzeczy pozostały te same - rzekł z uśmiechem i położył dłoń na jej piersi. Ciche westchnienie kobiety spowodowało przyływ jego pożądania.

- Ty, czasami ... zadaję sobie pytanie ... czy będzie ze mnie dobra żona? -

Spojrzała mu prosto w oczy.

- Pewnie nieraz zdarzą nam się burze z piorunami - mruknął i przycisnął ją biodrami. - Ale wspólna przyszłość wydaje się obiecująca, Jenny Jones.

Spodziewam się, że wyrosnie z ciebie wspaniała żona. Zresztą najważniejszego już się nauczyłaś.

Zaśmiała się uwodzicielsko i przymknęła oczy, kiedy zaczął obsypywać ją pocałunkami. Nagle chwyciła jego dłoń i położyła sobie na piersi.

- Jak myślisz, czy ktoś zauważy naszą nieobecność, jeśli wymkniemy się niepostrzeżenie do twojego domu?

Jenny dobrze nauczyła się swej roli - teraz to ona prowokowała go i drażniła.

- Wszyscy będą nas wypatrywać. - Nie przestawał całować jej oczu i kącików ust. - To przecież nasze przyjęcie.

Spojrzeni na siebie i zaśmiali się głośno. Żadne z nich nie dbało oto, co pomyślą inni.

- Nie chcę czekać na San Francisco, kowboju - szepnęła podniecona i przyłgnęła do niego całym ciałem. - Wystarczająco długo czekałam na twój powrót i okazję, by zaciągnąć cię do łóżka.

- Ścigajmy się do stajni - odparł głosem pełnym żądz. - Ostatni ściąga mi buty.

Trzymając się za ręce, pobiegli ze śmiechem pod rozgwieżdżonym niebem.

Później opowie jej o wyjeździe Roberta i jego prośbie, by rozpoczęli nowe życie z kochaną sześciolletnią dziewczynką. Był pewien, że lenny zapłacze ze szczęścia. Teraz jednak chciał się nią nacieszyć i mógł myśleć tylko o czekających ich wspólnych chwilach.

lenny. To imię, szeptane po tysiackroć na pustyni, długo utrzymywało go przy życiu. Warto dla niej żyć. Jenny.

EPILOG ~

Po skończonej uroczystości ślubnej goście ochoczo pomagali wynieść meble i ustawić krzesła pod ścianami salonu. Muzycy nastroili instrumenty, skosztowali ponczu i wnet rozpoczęły się tańce. Ponad sto uśmiechniętych twarzy wirowało między parkietem i stolikami z jedzeniem, reszta gości przechadzała się po udekorowanym i oświetlonym pochodniami podwórzu.

Jenny stała w drzwiach salonu i przyglądała się Gracieli tańczącej walca w ramionach swego przystojnego, świeżo upieczonego męża. Twarz dziewczyny promieniała z radości, gdy patrzyła z przejęciem w jego pełne uwielbienia oblicze. Poruszali się w takt muzyki, ale Jenny wątpiła, by dotarła do nich choć jedna nuta; widzieli i słyszeli tylko siebie.

Ktoś objął ją w pasie i Jenny aż podskoczyła, ale odwróciwszy głowę, przytuliła się uspokojona do piersi Ty'a.

- Bardzo go lubię, a ty? - zapytała cicho i uśmiechnęła się obserwując młodą parę. Diego właśnie szepnął coś Gracieli do ucha, a dziewczyna zarumieniła się, zaśmiała wstydliwie i potknęła w jego ramionach. Młodzieniec natychmiast ją złapał i zakręcił w koło, trzymając mocno i bezpiecznie, jak zamierzał czynić to przez resztę życia.

- Będzie z niej wspaniała żona dla lekarza - zauważył Ty nieco drżącym głosem. Objął Jenny mocno w pasie i oparł podbródek na czubku jej głowy, na starannie wymodelowanych lokach. - Jeśli Diego nie będzie uważał, Graciela niebawem odsunie go na bok i sama zacznie przeprowadzać operacje, zresztą ze świetnym skutkiem.

Jenny zaśmiała się i przytuliła do Ty'a. Popatrzyła na resztę gości - zauważyła don Antonia i Ellen, Grizzly Billa, wdowę Parker i innych sąsiadów, na których obecności bardzo jej zależało. Lecz za każdym razem powracała wzrokiem do Gracieli i Diego. Tak pięknie wyglądali, byli tacy młodzi,

szczęśliwi i pełni życia.

- Kiedy zamierzasz zatańczyć z matką panny młodej, kowboju?

- Znajomy dotyk jego twardej piersi sprawił, że zapragnęła nagle, by wesele się już skończyło i znaleźli się razem w zaciszu sypialni. - Wiesz, że nie cierpię tańczyć.

- Jakoś nie odniosłam takiego wrażenia, gdy wirowałeś na parkiecie z panną młodą. - Lubiła się z nim droczyć.

- To co innego, musiałem to zrobić. Ufam jednak, że, jak zawsze, okażesz się wyrozumiałą żoną i mi odpuścisz.

- Mam nadzieję, że ja i Diego będziemy tak jak wy tulić się po ,kątach po tylu latach małżeństwa. - Graciela zaśmiała się, podbiegając do nich po zakończonym walcu.

- Muszę stale pokazywać, co do mnie należy, inaczej jakiś przejezdny chłystek mógłby mi ją ukraść. - Ty uśmiechnął się i pocałował Jenny w policzek. Kiedy Jenny i Graciela się roześmiały, dodał cicho:

- Kochanie, wyglądasz dziś prześlicznie, wprost brak mi tchu. Tylko moja droga połowica jest piękniejsza od nowej żony doktora Candelera, a może na odwrót?

Graciela chwyciła ich za ręce i stali tak we troje, patrząc na siebie z tkliwą czułością.

- Kocham was bardzo - szepnęła dziewczyna i cmoknęła oboje w policzek. -

Och, mamó, tato, jestem taka szczęśliwa.

- Wiem, kochanie, widzę to. - Jenny puściła dłoń Ty'a i poprawiła złoty medalion na sukni Gracieli. Potem dotknęła jej włosów i pocałowała w czoło. -

Nie wstydz się, ulżyj sobie. Spójrz na mnie. Wiesz, jak nie cierpię płaczących kobiet, ale dziś wylałam już chyba wiadro łez.

- Kotku, powinnaś wrócić do męża, wygląda na zasmuconego.

- Ty przytulił pannę młodą i przytrzymał chwilę w ramionach.

- Jeśli nie będzie cię dobrze traktował, tylko daj nam znać, a mama spierze mu tyłek.

Graciela roześmiała się, ostatni raz ucałowała oboje i unosząc brzegi sukni pobiegła w stronę parkietu. Jenny i Ty objęli się w pasie i patrzyli, jak odchodzi.

- Będzie mi jej brakować jak powietrza - szepnęła Jenny, opierając głowę na ramieniu męża. - Tak szybko dorosła, kiedy to się stało? - Na próżno czekała na odpowiedź. Spojrzała na Ty'a i rzekła z udaną surowością: - Szanowny panie Sanders, co ja widzę, czy to przypadkiem nie łyzy w pańskich oczach?

- Ależ skąd - obruszył się Ty. - Pewnie wpadł mi w oko jakiś paproch.

- Zapewne ten sam, który dokuczał ci w kościele, gdy prowadziłeś ją do ołtarza i oddałeś w ręce pana młodego. - Jenny przymknęła oczy. Jak bardzo go kochała; miała wrażenie, że zaraz pęknie jej serce. - Kochanie, kiedy ostatnio widziałeś Robbiego, Billa czy Ty'ajuniora? Czy nasi chłopcy nie dobierają się przypadkiem do ponczu?

- Wcale by mnie to nie zdziwiło. W ich wieku robiliśmy to samo z Robertem. -

Pocałował ją namiętnie, nie dbając, czy ktoś na nich patrzy. - Odeślij już tych ludzi do domu, chcę wreszcie mieć cię w łóżku - szepnął jej do ucha.

- Już niebawem, kowboju. Ale na razie, sprawdź, co u naszych chłopców i czy czegoś nie zbroili. - Ugryzła męża lekko w dolną wargę i zaśmiała się. - W razie czego możesz ich postraszyć, że mama spierze im tyłki.

- Kiedy taki twardziel jak ja stał się mięczakiem? - Ty uśmiechnął się i poklepał ją czule po pośladkach. - To najbardziej niesamowita historia, jaka mogła mi się przydarzyć.

- Trzy razy trzymałeś na ręku swoje nowo narodzone dzieci

- przypomniała cicho Jenny i dotknęła policzka męża.

- Może i to było przyczyną - przyznał z uśmiechem. - Chodź ze mną, razem spuścimy lanie łobuziakom. Pokażemy młokosom, kto tu rządzi.

- Dobrze wiedzą, kto stoi na czele rodziny i że to nie jesteśmy my. - odparła i czule go ucałowała. - Spotkamy się na ganku za pięć minut, muszę najpierw z kimś porozmawiać.

Ty pocałował jej dłoń, po czym udał się na poszukiwanie synów.

Jenny prowadziła go wzrokiem, a w jej sercu aż wrzało z emocji - tyle się dzisiaj wydarzyło! Poczekała, aż Graciela i Diego rozpoczną kolejny taniec, i przykładając chusteczkę do wilgotnych oczu wyszła kuchennymi drzwiami.

Na dworze było ciemno. W zaroślach grały cykady, rywalizując z muzyką i gwarem rozmów płynących z okien i zza rogu domu. Ale uroczystość nie mogła przeszkodzić w rozmowie ze starą przyjaciółką.

Jenny usiadła na pniu drzewa, złożyła ręce na kolanach i uniosła głowę ku rozgwieżdżonemu niebu. Tego wieczoru gwiazda Marguarity wydawała się świecić najjaśniej.

Już dłuższy czas nie rozmawialiśmy ze sobą, moja droga. Ale skoro masz już Roberta przy sobie, chyba za mną zbyt nie tęskniłaś.

Świętujemy dzisiaj wesele Gracieli. Zanim przypięłam jej medalion do sukni, popatrzyłyśmy razem na twój portret i zmówiłyśmy modlitwę. Czulałam twoją obecność przez cały dzień, więc chyba nas

usłyszałaś.

Margarito, Diego to wspaniały młody człowiek, z pewnością by ci się spodobał. Kocha naszą Gracielę i chyba będą ze sobą szczęśliwi. Mam nadzieję, że widzisz, jak pięknie wygląda dziś nasza córka. Jest jak jasny płomień, gorejący radością. Tak bardzo go kocha.

- Jest tutaj! Znalazłem ją, tato! - Robby, najmłodszy z chłopców, wybiegł zza rogu i podążył w jej stronę. Ze spodni wyszła mu koszula, a z drobnego ramienia zwisała odpięta szelka. - Mamo, mamo! Zaraz będą sztuczne ognie!

Chodź popatrzeć! - Złapał ją za rękę i pociągnął ku światłom.

- Biegnij, synku, zaraz do was przyjdę - Jenny ze śmiechem pochyliła się i pocałowała malca w rozwichrzone włosy.

Gdy zniknął, uniosła twarz ku niebu i zamrugła; w jej oczach błyszczały łzy szczęścia. Margarito, wszystko, co posiadam i kocham, zawdzięczam tobie.

Ty, chłopcy, dom ... a przede wszystkim nasza najdroższa córeczka, która niepodzielnie zawładnęła moim sercem.

Nasza córka, twoja i moja, jest wspaniałą i absolutnie wyjątkową młodą kobietą. Jest piękna, uczciwa, odważna i mądra. Ma też dobre serce.

Odziedziczyła po nas wszystko co najlepsze, obie możemy być z niej dumne.

Idź już spać i odpocznij sobie, nasza misja dobiegła końca. Ty dotrzymałaś słowa i ja z radością spełniłam daną ci przed laty obietnicę ... Margarito, miałaś rację. Moje zadanie okazało się dziecinnie proste. Graciela zawsze była moim skarbem i radością, tak łatwo ją pokochałam.

Żegnaj, stara przyjaciółko. Dziękuję, że podarowałaś mi życie i córkę, którą miałam szczęście wychować.

Jenny wytarła oczy i po raz ostatni spojrzała na gwiazdę Marguarity, po czym uniosła brzegi sukni i pobiegła przed dom, gdzie na tle wieczornego nieba rozbłyskiwały potężne fontanny ognia. Pobiegła w stronę męża i synów i wciąż nowych obietnic do spełnienia.